



WAR BOOK

V L A D I M I R
W O L F F



POINT OF VIEW

9124578

VLADIMIR WOLFF

Punkt zwrotny



© 2018 Vladimir Wolff

© 2018 WARBOOK Sp. z o.o.

Redaktor serii: **Sławomir Brudny**

Redakcja i korekta językowa: **Zespół redakcyjny**
Wszystkie cytaty z Koranu w tłumaczeniu J. Bielawskiego (Warszawa: PIW, 1986).

eBook:
Ilona i Dominik Trzebińscy Du Châteaux, atelier@duchateaux.pl

Projekt okładki: **Paweł Gierula**

Ilustracja na okładce: **Jan Jasiński**

ISBN 978-83-65904-06-5

Wydawca: **Warbook Sp. z o.o.**

ul. Bładnicka 65

43-450 Ustroń, www.warbook.pl

Sukcesem bywa i to, że jeszcze oddychasz.

Jeżeli komuś wydaje się, że jest wyjątkowy, to bardzo się myli. Bo co to niby znaczy i co czyni nas wyjątkowymi w naszych własnych oczach?

Sporo zarabiasz, znasz języki, twoje programy śmigają jak żadne inne, pływasz jak mistrz olimpijski i potrafisz rozwiązać zadania z dwiema niewiadomymi. Cała reszta przy tobie to barany.

A może posiadasz wiedzę niedostępną dla innych? To jeszcze lepsze. Zrozumiałeś zasady, według których funkcjonuje świat, a to sprawia, że potrafisz w miarę poprawnie przewidzieć, co się wydarzy za dzień, za miesiąc czy rok. Wiesz, kto wygra wybory, a kto przepadnie z kretesem, wbrew wszelkim sondażom, czy na giełdach będzie hossą, czy bessą i czy twoja ulubiona drużyna zdobędzie puchar. Nawet jeśli wszystko jest ruletką, to ty wiesz, jak odejść od stołu z forszą.

Raszid, Jamal i Muhammad też wierzyli w to, że są wyjątkowi, zaś ich ofiara nie pójdzie na marne.

Znał ich dobrze, byli przecież jego towarzyszami broni, z Jamalem służył nawet w jednym oddziale. Chłopak może i miał nierówno pod sufitem, ale jeżeli chodzi o religijną gorliwość, nikt mu nie był w stanie dorównać.

A teraz przyszła na nich pora.

Nikt ich do tego nie zmuszał. Każdy z tej trójki zgłosił się do zadania na ochotnika, przekonany, że przybliżą w ten sposób chwilę ostatecznego zwycięstwa. Ostatni uścisk, poklepanie po plecach i słowa otuchy dla reszty, która pozostawała na tym świecie. Szachidzi już stali u progu rajy i dobrze o tym wiedzieli. W końcu wsiedli do samochodów i ruszyli w drogę bez powrotu.

Artur Sznajder został. Czuł, że miejsce, w którym się znajduje, jest w miarę bezpieczne.

Bezpieczne? Tylko co to miało znaczyć? Tutaj każdy kolejny dzień był jak gra w rosyjską ruletkę. Ci, którzy odjechali, przynajmniej wiedzieli, gdzie i kiedy zginą. Na wojnie każdy w końcu ma dosyć – i albo zrobi krok w tył, albo pójdzie na całość. A oni się nigdy nie cofali.

Sznajder dotknął manipulatora i skinął na pomocnika. Dron był gotowy, akumulatory naładowane na full, a zainstalowana wcześniej mała kamera przeszła pomyślnie wszystkie próby. Nic, tylko startować. Wlepił spojrzenie w monitor, całkowicie skoncentrowany na misji.

Dron szybko osiągnął pułap pięćdziesięciu metrów. Widok z góry przypominał jedną z tych niskobudżetowych produkcji filmowych, które kręcono przed laty – szeroki plan, szaro-brązowa pustynia i białe domy otoczone murami ciągnącymi się na północ i zachód. Na ekranie widział to po części miasto, a po części gigantyczny obóz uchodźców, w jakim przyszło funkcjonować dziesiątkom tysięcy ucie-

kinierów, schwytanych w pułapkę okrutnej wojny, która od lat trawiła Bliski Wschód. Walki trwały w Syrii, Iraku, na Synaju i w samym Egipcie, a także w Jemenu. Mimo kotłowania wokół granic z Izraelem nie było praktycznie żadnych szans na ich przekroczenie. Podobnie rzecz się miała z Libanem. Bojownicy działający na pograniczu wciąż prowokowali potyczki. W nalotach odwetowych poważnie ginęli cywile, a to od nowa nakręcało spiralę nienawiści. Liczba organizacji i bojówek propagujących ideę świętej wojny szła w setki. Niektóre grupy walczyły ze sobą, inne łączyły się w koalicje. Chyba nikt nie wiedział, kto toczy tam wojnę i z kim. Zmieniała się sytuacja, zmieniały lokalne sojusze i przeciwnicy, dowódcy wielokrotnie zabijani wciąż jeszcze żyli lub na odwrót: byli od dawna martwi wbrew doniesieniom o ich aktualnych zwycięstwach. Do tego mniej lub bardziej chimeryczne interwencje wojsk Zachodu, Turcji, Rosji... Trudno było powiedzieć, czym się to wszystko skończy.

Izrael, w którym całkiem niedawno znalazło się jakieś półtora miliona Amerykanów, nie mógł odpuścić i stąd pojawiały się regularne ekspedycje karne mające tylko jeden cel: zlikwidowanie jak największej liczby wojowników Allaha i odsunięcie zagrożenia jak najdalej od własnych granic. Do tego nie wystarczało samo lotnictwo. Siły lądowe też miały swój udział w działaniach prewencyjnych. Zapuszczały się nieraz na kilkadziesiąt kilometrów od terytorium Izraela, żeby z tymczasowych baz przeprowadzać ataki na niepokornych synów pustyni. Oficjalne władze Syrii czy Libanu mogły co najwyżej zaprotestować w telewizji i na tym koniec. Nikt się już nimi nie przejmował. Na otwartą konfrontację nie miały ochoty, bo czymże atakować najlepiej uzbrojoną armię świata?

Oni takich obiekcji nie mieli. Choćby na jednego zabitego Żyda miało przypadać stu wiernych, nie zamierzali się ugiąć. Kiedyś wygrają, tak mówiła arytmetyka, a że wojna potrwa latami, to bez znaczenia. W końcu dopną swego, a sztandar Proroka załopocze na gruzach Tel Awiwu.

Szybko zlokalizował przemieszczające się pojazdy. Zielonego dostawczego peugeotą prowadził Raszid i to on miał do wykonania najtrudniejsze zadanie. Blokada przy wjeździe na teren polowego lądowiska śmigłowców była niezwykle szczelna. Betonowe bloki zdawały się tworzyć zaporę nie do pokonania, a żaden cywilny samochód nie mógł podejść bliżej niż na kilkadziesiąt metrów. Dobrze, że obok przebiegała publicznie dostępna szosa. Jeżeli Allah będzie sprzyjał Raszidowi, być może uda się zniszczyć choć jeden z transporterów ustawionych przy punkcie kontrolnym. W końcu pół tony materiałów wybuchowych to sporo.

Dron, a precyzyjniej mówiąc kwadrokopter, przeleciał kolejne sto metrów. Sznajder nerwowo oblizwał usta. Peugeot to stawał, to ruszał, ciągnąc się w długim sznurze samochodów. Nim dotrze w poblizsze drogi dojazdowej, minie co najmniej dziesięć minut. Ani kierowcy, ani Sznajderowi co prawda się nie spieszyło, ale każdy z nich miał nerwy napięte jak postronki, niezależnie od miejsca, w którym sie-

dział: za kierownicą samochodu czy też przed monitorem.

Uwagę Sznajdera zwrócił ruch u góry ekranu. Bazę Izraelczyków opuszczał właśnie konwój ciężarówek i ubezpieczających je pojazdów. Takiej okazji nie można było przepuścić.

Peugeot podjechał kolejne pięćdziesiąt metrów.

– Raszid, postaraj się skrócić dystans – rzucił do telefonu, w napięciu obserwując dalsze poczynania zamachowca.

Wóz wykręcił na pobocze i wyraźnie przyspieszył, co z pewnością nie spodobało się kierowcom wciąż tkwiącym w korku. Pewnie ten i ów nacisnął klakson, ale tego dron nie przekazał – do Sznajdera docierał wyłącznie obraz, nie słyszał żadnego dźwięku.

Do wjazdu na teren bazy Raszidowi zostało dobre dwieście metrów. Można by powiedzieć, że tyle dzieli go od rajy. Obojętnie, co się stanie, już za chwilę przejdzie przez jego bramę.

Pierwsze izraelskie wozy zaczęły wytaczać się na drogę dojazdową do szosy. Idealna okazja, by uderzyć.

– Raszid, w imię Boga miłościwego...

– *Zaprawdę, moja modlitwa, moje praktyki religijne, moje życie i moja śmierć – należą do Boga, Pana światów!*

– Niech cię Allah prowadzi, przyjacielu.

Sznajder z trudem przełknął wielką kulę, która urosła mu w gardle.

Peugeot zaczął pędzić na czołowy pojazd kolumny, minoodporny MRAP. Wśród wartowników wybuchło zamieszanie. Większość z nich już domyślała się dalszego przebiegu wypadków. Kto tylko mógł, otworzył ogień z broni automatycznej. Raszidowi do pokonania zostało najwyżej sto metrów. Przy obecnej prędkości uderzy we wroga za parę sekund. Sznajder zamarł przed monitorem. Jego usta szeptały bezgłośnie modlitwę, z której dosłyszec się dało tylko jedno powtarzające się słowo: „kurwa”. Na nic innego nie potrafił się zdobyć.

Gdy już się wydawało, że Raszid dopnie swego, peugeot zwolnił, a następnie całkiem się zatrzymał. Detonacja rozerwała furgonetkę dosłownie sekundę później. Z wielkiego obłoku pyłu, jaki zakrył widok, wzbił się w niebo słup brunatnego dymu. Okolica prawie zniknęła w kurzawie. Sznajder poczuł ukłucie zawodu w sercu. Cel nie został osiągnięty. Któraś z wystrzelonych kul musiała dosięgnąć Raszida wcześniej. Szkoda. To byłoby piękne rozpoczęcie akcji, a tak jedynie wzmogli czujność Izraelczyków i ich jankeskich popleczników. Po Raszidzie nie pozostał nawet ślad. Był człowiek i nie ma człowieka. Pora się ogarnąć. To jeszcze nie koniec. *Bóg jest z tymi, którzy są cierpliwi!*

Teraz kolej na Muhammada. Tym razem obiektem, który należało zniszczyć, był posterunek kolaborującej z wrogiem chrześcijańskiej milicji, ustawiony tuż przy wjeździe do dzielnicy zamieszkałej przez ludność niemuzułmańską.

Muzułmanie nienawidzili tej formacji szczególnie. Przed kilkoma dekadami, a dokładniej w 1982 roku, właśnie tacy ludzie wymordowali w obozach Sabra i Szatila tysiące palestyńskich starców, kobiet i dzieci. Wierni nigdy o tym nie zapomnieli. Reszta świata owszem, bo oprawcy byli chrześcijanami, a nie krwiożerczymi islamistami.

Muhammad prowadził białego saaba, lawirując w wąskich uliczkach. Z miejsca kierowcy niewiele widział, ale zdawał sobie sprawę, że jeśli utknie w blokadzie, całe planowanie szlag trafi.

Sznajder kciukiem znalazł kolejny numer na smartfonie.

– Skręć w lewo.

Same suche fakty. Skupienie przede wszystkim.

– Dwie przecznice prosto.

Saab sunął jak po sznurku.

– Zwolnij.

Z bocznej uliczki wyjechał jeep należący do Hezbollahu. Co do tego Artur nie miał wątpliwości. Znał całą flotę pojazdów bojowników świętej wojny. I choć Hezbollah był organizacją szyitów, to dziś im się upiecze. Tym heretyckim psom wymierzy sprawiedliwość innym razem.

– Dobra, dawaj do przodu, ale powoli.

Na ulicach pojawiało się coraz więcej przechodniów, wśród których dominowały dzieci. Przy tego typu operacjach zawsze istniało ryzyko, że któreś z nich zostanie uszkodzone. Może należało powiedzieć inaczej – one zawsze stawały się ofiarami, w ten czy inny sposób, ale tak się działo.

Nikt się tym szczególnie nie przejmował i on też nie zamierzał. Wierzył głęboko, że każdy umiera wtedy, kiedy przychodzi na niego pora. Ktoś żyje sto lat. Pięknie. A pięć czy dziesięć? Trudno. Taka wola Allaha.

– Teraz w prawo.

Jeszcze dwie przecznice i saab znajdzie się przy posterunku. Sznajder podciągnął drona wyżej, żeby lepiej widzieć płataninę ulic. Szybko się zorientował, że przejazdu na teren osiedla pilnują trzy opancerzone Humvee i transporter V-150 Commando. Lepiej być nie mogło. Byle tego nie spieprzyć.

– Zwolnij.

Muhammad włókł się najwyżej dwadzieścia kilometrów na godzinę. Dobrze. Tyle wystarczy. Nie ma co szaleć. Bojówkarze przy blokadzie już pewnie wiedzą, co się wydarzyło parę minut wcześniej, i stali się czujniejsi. I co z tego? Nic im to nie pomoże.

Przed saabem ostatni zakręt i najwyżej trzydzieści metrów prostej. Strażnicy nawet się nie zorientują, o co chodzi.

Ludzkie figurki na ekranie były niewiele większe od robaków i Sznajderowi trudno było odróżnić uzbrojonych ludzi od cywilów. Przed punktem kontrolnym na

pewno stała kolejka tych, którzy próbowali dostać się do bezpiecznej enklawy. Kiedy Muhammad dojedzie na miejsce, zostaną z nich jedynie strzępy.

Niespodziewanie prowadzony przez zamachowca VBIED, czyli *Vehicle-Borne Improvised Explosive Device*, zatrzymał się.

– Co się stało?

– Nic.

– Do celu masz jedynie parę metrów.

– Wiem.

– Teraz jest najlepszy moment.

Odpowiedź nie nadeszła.

– Muhammad, posłuchaj mnie... – chciał powiedzieć coś jeszcze, ale szybko zorientował się, że rozmowa została przerwana. – Kur...

Ten skończony idiota w ostatnim momencie wymiękł. Zamiast zakręcić kierownicą i wcisnąć gaz do dechy, kretyn pewnie narobił w spodnie. Zaraz wysiadzie i pójdzie opowiedzieć wszystko Izraelczykom. Wrócić przecież nie może – tu dorwą go i zatłuką jak psa. Inaczej być nie mogło.

Nagle samochód ruszył. Kiedy wyłonił się z zakrętu, stojący najbliżej zaczęli uciekać, domyślając się, jaki jest jego cel.

Serce w piersi Sznajdera stanęło, by po chwili ruszyć z głuchym łomotem. Wydarzenia potoczyły się błyskawicznie. Zdaje się, że tamci nie podjęli najmniejszej próby obrony. VBIED eksplodował natychmiast, gdy wyrznął w opancerzony pojazd. Efekt był spektakularny. Zmiotło wszystko w promieniu kilkunastu metrów. Posterunek obrócił się gruzami. Chwała niech będzie Najwyższemu! Muhammad spełnił swój obowiązek. Ofiar zamachu musiały być dziesiątki, do tego sprzęt: V-150 i Humvee na złom. Taki sukces, i to za sprawą jednej starej osobówki, spojej ilości trotylu i oddanego sprawie człowieka. Bilans zysków był zdecydowanie korzystny. Przywódcy na pewno będą zadowoleni.

Na koniec pozostał Jamal. Ten z kolei czekał w powgniatanym niebieskim fiacie uno.

Polak skierował drona na nową pozycję.

– No, Jamal, teraz twoja kolej.

– Zrozumiałem.

Sznajder uśmiechnął się pod nosem. Tym razem obiekt ataku znajdował się w ruchu – były nim pojazdy patrolu regularnie dokonującego objazdów okolicznych terenów. Jeżeli rozwalą choć jeden, zablokują ruch na szosie, a wtedy ukryci w pobliżu bojownicy otworzą ogień do znajdujących się na otwartej przestrzeni żołnierzy. Najważniejsze to zgrać wszystko w czasie. Problem w tym, że na patrol należało zaczekać. Mundurowi pojawiali się nieregularnie, co utrudniało działanie.

Konwój mógł nadjechać ze wschodu lub z północy, kolumną rozciągniętą na kilkaset metrów. Wozy piechoty, transportery Eitan, pojazdy zabezpieczenia tech-

nicznego. W sumie około dwudziestu maszyn, a w nich do osiemdziesięciu Żydów i ich amerykańskich popleczników. Nad nimi krążyć będą szturmowe Apache, gotowe rozwalić każdego, kto zrobi krok w ich kierunku.

Krótką informacją od jednego z dalej wysuniętych obserwatorów nie zaskoczyła Sznajdera. Konwój nadjeżdżał z północy. Dron ponownie zmienił pozycję. Poziom naładowania akumulatora wciąż był wysoki. Tym Artur nie musiał się przejmować. Wystarczyło nieznacznie pokręcić manipulatorem i oto na monitorze dawało się dostrzec dwa bijące w niebo gęste słupy dymu. Jeden sukces i jedna porażka. Zobaczmy, co teraz.

– Jamal, ruszaj. Twoi towarzysze są już męczennikami.

– *Allahu Akbar.*

Fiat, ukryty do tej pory w cieniu ogromnych ciężarówek, wystrzelił w pełne słońce i po chwili zmienił się w pędzący obłok pyłu.

– Dawaj w lewo.

Nie było sensu pchać się zakorkowaną szosą. Tylko boczne drogi dawały szansę na wyminięcie zatoru.

– Prosto aż do skrzyżowania.

Oko kamery zostało skierowane na północ, gdzie już wkrótce miały pojawić się pojazdy wroga.

Kolumna najczęściej omijała bazę szerokim łukiem, prawie zawsze obierając kierunek na zachód, w stronę izraelskiej granicy. Dziś pewnie będzie podobnie.

– Jamal, już są.

Teraz niewiele zależało od niego. Chłopak za pół minuty sam ujrzy przemierzający się oddział, a wówczas nie pozostanie nic innego, jak...

– Czekać.

Uwagę Sznajdera zwrócił autobus poruszający się mniej więcej w środku kolumny. O co tu mogło chodzić? Na pewno nie było w nim żołnierzy, bo tych upchano by w transporterach. Jeżeli jest autobus, to w środku mogą być jedynie cywile. Tylko jacy? Na pewno ważni. Pierwszymi lepszymi nie zawracano by sobie głowy.

– Jamal, jeżeli jest to możliwe, celuj w autobus. Jedzie jako szósty w konwoju. Zrozumiałeś?

– Tak.

Nie miał pewności, czy robi dobrze. Chciał jedynie wykorzystać nadarżającą się okazję.

Nabrał powietrza w płuca i powoli je wypuścił. W tym czasie fiat prowadzony przez Jamala wyminął sunącą powoli cysternę i nabierał prędkości.

Sznajder wyregulował obraz. Dron operował na wysokości trzystu pięćdziesięciu metrów, a to pozwalało objąć kadrem dość duży obszar bez konieczności częstego manewrowania. Sieć drogowa była w tym rejonie całkiem dobrze rozwi-

nięta. Szare krechy przecinały się w paru miejscach, tworząc coś na kształt olbrzymiej planszy. Niektóre ze szlaków były zatłoczone, inne nie. Wszystko zależało od tego, dokąd prowadziły. Trakt, którym podążał patrol, wydawał się akurat najmniej uczęszczany. Skoro ostatni cel został namierzony, nieco obniżył pułap kwadrokoptera, żeby cała akcja była lepiej widoczna na nagraniu. Wystarczy później odpowiednio zmontować, podłożyć dźwięk i puścić całość w Internecie – będzie kolejny hit. Nich Żydzi wiedzą, z kim zadarli.

Samochód Jamala rwał do przodu, co rusz wymijając wolniejszych użytkowników drogi. Niepotrzebnie zwracał w ten sposób na siebie uwagę.

– Nie pędź tak.

Jamal, nawet jeżeli usłyszał wezwanie, nie odpowiedział.

– Posłuchaj...

Dalsze przemowy nie miały większego sensu. Izraelski konwój był już na wyciągnięcie ręki.

A oto i żółty, szkolny autobus wyróżniający się wśród wojskowych pojazdów jak pudel na pokazie psów obronnych.

Jeżeli się nie mylił, to fiat nieco zwolnił, gdy znalazł się na wysokości pierwszego wozu eskorty.

Sznajder nerwowo przełknął ślinę. Nie raz i nie dwa zastanawiał się jak to jest za kierownicą VBIED-a albo z pasem szahida na sobie, gdy czeka się na odpowiednią okazję. Wierzył, że Allah przyjmie go do raju, ale... No, właśnie, to małe „ale”, gdy rozważał wszystkie za i przeciw. W walce, choćby najbardziej krwawej, zawsze są jakieś szanse. W tym przypadku nie. Zginie tak czy inaczej. Ze swoimi wątpliwościami wołał się nie zdradzać. Co powie imam, gdy pójdzie do niego z takim problemem? Nawet nie chciał o tym myśleć.

– Przed tobą.

Nie musiał tego mówić. Jamal nie był przecież ślepy. Fiat przeciął linię oddzielającą oba pasy drogi i wbił się pod kątem w szkolny wehikuł. Jego kierowca nie zdążył nawet zareagować. Z obu maszyn pozostały rozerwane wraki. Wygrywali 2:1. Chwała Najwyższemu.

Nie pozostało nic innego, jak wylądować dronem w najbliższym miejscu, z którego będzie go można zabrać. On swoje zrobił, unicestwiając dziś całą masę wrogów. Nikt nie mógł powiedzieć, że było inaczej. *Zaprawdę; Bóg nie miłuje najeźdźców!* Czas na południową modlitwę.

Ramzan Szamilew ciężko westchnął. Ten czterdziestoosmioletni mężczyzna z ogoloną na łyso głową i długą ciemną brodą przeplataną siwymi nitkami nie dziwił się już niczemu. Na tym świecie żył dostatecznie długo, widział niejedno, słyszał wiele i był na tyle rozsądny, by wiedzieć, że wszystko, do czego doszedł, za-

wdzięcza Najwyższemu.

Pochodził z Kazania, gdzie skończył szkołę powszechną i koraniczną, a następnie wyjechał na studia do Arabii Saudyjskiej. Dla osób tak uzdolnionych jak on władca pustynnego królestwa fundował specjalne stypendia, a Ramzan załapał się na nie bez najmniejszych trudności. Przez dwa lata ciężko pracował. Rysowały się przed nim piękne perspektywy. Był młody i zdolny. Z takim każdy chce współpracować.

Gdy wysiadł z samolotu w Moskwie i odetchnął powietrzem rodzinnego kraju, został zatrzymany i zrewidowany. Funkcjonariusze Federalnej Służby Bezpieczeństwa obeszli się z nim dosyć obcesowo. Z gotówki zabrali połowę, wyjaśniając, że to na poczet opłat lotniskowych. Parę pamiątek, w tym dywanik modlitewny, też zmieniło właściciela. Przełknął zniewagę, zachowując spokój. Najważniejsze, że wrócił do domu.

Ostrzejsze szykany spadły na niego parę miesięcy później, gdy już zdobył grono zwolenników. Miał radykalne podejście do religii. Nie było w nim miejsca na jakiegokolwiek niuanse. Uznawał wahabizm wyłącznie w najczystszej postaci – i może dlatego nie spotkał się z dobrym przyjęciem władz. Raz i drugi wylądował w areszcie. Jasną, acz delikatną sugestią, by się w końcu uspokoił, puścił mimo uszu. Był przecież głosem Boga. Byle urzędniczyna ust mu nie zamknie. Wtedy po raz pierwszy został pobity. Napadli go zwykli miejscowi bandyci na usługach policji czy też służby bezpieczeństwa. W szpitalu wylądował na trzy tygodnie. To wystarczająco dużo czasu na przemyślenia. Złamana szczęka i nos były wyraźniejszym ostrzeżeniem. Jeśli nie odpuści, następnego razu nie przeżyje. Miał to jak w banku.

Przez kolejne miesiące nie ruszał się bez ochrony. I tak to się właściwie zaczęło. Najbliżsi współpracownicy, oczywiście wraz z nim, zostali wkrótce oskarżeni o stworzenie nielegalnej, ekstremistycznej organizacji, mającej na celu obalenie prawowitych władz. Proces zakończył się po tygodniu, a Szamilew dostał półtora roku kolonii karnej.

Komuś, kto nie zna realiów, mogłoby się wydawać, że to nic takiego. W rzeczywistości to obóz pracy z sadystycznymi strażnikami i współwięźniami mającymi ochotę utopić człowieka w łyżce wody.

O dziwo, Ramzan wyszedł z tego doświadczenia wzmocniony. Jeżeli wcześniej myślał, że jego wiara jest gorąca, to obóz pokazał mu, jak bardzo się mylił. I ukształtował go na nowo. Stary Szamilew odszedł, narodził się nowy, noszący w sercu czystą nienawiść. Wróg został jasno określony. Mało kto zdaje sobie sprawę, że to nie medresy tworzą religijnych fanatyków, a właśnie więzienia i kolonie jak ta, w której zamknięto Ramzana. Przemoc królowała w nich na każdym kroku, przy czym muzułmanów szykanowano szczególnie mocno. Sposób ucieczki przed tym był tylko jeden – należało przyłączyć się do jakiejś grupy, a wtedy bez obawy

dało się iść pod prysznic. Liczba wyznawców Allaha była w kolonii na tyle duża, że prawosławni omijali ich z daleka, a nawet podziwiali – oni nie byli tak zgrani. Niektórym nawet spodobały się zasady wiary i przechodzili na islam. To właśnie spośród konwertytów wywodzili się najbardziej zajadli wrogowie Kremla. Od dziecka przyzwyczajeni do brutalności, pod wpływem Koranu stawali się dżihadystami. Ich beznadziejne życie w końcu nabierało sensu. Ramzanowi udało się przekonać wiele takich zagubionych duszyczek.

Po odsiadce wyjechał z Rosji. Nigdzie długo nie zagrzał miejsca. Wiedział, w czym jest dobry. Miał dar. Tego akurat był pewny. Mało kto potrafił tak pięknie mówić o Bogu jak on.

W końcu pojechał na wojnę i walczył z niewiernymi w Syrii i Iraku. Nie związał się z Państwem Islamskim, tylko z Frontem al-Nusra, który wkrótce przekształcił się w Hajat Tahrir asz-Szam.

Jako komendant polowy nie wyróżniał się niczym nadzwyczajnym, ale też i nie doznał spektakularnej porażki. Wkrótce stał się na tyle mocny, że zaczął tworzyć własny oddział, jedynie formalnie podporządkowany Al-Kaidzie.

Oprócz Syryjczyków i Irakijczyków w jego szeregi wstępowali mieszkańcy Tunezji, Egiptu, Pakistanu, a wcale liczną grupę tworzyli przybysze z Europy Zachodniej i Federacji Rosyjskiej. Nie brakowało Czeczenów, Ingusów, Uzbeków i Tatarów – istna międzynarodówka. Ponad tysiąc bojowników oraz sto czołgów i pojazdów pancernych, nie licząc pozostałego sprzętu, w warunkach syryjskiej wojny domowej stanowiło znaczącą siłę. Szybko pojawili się sojusznicy, ale zaciekle wrogów też nie zabrakło. Do tych ostatnich zaliczyć można było szyckie milicje współpracujące z Baszarem al-Asadem i wojska samego prezydenta. Daesz zrazu chciał je sobie podporządkować, a gdy się to nie udało, doszło nawet do paru zbrojnych incydentów, jednak wobec niepowodzeń islamistów na froncie wkrótce zaniechano takich praktyk. W końcu Szamilew też był dżihadystą, wcale nie mniej fanatycznym od Al-Baghdadiego.

Prawdziwy przełom nastąpił dopiero wtedy, gdy z wojny wycofała się koalicja państw zachodnich. Na placu boju pozostały Turcja i Iran. Konflikt w Syrii nie wygasł, choć stracił na intensywności. Wyglądało na to, że jego uczestnicy zbierają siły przed ostateczną konfrontacją. Bez wsparcia Rosji Al-Asad praktycznie nie miał szans na zdławienie rebelii, a buntownicy byli zbyt słabi, aby dopaść Baszara. Ankara za to poczuła wiatr w żaglach. Taka okazja mogła się już nie powtórzyć. Jednym uderzeniem zmiażdżyła Grecję, odwiecznego rywala. Tylko po co? Grecja nic nie znaczyła, a jej okupacja może doprowadzić do niepotrzebnego rozproszenia sił. Wcześniej na południu należało rozgromić Kurdów. Ramzan potrafił przewidywać, co zrobi turecki przywódca Sulejman Dżabbar. Najpierw na celowniku znajdzie się PPK i YPG, później roponośne pola Baku, a na koniec albo Izrael, albo Rosja. Tylko czy Dżabbar wie, że to zbyt wielki kawałek tortu jak dla niego? Może

go ugryźć, ale raczej nie przełknie.

W sumie nie jego problem. Jakies kroki wcześniej czy później Turcy podejmą, zaś armagedon, jaki wówczas nastąpi, sprawi, że runie cały dotychczasowy porządek świata.

Ramzan z uwagą śledził wydarzenia polityczne, wiedząc, że niepokoje w jednym kraju natychmiast odbijają się na innych. Na przykład niedawna interwencja Polski w Rumunii sprawiła, że Berlin nagle spuścił z tonu. Mogłoby się wydawać, że będzie odwrotnie. Ramzan nie do końca wiedział, o co w tym chodziło, ale jakies przełożenie istniało. Afera na pół Europy, niemniej Warszawa twardo trzymała się swojej wersji wypadków, a władze rumuńskie większego autorytetu nie miały. Zresztą to, co zrobili Polacy, było właściwie niczym w porównaniu z tym, co działo się tuż pod bokiem Ramzana i w czym sam brał udział.

Ostatnia akcja przeciwko Żydom nie zakończyła się takim sukcesem, jak powinna. Ugodzili dotkliwie, z tym że... nie do końca o to chodziło. Sprawa rozwalenia szkolnego autobusu będzie się za nimi ciągnąć miesiącami. Jak oficjalnie podano, ewakuowano nim dzieci wraz z opiekunami z sierocińca opodal Sabsaby. W zamachu zginęło osiemnaścioro z nich i co gorsza, nie były to dzieci żydowskie, ale arabskie, przewożone do strefy zamkniętej. Wyszło na to, że zabili nie tych, co trzeba. Perfidni Żydzi!

Człowiek, który naprowadzał szahidów, chciał jak najlepiej. To doświadczony bojownik, jeden z tych, którzy nie cofną się przed niczym. Podobno teraz odważyło mu jeszcze bardziej. Niewykluczone, że sam usiądzie za kierownicą VBIED-a i pogna w stronę wroga. Jak się wydawało, to poczucie winy było jego główną siłą napędową.

Jak on się nazywał? Sznajder. Podobno był Polakiem. Dziwne. Nazwisko raczej wskazywało na Niemca. Zresztą i z jednymi, i z drugimi trudno dojść do ładu. Nieważne, nie jego sprawa.

Ramzan potarł zarośnięty policzek. Może jednak nie do końca było tak, jak myślał. Chętnych do samobójczych ataków nigdy nie brakowało. Arabów miał na pęczki, ale niewielu z nich posiadało potencjał Polaka. Szkoda marnować taki talent do nic nieznaczącej akcji. Paru martwych Żydów niczego tu nie zmieni.

Szamilew różnił się od innych dżihadystów tym, że do Żydów i Amerykanów nie czuł zapiekłej nienawiści. Owszem, byli wrogami, których należało zniszczyć, to zrozumiałe, ale pastwienie się nad rannymi czy jeńcami? Tego nie tolerował. Największą niechęć żywił do Rosjan. To przecież oni wygnali go z kraju.

Na myśl o tym musiał wstać i zrobić parę kroków, aby się nieco uspokoić. Kiedyś wróci i wtedy im pokaże. Setki tych, którzy dziś są wraz z nim, pójdą na nową wojnę. Obecny prezydent Federacji Rosyjskiej był zaledwie cieniem poprzednika. Mając na głowie masę innych problemów, mocno zredukował wydatki na wojsko. Zresztą czego by nie zrobił, i tak kraj pękał w szwach. Na dłuższą metę

takiego giganta nie dawało się utrzymać w dotychczasowych granicach. W końcu się rozleci. A on, Szamilew, będzie jednym z reżyserów tego spektaklu.

– Nie sądzi pan, że to dość ryzykowne posunięcie? – Major Avram Yacowlew kolejny raz przeglądał zestaw zdjęć lotniczych na laptopie. – Tu wszędzie są obiekty cywilne. Jak to będzie wyglądać w telewizji? Znow powieją, że zabijamy kobiety i dzieci.

– Martwi to pana?

– Trochę. – Yacowlew uniósł wzrok. Nie przepadał za typami z wywiadu, a ten sukinsyn wydawał się wyjątkowo wredny. – Tyle się ostatnio mówiło o nowym procesie pokojowym – westchnął. – Jak moi piloci wysypią ładunki, nie zostanie tam kamień na kamieniu.

– Pan w to wierzy?

– W co?

– W ten proces pokojowy. Który to już z kolei? – Gabriel Lipschitz sięgnął po paczkę papierosów tkwiącą w kieszeni marynarki, wyjął jednego i odpalił zapalniczkę.

– Straciłem rachubę.

– Sam pan widzi. – Na twarzy Lipschitza dało się dostrzec cień uśmiechu. – Perspektywy nie są dobre. Właściwie to z kim mamy rozmawiać? Z jakimiś watażkami? Ci i tak nigdy nie siądą z nami do stołu rokowań. Baszar kompletnie nic nie znaczy. Wszystko pomiędzy Damaszkiem a Bagdadem to jeden wielki syf. Jordania trzyma się na słowo honoru, podobnie jak Egipt.

Obłok aromatycznego dymu poszybował do góry.

– Na południu mamy Saudów. Brodacz kochają nas tak bardzo, że najchętniej zadusiliby w uścisku. Dalej Afganistan, Pakistan, do wyboru do koloru.

– A jaki ma to związek z nalotem?

– W zasadzie żaden. – Oficer wywiadu nadal uśmiechał się ironicznie. – Oni i tak nas nienawidzą. Większość magazynów broni, obozów wojskowych i centrów dowodzenia tych tak zwanych bojowników ulokowano w szkołach i szpitalach. Zresztą po co ja to panu mówię. Sam pan wie, majorze, jak jest. Oni to robią specjalnie. Do niedawna miało to nawet sens. Liberalni dziennikarze tylko czekali na takie zdarzenie. Teraz nie obchodzimy prawie nikogo. Nikogo. Cały Zachód ma w dupie Izrael. Niewielu nas lubi, większość nienawidzi, boją się prawie wszyscy, a to dlatego, że dysponujemy odpowiednią siłą. Oni... – Lipschitz wskazał palcem za okno. – Obojętnie, czy w Damaszku, Kairze czy Rijadzie wiedzą, że w razie konieczności potrafimy mocno przywalić. Może i nie będzie Tel Awiwu, ale z ich krajów także nic nie zostanie. A cywile? Kogo oni tak naprawdę obchodzą?

– Niemniej dla mnie i dla niektórych moich pilotów to problem.

– Pan się za bardzo przejmuję.

– Może.

– Wszystko, co panu pokazałem, ma drugorzędne znaczenie. – Lipschitz jednym ruchem palca zamknął zdjęcia na ekranie i wyświetlił nowy plik. – Wie pan, kto to jest?

– Nie.

– Nazywa się Ramzan Szamilew. Z pochodzenia jest Tatarem. Wie pan, to taka nacja...

– Moja rodzina pochodzi z Rosji, więc może pan sobie darować te dygresje.

– Oczywiście, przepraszam. Sądzymy, że ten człowiek jest odpowiedzialny za atak na konwój wojskowy pod Bajt Dżinn, trzy dni temu.

– Naprawdę?

– To niebezpieczny fanatyk.

– Jak bardzo?

– Tak bardzo, że bardziej się już nie da. – Lipschitz omal nie zgrzytnął zębami. – Jest z tej nowej generacji terrorystów, którzy nie zważają na koszty, a życie ludzkie jest dla nich warte mniej niż splunięcie. To już nie są detaliści śmierci. Dziesięciu zabitych niewiele dla nich znaczy. Stu, albo i dwustu, to jest odpowiednia skala. Pan pamięta lata siedemdziesiąte? – Pytanie było czysto retoryczne. – Taka RAF bądź Czerwone Brygady składały się z najwyżej kilkunastu bandziorów, którzy strzelali i podkładali bomby. Cała reszta zajmowała się logistyką, chroniąc tyłki tym naprawdę groźnym sukinsynom. Dziś mamy do czynienia z całymi armiami. Brakuje im tylko lotnictwa, choć niedługo może i to się zmieni. Nie mówię tu o samolotach bojowych, ale śmigłowce czy maszyny sportowe są w ich zasięgu.

– A piloci?

– Tym można zapłacić. Najemników przecież nie brakuje. Ilu jest w Europie bezrobotnych gotowych brać pieniądze od islamistów?

– No nie wiem.

– Tysiące.

– Pilotów? Tu pan chyba lekko przesadził.

– Wiem, co mówię. – Lipschitz odchylił się do tyłu. – Nie dalej jak w zeszłym tygodniu zostałem zaproszony do Londynu.

Twarz lotnika stężała. On też pamiętał Londyn. Trzy lata temu był tam z żoną. Wydawało mu się, że są szczęśliwą parą. Pół roku później jego małżeństwo legło w gruzach. Sarah najzwyczajniej w świecie odeszła do innego. Ze wszystkich przykrych słów, jakie wówczas padły, te, że jest nudny i że ciągle nie ma go w domu, należały do najłagodniejszych. Rozwód przeżył bardzo źle, właściwie do tej pory czuł gorycz w sercu. Zawsze był dla niej wyrozumiały, pozwalając w zasadzie na wszystko. Miał inne wyjście? Jak skończony kretyn wciąż nosił jej zdjęcie w portfelu.

- Czy pan mnie słucha?
- Przepraszam. Zamyśliłem się.

Już po samej minie pilota Lipschitz poznał, że coś jest nie tak. U oficera tej rangi wahania nastroju nie były dobrym znakiem. Faceta ewidentnie trafił jakiś problem. Niestety, z akt nic nie wynikało. Takich jak on na świecie są miliony. Na swój sposób Lipschitz też się do nich zaliczał.

– Przedstawiono statystyki. – Gabriel wrócił do przerwanej wątku. – Nie te oficjalne, gdzie przestępstwa o charakterze rasowym i religijnym próbuje się zamieść pod dywan, ale te prawdziwe.

- I co z nich wynikało?

Lipschitz westchnął.

– Dziewięćdziesiąt procent wszystkich przestępstw dokonują wyznawcy Alaha. Dziewięćdziesiąt procent, pan to rozumie? Anglia już nie należy do Anglików, tylko do muzułmanów. Podobnie wygląda to we Francji, Włoszech, Austrii czy Szwecji. Za pięćdziesiąt lat chrześcijanie zostaną wytępieni.

– Te twierdzenia są trochę na wyrost. Mówi się o tym od dawna, ale nie może być aż tak źle.

– W rzeczywistości jest jeszcze gorzej. – Tym razem to Lipschitz spochmurniał. – Kwestia najwyżej paru lat, kiedy to wszystko pierdolnie.

- Co pan chce przez to powiedzieć?

Gabriel milczał, ciężko oddychając, zupełnie jakby był podłączony do respiratora.

- Dobrze, nie będę naciskał.

– Eliminacja takich osób jak Szamilew jest szczególnie ważna. – Oficer wywiadu w końcu się odezwał. – Ci ludzie patrzą dalej i widzą tam rzeczy, o których my nie mamy pojęcia.

Fotografia przedstawiająca watażkę była nieostra. Szamilewa oznaczono na niej czarnym kółkiem, tak aby wyróżnić go spośród kilku innych stojących obok ludzi.

- To świeże zdjęcie?

– Sprzed dwóch lat. Przypadkowo zrobił je pewien dziennikarz, chodziło mu o kogoś zupełnie innego. Dopiero podczas analizy okazało się, że jest tu parę interesujących postaci. Na przykład ten... – Lipschitz wskazał na brodacza w czarnej dżalabiji. – Wysadził się parę miesięcy później w Aleppo, zabierając ze sobą ze trzydziestu żołnierzy Asada. Ten po lewej – siedzi. Przymknęli go Francuzi, gdy planował atak na elektrownię atomową we Flamanville.

- Interesujące.

- Prawda?

- A gdzie ukrywa się ten...?

- Szamilew? Ma bazę w pobliżu Kafr Hawar i to właśnie będzie pański cel.

Kolejne zdjęcie przedstawiało zabudowania wśród niewysokich wzgórz pokrytych drzewkami oliwnymi. Do domu i budynków gospodarczych dochodziła tylko jedna droga.

- Tu mieści się sztab. Tu albo zaraz obok.
- Oni mają jakąś nazwę czy to zwykła przybudówka Al-Kaidy?
- Światłość Dnia.
- Słucham? – Po raz pierwszy od dłuższej chwili Yacowlew wykazał zainteresowanie.
- Dziwne, prawda?
- I to jeszcze jak.
- Przeważnie to jakaś Armia Podboju czy też proste odwołanie do religii. Tych poniosło bardziej niż pozostałych.
- Teren wydaje się dosyć rozległy.
- Pomysł jest taki, aby nie uderzać konwencjonalnymi bombami.
- A czym?
- CBU-55.

Właściwie wszystko jest funkcją czasu i przestrzeni. Major Avram Yacowlew wiedział o tym dobrze, inaczej nie mógłby pełnić funkcji dowódcy eskadry uderzeniowych F-15 Ra'am.

Jeżeli nalot się uda, wyeliminują groźnego terrorystę wraz z licznym gronem współpracowników.

Zakładając, że wywiad dobrze wykonał swoje zadanie. Całkiem prawdopodobne, że w szeregach organizacji był agent.

Fanatyków takich jak Szamilew należało eliminować, zanim ci wytną jakiś grubszy numer. Pod tym względem Yacowlew całkowicie zgadzał się z Lipschitzem. Skoro wywiad twierdził, że jest groźny, to znaczy, że tak jest.

Ra'am oderwał się od pasa startowego lotniska Ramat Dawid niecałe dwie minuty wcześniej. Od celu dzieliło go jakieś dwieście kilometrów. Poważnych problemów się nie spodziewano. Syryjskie lotnictwo znajdowało się w rozsypce. Większość maszyn bojowych została uziemiona z powodu braku części zamiennych, a te, które wciąż mogły utrzymać się w powietrzu, raczej nie stanowiły zagrożenia. Wcześniej, gdy nad Syrią operowali Rosjanie, było się czego bać. Eskadry Su-30 przecinały niebo, polując na wrogów Baszara al-Asada. Na szczęście ten okres minął już bezpowrotnie. Obecnie syryjskie siły powietrzne liczyły najwyżej kilka śmigłowców i samolotów. Do tego rakiety przeciwlotnicze, i to te krótszego zasięgu. Na systemy obronne z prawdziwego zdarzenia alawitów od dawna nie było stać, a specjalistów od nich wcielono do piechoty i pewno już gryźli piach.

F-15 wspięły się na przewidzianą wysokość. Małe szare obłoczki podobne

do kłaczków pierza spowiły niebo na południu. Poza nimi nic nie przysłańało widoku. Temperatura na ziemi wkrótce dojdzie do czterdziestu stopni. Celsjusza, nie Fahrenheita.

Przynajmniej w powietrzu Yacowlew czuł się wolny. Tu obowiązywały specyficzne reguły gry. Wygrywał lepszy lub dysponujący nowocześniejszym sprzętem. Dla amatorów nie przewidziano tu miejsca.

Major był bystrzakiem i w zasadzie nigdy się nie mylił. No, prawie. Każdy może się kiedyś odrobinę rozminąć z rzeczywistością. Dotyczy to zarówno rzeczy błahych, jak i tych istotnych. Avram nie wiedział wszystkiego. Niestety, pomylił się nie tylko on.

Aman, izraelski wywiad wojskowy, podobnie jak i Mossad, słynął ze swojej skuteczności. Od tego zależał los państwa. Raz skrewi, a konsekwencje mogą okazać się katastrofalne. Bomba w autobusie w Jerozolimie to śmierć co najmniej kilkunastu obywateli. Gdyby takie akty terroru powtarzały się co parę dni, więzy społeczne uległyby rozluźnieniu, a budowany z trudem szacunek do państwa runąłby jak domek z kart. Tak więc pracownicy Amanu i Mossadu byli dobrzy. Ale nie doskonali. Nie da się przecież zajrzeć pod każdy kamień i wczłogać w każdą dziurę.

Bateria systemu przeciwlotniczego S-400 pozostawiona Al-Asadowi przez Rosjan w prezencie właśnie dziś miała odnieść swój największy tryumf. Dwie rakiety pomknęły w niebo, ciągnąc za sobą białe pióropusze dymu. Operatorzy może nie byli zbyt doświadczeni, ale też niewiele musieli zrobić. Pociski samonaprowadzające się radarem aktywnym mknęły z zawrotną prędkością, nie dając Avramowi i jego skrzydłowemu zbyt wiele czasu na reakcję. Kładzenie maszyn w ciasne zwroty nic nie pomagało, bowiem prześladowcy byli w stanie manewrować z przeciążeniami rzędu 20 G, nieosiągalnymi dla żadnego człowieka.

Yacowlew próbował zachować spokój, lecz panika powoli zaczęła brać nad nim górę. Systemy obronne zdawały się nie działać na podążające za F-15 pociski. Do celu pozostała najwyżej minuta lotu, a oni musieli salwować się ucieczką. Rozbrzmiewający w słuchawkach sygnał o zagrożeniu doprowadzał Avrama do szału.

W końcu stało się to, co stać się musiało. Głowica rakiety detonowała zaledwie parę metrów od prawego skrzydła samolotu. Setka ostrych jak brzytwa odłamków poszatkowała płatowiec, który natychmiast utracił sterowność i runął na ziemię.

Yacowlew nie zginął od razu. Na początku, kiedy krew przestała dopływać do jego mózgu, tylko utracił przytomność, ale stało się to tak szybko, że nie zdążył pociągnąć za uchwyt katapuły.

Lot ku ziemi trwał sekundy. Jeszcze przed uderzeniem kadłuba w grunt ode-rwało się drugie skrzydło oraz nos odrzutowca.

Podobny los spotkał również drugą z maszyn – rozpadła się w powietrzu na milion kawałków, gdy odłamki dosięgły zbiornika z paliwem.

Izraelskie lotnictwo od dawna nie poniosło tak spektakularnej porażki. Wszystko przez niedoceniecie przeciwnika. Rakiet miało nie być, a były. Co z tego, że jeszcze tego samego dnia bateria stała się celem dla F-35 Adir. Pilotom zestrzelonych maszyn nikt życia nie wróci, a misja zabicia Szamilewa nie została wykonana.

Co dla jednych było tragedią, innym zdawało się manną z nieba.

Ramzan drzemał, gdy poczuł delikatne potrząśnięcie ramieniem. Z trudem otworzył oczy. Obudził się już jakąś godzinę wcześniej i miał zamiar wstać, ale organizm upomniał się o swoje. Wszystko przez stres. Zawsze mógł wziąć prochy, ale wolał ich unikać, dopóki się dało. Ranki po nich nie należały do najprzyjemniejszych.

– Co się dzieje?

– Izraelczycy.

Adrenalina sprawiła, że serce w piersi Szamilewa od razu żywiej zabiło.

– Gdzie?

Adiutant uśmiechnął się niepewnie, wskazując palcem do góry.

– Już idę.

Nalot był jedną z tych komplikacji, których obawiał się najbardziej. Nim dźwignął się na nogi, sięgnął jeszcze po wojskową kurtkę i zarzucił ją na grzbiet. Zamiast butów nosił zwykłe sandały. W tym klimacie to wygoda. Zmrużył powieki, gdy wyszedł na zalany słońcem plac. Jego straż przyboczna, składająca się z najbardziej oddanych mu ochotników, liczyła niespełna pięćdziesięciu mężczyzn. Wszyscy stali, wpatrując się w niebo, poszedł więc za ich przykładem.

Nie trzeba było ekspertów, by domyślić się, co zaszło. Białe krechy smug kondensacyjnych i ciemniejsze obłoki w miejscu wybuchu rakiet nie zdążyły się jeszcze rozwiać. Szczątki samolotów spadły zapewne parę kilometrów od miejsca, w którym się znajdowali.

Wszystkie miejsca katastrof wyglądały podobnie. Trochę blach i wypalona ziemia, a do tego smród chemikaliów, od którego Ramzanowi robiło się niedobrze. W sumie nic ciekawego.

Szamilew już chciał wrócić do siebie, kiedy wpadł na pewien pomysł. Jeżeli samoloty należały do Izraela, a tak zapewne było, to ich wnętrza zostały wyładowane awioniką za grube miliony szekli. W przeciwieństwie do innych Żydzi stawiali na własny, wysoko rozwinięty przemysł obronny. Ich rozwiązania wydawały się skuteczniejsze niż stosowane przez Stany Zjednoczone, nie mówiąc o takich państwach jak Francja czy Wielka Brytania. Wystarczyło przechwycić jeden w miarę cały układ, a być może specjaliści odkryją jakąś tajemnicę, coś, co pomoże skuteczniej zwalczać wroga. W końcu do tego sprowadzała się wojna – należało

być bardziej efektywnym od przeciwnika.

Kilka land roverów i toyot stało zaparkowanych w pobliżu. Na miejsce dotrą w pół godziny. Później się zobaczy.

Skinął na najbliższych stojących. Rozkazu nie trzeba było dwa razy powtarzać. Ci ludzie pójda za nim w ogień.

Szmilew wszedł do pierwszego z brzegu pick-upa. Silnik zawył na zwiększonych obrotach.

– Jazda. – Ramzan wskazał kierunek.

Wozem niemiłosiernie trzęsło. Nic dziwnego. Jechali drogą wijącą się wzdłuż gajów oliwnych. Dół i góra. To w prawo, to w lewo. Zupełnie jak na popieprzonym rollercoasterze.

Szmilew wypatrywał miejsca, gdzie spodziewał się znaleźć rozbity odrzutowiec. W linii prostej to może i niedaleko, ale jadąc zakosami, natrzaskają sporo kilometrów. W pewnym momencie Ramzanowi wydawało się, że na horyzoncie przemknęły szare kropki śmigłowców.

– Widzieliście to? – zapytał towarzyszy.

– Nie – odparł kierowca, inni też zaprzeczyli.

Turek i Jordańczyk z tylnej kanapy tylko unieśli brwi do góry. Szmilew machnął ręką.

Przewidzenie. Zaczynał dostrzegać rzeczy, które nie istniały.

Wkrótce niewysokie pagórki ustąpiły szaro-brązowym skalistym wzgórzom, tworzącym zwartą zaporę. Dalej trakt wił się u ich podnóża.

– Tam! – Szmilew machnął ręką.

Osmalony kawał piachu w miejscu, w którym spadł samolot, dostrzegł na lewo. Wozem szarpnęło raz i drugi, aż w końcu zatrzymali się na dobre. Zapadła cisza i tylko śwąd unoszący się w powietrzu świadczył o tym, że niedawno doszło tutaj do katastrofy.

Szmilew oddychał chrapliwie, aż w końcu nasunął na nos chustę, którą wcześniej obwiązał na szyi, i wysiadł z terenówki. Teraz wyglądał na palestyńskiego bojownika Al-Fatah albo Czarnego Września. Przeciwsłoneczne okulary dopełniały charakterystyki.

Jego ludzie już buszowali w pobliżu jak dzieci puszczone samopas w sklepie z zabawkami. Śmiali się przy tym głośno, komentując znaleziska. O dziwo, było tego więcej, niż się spodziewał. Za znawcę się nie uważał, ale zakładał, że nie są to szczątki F-35. Tak zaawansowanej technologicznie maszyny nie dałoby się zestrzelić nawet zestawem S-400, który wedle jego wiedzy wciąż pozostawał na wyposażeniu syryjskiej armii rządowej.

To na pewno sprawka ludzi Al-Asada. Żydzi dopiero teraz pokażą im, kto tu jest panem. Tysiące bomb spadną na łeb tym biednym gnojkom. Byle nie dostać jedną przy okazji.

Takie łażenie w tę i we w tę nic nie da. Należy zabrać się do systematycznej pracy. Połowę grupy, z którą przyjechał, odesłał do dalszych poszukiwań. Być może druga z maszyn też leżała niedaleko. Sam wrócił do toyoty i sięgnął po mapę. Dobra sztabówka zabrana pewnemu martwemu rosyjskiemu majorowi sprawdziła się nie raz i nie dwa.

Zależenie właściwego kwadratu nie sprawiło większej trudności. Ramzan przyłożył palce do papieru, jakby jego faktura miała pomóc w znalezieniu odpowiedzi, co też mogło być celem Izraelczyków.

Przypuszczenia jedno po drugim pojawiały się w głowie Szamilewa, lecz żadne z nich go nie przekonywało. Może to zwykły lot patrolowy? Żydzi od dawna traktowali przestrzeń powietrzną Syrii jak swoją własną. A może...

– Mamy coś.

Pojawienie się jednego z zastępców przerwało tok myśli Ramzana.

– Część od samolotu?

– Raczej bombę.

Nie tego się spodziewał. Wszelkiego rodzaju amunicji to oni mieli od cholery. Broń rosyjską, chińską, turecką i amerykańską oraz wszystkie jej możliwe przeróbki. Pociski małe, średnie i duże, do wukaemów, dział i moździerzy. Kolejny elaborowany materiałem wybuchowym odlew nie był im do niczego potrzebny. Bez większego problemu mogą zrobić własny, chyba że to jeden z tych nowoczesnych ładunków wyładowanych elektroniką. Pytanie tylko, dlaczego nie wybuchł i czy nie wybuchnie za chwilę.

Ruszyli w stronę nieodległego pagórka, przy którym już zgromadziło się kilka osób.

Czy oni nie mają co robić? Jak pieprznie, to nic z nich nie zostanie.

– Odsunąć się! – zarządził natychmiast. – Tylko saperzy.

Takich w grupie posiadał dwóch. Obaj pochylali się teraz nad obłym, obtłuczonym przedmiotem, który Ramzanowi nie kojarzył się z niczym. A jeżeli to nie bomba, tylko podwieszany zbiornik paliwa? Laik tego nie rozpozna. Wyglądały podobnie.

Choć wiedział, że robi głupio, nie mógł się oprzeć i sam podszedł bliżej. Stał się, co Allah zechce.

Ali, krępy Egipcjanin, który był z nim niemal od początku, delikatnie przecierał oznaczenia naniesione białą farbą na szarej powierzchni. Szamilew przystanął tuż za nim.

– No i?

– Nie wiem.

– Ty nie wiesz?

– Takie oznaczenia widzę po raz pierwszy. – Palce Alego gładziły metal z czułością kochanka dobierającego się do wyśnionej kobiety.

– A ty co o tym sądzisz?

Drugi z saperów, Saleh, z pochodzenia Francuz, przyklęknął obok kolegi. W tej dziedzinie posiadał większą wiedzę od Alego.

– Jeszcze nie wiem.

Ramzan westchnął. Lepiej, jak nie będzie ich popędzał, bo to się może źle skończyć.

– Wiecie, dlaczego nie wybuchło?

– Pewnie nie został uzbrojony – powoli odpowiedział Saleh, sięgając do kieszeni. Zamiast sążków czy czegoś podobnego, jak się spodziewał Ramzan, w dłoniach Francuza pojawił się smartfon. Parę fotek na pewno nie zaszkodzi. Zwłaszcza szczegóły oznaczeń.

– Zabieramy ją – zdecydował Szamilew.

– Lepiej nie.

– Dlaczego?

– Ciągłe nie wiemy, co to takiego.

– Przecież mówiłeś... – dowódca starał się być spokojny i rzeczowy – ...no dobra, jak się czegoś dowiecie, to informujcie. – Odgonił natrętną muchę, która próbowała przysiąść na jego skroni, i cofnął się o parę kroków. Rozejrzał się po okolicy.

Dalsze badanie znaleziska to marnowanie czasu, przynajmniej według niego. Należało pomyśleć o nowej ofensywie. Nie jakichś tam atakach na jeden czy drugi posterunek, ale o prawdziwej ofensywie. Najlepiej przeciw tym szyickim psom. Jakże on ich nie cierpiał. Byli jak cierń w dupie. Jak oni w ogóle mogą się uważać za muzułmanów? Tylko szkodzą świętej sprawie. Tyle razy Bóg karał ich za odstęstwa, a oni trwają w swych rojeniach. Szczną w piekle.

Ofensywa to jedno, a pieniądze na jej przeprowadzenie to drugie. Zbiorą, oczywiście, odpowiedni podatek wśród mieszkańców, ale co to da? Na żołd wystarczy, na lepszy sprzęt już nie. Wojna to kosztowne zajęcie. Nawet w Afryce maczety i pobożni bojownicy to już za mało. Dobre wyposażenie jest drogie. Dysponował co prawda odpowiednimi kontaktami, jednak nie wiedział, czy to załatwi sprawę. Otrzymywał od przyjaciół drobne kwoty, czasami było to sto, a czasami dwieście tysięcy euro, lecz tym razem potrzebował dużo większej sumy – i wciąż nie miał pomysłu, jak ją zorganizować.

Artur Sznajder obudził się na dwie godziny przed świtem i już nie potrafił zasnąć. Dobrze, że tylko dwie, a nie w środku nocy, o trzeciej nad ranem albo i o drugiej. Kompletna masakra. Ale i tak czuł się, jakby otworzył oczy zaraz po tym, jak je zamknął. Co robić, gdy na zegarku minęła dopiero pierwsza? W ten sposób można się wykończyć. W dzień był nieprzytomny. Kawa nie pomagała. Już

lepsze były tabletki tramadolu. Niby to środek przeciwbólowy, ale taki, który potrafi wywołać euforię. Bojownicy używali go w dużych ilościach, odsuwając od siebie strach i znużenie. On również nosił przy sobie odpowiedni zapas. Z otrzymaniem specyfiku nigdy nie było problemu. Kto chciał, dostawał go wraz z amunicją i żelaznymi racjami żywnościowymi.

Przejechał dłonią po twarzy, próbując odpędzić zmęczenie. Przez moment walczył z pokusą, aby sięgnąć do kieszeni po tabletkę, lecz szybko uznał, że na do-palacze jest za wcześnie. Na razie spróbuje funkcjonować bez nich.

Wstał i pomaszerował do beczki z deszczówką. Opłukał się jako tako, roz-chlapując wodę dookoła.

Parsknął raz i drugi. Na śniadanie dostanie jakąś cienką zupę, ewentualnie zapcha się sucharami. Apropozycja ostatnio kulała. Oddział co prawda nie głodo-wał, ale z jedzeniem było kiepsko.

Zresztą nie dotyczyło to wyłącznie ich grupy. Cały Bliski Wschód dogory-wał. Ludzie wciąż uciekali do Europy. W regionie tłoczyła się cała masa przyby-szów z Afryki i Środkowego Wschodu, których marzenie sprowadzało się do jed-nego: jak najszybciej przeprowić się na drugą stronę Morza Śródziemnego. Szacun-ki mówiły o dwudziestu – trzydziestu milionach gotowych zaryzykować życie, i to tylko tych, którzy tłoczyli się pod ich bokiem – w Libanie, Jordanii i strefach opa-nowanych przez Syryjską Wolną Armię. A przecież jest jeszcze Afryka, gdzie w Libii, Egipcie i Algierii czekało drugie tyle. Takiej inwazji nikt nie przetrzyma. Armia migrantów rozdepcze wszystko na swojej drodze, a miejsca, w których osią-gną, zmienią się nie do poznania.

Dla Sznajdera jasne było, że rządy państw Europy Zachodniej same były so-bie winne. Zamiast wprowadzić jakieś regulacje, przyjmowały wszystkich jak leci. Milion, dwa, pięć, dziesięć... OK. Będzie ciężko, ale damy radę. Dwadzieścia to już porażka. Każdy następny milion to kolejny gwóźdź do trumny. Liberałowie. Gdzie oni mają rozum?

Osobiście Sznajdera to ani grzało, ani ziębiło. On już znalazł swoje miejsce na ziemi. Można powiedzieć, że nawet bywał szczęśliwy. I tylko ten incydent ze szkolnym autobusem śnił mu się za każdym razem, gdy zasypiał.

Za godzinę zaczynał służbę. Wraz z kolegami stanie na jednej z szos i będzie kontrolował ruch. I tak przez dziesięć godzin. Dzień jakiś minie, a on nie będzie za dużo myślał. O to chodzi. Myślenie go wykańczało. Za wszelką cenę chciał zapo-mnieć o przeszłości. Liczyła się tylko przyszłość, a właściwie wieczność.

Czterdzieści minut później siedział już na pace toyoty z automatem między kolanami. Do Kałasznikowa nigdy nie brakowało amunicji.

Cieszył się, że trafił do kogoś takiego jak Szamilew. W oddziałach panowała dyscyplina. Każdy z ludzi znał swoje miejsce w szeregu i cel w życiu. Byli tu, żeby walczyć i ginąć, a nie odcinać kupony od cudzych zwycięstw i udawać, jacy to

z nich twardziele.

Minęli obozowisko, skąd dochodził płacz dzieci, krzyk mężczyzn, zawodzenie kobiet i beczenie kóz. Już do tego przywykł, ale wcześniej to był dla niego istny kosmos.

Gruntowa droga wiodła na północ. Zamiast na oglądaniu widoków – bowiem nie było tu niczego do oglądania, sama pustynia, obłędu można dostać – Sznajder skoncentrował się na modlitwie. Sura CXII *Al-Ichlas* – „Szczerłość wiary”.

Po chwili jego myśli i tak uciekły w stronę bardziej doczesnych spraw. Nie dalej jak wczoraj przeglądał Internet. Podobno groziła im susza. Jeżeli słońce spali uprawy, a ceny żywności podskoczą, dla tych nieprzebranych tłumów, które ciągnęły tu z najdalszych zakątków kontynentu, oznaczać to będzie prawdziwą klęskę. Po prostu koniec.

Z trudem otrząsnął się z niewesołych myśli. Właśnie dojechali na miejsce. Wysypali się z wozu, niemal depcząc sobie po piętach. Sześciu ludzi i on jako dowódca.

Wyzaczył zadania, a sam przysiadł na poboczu. Na razie nic się nie działo. Szosa była pusta. Trudno kontrolować starca poganiającego osła. Dopiero pięć minut później do uszu Artura dobiegł dźwięk silnika.

Zmrużył oczy, aby lepiej widzieć. Jakiś gość zasuwał motocyklem, wprost w ich objęcia. Nim się zorientował, co go czeka, było za późno. Zresztą gdzie tu uciekać? Kuli nie prześcignie.

Sznajder ziewnął. Taką płótką nie należało się przejmować. Ze znudzoną miną przyglądał się, jak nieszczęśnik próbuje wytłumaczyć bojownikowi, skąd się tu wziął i dokąd podąża.

Kolejni delikwenci nadjechali ze wschodu trzema wielkimi ciągnikami siodłowymi, z których tylko jeden miał na naczepie wiązki prętów zbrojeniowych. Pędzili tak szybko, że omal nie rozjechali frajera na motorze i tych, którzy go kontrolowali.

Artur wystrzelił w powietrze. Dopiero to sprawiło, że tamci zwolnili. W razie konieczności jego ludzie pociągną serią z erkaemu. Taki manewr przystopuje każdego.

Pierwszy z ciągników przystanął dopiero sto metrów dalej. Sznajder nie zamierzał się tam fatygować. Kierowcy sami się zjawią, i to biegiem.

Wkrótce stanęło przed nim pięciu mężczyzn w wieku od dwudziestu do sześćdziesięciu lat. Wiedzieli, że są winni. Ten punkt kontrolny może by i minęli, ale żadnego następnego. Z oczu wycierał im strach jak u barana prowadzonego na rzeź. Tylko od humoru Sznajdera zależało, co się z nimi stanie. Lubił to.

– Dokumenty – powiedział tonem, który przeraził ich jeszcze bardziej.

– My...

– Co „my”?

Grupka wypchnęła do przodu niskiego, brzuchatego faceta. Zdaje się, że był ich szefem.

– Może się jakoś dogadamy?

Uśmiech przyozdobił oblicze Artura.

– Co proponujesz?

Zwitek banknotów zawierał około stu euro. Zdecydowanie za mało.

– A oni? – Wskazał na pozostałych bojowników. – Też coś muszą dostać.

Mała narada i łapówka powiększyła się o parę kolejnych banknotów.

– To wszystko, co mamy.

– Naprawdę? – Podeszedł bliżej i jednym płynnym ruchem walnął mężczyźną w skroń. Kierowca zachwiał się i padł na kolana. – Chciałem zobaczyć dokumenty, a ty mnie obrażasz jałmużną. Co z tobą? – Postąpił krok do przodu i wymierzył lufę AKM-u w punkt u nasady nosa.

– Ale...

– Co ale?

– My już zapłaciliśmy.

– Komu?

Kierowca kiwnął głową w stronę, skąd przyjechali.

Posterunek Sznajdera był jedynym, jaki na tej szosie wystawiła Światłość Dnia. Jeżeli ci frajerzy komuś zapłacili, to niewłaściwym ludziom.

Szef firmy transportowej posiadał oczywiście odpowiedni glejt. Artur przyjrzał się temu, co tam zostało napisane. *Allahu Akbar* i tak dalej. Kto to podpisał? „Rewolucyjna Armia Proroka”. Sznajder nie wiedział o nich za wiele.

– Wszystko w porządku?

Polak zmierzył kierowców wrogim spojrzeniem.

– Nie. Timur i Jusuf: sprawdzić, co oni tam mają w środku.

Tym dwóm nie trzeba było dwa razy powtarzać. Słowo dowódcy jest przecież rzeczą świętą.

– Błagam...

– Zejdź mi z drogi.

Na ekipę transportową padł blady strach. Wystarczy jedno słowo, a skończą z kulą w głowie na poboczu. Nie dotrą na budowę, w ogóle nigdzie nie dotrą, a rodziny nigdy nie dowiedzą się, co się z nimi stało.

Wkrótce z szoferki zaczęły wylatywać starty ubrań, plastikowe pojemniki i odtwarzacze CD. Jusuf znalazł coś specjalnego. Sterta pisemek z roznegliżowanymi panienkami wydawała się tu nie na miejscu. Roczniki sprzed paru lat. „Hustler”, „Playboy”, „Maxim”. Wszystkie egzemplarze bez wyjątku mocno sczytane, a może należało powiedzieć: zużyte.

– Co to jest?

Winowajcy pospuszczali oczy.

– Nie wstyd wam?

Ten i ów uśmiechnął się półgębkiem.

– A gdzie Koran?

Oblicza stężały w jednej chwili. Im się chyba wydawało, że to jakiś żart.

Artur przeładował broń. Jej szczęk był tak charakterystyczny, że z niczym innym nie dawało się go pomylić.

– Psy.

Jusuf z drapieżnie wyszczerzonymi zębami wyciągnął maczetę i obracał ją teraz w dłoni.

Sznajder raz już widział, jak tamten podrzyna komuś gardło. Weszli kiedyś do wioski szyitów. Rozwalali wszystkich. Chłopak był ostatni, miał może czternaście lat. Obok leżała już cała jego rodzina – ojciec, matka, bracia i siostry. Sznajder wolałby i temu szczeniakowi wpakować kulę w łeb, ale Jusuf nie. On musiał się popisać. Po tym, jak się zabrał do pracy, widać było, że to dlań nie pierwszozna. Głowę, jak należy, uniósł do góry, po czym powoli, ale mocno przesunął ostrzem po szyi. Po przecięciu tętnicy krew sika nieraz na trzy metry, pulsując zgodnie z rytmem uderzeń serca. Trochę to trwa. Ofiara nie krzyczy, bo i jak. Ze wszystkich widoków ten napawał Artura największą odrazą. Nie przyzwyczai się do niego chyba nigdy.

– Wystarczy.

Parę kopniaków zapędziło kierowców z powrotem do pojazdów. Nauczkę zapamiętają na długo. Następnym razem do podróży przygotowują się o wiele lepiej.

W ciągu tych paru minut za ciągnikami stanęło kilka kolejnych samochodów. Mężczyzna z białego opla okazał się pobożnym muzułmaninem. Wymienili parę uwag i samochód wkrótce znikł w oddali. Poobijana furgonetka mercedesa była następną w kolejności. Dwóch gości w dżinsach i kraciastych koszulach wyglądało na robotników.

– Otwierać.

Timur bez zbędnego ociągania sięgnął po uchwyt blokujący tylne drzwi, zajrzał do środka i skinął na Sznajdera.

– Co jest?

– Sam zobacz.

Artur koneserem sztuki nigdy nie był, ale wystarczył mu jeden rzut oka, aby zorientować się, o co tym razem chodzi. Furgon aż po sufit został wypakowany artefaktami. Płaskorzeźby, gliniane tabliczki, naczynia. Towar wart fortunę.

– Niczego nie widziałeś.

Timur tylko wzruszył ramionami. Jemu było wszystko jedno. Decyzje podejmowali inni.

W oczach przemysłowców Artur nie dostrzegł nawet cienia strachu. To jedynie wykonawcy, drobne trybiki w maszynerii, którą stworzyli potężniejsi od nich. Nie

trzeba było być orłem, żeby domyślić się, dla kogo pracowali. Monopolistą na tym rynku był Daesz, czerpiący z procederu gigantyczne korzyści. Islamiści na pokaz niszczyli zabytki, ale chyba po to jedynie, aby podbić ich cenę.

Najprostsze rozwiązanie to puścić ich od razu, bez wnikania co i jak. Inaczej można sobie narobić kłopotów. Handlarze antyków są pamiętliwi.

Artur wytarł spoconą twarz przedramieniem. Świat się wali, a tym gnojkom wydaje się, że zrobią interes życia. Z nim to nie przejdzie.

Sięgnął po radiotelefon, aby zameldować o zdarzeniu jednemu z adiutantów Szamilewa. Niech on podejmie decyzję.

– Wiecie, z czym mamy do czynienia?

– Dobre pytanie.

Ramzan Szmilew założył dłonie do tyłu i spojrzał na Saleha.

– To CBU-55.

– Może parę zdań więcej.

– Bomba paliwowo-powietrzna. Jak pier...

– Dobra, już wiem.

– Siła rażenia małej bomby atomowej – dodał od siebie Ali. – Izraelska produkcja. Niezawodna.

– Tym razem nie wypaliła.

– Rządowi dorwali ich szybciej. Tak się zdarza.

Szmilew zrobił parę kroków, przyglądając się pociskowi.

– Potraficie ją rozbroić?

– To zależy.

– A najlepiej rozmontować i złożyć na nowo. W tej skorupie na niewiele się nam przyda.

– Przecież mówiłem, że to CBU-55.

Tym razem Tatar potarł nasadę nosa. Z fachowcami tak zawsze. Wiedział, co oznacza termin broń paliwowo-powietrzna lub termobaryczna, więc o co jeszcze chodzi? Nie będzie udawał, że się na tym zna.

– Mów.

– Subamunicja. W sumie to trzy mniejsze ładunki BLU-73. Można je tak skonfigurować, że odpalą jednocześnie albo osobno. Zależy, jak są zaprogramowane.

– A ty byś potrafił?

Saleh zamrugał.

– Dobra. Nie musisz odpowiadać. – Szmilew nie zamierzał dręczyć podwładnego. Jeżeli chodzi o podkładanie ładunków na drogach, Saleh nie miał sobie równych, ale tym razem zadanie go przerastało.

Tu potrzeba specjalistów z górnej półki. Ekspertów, wirtuozów, można by rzec.

Pionowa zmarszczka przecięła czoło Ramzana, gdy tylko o tym pomyślał. Izrael będzie szukał zaginionych bomb. Skoro są takie potężne, nie mogą wpaść w niepowołane ręce. W tym przypadku chodziło zarówno o rebeliantów, jak i syryjską armię rządową. Szamilew dopiero w tym momencie uzmysłowił sobie, jakie narzędzie zniszczenia otrzymał od Allaha. Jednym takim ładunkiem mógł uśmiercić kilkaset osób. A co dopiero trzema.

– Zabierać się z tym.

– Co?

– Natychmiast – warknął Ramzan pod adresem Alego. – Macie to ukryć w Jandal. Jesteście za nie odpowiedzialni. Obaj.

– Tak jest – odparł Saleh krótko, jak przystało na byłego legionistę.

– Dobierzcie sobie do pomocy, kogo tam potrzebujecie. I nie zapomnijcie o eskorcie. Za pięć minut ma was tu nie być.

Ramzan wyszedł z szopy na zalane słońcem podwórze. Ludzie snuli się, zajęci własnymi sprawami. Niespodziewanie dowódcę ogarnęła panika. Byli całkowicie nieprzygotowani na atak. Jedno celne bombardowanie zmiecie ich z powierzchni ziemi. Skoro jest tak, jak twierdzi Saleh, to Izraelczycy nie odpuszczą i będą chcieli odzyskać bombę. Za wszelką cenę.

Minutę później obóz został postawiony w stan gotowości. Wiadomość o spodziewanym ataku rozesłana do pozostałych oddziałów sprawiła, że wszyscy bojownicy organizacji zostali oderwani od swoich dotychczasowych zajęć i zaczęli przygotowywać się do walki. W teren ruszyły patrole. Szamilew nie chciał konfrontacji z Żydami, ale gdyby miało do niej dojść, to lepiej, żeby odbyła się na jego warunkach.

Gabriel Lipschitz cisnął niedopałek o podłogę i natychmiast sięgnął po kolejnego papierosa. Od dawna nie był tak zdenerwowany, a może raczej wkurwiony. Wszystko, co mogło pójść źle, poszło źle. Cholerna bateria S-400 i cholerny Yacowlew, facet z problemami. Kto się mógł spodziewać, że Syryjczycy wyskoczą z czymś takim. To się w ogóle nie powinno zdarzyć. W niebo poszły dwie rakiety i obie trafiły. Jak żył, nie słyszał o czymś podobnym. Przynajmniej nie tutaj. To na pewno nie była robota ludzi Asada. W tym palce musieli maczać Rosjanie. Bez dwóch zdań. Pozostawili paru swoich, by mieli oko na sprzęt. Tacy specjaliści od konserwacji. Jak im się znudziło przecieranie konsoli szmatką, odpalili rakiety i przywalili. Cztery bomby CBU-55 poszły się... Kurwa, to w sumie dwanaście pocisków termobarycznych. Żaden z nich nie wybuchł, to pewne. Utrata jednego to nieszczęście, ale aż tylu to prawdziwa katastrofa. Jeśli ci parszywi poganiacze kóz

odpalą choć jedną, dojdzie do masakry. A przecież to oni mieli zginąć.

Zguby należało odzyskać, i to natychmiast. Co prawda nie liczył się z taką możliwością, ale jak trzeba, to trzeba. Musi zadzwonić do swoich przełożonych i będzie to jedna z trudniejszych rozmów w życiu. Polecą głowy, a on pójdzie do odstrzału jako pierwszy.

Wyścig z czasem już się rozpoczął. Nie było minuty do stracenia.

Brak informacji zwrotnej zaczął irytować Sznajdera. Czy tak trudno podjąć najprostszą decyzję? Co się z nimi dzieje? Ramzan to dowódca, który nie lekceważył żadnego ze swoich podwładnych. Oficerów też dobierał pod tym kątem. Tu każdy mógł polegać na każdym. Może coś się stało.

Przemytnicy odeszli na bok, przysiedli na poboczu i wbili spojrzenie w linię horyzontu, zupełnie jakby ta sprawa ich nie dotyczyła. Pozazdrościć olimpijskiego spokoju.

Upał sprawił, że Artur poczuł się senny. Ziewnął, zrobił parę kroków i potarł oczy. Niewiele pomogło. Radiotelefon w końcu zaskrzeczał serią suchych trzasków i odezwał się głosem Abdelmalika, który pochodził z Algierii, a po arabsku mówił z silnym francuskim akcentem. Czasami ledwo dawało się go zrozumieć.

– Ogłoszono stan pogotowia.

– Co takiego?

– Przecież mówię: stan po-go-to-wia.

Sznajder rozejrzał się na dookoła, lecz nie dostrzegł niczego podejrzanego.

– Mamy wracać?

– Nie. Zostańcie tam, gdzie jesteście. O wszelkich podejrzanym sprawach meldować na bieżąco.

– Mam tu dwóch przemytników.

– Czego?

– Dzieł sztuki.

– A kogo to teraz obchodzi?

– Myślałem...

– Nie przesadzaj.

Abdelmalik podobno skończył studia w Marsylii. Lubił to podkreślać w każdym możliwy sposób.

– Co mam z nimi zrobić?

– Co chcesz.

Sznajder znalazł się w punkcie wyjścia. Problem nie został rozwiązany. Z jakiegoś powodu ogłoszono alarm, co generalnie oznaczało, że w każdej chwili mogli spodziewać się ataku.

Większość oddziałów została rozproszona na obszarze kilkudziesięciu kilo-

metrów kwadratowych. Tak było łatwiej o aprowizację. Ciężkiego sprzętu też nie należało gromadzić w jednym miejscu. Obecnie można bez trudu zlokalizować nie tylko duże formacje, ale nawet jeden samochód. Cała latająca technika była na usługi przeciwników, więc rozproszenie sił służyło bardziej minimalizacji strat wskutek nalotu niż ukryciu się. W razie potrzeby mogli się szybko zorganizować i przemieścić. Już nie byli partyzantką czy też milicją klanową, ale jeszcze nie regularną armią. Czymś pośrednim. Szybko się to nie zmieni.

Pytanie, co z przemytnikami, pozostało otwarte.

Poprawił ciężący na ramieniu automat i zrobił krok w stronę szmuglerów. Rozmowa z nimi mijała się z celem. O co ma zapytać? Dla kogo pracują? Nawet jak nie skłamią, jemu to nic nie powie.

– Jak masz na imię? – zapytał pierwszego z nich.

– Husajn.

– A ty?

– Karim.

– Skąd jesteście?

– Z Bagdadu.

– To kawał drogi – zauważył z uznaniem. W warunkach wojny pokonanie takiej trasy stanowiło prawdziwy wyczyn.

– To zależy – odparł Karim.

– Od czego?

– Od tego, kogo się zna. Przyjaźń to podstawa.

– Też tak uważam.

– Chcesz zostać naszym przyjacielem?

Pytanie nie pozostawiało cienia wątpliwości – dziś on pomoże im, jutro oni pomogą jemu. Tak to działa.

– Nasi mocodawcy potrafią być wyjątkowo hojni.

– W to nie wątpię. – Sznajder zerknął w bok. Oprócz niego i dwóch przemytników w pobliżu nie było nikogo. – Przyjaciół nigdy dość.

Karim sięgnął do górnej kieszeni koszuli i wyjął z niej ołówek i notatnik. Na jednej z karteczek napisał ciąg cyfr i podał ją Arturowi.

– My nie zapominamy przysług.

– Oby.

Podali sobie ręce. Obyło się bez wzywania Allaha i całej tej sztucznej pobożności. Husajn i Karim, mimo że byli muzułmanami, zachowywali się całkowicie po europejsku, co dawało do myślenia. Zdaje się, że z początku źle ich ocenił. Oni pracowali, ale nie dla Daesz, lecz dla mafii. Sycylijskiej, korsykańskiej, albańskiej czy jakiej tam. Z religijnym fundamentalizmem niewiele mieli wspólnego. Nie zaszkodzi mieć takich znajomych.

Furgonetka odjechała minutę później jak gdyby nigdy nic, a on został na szo-

sie.

Pierwsze ekipy poszukiwawcze ruszyły w teren dopiero po południu i choć rejon katastrofy dawało się określić dokładnie, to cały splot okoliczności nie pozwolił zrobić tego wcześniej.

Po pierwsze oddział wysłany z taką misją nie mógł składać się z przypadkowych ludzi, tylko z dobrze wyszkolonych komandosów. Tych CaHaLowi, czyli Siłom Obronnym Izraela, nie brakowało, lecz pech sprawił, że grupę szybkiego reagowania zaangażowano na południu, gdzie grupa zamachowców z Hamasu próbowała narozrabiać w Eljacie. Wybicie ich wszystkich zajęło operatorom cały ranek i przedpołudnie. W trybie alarmowym ściągnięto kompanię z Sajjeret Matkal, Jednostki Rozpoznawczej Sztabu Generalnego, załadowano do Black Hawków i wysłano na pustynię. Zadanie wydawało się w miarę proste: polecieć i przytargać cholerne CBU-55 z powrotem do Izraela. Szkoda, że wcześniej nie pomyślano o tym, by wyposażyć każdą z nich w GPS. To by znacznie ułatwiło zadanie, a tak lokalizacja ładunków spadła na drony.

Lipschitz jęknął, gdy tylko popatrzył na obraz monitora. Na miejscu wprost roiło się od dżihadystów. Nici z miłej wycieczki. Baterię S-400 w pobliżu Latakii już zniszczono, więc przynajmniej z jej strony śmigłowcom ekspedycji nie groziło żadne niebezpieczeństwo. A co do reszty, to dopiero się okaże. Bojówkarze Szamilewa nie byli pierwszymi lepszymi frajerami, którzy ustawią się pod murem i poczekają, aż się ich odstrzeli. To fanatycy, i do tego dobrze wyszkoleni. Na pewno dysponowali środkami obrony przeciwlotniczej.

Niestety, dobranie się Szamilewowi i jego bandzie do skóry przyjdzie z o wiele większym trudem, niż się zrazu wydawało.

Seria nagłych eksplozji gdzieś na południe od nich sprawiła, że przez plecy Artura przebiegł dreszcz.

– Co to było? – Jusuf uniósł czujnie głowę. – To nasza wioska?

– Pojęcia nie mam – odparł Sznajder zgodnie z prawdą.

„Ich” wioska znajdowała się dwa kilometry dalej – takim mianem określali skupisko paru chat i zagród dające schronienie okolicznym mieszkańcom. Była o tyle „ich”, że zakwaterowano w niej z pięćdziesięciu bojowników Światłości Dnia wraz ze sprzętem, kilkoma bojowymi wozami piechoty BMP-1 oraz czołgiem lub dwoma. Ten oddział był najbliższym spośród formacji Szamilewa.

– Poczekajcie, sprawdzę, o co chodzi.

Z miejsca, gdzie stali, niewiele dawało się dostrzec. Być może, jeśli się wdrapie na nasyp, czegoś się dowie. Czyli Abdelmalik się nie mylił – właśnie zo-

stali zaatakowani i nie był to jakiś tam incydent, tylko totalna rozpiarducha.

Gdy już osiągnął zamierzony punkt, przysłonił oczy od słońca. Bez lornetki niewiele mógł dostrzec. Kolejne grube słupy dymu wzbijały się w niebo. Na pewno płonęła wioska, „ich” wioska, ale nie tylko, najwyraźniej zaatakowane zostały też dalsze osady i obozowiska Światłości Dnia. Kto wie, czy nie wszystkie.

Sznajder zdumiony sięgnął po radiotelefon i próbował wywołać Abdelmali-ka, ten jednak milczał jak zaklęty. Łączność wysiadła całkowicie. Jak się zdawało, byli zagłuszani, bo nic innego nie przychodziło Arturowi do głowy.

Całkiem niedaleko na małej wysokości przeleciał F-16 Sufa, co ponoć tłumaczyło się jako „burza”. Grzmot był zaiste potężny. Maszyna znikła wkrótce za linią wzgórz. Skąd tu się wzięła? Czym Szamilew naraził się Izraelczykom, że zrównują z ziemią całą okolicę?

Sznajder kompletnie nie wiedział, co ma robić. Mógł z chłopakami pozostać tu, gdzie byli, i nikt im później złego słowa nie powie. Ale tak stać i czekać, gdy w pobliżu giną towarzysze? To nie w jego stylu.

Zbiegł z nasypu, przeklinając w duchu, że nie jest tak szybki jak jeszcze parę lat wcześniej. Wytrzymały – tak, silny również, ale ruszał się jak mucha w smole. Gdzie te czasy, gdy przebiegał setkę w niespełna dwanaście sekund...

– Do wozu. Wracamy – zarządził, pakując się natychmiast na fotel kierowcy. Jusuf, który prowadził do tej pory, musiał się zadowolić miejscem na pace.

Ruszyli, gdy tylko Artur uruchomił silnik. Spod kół poleciał piach i kamyki. Sznajder pochylony nad kierownicą rzucił spojrzenie ku niebu. Ten F-16 na pewno nie był jedyną maszyną w powietrzu.

Im bliżej obozu, tym robiło się ciekawiej. Na moment zwolnił, gdy mijali postrzelaną i dymiącą toyotę, wokół której leżało kilka ciał.

– To nikt od nas! – wrzasnął Timur, waląc otwartą dłońią w dach kabiny.

Tym izraelskim popierdoleńcom wydawało się pewnie, że każdy pick-up w okolicy należy do islamistów. A tu taka niespodzianka. Artur dałby głowę, że wśród rozrzuconych trupów były kobiety. To na pewno zwykli okoliczni mieszkańcy lub też uchodźcy, których przewożono na kolejny punkt etapowy. No cóż, na każdego przyjdzie kolej. Szkoda tylko, że w taki sposób.

Timur ponownie zabębnił w blachę szoferki.

– Patrz tam!

Sznajder zwolnił.

– Gdzie?

– Na prawo.

Transportowy Black Hawk podchodził właśnie do lądowania. Szturmowy AH-64D Saraph, czyli izraelska wersja starego pocziwego Apache’a, śmignął nad nim z wizgiem rotorów.

Artur nacisnął hamulec. Terenówka zaryła kołami niemal w miejscu. Zdaje

się, że Allah nad nimi czuwał. W miejscu, gdzie powinni się znajdować, wystrzeliły gejzery ziemi.

Artur złapał automat i wyskoczył na zewnątrz. Nad nimi przemknął kolejny cień, który zmienił się w AH-64, wcześniej niewidocznego. W starciu z nim nie mieli najmniejszych szans. Pilot wykona zwrot i następna seria z działka kalibru 20 milimetrów rozerwie ich na strzępy.

Gdy tak biegł przed siebie, intuicyjnie próbował znaleźć odpowiednie miejsce do ukrycia się. Na nieszczęście ten kawałek ziemi został pozbawiony rozpadlin czy też większych kamieni, za którymi dałoby się schować.

Saraph kolejny raz rozpoczął swój śmiertelny taniec. Artur usłyszał za sobą przerażający krzyk. Padł twarzą w glebę, nim wrzask rozbrzmiał na dobre. W uszach czuł nieznośne swędzenie od huku śmigłowca.

Wystarczył rzut oka do tyłu, aby zorientować się w sytuacji. Jednemu z bojowników pocisk urwał nogę. Biedak dogorywał teraz na poboczu.

Pozostałym członkom oddziału bardziej się poszczęściło. Nieulekły Timur w klasycznej postawie posyłał serie z automatu w ślad za helikopterem. Jusuf poszedł za przykładem Czeczena. Może był bezwzględny oprawcą, ale odwagi na pewno mu nie brakowało.

Sznajder, nieco zawstydzony swoją asekurancką postawą, odbezpieczył karabinek. Krzywdy szturmowej maszynie nie zrobią, ale przynajmniej polegną za wiarę. Szkoda tylko, że nikt się o tym nie dowie.

Przyłożył kolbę do ramienia i wystrzelił krótką serię. Automat podskoczył w jego dłoniach, a znajomy trzask przywrócił pewność siebie. Tak łatwo ich nie dostaną.

AH-64 zaczął wykonywać kolejny nalot. Z odległości dwustu metrów był doskonale widoczny. Prawdziwy anioł śmierci, który za moment spadnie na nich z wizgiem szybkobieżnych kos.

Jakież było zdziwienie Sznajdera, gdy maszyna zachwiała się, a następnie zaczęła kopcić z uszkodzonego silnika. Zamiast rozstrzeliwać bojowników, pilot walczył o utrzymanie śmigłowca w powietrzu.

Arturowi przemknęła przez głowę myśl, że chyba ma przywidzenia, bo niby skąd się wzięły te ogniste krechy, które raz za razem uderzały w prześladowcę?

Powiódł spojrzeniem na lewo. Pół kilometra dalej dojrzał zarys pojazdu bojowego – gąsienicowy MT-LB z zamontowaną na pancerzu armatą przeciwlotniczą ZU-23-2 wyłonił się zupełnie niespodziewanie zza niskiego wzgórza. Siła dwóch luf kalibru 23 milimetry okazała się zabójcza. Przy którymś obrocie Saraph oberwał chyba w głowicę sterującą i końcu runął na ziemię.

– *Allahu Akbar, Allahu Akbar!* – okrzyk Timura był równie donośny co wcześniejszy ostrzał.

Ci, którzy przeżyli, pędem ruszyli w stronę roztrzaskanego helikoptera.

Sznajder truchtem podążył za nimi. Istniała szansa, że pilot lub operator uzbrojenia przeżyli. Mogliby stanowić źródło cennych informacji. Odpowiednio przesłuchani jeńcy wyśpiewają wszystko, co wiedzą.

Wrak spoczywał całkiem niedaleko, pochylony na prawą burtę. Wbity w piaszczystą ziemię nie wyglądał już tak groźnie jak jeszcze minutę wcześniej.

Pierwszy dotarł do niego Timur. Szarpnął przeszklone drzwi kabiny, wymierzył broń w głowę nieszczęśnika, który zasiadał na fotelu pilota, i pociągnął za spust.

To tyle, jeżeli chodzi o jeńca i informacje.

Sznajder zwolnił. Już nie musiał się spieszyć.

Za pierwszym MT-LB pojawił się następny wraz z futurystycznie wyglądającą ciężarówką, do której burt przyspawano stalową blachę, z przodu zamontowano lemiesz, a na pace kolejną armatę przeciwlotniczą. Za ciężkimi pojazdami podążały terenówki oraz zdobyczny Humvee. Zdaje się, że nalot zastał jedną z kolumn w marszu.

Najrozsądniej będzie się do niej przyłączyć. Zawsze to większa siła ognia. Może świata nie zawojują, ale wdeptać w ziemię też się nie pozwolą.

Gabriel Lipschitz o mało nie wyszedł z siebie. Nieświadomie rozdeptali gniazdo os i zaczęli zbierać cięgi. Przeciwnik okazał się lepiej przygotowany do walki, niż oczekiwali. Szybka akcja zaczęła się przeradzać w wymianę ciosów, na którą nie mogli sobie pozwolić.

Lipschitz zaczynał żałować podjętych decyzji. Najwyraźniej nie docenili zdolności Szamilewa, a raczej docenili, ale zareagowali zbyt późno. Kto by się spodziewał, że pod boki wyrośnie im taka potęga?

– Zlokalizowano ładunki?

Porucznik, oficer łącznikowy, wydawał się rozdrażniony.

– Jeszcze nie – warknął przez zaciśnięte zęby.

– Jak długo...

– Straciliśmy kolejny śmigłowiec.

– *Fuck.*

Lotnik odwrócił się do Gabriela plecami, uznając rozmowę za zakończoną. Najwyraźniej miał do niego żal, że jego jednostka została wepchnięta w takie gówno.

Łączność szwankowała, ale w tych okolicznościach nie było to nic nadzwyczajnego. Sznajdera martwiło co innego – kolumna mimo nasycenia prostą bronią przeciwlotniczą stanowiła łatwy cel do zniszczenia. Żydzi zmiażdżą ich, rozetrą

w pył i wystrzelą w kosmos. Ile jeszcze mogą mieć szczęścia? Zestrzelili bojowy helikopter, jednak z F-15 czy F-16 działka sobie nie poradzą, tym bardziej że system kierowania ogniem ograniczał się do sokolego wzroku i pewnej ręki strzelca.

O wymyślniejszych sposobach naprowadzania na cel mogli pomarzyć.

Siedząc na dachu jednego z BTR-80 należących kiedyś do armii Al-Asada, co rusz unosił głowę w oczekiwaniu nadciągającego kataklizmu. Za to Timur nic sobie nie robił z zagrożenia. Jusuf również. Obaj pogryzali suchary, popijając je wodą. Ich spokój irytował Artura. Albo mieli nerwy ze stali, albo byli kompletnie pozbawieni wyobraźni.

Trzask przeciwlotniczych armat obwieścił początek kolejnej potyczki i wkrótce wszyscy strzelali z tego, co mieli, w kierunku przemykającego tuż nad ziemią Black Hawka.

Efekt ostrzału okazał się mizerny. Helikopter znikł za niskim wzgórzem i tyle go widzieli. Sznajder podejrzewał, że nie wszyscy prowadzący ogień wiedzieli, że do obiektów latających strzela się z wyprzedzeniem.

– *Allahu Akbar, Allahu Akbar!* – rozległy się radosne wiwaty.

Czy ci idioci muszą drzeć ryja przy każdej nadarzającej się okazji? Czasami wrzeszczeli nawet i bez powodu, ot tak, aby dać upust emocjom. Ten entuzjazm zaczynał go męczyć.

Pojazd wszedł w zakręt, a on musiał mocniej przytrzymać się wyrzutnika granatów dymnych, aby nie spaść na ziemię. Tak to jest, gdy się jeździ na panczeru. W środku BTR-a też nie było najprzyjemniej. Jeśli pod kołami pierdyknie mina, z człowieka nie zostanie nic.

Parę minut później cała kolumna zatrzymała się wśród ruin jakiegoś gospodarstwa. Budynek mieszkalny już dawno został zburzony, podobnie jak pomieszczenia gospodarcze i jakieś szopy. W najlepszym stanie był mur okalający podwórze.

Zeskoczył z panczerza i zaczął pomagać przy ustawieniu bezodrzutowego działka kalibru 120 milimetrów. Było co dźwigać – ważyło 270 kilogramów. Do tego należało rozmieścić skrzynki z amunicją.

– Ty, ty i ty – wskazał na Sznajdera, Timura i Jusufa dowodzący oddziałem brodaty mudżahedin. – Pójdziecie na rozpoznanie.

Dowódca chciał dodać coś jeszcze, ale huk spadających niedaleko bomb przerwał wywód.

Artur nie potrafił zrozumieć, po jaką cholerę tu się zatrzymali. To miejsce niedługo stanie się ich Alamo.

– Kurwa.

Komendant spojrzał na niego z ciekawością, ale nic nie powiedział.

– Mamy iść?

– Tamto wzgórze.

- Jasne. – Sznajder sprawdził, czy ma radiotelefon przypięty do szelek.
- Będziesz z niego widział wszystko. Nie pozwól, aby Żydzi nas zaskoczyli.
- Dobra.
- Nie daj się zabić.
- Wszystko w rękach Boga.

Skinął na pomocników i pognął sprintem. Płuca pracowały jak miechy, lecz nie zwalniał. W telewizji nie raz widział filmiki, na których bojowe śmigłowce polują na poszczególnych terrorystów... Tfu!... Chciał powiedzieć „bojowników za wiarę”. Chyba za dużo pozostało w nim Polaka. Pewnych rzeczy nie potrafił wyrzucić z pamięci. Nawet nie próbował tego robić. Oby Allah Wszechmocny i Miłosierny przyjął go takim, jaki jest.

- Wolniej – jęczał z tyłu Jusuf.
- Ruszać dupska! – Artur zerknął do tyłu.

Timur pospieszył koledze z pomocą, odbierając od niego automat.

- Kurwa – tylko to jedno słowo cisnęło się Arturowi na usta.
- Nie rozumiem.
- Bo to nie do ciebie, ośle.
- Ja...

- Później ci to wyjaśnię. – Złapał Jusufa za ramię i pociągnął go do przodu.

Chwilę później Sznajderowi pociemniało w oczach. Jeżeli to zasłabnięcie, ma przejebane.

Ale nie, czuje się dobrze. To chmura pyłu na moment przysłoniła słońce. Gdzieś na prawo od nich trzaskają serie z broni maszynowej. W tym chaosie trudno się połapać, kto strzela i do kogo.

Zwalniają. Timur w końcu wymięka, a Jusuf to już ciepłe zwłoki. Arturowi robi się niedobrze z wysiłku. Pamiętał, jak kiedyś w wojsku... co on pierdoli, tamto życie minęło bezpowrotnie.

- Idziemy.
- Daj odpocząć.
- Jak to sobie wyobrażasz? Że będziesz tu się byczył, kiedy tam właśnie giną twoi bracia? – Wskazał kierunek, skąd przybiegli.

Argument zadziałał. Obaj bojownicy zaczęli się ruszać, mimo że już bez dawnej energii.

Radio na ramieniu Sznajdera zatrzeszczało niecierpliwie.

- Gdzie jesteście?
- Już prawie dotarliśmy.
- Musicie... – Dalsze słowa utonęły w szumie.
- Co się dzieje? – Jusuf patrzył na Sznajdera z przejęciem.
- A skąd mam wiedzieć?

Bez ociągania się ruszyli pod górę, klucząc pomiędzy skalnymi odłamkami.

W normalnych okolicznościach widok z trzydziestometrowego wzniesienia można by uznać za uroczy, lecz tym razem okoliczności nie były normalne.

Starcia przeradzały się w regularną bitwę. Jaka szkoda, że wierni nie posiadali lotnictwa. Wrogich maszyn do zniszczenia było od cholery.

Sznajder oparł łokcie na wielkim ceglastym głazie wygładzonym przez wiatr i przyjrzał się okolicy. Krążącym nad nimi odrzutowcom nic nie zrobią, ale ze śmigłowcami można powalczyć.

Jakiś kilometr od nich na południe dostrzegł podchodzącego do lądowania UH-60. Za pierwszym podążał drugi i trzeci Black Hawk. Przyziemienie i pierwsi żołnierze zaczęli opuszczać przedziały desantowe, formując strefę ochronną. Ci z trzeciej maszyny ciągnęli ze sobą jakieś skrzynie. Niczego podobnego Sznajder wcześniej nie widział. Cokolwiek to było, taki znakomity cel nie mógł się zmarnować. Jeżeli zdoła połączyć się z komendantem, wyślą Żydów do piekła.

Ku jego wielkiemu zdziwieniu odpowiedź przyszła niemal natychmiast, aczkolwiek nie mógł rozpoznać głosu, który usłyszał.

– Widzę lądujące śmigłowce.

– Ile i gdzie?

– Trzy... – Ze współrzędnymi było już gorzej. Bez mapy nie było to takie łatwe, a na półpustyni punktów orientacyjnych istniało niewiele. Na szczęście niedaleko miejsca desantu kopcił kawał złomu. Artur przyjrzał się mu dokładniej i rozpoznał wrak jakiegoś izraelskiego samolotu. Typu nie potrafił określić, nie było to jednak konieczne.

Ledwo podał koordynaty, gdy dobre dwieście metrów przed rozbitym odrzutowcem eksplodował pocisk moździerzowy. Sznajder natychmiast skorygował namiary, jednak drugi strzał również nie należał do udanych. Dopiero trzeci pocisk rozerwał się kilkanaście metrów od jednego z helikopterów.

Wszystkie UH-60 poderwały się do lotu jak spłoszone stadko wróbli. Już prawie wychodziły z pola rażenia, gdy jeden z nich został zmłócony przez wielkokalibrowy karabin maszynowy dżihadystów. Helikopter prawie położył się na lewy bok, ale zaraz wyrównał i powoli uchodził z pola bitwy, okryty kłębamii ciemnego dymu. Kolejne serie przechodziły bokiem.

Szkoda, może innym razem.

W pewnym momencie uszkodzonym Black Hawkiem zatrzęsło.

Sznajder syknął przez zęby. Kunszt pilotażu na niewiele się zda, gdy się leci postrzelanym pudłem.

Śmigłowiec spadł jak kamień i zniknął w pęczniejącej czarnej purchawie dymu. Wprost nieprawdopodobne. Kolejnego wroga spotkała zasłużona kara. Za plecami Artura Jusuf i Timur darli się jak opętani. Tym razem Polak nie miał im tego za złe. Widział maleńkie figurki izraelskich żołnierzy miotające się we wszystkie strony. Dobra nasza, tylko tak dalej, a wszyscy niewierni trafią dziś do

piekła.

Grupce Artura nie dane było dłużej upajać się powodzeniem. Od strony gospodarstwa nagle gruchnęło tak mocno, że i oni odczuli wstrząs. Cała farma znikła w potężnej eksplozji. Nikt na niej nie miał szans przeżyć.

To sprowadziło Sznajdera na ziemię. Arytmetyka Bliskiego Wschodu była nieubłagana – niemal od zawsze na jednego zabitego Żyda przypadało dziesięciu albo i więcej muzułmanów. I tym razem nie było inaczej.

Ramzan Szmilew próbował wydawać rozkazy i organizować obronę, ale wydawało się, że nikt go nie słucha. Jego armię metodycznie wybijało wrogie lotnictwo. Poszczególni komendanci prowadzili walkę na własną rękę, nie koordynując działań ani ze sztabem, ani między sobą, przede wszystkim dlatego, że byli zagłuszani. To nie ulegało wątpliwości.

Przeciwnik dysponował nieskończenie potężniejszym arsenałem od nich. Szamilew i jego grupa ocalali tylko dlatego, że poderwał oddziały do walki, zanim spadło na nich uderzenie.

Gość bitwy nigdy nie była w stanie wytrącić go z równowagi. Tym bardziej teraz, gdy otrzymał od Boga taką szansę, był zimny jak gład.

Od samego początku domyślał się, o co chodzi Izraelczykom: oni chcieli odzyskać te cholerne bomby. Nic z tego, przyjaciele. Przynajmniej jedna pozostanie poza waszym zasięgiem. To, ilu jego ludzi zginie, nie miało większego znaczenia. Wystarczy mu jedna CBU-55, by wziąć krwawy odwet. Na samą myśl o tym uśmiechnął się w duchu. Prowadził go Allah, a mając takiego sojusznika, nie bał się niczego.

- Zabierzcie ich stamtąd.
- To nie jest dobry pomysł. Przynajmniej nie w tych okolicznościach. – Porucznik lotnictwa obrzucił Gabriela wrogim spojrzeniem.
- Tak nie można, to nie ma sensu.
- Takich słów z ust oficera wywiadu się nie spodziewałem.
- Są inne sposoby. – Lipschitz nie ustępował.
- A co pan powie rodzinom tych, którzy już polegli? Spójrzy im pan w oczy z czystym sumieniem?
- Zdaje się, że nie przemyśleliśmy wszystkiego do końca.
- Akurat z tym jestem w stanie się zgodzić. Dwa Ra'amy i cztery helikoptery, dwudziestu zabitych i drugie tyle rannych. Do tej pory, bo nim zabezpieczymy te bomby, upłynie jeszcze trochę wody.
- Przynajmniej udało się je zlokalizować?

- Trzy tak. Po czwartej przepadł ślad.
- Musi tam gdzieś być, szukajcie.
- Proszę wziąć łopatę i samemu wybrać się w teren. – Sarkazm w głosie lotnika był aż nadto wyraźny. Tego Lipschitz nie mógł zignorować.
- Nie zapominajcie, poruczniku, do kogo mówicie.
- Z tego, co wiem, to pan jest odpowiedzialny za tę porażkę.

Gabriel skrzywił się mimowolnie. Porażka. To słowo raniło uczucia. On i ten Yacowlew dali ciała na całego. A skoro pilot nie żyje, cała wina spadnie na niego. Z awansem mógł się pożegnać już na zawsze. Pójdzie w odstawkę jak nic. A na koniec ta nieszczęsna sugestia o przerwaniu akcji. Dowódca na podobną propozycję nie zgodzi się nigdy. Tu nikt się nie cofa w połowie drogi.

- Co z oddziałami Szamilewa?– zapytał dla świętego spokoju.
- Bronią się zawzięcie. Wybijamy ich powoli, ale szybko się przemieszczają. Czasami trafiamy w opuszczone bazy. Na pewno stracili co najmniej jedną trzecią sprzętu, albo i połowę. Analizami zajmiemy się dopiero jutro, ale jedno mogę powiedzieć już dzisiaj: dla nich to wielki sukces. Przetrzepali nam skórę jak nigdy wcześniej.

- Przykro mi.
- Jednym z tych śmigłowców dowodził mój kumpel.
- Miał rodzinę?
- Tylko starych rodziców. Był ich jedynym dzieckiem. Nie znałem lepszego od niego człowieka. A teraz...

Lipschitz odsunął się do tyłu. Nie znosił takich rozmów. Siły Obronne Izraela nie były duże. Większość oficerów znała się osobiście lub chociaż ze słyszenia. Stanowili zespół, więc śmierć każdego z nich bolała wyjątkowo mocno.

- Nie wiem, co powiedzieć.
- Lepiej już nic.

Kolejna minuta i kolejny meldunek. Zdaje się, że sztab dowodzący operacją zaczął na poważnie myśleć o wprowadzeniu do walki czołgów i wozów bojowych. Potędze opancerzonej kolumny nic się nie oprze. Merkawy zdławią wszelki opór. Decyzja o rozszerzeniu działań już dotarła na biurko premiera i członków komisji wojskowej Knesetu. Tymczasem do walki wprowadzano wciąż nowe jednostki. Kolejne eskadry pojawiały się nad zachodnią Syrią, zrzucając śmiercionośny ładunek bomb.

Ostatecznie obyło się bez wprowadzenia komponentu lądowego. Siły samego desantu wystarczyły. Jednego termobarycznego pocisku nie przechwycono. Ładunek wyparował. Oczywiście z grubsza wiadano, co się z nim stało. Prawdopodobnie został przejęty przez islamistów. Gorzej, że Szamilew przepadł. Jeżeli zginął, to pół biedy, ale jeśli się schował, trudno go będzie zlokalizować.

Straty własne: dwudziestu ośmiu zabitych i sześćdziesięciu rannych. Jak to

wytłumaczyć społeczeństwu?

Pewnie tak jak zawsze – wyższą koniecznością. Ludzie tak jak pelikany łykną wszystko, co im się poda. Byle forma była do przyjęcia. Reszta to – chciałoby się rzec – historia. Ale ta historia dopiero się zaczyna.

Jedynie zwłoki, na jakie się natykali, należały do ich współtowarzyszy, przy czym mogli rozpoznać tylko te, które znaleźli w większej odległości od gospodarstwa. Farmę zbombardowano tyle razy, że z trudnością można było znaleźć ślady zabudowań. Całe jej otoczenie – zryte lejami po wybuchach, upadku kamieni i fragmentów pojazdów – pokrywał szarawy kopeć. MT-LB, ciężarówki i mniejsze pojazdy wróciły do pierwotnego stanu grudek metalu wymieszanych z piachem i szerniałymi szmatami.

Odór śmierci przenikał wszystko. Artur brnął przez pogorzelsko. Pomimo chusty na twarzy wydawało mu się, że oddycha szczątkami bojowników, bo czymże innym był ten duszący pył zmieszany z popiołem. Zaraz się porzyga. Jusuf w ogóle nie chciał się tu zapuszczać i tylko Timur podążył w ślad za nim.

Wystarczy. Nie chciał spędzić w tym miejscu ani chwili dłużej. Jego życie znów zatoczyło krąg i znalazł się w punkcie wyjścia. Było dokładnie tak samo jak parę godzin wcześniej, gdy rozpoczęli odwrót z punktu kontrolnego, albo i jeszcze gorzej. Jeżeli podobnie wyglądają pozostałe miejsca, w których rozlokowano oddziały mudżahedinów, będą musieli poszukać sobie nowych kolegów.

Najważniejsze, że nikt do nich nie strzelał, co budziło nadzieję, że ich szanse na przeżycie wzrosły. Z nieba znikły samoloty i śmigłowce. Oczywiście mogły nadlecieć drony, ba – mogły już tu być, bo tego nigdy nie można być pewnym. Dziadostwa nie widać, a wystrzelona przezeń rakietą rozerwie człowieka w ułamku sekundy. Trzeba przyznać, że to skuteczny i mocno oddziałujący na psychikę rodzaj broni. Człowiekowi pozostaje kryć się całe życie w piwnicy. Albo wyjść na drogę i ufać, że Allah potrzebuje go żywym.

Wyszli zatem na szutrową drogę i pomaszzerowali przed siebie. Jusuf mamrotał pod nosem wersety Koranu, a Timur pogwizdywał, zupełnie jak na szkolnej wycieczce. Tylko pozazdrościć takiej beztroski. Sznajder słyszał kiedyś o bożych szaleńcach w prawosławnej Rosji, czemu więc nie miałyby ich być tutaj, wśród najbardziej bogobojnych spośród wiernych.

To była jedyna myśl przez dłuższy czas, jego umysł bowiem pogrążał się w letargu. Zmęczenie dawało się Arturowi porządnie we znaki. Od rana na nogach. Najpierw służba, a potem bitwa. Przeżył jedynie z woli Najwyższego. Teraz zamiast odpocząć, będą drałować kilkanaście kilometrów, zanim dotrą do swoich, o ile oczywiście jacyś „swoi” jeszcze pozostali. W dodatku robiło się zimno. Niedługo temperatura spadnie do paru kresek powyżej zera. W porównaniu ze spiekotą

dnia to prawie zamrażarka.

Dygocząc tyleż z chłodu, co ze zmęczenia, przynajmniej nie stracił całkiem czujności. Od razu dostrzegł cień, który poruszył się przy trakcie. Przesunął lufę Kałasznikowa w stronę spodziewanych kłopotów.

– Słyszeć was z pół kilometra.

– To on tak sapie. – Artur wskazał kciukiem na Jusufa.

Napięcie opadło. Na drogę wyszedł kolejny mężczyzna. Sznajder spotykał się wcześniej z Salehem kilkakrotnie. Facet na szczęście nie był tak przesiąknięty fanatyzmem jak niektórzy. Spokojnie dawało się z nim pogadać o piłce i polityce.

– Co tu robicie?

– Rozbili nas parę kilometrów stąd. – Artur popatrzył do tyłu. – Ale my im też nieźle przywaliliśmy.

Saleh wyjął papierosy i poczęstował nimi Polaka.

– Daliście sobie radę?

– Wszyscy zginęli. Przeżyliśmy tylko my.

Odruchowo wzięta fajka zdecydowanie nie była najlepszym pomysłem. Gorzki smak tytoniu sprawił, że język stanął Sznajderowi kołkiem. Dymu miał już na dzisiaj dosyć.

– Wody nie masz?

– Da się załatwić.

Dostał pełną manierkę. Przeplukał usta i wypluł. Następny łyk spłynął już do gardła. Po nim kolejny i jeszcze jeden.

– Jak wygląda sytuacja? – zapytał, gdy już się napił.

– A bo ja wiem? Ramzan kazał nam jechać do Kalat al-Dżandal.

– To on żyje?

– Parę godzin temu jeszcze żył. Teraz nie wiemy.

– Właściwie jak to się stało, że tu utknęliście? – Sznajder rozejrzał się na boki.

– Jak się zaczęła ta cała rozpierducha, postanowiliśmy się ukryć i przecze-
kać.

Polak uniósł brwi do góry.

– Co się tak gapisz? – Saleha zirytowało zdziwienie Artura.

– Ukryć?

– Nie muszę się przed tobą tłumaczyć.

– Przede mną nie, ale im należą się wyjaśnienia.

Timur i Jusuf stali trochę z boku, przysłuchując się rozmowie. Wydawali się szczęśliwi. Natknęli się na przyjaciół, a nie na wrogów. Tyle wystarczy.

– Ramzan nam zlecił małą robótkę.

No chyba że tak. Słowa Saleha wiele wyjaśniały. Skoro szef tak kazał, to zupełnie inna sprawa, w którą on wnikać nie będzie.

- Jeżeli chcecie, możecie się zabrać z nami – rzucił Saleh po chwili.
- Co za wielkoduszność.
- Nic z tych rzeczy. Potrzebujemy ochrony.

Zeszli pomiędzy rosnące na poboczu krzaki i niewysokie drzewka. Artur naliczył trzy terenówki, starannie przykryte siatką maskującą. Ali, drugi z saperów, siedział na pace dodge'a, gdzie próbował coś rozkręcić. Artur nie widział dokładnie co, bo gdy podszedł bliżej, tamten zarzucił na ów przedmiot koc.

- Jak się masz?
- Dobrze. – Zęby Egipcjanina błysnęły w ciemności. – Odnieśliśmy dziś wielkie zwycięstwo.
- Pewny jesteś?
- Allah tak chciał.
- Mnie się zdawało, że jest dokładnie odwrotnie.
- Bo...
- Dobra, Ali, już wystarczy. – Saleh klepnął kolegę w ramię. – A wy ładujcie się do wozów.

Jechali w nieznane, co prawdę powiedziawszy, Artura mało obchodziło. Ważne, że oparty plecami o burtę samochodu mógł wygodnie wyciągnąć nogi przed siebie. Monotonny warkot silnika i kołysanie działało lepiej niż bajka na dobranoc. Usnął, sam nie wiedząc kiedy.

Wstępne szacunki mówiły o około trzystu zabitych bojownikach. Wielu rannych nie pociągnie dłużej niż parę dni. Światłość Dnia została rozbita i długo albo nigdy już nie będzie stanowić zagrożenia dla Izraela. Ciężki sprzęt zniszczono prawie w całości. O ofensywie można zapomnieć. Odbudowanie potencjału bojowego zajmie miesiące. Za to o ochotników Szamilew się nie martwił. Wieść o stoczonych bitwach rozeszła się po świecie. Wystarczyło włączyć dowolną arabską stację radiową. Mówiono tylko o jednym, wychwalając Ramzana i jego organizację. Wyrósł na jednego z głównych komendantów w regionie. Przy takiej reklamie pod jego sztandary ścigną bojownicy z najdalszych zakątków świata.

Przy okazji narobił też sobie wrogów. I nie chodziło tu o Żydów, lecz o samych dżihadystów. Któż bowiem lubi konkurencję, nawet do względów Allaha? Nikt. Lokalni watażkowie z jeszcze większą zawiścią będą patrzeć na jego poczynania, bacząc pilnie, aby nie wzmocnił się ponad miarę. Wiedział, czym to może się skończyć – któryś z ochotników ostatecznie okaże się nasłanym na niego zamachowcem. Ramzan słyszał o co najmniej paru takich przypadkach. Tu każdy miał broń, więc mimo najściślejszej ochrony wróg znajdzie w końcu do niego dojście.

Na razie jego przewaga była bezsporna: miał trzy ładunki paliwowo-powietrzne, a takim argumentem nie dysponował żaden z polowych komendantów.

Ten atut był jednocześnie problemem. Izraelczycy nie spoczną, nim nie dorwą jego i utraconej bomby. Bliski Wschód wkrótce zrobi się dla niego za ciasny. Będą go tropić do upadłego. Właściwie już był trupem. Ma niewiele czasu.

Szamilew założył ręce do tyłu. Dookoła odpoczywali jego ludzie. Nastrój panował może nie entuzjastyczny, ale przygnębienia też nie było. Wiedzieli, że dokonali czegoś wyjątkowego – w otwartej walce odparli przeważające siły przeciwnika. I to jakiego!

Normalnie nie zastanawiałby się długo. Oto Allah dał mu narzędzie zniszczenia. Jeśli się postara, zetrze w proch znaczny fragment Tel Awiwu.

Tylko czy o to chodziło?

Ramzan znów się zamyślił. Takiej szansy nie otrzymał nikt przed nim i nie powinien liczyć na to, aby w najbliższym czasie ktoś inny został tak hojnie obdarowany przez Allaha. Stolica Izraela była zawsze pod ręką, niejeden zamach przetrwała i kolejny, nawet tak straszliwy, nie będzie niczym wyjątkowym. A przecież zwycięstwo nad Żydami i ocalenie dla wiernych bomby w ogniu bitwy było wyjątkowe. Zatem i cel tego skrytego zamysłu Allaha musiał być inny, wyjątkowy, wspanialszy. Powinien myśleć globalnie, a nie tylko mając na uwadze własny interes i skromne własne dokonania.

Kolejnym miastem, które nasunęło się Ramzanowi na myśl, była Moskwa. Aż się na duszy zrobiło jaśniej. Przemycenie bomb na teren Federacji Rosyjskiej to niewielki problem. Przy tak rozciągniętej linii granicznej luka na pewno się znajdzie. Jak pierdyknie na placu Czerwonym, to... Właściwie co?

Kremla nie zburzy. Przynajmniej nie w całości. W ten sposób tylko zmarnuje okazję. Ładunki są trzy, a więc jeden detonują przed siedzibą FSB, drugi przed Ministerstwem Obrony, a trzeci na trasie przejazdu prezydenckiej limuzyny. To da się zrobić. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, Rosja rozleci się jak domek z kart. Wybuchnie kolejna wojna domowa, a on stanie na czele rewolucyjnej armii, gromadząc wokół siebie muzułmanów i prowadząc ich aż do ostatecznego zwycięstwa.

Im dłużej nad tym myślał, tym bardziej pomysł wydawał się absurdalny. Zbyt wiele zmiennych. Jeden element nie zadziała i reszta wali się w diabły. Co gorsza, z tego chaosu może wyłonić się nowy dyktator, twardogłowy nacjonalista, który zawróci Rosjanom w głowach i skutek będzie odwrotny do zamierzonego.

Może Teheran albo któraś ze stolic arabskich? Kair lub Rijad? Pozbędą się w ten sposób skorumpowanych władz, a ster rządów przejmą działacze Bractwa Muzułmańskiego.

Niemniej zabijanie braci w wierze, nawet zabłąkanych, to nie był najlepszy plan. Co więc pozostawało?

Olśnienie przyszło nagle. Aż poczuł ciarki, gdy na to wpadł. Pomysł genialny w swojej prostocie. Cel jak marzenie.

Ramzan zatrzymał się i popatrzył na księżyc. Nigdy nie sądził, że jednym ruchem przestawi zwrotnice historii. Takiej okazji nie ma prawa spieprzyć. Najważniejsze to dobre przygotowanie całej wyprawy. Musi wybrać najlepszych ludzi. Piętnastu, a być może i mniej. Wystarczy, by w jedno popołudnie dokonać przełomu, o jakim marzył on i miliony wiernych przed nim.

Oczywiście sam obejmie dowodzenie nad operacją, jest przecież posłannikiem Boga. Zginą tysiące, ale tak trzeba. Konsekwencje będą jeszcze gorsze. Rozpęta wojnę, o jakiej nikomu się nie śniło. Pierwszy krok został wykonany już dzisiaj. Najdalej za parę miesięcy świat zmieni się nie do poznania, *Inszallah*.

Wiedział, że jest to możliwe. Allah już nie raz pogwałcił niewiernych. Dobitym tego przykładem była epidemia, która spustoszyła Stany Zjednoczone. A teraz to on, narzędzie w ręku Najwyższego, dokona aktu destrukcji na niespotykaną wcześniej skalę.

– Taa... no, nieźle, nieźle. – Profesor prowadzący egzamin poprawił okulary na nosie i na moment zapatrzył się w okno. – Dobrze, to proszę mi teraz opowiedzieć o reformach Tiglatpilegara III.

Na twarzy Ernesta Wolskiego, zwanego przez kumpli Plazmą, nie drgnął ani jeden mięsień. Tak prostego pytania się nie spodziewał.

– Po pierwsze reforma armii.

– Coś bliżej.

– Utworzenie pułku królewskiego, złożonego w całości z zawodowych żoł-

nierzy. Spora jego część to konnica.

– Pan też, zdaje się, wojskowy?

– Już nie – odpowiedział Wolski zgodnie z prawdą.

– A miałem wrażenie... No, nieważne, proszę dalej.

– Zmiany w polityce wobec Syrii, gdzie utworzono cztery nowe prowincje.

– Uhm.

– W końcu reforma administracji. Większe zachodnie prowincje podzielono na mniejsze, a ich namiestnicy nie mogli sprawować kontroli nad więcej niż jedną. Przesiedlono także milion ludzi do samej Asyrii, aby odbudować gospodarkę.

– Nie zapomniał pan o czymś?

– Interwencja w Babilonie.

– Wystarczy. Widzę, że się pan orientuje. Dziękuję.

Wolski poczekał na odpowiedni wpis w indeksie, podziękował, wstał i wyszedł na korytarz.

– Ciężko było?

Ci, którzy jeszcze nie zdawali, otoczyli Ernesta wianuszkciem.

– Same banały.

– O co pytał?

– O nową dynastię.

Poluzował krawat pod szyją i uśmiechając się na prawo i lewo, przecisnął się przez czekających na swoją kolej studentów. Gdy wydostał się z tłumu, włączył smartfon. Trzy nieodebrane połączenia i cztery wiadomości w kwadrans. Przecież mówił, że idzie na egzamin. Czy oni choć przez chwilę nie mogą się bez niego obyć? Na szczęście wybrał studia zaoczne, inaczej w ogóle musiałby zapomnieć o wyższym wykształceniu. Dobrze, że zaliczenie wypadło w niedzielę, bo tak pasowało egzaminatorowi, który tyrał na trzech uczelniach, z trudem wiążąc koniec z końcem. Ale jak się ma gromadę dzieci, która ciągnie forszę jak odkurzacz, to co zrobić.

Najpierw wiadomości. Wszystkie o tym samym.

– Ja pierdolę. – Studia to za mało, by pozbyć się koszarowego języka.

– Co mówiłeś?

– Nie, nic, takie tam... hmm. – Chrząknął, chcąc zatrzeć nie najlepsze wrażenie.

Jola Rajska zawsze wzbudzała w nim mieszane uczucia. Wyraźnie czuł dzielący ich dystans. Jej stary był jakąś szyczą w MSZ-ecie, a wcześniej przebywał na placówkach w Ameryce Południowej i na Dalekim Wschodzie. Podobno i ona mieszkała tam z rodzicami przez jakiś czas. Przynajmniej angielski i hiszpański nie sprawiały jej kłopotu. Z taką bazą mogłaby spokojnie studiować na jakimś renomowanym kierunku. Może orientalistyka albo stosunki międzynarodowe? To by ją ustawiło na resztę życia. Co więc robiła na tym wydziale? O pójście na łatwiznę jej

nie podejrzewał.

– Czym ty się właściwie zajmujesz? – zapytała, patrząc Ernestowi prosto w oczy.

– Robię w ochronie – odparł wymijająco.

Tyle musiało wystarczyć. O szczegółach nie mógł mówić.

– W ochronie? Taki chłopak jak ty?

Nie lubił, gdy mu się tak przyglądała tymi swoimi wielkimi szarymi oczami i z kpiącym uśmiechem na ustach. Ciemne włosy, które normalnie spływały jej do ramion, tym razem spięła w koński ogon. O co jej mogło chodzić?

– Tak się złożyło.

– Byłeś w wojsku. – To nie było pytanie, lecz stwierdzenie faktu.

– Tak. Pracowałem w kuchni. – Wolał na wszelki wypadek uciąć dalsze spekulacje w tej materii.

– W kuchni? Nie wierzę.

– A jednak.

Samsung kolejny raz zawibrował w jego dłoni.

– Przepraszam. Muszę odebrać.

– Jasne.

Odszedł w bok i przyłożył aparat do ucha.

– Jestem.

– Długo ci tam jeszcze zejdzie? – Cyrus Parker nie bawił się w uprzejmości.

– Już skończyłem.

– To przyjeżdżaj. Wiesz przynajmniej, co się stało?

– Widziałem tylko info w necie.

– Przejrzyj je sobie w wolnej chwili.

Nim schował aparat do kieszeni, obejrzał jeden z krótkich filmików, którymi zalano Internet. Kolejna masakra. Mówiło się o piętnastu zabitych. Do wieczora ta liczba pewnie wzrośnie. Policja nie udzielała żadnych informacji, tłumacząc się dobrem śledztwa. Postępowanie stare jak świat. Może coś mają, a może nie.

– Gdzieś cię podwieźć? – zaproponowała Jola, która nadal stała kilka kroków dalej.

– Dzięki. Poradzę sobie.

– Jak chcesz.

Rajska odeszła w stronę grupy koleżanek. Nie wiedzieć czemu, Wolskiemu zrobiło się przykro, ale przecież sam ją spławił. Żał mógł mieć wyłącznie do siebie.

Westchnął i podreptał w stronę parkingu, gdzie zostawił motocykl. Rajska musiała o tym wiedzieć, a mimo to zaproponowała podwózkę swoim samochodem. Miłe, ale nic z tego nie będzie. Lepiej, jak przestanie o tym myśleć.

Z sakwy wyciągnął kask i wsunął na głowę, dopiął kurtkę i uruchomił silnik. Kawasaki EN-500 to może i nie sprzęt z górnej półki, ale jemu się podobał i dawał

poczucie niezależności. Zdecydowanie łatwiej przejechać nim przez Warszawę w godzinach szczytu niż dowolnym samochodem, z karetką włącznie. Samochodów przybywało w zastraszającym tempie, więc przepustowość ulic spadała.

Pojechał w stronę Alei Jerozolimskich, by następnie skręcić w Grójecką. Tam, w okolicach placu Narutowicza, mieściło się małe biuro firmy, w której pracował.

Na miejsce dotarł dziesięć minut później, zaliczając dwa żółte i jedno czerwone światło. Rozsądkiem nie szafował, lubił, jak skacze mu adrenalina. Dobrze, że nie został wyhaczony przez patrol drogówki. Mandat i punkty karne miałyby jak w banku i jeszcze by się spóźnił.

Zostawił motocykl pod blokiem, a sam z kaskiem pod pachą przeciął chodnik i pchnął oszklone drzwi. Minął krótki korytarz i znalazł się w pomieszczeniu, którego umeblowanie ograniczało się do potężnego biurka i drewnianego wieszaka na ubrania. Wielka mapa świata zajmowała prawie całą ścianę.

– Ledwo pan zdążył, panie Erneście.

Sekretarka dobiegała sześćdziesiątki. W rogowych okularach na nosie przypominała ćmę. Włosy nijakiego koloru spięła w kok. Przeważnie miła i sympatyczna, w szczególnych przypadkach stawała się wredna i złośliwa, a przejście od jednego do drugiego stanu zajmowało jej dosłownie sekundę.

– Na co?

– Jest odprawa. Nie wiedział pan?

– Jakoś wyleciało mi z głowy. – To pewnie stąd te ponaglenia Parkera. –

Wszyscy już są?

– Oprócz pana.

– No tak...

Salka konferencyjna znajdowała się w głębi korytarza. Dotarł już w trakcie briefingu. Usiadł na pierwszym wolnym miejscu, przewiesiwszy kurtkę przez oparcie krzesła. Kask położył na podłodze.

– Na razie dane są szczątkowe. – Prowadzący odprawę mężczyzna co rusz zerkał w stronę otwartego ekranu laptopa.

– Błądzą po omacku – powiedział Parker, rozwalony na jednym z foteli.

– Na to wychodzi. – Mateusz Kruczkowski, w ciemnym garniturze i białej koszuli bez krawata, odwrócił laptop frontem do zgromadzonych. – Sami zresztą zobaczcie.

Ze swojego miejsca Wolski widział jedynie czerwony pasek u dołu ekranu i jakieś ogólne obrazy miejsca zamachu. Słyszał za to doskonale. Materiał był brutalny w swej szczerości i nie pozostawiał żadnych niedomówień.

Wszystko wskazuje, że ataku dokonał zamachowiec samobójca. Jego wspólnicy wciąż pozostają na wolności. Trwają aresztowania, a okolica pozostaje pod szczególnym nadzorem policji.

Zdaniem Wolskiego ten, kto pisał tekst, nie był najmądrzejszy. Same banały i ogólniki. Na chodnikach wciąż leżały ofiary, a ta kretynka pieprzy bez sensu.

Na wniosek ministra spraw wewnętrznych stan wyjątkowy na terenie Holandii został przedłużony o kolejne trzy miesiące. Do patrolowania ulic ponownie skierowano wojsko.

Francja, Anglia, Belgia, Holandia. Zaraz dołączą do nich pozostałe kraje starej Unii. A takie mieli wyszczerkane gęby, gdy mówili o demokracji i swobodach obywatelskich, strasząc Warszawę sankcjami i bliżej niesprecyzowanymi karami.

Polski prezydent i premier już pospieszyli z kondolencjami. O tak, w tym są dobrzy.

Wolski dyskretnie ziewnął. Przygotowując się do egzaminu, zarwał trzy ostatnie noce.

- Plazma, nie śpij – usłyszał głos prelegenta.
- Tak jest.
- Lepiej powiedz, co o tym sądzisz.
- Ja?
- A kogo pytam?

W końcu to Kruczkowski był tutaj szefem. Pięćdziesiąt lat, z czego dwadzieścia siedem w armii. Zaczynał w desancie, lecz taki talent nie mógł się zmarnować i szybko trafił do kontrwywiadu, gdzie dosłużył się stopnia podpułkownika. Na emeryturze znalazł się tuż przed tym, gdy jankesi na dobre zagospodarowali się w Polsce. Szybko znalazł sobie nowe zajęcie – prywatna firma wywiadowcza wraz ze sporym pakietem usług dodatkowych. Ludzie z JSOC znaleźli tu bezpieczną przystań.

– Dla mnie to kolejny przykład całkowitego niezrozumienia problemu. Muzułmańskie getta na obrzeżach miast, strefy *no-go*, gdzie policjanci nawet nie próbują się zapuścić. Nie mówię już o meczetach, które stały się enklawami prawie że eksterytorialnymi. Jak wkroczysz do środka, to na pewno w ciągu godziny będziesz miał na ulicach tysiące protestujących. Trudno mówić, kto tam rządzi: motłoch czy demokratycznie wybrane władze.

- Można coś z tym zrobić czy nie?
- To nie terroryści są problemem.

Oczy zebranych wbiły się w Ernesta.

- Co masz na myśli?
- Więcej ludzi ginie...
- Jak masz pieprzyć takie farmazony, to lepiej od razu się zamknij.

– Chciałem tylko powiedzieć, że o wiele większe zagrożenie stanowią zwykli imigranci. Wyobraźcie sobie białą dzielnicę, do której wprowadza się jedna afrykańska rodzina. Rodzina, mówię, czyli co najmniej dziesięć osób. Hip-hop na full od rana do wieczora, a to tylko pierwsza z szeregu niedogodności. Zwrócisz

uwagę, od razu staniesz się obiektem zaczepek. Źle mówię?

– Dobrze.

– Pierwsza rozróżba, wizyta policji, normalni obywatele zaczynają się bać. Później idzie już z górki. Sąsiedztwo staje się uciążliwe. Nie będziemy przecież za każdym razem wzywać policji. Gliniarze też ludzie. Mają rodziny i swoje problemy, a użeranie się z wyrostkami jest kłopotliwe. W końcu parę osób zaczyna narzucać swoją wolę większości. Dzielnica schodzi na psy. A gdy do pierwszej rodziny dołączają kolejne, zaczyna się równia pochyła. Gwarantuję, że żaden ucziwy Niemiec, Francuz czy Belg nie będzie miał ochoty na szarpaninę z gnojami. Zniszczą ci samochód i zatrują życie. Trzeba się wyprowadzić. Gorzej, że nie bardzo jest gdzie. Masakra.

– Piękny wywód, Plazma, naprawdę piękny.

– Staram się.

– Doktorat gotowy.

– Bez przesady, jestem dopiero na pierwszym roku – odrzekł skromnie Wolski. Dopiero poniewczasie zorientował się, że koledzy z niego żartują. – A idźcie...

– Ernest ma rację. – Kruczkowski zachował poważną minę. – Tak to z grubsza wygląda. Na obecnym etapie rządy państw Europy Zachodniej już nie są w stanie kontrolować wydarzeń. Z każdym dniem robi się gorzej. Mówię to z żalem. Nikt już nie wie, ilu muzułmanów jest w krajach starej Unii.

– Miliony.

– To na pewno. Tylko ile milionów? Dziesięć, piętnaście czy dwadzieścia?

– Co mówią szacunki?

– Tym akurat można sobie podtrzeć tyłek, są bez znaczenia. W którymś momencie to wszystko się wysypie. – Kruczkowski uczynił wymowny ruch dłońmi.

– Dziś mieliśmy piętnastu zabitych. Jak się wydaje, to fart. Następnym razem będzie gorzej.

– Fart? – zapytał ktoś z boku.

– Tak mi się powiedziało. I tak na jeden udany zamach przypada co najmniej dziesięć udaremnionych. Można powiedzieć, że wciąż wygrywamy. Szkoda tylko, że po tym ostatnim numerze na Bałkanach Berlin udaje, że nic się nie stało. Bez współpracy na tym polu polegniemy wszyscy bez wyjątku.

– Sami chcieli. – Cyrus Parker podrapał się po karku.

– W tej kwestii nie chcę się wypowiadać. – Kruczkowski znał przebieg wydarzeń od podszewki, niemniej wiele spraw wciąż było dla niego niejasnych.

Z państwa, z którym normalnie dawało się dogadać, Niemcy najpierw stały się neutralne, a później wrogie i nikt nie wiedział, jak długo ten stan się utrzyma.

– Który to już... incydent? – Plazma wrócił do głównego wątku rozmowy.

– A kto to może wiedzieć? Założę się, że już jutro mało kto będzie o tym pa-

miętał – odezwał się Pablo Castillo, który do tej pory siedział cicho.

– Oprócz tych, którzy zostali poszkodowani, i ich rodzin. Z nimi trauma zostanie już na zawsze – odparł Wolski.

– Amen. Ty to się lubisz ze mną drażnić.

– Po prostu mam swoje zdanie.

– Nie każdy...

– Przestańcie – łagodnie upomniął ich Kruczkowski. – Pogadacie sobie przy piwie. Dziś mamy co innego na tapecie.

– To nie chodzi o zamach w Eindhoven?

– Nie do końca.

Już nikt nie chrząkał i nie posapywał, każdy czekał, co szef ma im do zakomunikowania.

– Nie wiem, czy wiecie, ale wczoraj Izrael przystąpił do większej operacji wojskowej w zachodniej części Syrii.

– Coś mi się obilo o uszy – wyrwało się Parkerowi.

– Było o tym w telewizji. Nie w naszej co prawda, tylko w BBC News i stacjach arabskojęzycznych.

– Co ich tak przypiliło?

– Problem w tym, że nie wiadomo. Informacje są skąpe, zupełnie jakbyś próbował wycisnąć wodę z kamienia. Nikt nic nie wie. A przy tym pełna dezinformacja. Podobno celem był któryś z komendantów partyzanckich.

– Dorwali typa?

– Trudno powiedzieć. Tel Awiw nabrał wody w usta.

– A co się mówi nieoficjalnie?

– Operacja okazała się klęską. Nie wiem, na ile się to potwierdzi, ale Izrael stracił masę sprzętu.

– Masę? To chyba nie jest precyzyjne określenie.

– Ale ty się czepiasz. – Kruczkowski nieznacznie skrzywił usta.

– Warto wiedzieć, zwłaszcza co stracili.

– Prowadzisz statystykę?

– Tak jakby. – Parker nie dawał za wygraną.

– Mówi się... zaznaczam, że źródła nie są do końca wiarygodne, o co najmniej dziesięciu zestrzelonych samolotach i śmigłowcach.

– Nie wierzę. Aż tyle?

– Sam jestem zaskoczony. Wydawało się, że oni są mistrzami w prowadzeniu takich akcji.

– A mówili o sobie, że są najlepsi na świecie – dodał z przekąsem Wolski.

– Najlepsi to jesteście my, nie? – rzucił Parker.

Gromki śmiech i pokrzykiwania odbiły się od ścian pomieszczenia, tylko Kruczkowski pozostał poważny.

– Dobra. Spokój. Spokój, mówię. Później się dowartościujecie.

– Pożartować nie można?

– Ty, Cyrus, próbowałeś sił na estradzie? Na komika nadajesz się idealnie – docinał niezrażony Ernest.

– Mam wiele talentów.

– Zrobimy z ciebie maskotkę oddziału.

Tym razem rehot był jeszcze głośniejszy.

– No, już wystarczy. Warto zapamiętać, że skoro Izraelowi powinna się noga, to każdemu może. Wyraziłem się jasno? Nie myślcie sobie, że jesteście takimi ideałami. Każdy ma słabszy dzień – dobitnie zaznaczył Kruczkowski.

– Nam to nie grozi.

– Koniecznie chcesz dostać jakieś parszywe zadanie. Jak ci się nudzi, mogę cię wysłać na wycieczkę do... bo ja wiem? Zgorzelec. Będziesz liczył tiry przekraczające granicę.

– Niewiele ich ostatnio.

– Dla ciebie wystarczy. Czy się mylę i już się podciągnąłeś z matematyki? Były sierżant na wszelki wypadek nie podjął tematu.

– Jaka stąd płynie dla nas nauka? – Kruczkowski kontynuował, zadowolony ze zgaszenia Amerykanina.

– Każdy wcześniej czy później da ciała – powiedział Wolski.

– Doskonale to ująłeś.

– A jak się to przekłada na nasze sprawy? Bo operacje wojskowe w tamtej części świata chyba mało nas obchodzą.

– Czytałeś dzisiejszą prasę?

– Nie.

– Zrozumcie w końcu, że polityka to nie tylko pierwsze strony gazet. To oczywiście też, ale bezpośrednio nas dotyczą sprawy, którym przeciętny czytelnik nie poświęca uwagi. Choćby ta notka z dzisiaj: *Na południu Federacji Rosyjskiej odnotowano niespotykaną wcześniej plagę szarańczy*. Na pozór ciekawostka. Kogo to może obchodzić? Niestety prawda jest bardziej skomplikowana. Miliardy owadów spustoszą na swojej drodze wszystko, co automatycznie przełoży się na wzrost cen żywności. Ludzie, żeby żyć, zaczną wybijać bydło. Do garnka coś trzeba włożyć. A jak już zjedzą krowę, to co dalej?

– Zamieszki.

– Przynajmniej jedna osoba w tej grupie myśli – Kruczkowski pochwalił Plazmę. – Jak władze lokalne okażą się mało operatywne, wybuchną buntury głodowe, a to z kolei doprowadzi do wewnętrznych migracji. Ludzie pojedą do wielkich miast, gdzie jak sądzą, życie jest łatwiejsze. Nie muszę mówić, że to nie rozwiąże żadnego problemu. Miasta ich wchłoną, spoko, ale niemal wszyscy bez wyjątku zasila szereg najbardziej upośledzonych klas społecznych. Krótko mówiąc, w najlep-

szym razie dostaną najgorzej płatną pracę albo zostaną bezrobotnymi. Poczucie krzywdy będą nosić w sobie do końca życia i przekażą je swoim dzieciom. Kreml może ich wykorzystać jeszcze w inny sposób. Tam przecież mieszkają miliony. To Nadwołże, Kraj Stawropolski i część Syberii. Skoro kraj ich nie wykarmi, niech jadą za granicę. Wielu z nich, o ile nie większość, to muzułmanie. I tu wracamy do punktu wyjścia.

- Niezłe świństwo – zrozumiał Wolski.
- My to nazywamy bronią D.
- Mnie się wydaje, że funkcjonujemy w chorym świecie.
- Bez przesady. Na przestrzeni wieków takich migracji odbywało się wiele.

Kto jak kto, ale ty, Plazma, powinienes o tym wiedzieć najlepiej.

- Szefie, jestem dopiero na pierwszym roku.
- To i tak masz łatwiej od swoich kolegów. Oni znają jedynie szkołę życia.
- Właściwie czym się to może skończyć?
- A kto to może wiedzieć? – Kruczkowski wzruszył ramionami. – Jedno wam mogę powiedzieć: na pewno wyniknie z tego jakieś nieszczęście.

Po trzech dniach w Bejrucie wiedział już w zasadzie wszystko, czego potrzebował. Rys historyczny przyswoił sobie również. Uważał, że to ważna część składowa przedsięwzięcia. O przeciwniku należało dowiedzieć się wszystkiego. Zwłaszcza o takim przeciwniku.

Zaczął od dzieł ogólnych, z czasem przechodząc do szczegółów. Im bardziej wglębiał się w temat, tym bardziej zachwycał go ten pomysł. Poza wymiarem ideowym miał wiele zalet operacyjnych, jak na przykład tę, że nie wiązał ich konkretny termin. Przyjadą i odpalą ładunki – wszystko w temacie. Precyzja też nie była wymagana. Miejsca tam tyle, że każdy się zmieści. Jeżeli chodzi o dokumentację, to ta niemal pchała się do ręki. Było tego aż za dużo, ale i tak zrobią mały rekonesans. Nie można dać się zwieść pozornej łatwości. Nic nie pozostawi przypadkowi.

Że też wcześniej nikt na to nie wpadł. To przecież takie proste, a efekt będzie jak po 11 września albo i bardziej spektakularny. Wtedy też świat zatrzęsał się w posadach.

Jego skarb, CBU-55, posiadał wiele zalet. Prawdę powiedziawszy, ten ładunek był nawet lepszy od bomby atomowej, bo nie emitował promieniowania. Atomówkę wykryje pierwszy lepszy detektor. W tym przypadku nie było takiego ryzyka.

Najważniejsze to przetransportować bombę do Europy. Na razie nie wiedział, jak podejść do tematu, ale spokojnie, jakoś sobie z tym poradzi.

Szamilew przejechał dłonią po delikatnym języku, jaki porósł mu głowę. Włosów strzyc nie będzie, żeby zbytnio nie rzucać się w oczy. Z tego samego po-

wodu zgolił też brodę. Wyglądał teraz na zwykłego, miłego mieszkańca Libanu, idealnie wtapiając się w tłum. Jedyne z oczami był problem – pozostały skośne i lekko wyłupiaste, jak u dalekiego mongolskiego przodka. Mógł je zoperować, ale uznał, że za dużo z tym zachodu. Allah takim go stworzył. Lepiej nie będzie.

Przysiadł przy jednym ze stolików ustawionych na ulicy i zamówił kawę. Przyniósł ze sobą kilka książek i przewodników turystycznych. Przejrzy je, a potem pójdzie dalej.

Ochroniarz zajął miejsce obok, czujnie rozglądając się po okolicy, więc on mógł spokojnie poświęcić się lekturze. Wolał niczego nie zapisywać, wystarczał mu scenariusz układany w głowie.

Powoli przeglądał wielki album z setkami zdjęć i planami architektonicznymi. Ta jedna publikacja dostarczała więcej informacji, niż potrzebował. Rzeźby, kolumnada... było na co popatrzeć. Niedługo. Jeszcze miesiąc, dwa, w zależności od tego, kiedy uda mu się spiąć wszystkie elementy w całość.

Po pierwsze ludzie i bezpieczny transport.

Saleh. Dobry, ale nie ekspert. Ładunkami powinien zająć się ktoś z większym doświadczeniem. Elektronik albo specjalista od uzbrojenia, a takiego dopiero należało poszukać. Obcy z zewnątrz, czyli lekko nie będzie.

Kto dalej? Snajper? Raczej zbędny. Spec od łączności – na pewno. Dobry kierowca? I to nie jeden. Dwóch albo i trzech. Znajdą się.

W głowie Ramzana pojawiły się pierwsze nazwiska. Saleh do obstawy elektronika. Później Ibrahim. W cywilu robił za mechanika, zobaczymy, co potrafi. Być może jeszcze Alex Niang – istna złota rączka. Problem w tym, że pochodził z Erytrei. Czarny jak noc. Musi to przemyśleć. Lepiej otoczyć się osobami o europejskim wyglądem. W jednym z oddziałów służył Sycylijczyk. Facet miał jednak niewyparzoną gębę i zbyt go irytował. Był i Niemiec z Hamburga. Rudy i brzydki jak nieszczęście, na sam jego widok przechodnie rzucali się do ucieczki.

Ostatecznie zdecydował się na Antona, Rosjanina z Woroneża. Czysta przeciętność: mały, łysawy, trochę niedożywiony, jednak sprawny zabijaka. Fiodor, drugi Rosjanin – mechanik i kierowca. Paul Renard, Alzaczek – łączność. Przy okazji znał się na elektronice. Sznajder... hmm, twardy zawodnik, nie pęka, zna teren, potrafi prowadzić i ogólnie jest dobry. Jeden z lepszych strzelców w Światłości Dnia. Timur, jego kumpel. Tendencje samobójcze ma wymalowane na twarzy.

Nad paroma kolejnymi jeszcze się zastanowi. Najlepiej będzie, jak przedyskutuje najskuteczniejsze warianty ataku z kimś doświadczonym. Wówczas postanowi, ilu podkomendnych wejdzie wraz z nim do nieba. Bo to, że zginą, wydawało się wielce prawdopodobne.

Ramzan spojrział na zegarek. Do siedemnastej pozostał kwadrans. Należało się zbierać. Być może po spotkaniu będzie wiedział więcej.

Ostatni raz siorbnął z filiżanki. Publikacje, które przyniósł ze sobą, schował

do plecaka. Później wywali makulaturę do śmieci. Lepiej nie zostawiać jej na widoku.

Był gotowy. Wstał i wymijając stoły i krzesła, ruszył w stronę bulwaru Charlesa Hélou.

Wolał się nie spóźnić. Szmilewa nic tak nie mierziło jak niepunktualni buce. Masz się z kimś spotkać, to przyjdź o czasie. Czy to aż taki wysiłek?

Lokal, do którego zmierzał, zaliczał się do mikroskopijnych. Przy pięciu osobach w środku już robiło się ciasno.

Obstawę pozostawił na zewnątrz, a sam zajął miejsce naprzeciw tęgiego Libańczyka o twarzy buldoga i manierach drugorzędnego gangstera z filmów klasy B.

Przywitanie było mało wylewne, by nie rzec zdawkowe.

– Co cię sprowadza do naszego pięknego miasta, przyjacielu? – Gibran Ajram właśnie z rozkoszą pałaszował porcję spaghetti. To, zdaje się, w ramach przyjętego image'u. Krople pomidorowego sosu pryskały na białą marynarkę i czarną koszulę. Ajram zamiast krawatu nosił na szyi gruby złoty łańcuch.

Raszidowi stanęła przed oczami sura *Al-Isra*:

*Temu, kto pragnie życia przemijającego,
my pospiesznie dajemy mu w nim
to, co chcemy i komu chcemy.*

*Następnie przygotowujemy mu Gehennę,
aby się w niej palił,
poniżony, odrzucony.*

– Odbywam pielgrzymkę – wycedził, uśmiechając się do swoich myśli.

– Mekka jest bardziej na południe.

– Nie o takiej pielgrzymce mówię.

Gibran znieruchomiał. Trwało to sekundę, po czym oblizwał widelec.

– Podobno...

– No?

– Mówią, że wyznaczono za ciebie nagrodę.

– A kto chce ją zgarnąć?

– Twój wrogowie, rzecz jasna.

– A ty?

– Przecież mnie znasz. Jestem twoim najlepszym kumplem.

– Ja nie mam kumpli, Gibran. Zapomniałeś już o tym? A tych parę interesów, które razem zrobiliśmy, o niczym jeszcze nie świadczy.

– Łamiesz mi serce.

– Żartujesz? Przecież ty nie masz serca.

– Ramzan, proszę cię, ja nie mam serca? Przecież ja dla ciebie wszystko. Pamiętasz, jak trzy lata temu wystawiłem ci tego sukinsyna?

Szamilew przytaknął. Facet był wyjątkowo odrażającą kanalią. Pracował dla co najmniej trzech organizacji wywiadowczych i jeszcze kręcił lody na boku. Ramzanowi podpadł, bo nie wywiązał się z dostawy rakiet TOW, które właśnie zniknęły z magazynów libańskiej armii.

– Nasz układ ma charakter ściśle biznesowy.

– Skoro tak twierdzisz... – Ajram odstawił talerz i wytarł usta serwetką. –

W takim razie co mogę dla ciebie zrobić?

Szamilew odchylił się do tyłu. Nie chciał powiedzieć za dużo. Gibran nie należał do kręgu najbliższych współpracowników. Był lojalny, to fakt, ale postawiony pod ścianą ugnie się.

– Szukam hakera.

– Hakera?

– Co w tym dziwnego?

– Nic. Twoja sprawa.

– Znasz kogoś takiego?

– Muszę się zastanowić. – Gibran odwrócił się i gromkim głosem zamówił cappuccino.

– Rób to szybciej.

– Po co ten pośpiech?

– Siedzimy tu jak dwa palanty na widoku. Wiesz, że tego nie lubię.

– Trudno dorwać kogoś tak na zawołanie.

– Nie po to ci płacę, abyś raczył mnie takimi kawałkami. Nie jesteś jedyny.

Jeżeli nie chcesz zarobić, znajdę kogoś innego. – Szamilew zaczął się zbierać do wyjścia.

– Czekaj, czy ja mówiłem, że nie chcę ci pomóc? – Wydawało się, że Ajram chce złapać Ramzana za rękaw. – Znam kilku.

– Dobrzy są?

– Najlepsi w branży.

– Sami absolwenci Harvardu i Princeton.

– Czego?

– Nieważne. Skup się. Można im ufać?

– Dlatego chciałem pomyśleć, a ty się rzucasz. To ludzie do wynajęcia. Obowiązuje zasada ograniczonego zaufania. Dopóki im płacisz, jest dobrze – wyjaśnił Gibran. – Taki ktoś musi się wykazać jakimiś szczególnymi zaletami?

– Ma siedzieć przed komputerem, a nie podkładać bomby.

– Tak tylko pytałem. Jeden z nich skacze ze spadochronem i nurkuje.

– Koniecznie chcesz mnie zirytować.

– Oczekiwania są różne. Ty wybierasz.

– Mnie wystarczy taki zwykły, niczym się niewyróżniający.

– David. Będziesz z niego zadowolony.

- Żyd?
- Chyba żartujesz. – Tym razem to Gibran się obruszył. – Chłopak przyjechał na wakacje z Kalifornii i został. Pomieszkiwał to tu, to tam. Raz został wynajęty przez Hezbollah. Byli zadowoleni z jego usług.
- A prócz tego?
- Prowadzi księgowość. Nie żartuję, mówię poważnie.
- Litości.
- Wiesz, ile zapłaciłem podatku w zeszłym roku? Nie zgadniesz.
- Nie wiem i nie chcę wiedzieć. – Ramzana zaczęło swędzieć oko. – Fircyka od rachunkowości nie potrzebuję.
- To może Alvaro? Hiszpan. Pracował dla baskijskiej mafii...
- Nie.
- Wybredny jesteś.
- Te kandydatury są do niczego.
- Nie znasz żadnego z nich, a narzekasz. Jak chcesz przeprowadzić atak na strony internetowe, to oni są idealni.
- Pomyśl o kimś mniej doskonałym.
- Faruk, muzułmanin z Kaszmiru. Napsuł sporo krwi hinduskim siepaczom.
- W końcu zacząłeś mówić jak człowiek. – Ramzan poczuł ostrożny optymizm.
- Służył w lotnictwie.
- Czym się zajmował?
- Obsługa naziemna. Za stery niepewnego politycznie nikt nie puści.
- Umów mnie z nim.
- Na kiedy?
- Dziś dasz radę?
- Najszybciej jutro.
- Dobra – zdecydował Szamilew. – A teraz kolejna sprawa.

Faruk Ahmed Kabir nie był już taki młody. Właśnie dobiegł trzydziestki. Poważny wiek, choć obiektywnie należało przyznać, że nie wyglądał na tyle. Drobnny, by nie rzec niepozorny, patrzył na świat dużymi, wiecznie zdziwionymi oczyma.

O mieszkańcach Indii Ramzan miał nie najlepsze zdanie. Wiecznie czymś zajęci i hałaśliwi ponad miarę, niczego nie potrafili doprowadzić do końca. Kabir natomiast mile go zaskoczył. Cichy i spokojny, o palcach pianisty.

- Ajram cię chwali.
- To bydlak, który nie szanuje Boga ani najbliższych.
- Masz jakieś dowody? – Szamilew nie krył zdziwienia.
- Mówi o Proroku, ale pije alkohol.

– Ach, to...
– Kantuje, gdzie popadnie.
– To prawda.
– I dobiera się do nieletniej córki własnej kuzynki.
– Nikt nie jest doskonały. To przecież Libańczyk, tu jest tylu niewiernych, że nie sposób zachować...

– Kutas płaci grosze. – Kaszmirczyk dał upust frustracji.

Ramzan rozejrzał się po pokoju, który tamten wynajmował. To właściwie nie był pokój, tylko klitka cztery na trzy z materacem na podłodze, niewielką komodą i biurkiem, na którym stał komputer.

Życie w tych warunkach to wegetacja. Na korytarzu drą się bachory, a pod oknem śmierdzi sterta odpadów. Ramzan nieraz zastanawiał się, co sprawia, że Bejrut wciąż funkcjonuje. Woda w kranie płynie, prąd jest, zaopatrzenie również, tylko ta fala uchodźców, która zalewała miasto od kilku lat... Było ich już tylu, że wchodzili sobie na głowy. Nikt się o nich nie troszczył. Organizacje charytatywne już dawno przestały nieść pomoc, więc nie było co czekać na darmową miarę ryżu. Kto nie zarabiał, ten ginął z głodu.

– Rozumiem, to jest problem.

Kabir oderwał w końcu wzrok od monitora i popatrzył na Tatara.

– Masz rodzinę? – Pytanie Szamilewa zawisło w powietrzu.

– Większość wybili Hindusi.

– Kto ocalał?

– Brat. Jest gdzieś w Islamabadzie. O innych nic nie wiem.

– Jak to się stało?

– Przyszli przed świtem, kiedy wszyscy jeszcze spali. Policja i oddziały specjalne. Czarne Koty, tak nazywają tych sukinsynów. – Faruk splunął na podłogę.

– A ty gdzie wówczas byłeś?

– Pojechałem do Padum, miałem tam sprawę do załatwienia. – Oczy Kabira zwięzły się do dwóch szparek. – Wszystkich wygnali i zamknęli w obozie dla ekstremistów. Parę tygodni później wybuchła tam epidemia cholery.

– Allah jest łaskawy dla tych, którzy w niego wierzą.

– Wiem.

– Powiedz mi, Faruk, czy boisz się śmierci?

– Nie ma Boga prócz Allaha, a Mahomet jest jego prorokiem.

– Nie o to pytałem.

Zapadła chwila krępującego milczenia.

– Sam nie wiem – padła w końcu odpowiedź rozdrażnionego Kaszmirczyka.

– To zupełnie jak ja. Są dni, kiedy jestem na nią zdecydowany i nie ma znaczenia, co się stanie, ale niekiedy i mnie nachodzi zwątpienie.

– Ciekawe.

- Ludzie są tylko ludźmi. Nie ma w tym niczego złego.
- Może nie zdobył całkowitego zaufania hakera, ale przynajmniej przykuł jego uwagę. Teraz już łatwiej będzie nim manipulować.
- Mam propozycję.
- Jaką?
- Jest problem techniczny i nie wiem, jak się z nim uporać. To trochę skomplikowane.
- Kabir obrócił się w stronę komputera.
- Podobno nie ma rzeczy niemożliwych do wykonania.
- Powoli. Jeszcze nie podałeś ceny.
- Dogadamy się.
- Już to parę razy słyszałem, a później chcieli ze mnie zedrzeć ostatnią koszulę.
- Tak źle nie będzie.
- Jest tylko jeden mały szczegół...
- Słucham.
- Musimy się kawałek przejechać.
- Daleko?
- Zależy, jak na to spojrzeć. Weź ze sobą trochę ubrań. O resztę się nie martw. Jak się dobrze sprawisz, wrócisz bogaty.

Artura bolały plecy. Nie tylko zresztą one. Prawe kolano i lewy nadgarstek też domagały się lepszego traktowania. Otarć i stłuczeń nie liczył. To normalne przy trybie życia, jaki prowadził. Jedno wiedział na pewno: mały odpoczynek w jego przypadku był jak najbardziej wskazany. Od miesiący czuł się zmęczony. Wiedział, że to głównie skutek stresu oraz mieszaniny wiecznej niepewności i poczucia tymczasowości. Dwa tygodnie w sanatorium... Tak, to akurat coś dla niego.

Właśnie stał na warcie z tęym wzrokiem wbitym w horyzont. Aby nie zasnąć, zrobił parę kroków, wyprostował ramiona, odetchnął głębiej. Trochę lepiej, ale tylko trochę. Po pastylce tramadolu świat od razu stałby się lepszy, lecz ostatnią tabletkę trzymał na specjalną okazję. Dostawy szwankowały. Wcześniej nie było z tym problemu.

Zacisnął zęby, żeby zwalczyć pokusę. Snując się noga za nogą, poszedł w stronę końca ceglanego muru, za którym znajdowała się zagroda kóz.

Obejrzał się za siebie, gdy usłyszał ciche kroki. Widok Szamilewa sprawił, że ocknął się natychmiast. Z Ramzanem rozmawiał tylko raz po powrocie z wyjątkowo udanej akcji, gdy ten przyszedł im pogratulować. Taki dowód uznania sporo znaczył. W tym świecie nie było orderów, medali, dyplomów czy wyróżnień przed frontem kompanii. Jeśli się zasłużyłeś, awansowałeś. Cała reszta w ręku Boga.

- Niech Allah ma cię w swojej opiece.
- Sznajder niewyraźnie odpowiedział tym samym.
- Zdziwiony moim widokiem? – Komendant nie krył rozbawienia. – Niepotrzebnie. Jestem takim samym bojownikiem za wiarę jak i ty.
- Już zupełnie po europejsku podali sobie ręce.
- Mieliliśmy ostatnio trudny okres – zagaił dowódca.
- Sporo się działo.
- O tak, dostaliśmy mocno w kość. Przecież znasz prawdę. Omal nie wybili nas wszystkich. Przy okazji powiem ci, że wiem, co zrobiłeś. Rozmawiałem z Timurem, bardzo cię chwalił.
- Mojej zasługi w tym najmniej.
- Jesteś skromny. To dobrze. Wielu jest takich, którzy przypisują sobie czyny innych.
- Po owocach ich poznacie.
- Słucham?
- Nie, nic, takie tam... – Artur nie do końca wiedział, jak ma wybrnąć z niezręcznej sytuacji.
- W porządku. Masz rację. Po owocach ich poznacie... Dobrze. Muszę to sobie zapisać. – Szamilew szedł przed siebie ze Sznajderem u boku.
- Gdzieś to usłyszałem.
- Nie oszukujmy się. Większość z naszych współbraci i sióstr to... Ech, co ja będę mówił. Szkoła koraniczna, z całym dla niej szacunkiem – wiem, bo sam taką kończyłem – zapewnia jedynie edukację religijną. Jeżeli chodzi o całą resztę, to szkoda mówić. Niegdyś muzułmańskie stolice kwitły. Przodowaliśmy w medycynie, matematyce, filozofii, astronomii i sztuce. A dziś? Tylko demografia przemasza za nami. Oprócz ropy i gazu niewiele mamy świata do zaproponowania.
- Allah jest wielki.
- To prawda, ale to my sami musimy dokonać przełomu. Obecnie tkwimy w jakimś straszliwym impasie. Sam to chyba przyznasz. Nie tylko zresztą tutaj. Staramy się ze wszystkich sił, a mimo to ostateczne zwycięstwo wciąż jest daleko.
- Mnie się zawsze wydawało, że to strategia obliczona na wieki.
- Ja jestem bardziej niecierpliwy – roześmiał się Szamilew.
- Ja też, lecz nie widzę realnych możliwości.
- A jakbym ci powiedział, że jest sposób?
- Sznajder zwolnił. Jego mózg pracował teraz na maksymalnych obrotach.
- Tak, przyjacielu, możemy tego dokonać. Mówię całkiem serio.
- Izraela nie wykopiemy do morza. Już raz o mało nas nie zniszczyli.
- Tu nie chodzi o maleńki Izrael. Gdy plan się powiedzie, zapanujemy nad Europą.
- Całą?

– Oczywiście, że całą. Powstanie Kalifat, ale nie taki jak ten Państwa Islamskiego, tylko prawdziwy. Popłynie przy tym sporo krwi, ale ta ofiara będzie miła Allahowi.

– Turcja już próbowała uporać się z Grecją...

– Turcja? Zostanie jedną z prowincji.

– Jak to?

– Normalnie. Tak samo stanie się z Egiptem, Arabią Saudyjską, Francją czy Niemcami. Zaprzągniemy niewiernych do rydwanu zwycięzców. Cały potencjał ekonomiczny tych krajów będzie nas wspierał.

– Wybacz, ale nie bardzo potrafię to sobie wyobrazić. Może za sto czy dwieście lat. Ale dziś?

– Zobaczysz, że tak się stanie. I to już za parę miesięcy, jeśli Allah pozwoli.

Wizja, którą roztoczył Szamilew, przez chwilę podziałała na Artura lepiej niż pigułka tramadolu. Muzułmanie tryumfują. Szariat staje się jedynym prawem. Sztandar Proroka powiewa wysoko...

Historia nie chadza tak prostymi drogami.

Kompletnie nie wiedział, co ma myśleć o tych rewelacjach. Najlepiej zrobi, jak poczeka. W końcu Ramzan z jakiegoś powodu go zaczepił.

– Dalej mi nie wierzysz?

– Sam nie wiem.

– I dobrze. Chodź, to coś ci pokażę.

Do szopy znajdującej się na obrzeżach osady doszli parę minut później.

W środku ustawiono dwa ledowe reflektory na statywach, które oświetlały masywny drewniany stół. Spoczywał na nim przedmiot kształtem przypominający wielką butlę z gazem.

Sznajderowi z wrażenia zaparło dech. W jaki sposób Szamilew zdobył broń atomową? Ten facet posiadał niesamowite doświadczenia.

Saleh, z rękami w kieszeniach spodni, stał za plecami chudego młodzieńca, śmigającego palcami po komputerowej klawiaturze.

– Jak ci się podoba? – Ramzan nie przestawał się uśmiechać.

– To jest...

– Nie. Saleh wyjaśni ci to dokładnie – Szamilew uprzedził dalsze pytania.

Sznajder nie był idiotą. Nagle niektóre z dotychczasowych zagadek znalazły swoje rozwiązanie.

– Prezent od Izraela – powiedział saper. – Chcieli nam to zrzucić na głowę.

– Prawie im się udało. – Szamilew przytaknął.

– I oberwali. Tak Allah karze niewiernych.

Śniady mężczyzna popatrzył w ich stronę.

– To Kabir. Współpracuje z nami od niedawna.

Ta wiedza nie była Arturowi do niczego potrzebna. Skoro Ramzan już o tym

wspomniał, to musiał mieć w tym jakiś cel.

- Potrzebuję najlepszych.
- Do czego?
- Odmienimy świat.

W zasadzie powiedziane zostało wszystko. Odpała to cholera w jakiejś metropolii. Ofiar będą setki, jak nie tysiące. W tym momencie powinien poczuć łaskę Allaha, ale nic podobnego nie nastąpiło. Zamiast radości Artura ogarnął lodowaty lęk, strach zdusił mu gardło zimnymi szponami. Był wojownikiem, nie zbrodniarzem. Przypadkowe ofiary się zdarzały, wojna to wojna, jemu samemu... nie, nie chciał o tym pamiętać. Jak detonują to gówno, nie zaśnie już chyba do końca życia.

- Przyłączysz się?
- Oczywiście. – Uśmiechnął się samymi kącikami ust. Jeśli wejdiesz między wrony, musisz krakać jak i one.

Ramzan Szamilew przepadł i na nic się zdawały wściekle wysiłki Gabriela Lipschitza. Gdzie podział się ten parszywy szczur? To pytanie gnębiło oficera wywiadu od rana do wieczora. Już go miał na widelcu, jedna bomba i sru z tym śmieciem do kibla. Ale nie, tu zawsze musi się popieprzyć. Gdyby to było możliwe, udusiłby Yacowlewa gołymi rękami.

W tej sprawie nie wszystko okazało się do końca jasne. Gabriel był święcie przekonany o tym, że przywódca Światłości Dnia żyje, analitycy wywiadu już niekoniecznie. Żadna z obu tez nie opierała się na mocnych dowodach. Ciała nie odnaleziono, ale to przecież o niczym nie świadczyło.

Izraelczyk sądził, że Szamilew zszedł głęboko pod ziemię i maskował się na tyle skutecznie, by izraelski wywiad nie potrafił przechwycić najmniejszej wiadomości. Nie bez znaczenia było, że choć oddziały polowe organizacji mocno ucierpiały, to nie poszły w rozsypkę. Ich morale wciąż pozostawało wysokie, a komszani trzymali podwładnych mocno za pysk. Podziemna sieć komórek terrorystycznych w ogóle nie została naruszona.

Wywiad rozważał trzy podstawowe hipotezy. Szamilew zginął, lecz jego śmierć jest utrzymywana w tajemnicy, a przybocznicy walczą o schedę i już wkrótce świat usłyszy o nowym przywódcy.

Szamilew mógł też zostać ranny i udać się na leczenie. Katar, Dubaj czy Emiraty chętnie przyjmą takiego bohatera, zapewniając opiekę i logistyczne wsparcie. Jeżeli tak jest w istocie, to agentura coś wywęszy. Ścierwo w końcu wypłynie na powierzchnię.

Ostatnia możliwość wydawała się Gabrielowi najbardziej prawdopodobna. Drań przechwycił ostatnią CBU-55 i teraz planuje zrobić z niej użytek. Na myśl, że

celem może być Hajfa czy Tel Awiw, agentowi robiło się niedobrze.

Fachowcy z wojska oceniali, że promień rażenia takiej bomby w mieście może dojść do pięciuset metrów. Pięćset metrów. Kwartał ulic pójdzie w pizdu.

A kto będzie temu winny? Oczywiście on. Oberwą tym samym narzędziem, którego chcieli użyć przeciwko Szamilewowi. Czy to nie zabawne?

Nie.

Zdecydowanie nie.

Raczej żalosne.

Szczur w końcu gdzieś wyjdzie z nory. Oby tylko nie było za późno.

Powiedzieć, że we Włoszech rządzi mafia, to nic nie powiedzieć. Można za to uszczegółwić, że w różnych częściach kraju różnie się ona nazywa i organizacje raczej nie wchodzić sobie w paradę. Wiele je dzieli, ale też wiele łączy – na czele z brutalnością.

Sycylijska Cosa Nostra, neapolitańska Camorra, apulijska Sacra Corona Unita czy kalabryjska 'Ndràngheta nie odpuszczą nikomu.

Wielu twierdzi, że złoty okres tak zorganizowanej przestępczości już minął. Może i tak, ale bezprecedensowy napływ migrantów do Włoch sprawił, że pojawiło się kolejne pole do działania. A jak już jest szansa zarobić, to grzech z niej nie skorzystać.

Szamilew siedział właśnie naprzeciw przedstawiciela jednej z kalabryjskich rodzin. Gość ewidentnie wyglądał na kretyna, był przy tym spasiony do granic możliwości. Ubrań w takim rozmiarze na pewno nie kupi się w żadnym sklepie, musiał je szyc na miarę. Małe oczka gangstera spoglądały na świat spod masywnego czoła. Twarz jak u buldoga. Palce splecione na brzuchu kręciły młynki.

– Milion.

– Ile?

– Milion.

– To dużo.

– Wcale nie.

– Niemniej...

– Cena jest stała.

– A jakie mam gwarancje?

– Nikt was nie zmusza do wybrania naszej oferty.

Bandyta może i wyglądał na prostaka, ale negocjował jak wytrawny biznesmen.

– To tylko paru ludzi i bagaż osobisty.

– Ja wam do walizek zaglądać nie będę.

W hotelowym pokoju panowała duszna atmosfera. Mimo obracającego się

pod sufitem wiatraka powietrze niemal stało w miejscu, lecz czego się spodziewać po nędznym przybytku, gdzie za dobę płaciło się jedynie dwadzieścia euro.

– Jeżeli to wszystko, pan pozwoli, że się pożegnamy.

Fagas nie wykonał najmniejszego ruchu. Ciało wciąż spoczywało w fotelu. On był u siebie. To Ramzan miał wyjść.

Jak on się nazywał? Bruno? Tak się przedstawił. Kij mu w oko.

– Jak nadmieniałem... Jest pan rozsądnym człowiekiem.

– Milion.

– To już słyszałem.

– Nie ja ustalam zasady.

– Zasady niekiedy można nagiąć.

– Obaj wiemy, że bagaż i ludzie są trefni. Co do tego nie ma wątpliwości.

A skoro tak, to i cena musi być odpowiednia. Jestem poważnym przedsiębiorcą... – Karaluch wielkości małego palca Szamilewa przemknął tuż obok buta grubasa.

Ramzanowi wydawało się, że tylko on dostrzegł robaka, ale nie. Przemytnik uniósł nieznacznie nogę i obcasem rozgniół insekta na podłodze. – ...i odpowiedzialnym. Poważny biznes to poważne koszty. Czy pan wie, ile z tej sumy pójdzie na łapówki?

– Pięć procent?

– Dziesięć. O innych wydatkach nie wspomnę.

Duża bańka to znowu nie tak wiele. Dysponował o wiele większą sumą, nie chciał jednak szastać forszą na prawo i lewo. Po przerwaniu do Europy będą musieli gdzieś mieszkać i coś jeść. Samochody i broń to osobna sprawa. W sumie, jak się to wszystko policzy, z funduszy niewiele zostanie.

– A mógłbym wiedzieć, na kiedy będziecie gotowi?

– Za trzy dni.

– Tak szybko?

– Nasz grafik jest elastyczny. Może wolicie inny termin?

– Nie trzeba, ten jest idealny.

– Jest pan pewien?

Ramzan dopiero teraz zrozumiał, że właśnie zgodził się na warunki zaproponowane przez przestępczy syndykat. Można powiedzieć, że wpadł we własne sidła.

– Płatne z góry?

– Interesy z panem to czysta przyjemność.

Ramzan uniósł się parę centymetrów nad krzesło, ale szybko opadł na nie z powrotem.

– W czym jeszcze mogę pomóc?

– Jak nas wystawicie...

– Nie spodziewałem się, że usłyszę takie słowa z pana ust.

– Naprawdę? – W słowach Tatara był czysty jad.

– To godzi w naszą reputację.

– A co się wydarzyło trzy miesiące temu? Mam przypomnieć nazwiska? Zeszli na ląd w Bari, a po paru godzinach już ich zatrzymała policja.

– Sami byli sobie winni.

– Nie znoszę, kiedy robi się ze mnie wała.

Błada twarz Włocha nabrała różowego odcienia.

– Nie mamy z tym nic wspólnego. My wywiązaliśmy się ze zobowiązania.

– Dostaną po dziesięć lat, a mieli pomagać naszym braciom we Francji. Dla wywiadu są kopalnią wiedzy. Ich towarzysze czekają na wyjaśnienia. – Szamilew blefował, ale skąd ten bandyta miał o tym wiedzieć.

– Powtarzam, że to nieporozumienie.

– Właśnie tak chciałbym o tym myśleć. Zwyczajny pech. Policja pojawiła się dosłownie znikąd.

– Tak było.

– A więc informuję, że jeżeli policja dosłownie znikąd zjawi się i tym razem, to rozpoczniemy nieograniczony sezon łowiecki na każdego, kto jest związany z waszą organizacją. Na każdego. Nikt nie będzie bezpieczny. Rozumiemy się?

– Grozisz mi, szczurze? – Włoch zrobił się całkiem purpurowy.

– Na każdego. Wasze matki, żony, dzieci, kochanki, psy, koty i rybki w akwarium.

– Jak cię...

– W czasie wielkiej wojny mafijnej w Nowym Jorku w latach siedemdziesiątych zabito kilkanaście osób. To pan wie. Prasa o tym pisała, sprawa była głośna. Ale czy słyszał pan o Togliatti?

– Jakoś nie.

– Miasto w Rosji z największą fabryką samochodów osobowych w kraju. Gangi walczyły o kontrolę nad przedsiębiorstwem. W ciągu roku zginęło pięćset osób. Tam dwudziestu, tu pół tysiąca. Taka jest różnica między nami. Jak się ziryтуjemy, Kalabria spłynie krwią. I to dosłownie. Od kary nie uchroni was ani policja, ani karabinierzy. Rozwalimy wszystkich.

Szczęka buldoga zaczęła drżeć. Olbrzymie dłonie zaciśnięte na poręczach pobielaty.

– Groźbami nic nie osiągniesz.

– Doprawdy? Poza tym ja nie grożę, ja ostrzegam.

– Na jedno wychodzi.

– Rozumiem, że się dogadaliśmy?

– Większość szczegółów mamy omówioną.

– Doskonale.

Ramzan wstał i od razu skierował się do drzwi. Dalsze przebywanie w jednym pomieszczeniu z tym jełopem przekraczało jego możliwości. Zakichany deta-

lista, któremu się wydaje, że jest potężnym gangsterem.

Tak się składało, że to oni byli prawdziwymi hurtownikami śmierci. Przy nich 'Ndràngheta to amatorzy. Jak przyjdzie pora, weźmie się tych drani za mordę, a tego konkretnego brzuchacza strąci z wieżowca albo rzuci wygłodniałym psom na zakąskę. Zwłaszcza ten drugi pomysł przypadł Ramzanowi do gustu.

Nadchodziła nowa epoka i dla takich indywiduów nie było miejsca. Nawet nie wiecie, nędzni frajerzy, że sami przyczyniacie się do zniszczenia własnego świata. Wasz los jest już przypieczętowany. Napisane zostało:

*Zaprawdę, tym, którzy nie wierzą
w życie ostateczne,
upiększyliśmy ich działania,
więc oni wędrują na oślep.
Oto ci, których oczekuje najgorsza kara;
oni w życiu ostatecznym
będą najbardziej stratni.*

Wyszedł na ulicę. Kolejne spotkanie za godzinę. Czas uciekał, a było jeszcze tyle spraw do załatwienia.

Twarz szejka Ahmeda Chalafa al-Dina emanowała czystą miłością. Siwa broda okalała ascetyczne oblicze, a zza okularów na świat patrzyły bystre oczy mistyka.

Szejk ewidentnie był nawiedzony. To dla Ramzana nie ulegało wątpliwości. Wystarczyło znaleźć się bliżej świętego mędrca, a odczuwało się obecność aniołów. Kto jak kto, ale Al-Din był osobą godną przebywać w ich towarzystwie. W jego towarzystwie wszystko, nawet herbata, którą właśnie popijali, zdawało się czymś wyjątkowym.

– Podobno rozmawiałeś z tym włoskim renegatem, synu?

– Tak.

– Próbował cię straszyć?

– Taką ma naturę.

– To zły człowiek. Zły i niebezpieczny. Wielu dobrych muzułmanów zginęło z jego winy.

Na usta Ramzana już cisnęło się pytanie, dlaczego w takim razie ten drań jeszcze chodzi po ziemi, jednak wolał je pozostawić dla siebie. Widać jakieś powody istniały.

– To tylko narzędzie – dopowiedział Al-Din, wiedząc, jakie Szamilew ma zdanie o przemytniku. – Zadufane w sobie.

– Zauważyłem.

– Uważa, że może nam dyktować warunki.

- Spróbowałem wyprowadzić go z błędu.
- Udało się?
- Myślę, że tak.
- Musi dostać nauczkę.
- I mnie się tak wydaje.

Szejk splótł dłonie na podołku i lekko przymknął oczy. Do kolejnej modlitwy dnia pozostawało jeszcze dwadzieścia minut. Nie za dużo, a sprawa, z którą przyszedł Szamilew, należała do delikatnych.

- Co cię gnębi, synu?

Ramzan mimowolnie drgnął.

- Planuję akcję – powiedział po prostu.
- Jak wielu przed tobą. Tylko co ja mam z tym wspólnego?
- Szejk jest poważaną osobą i ma wielki wpływ na wyznawców Allaha.
- Skąd ci to przyszło do głowy?
- Wszyscy to wiedzą. – Ramzan nieznacznie pochylił się do przodu. Gdyby tak nie było, na pewno nie siedziałby przed Al-Dinem. – Potrzebuję wsparcia.

– Wiara jest moją siłą. Nie zajmuję się przygotowaniem... jak to powiedziałeś, „akcji”.

– Nie takie wsparcie miałem na myśli. – Szamilew powoli wypuścił powietrze z płuc.

- A jakie?

– W Europie są setki zakonspirowanych komórek, które tylko czekają na wezwanie do walki.

– A tobie się wydaje, że mnie posłuchają? Nie, mój synu, to nie jest dobry pomysł.

– To, co przygotowuję... jest wyjątkowe. Czegoś podobnego nie było nigdy wcześniej, może z wyjątkiem ataku emira Osamy.

- Muszę znać szczegóły.

Ramzan mówił przez następne trzy minuty. Z każdym kolejnym zdaniem twarz szejka robiła się coraz dłuższa. Jak na świętobliwego męża ziemskie sprawy pochłaniały go nad wyraz.

- Jesteś w stanie to zrobić?
- Tak – odpowiedział pewnie Szamilew.
- Plan jest śmiały.
- Tylko w ten sposób możemy zwyciężyć.

Szczegóły wolał pozostawić dla siebie, zresztą o nie szejk nie dopytywał. Niemniej bez pomocy Al-Dina plan może nie wypalić do końca. Tylko na znak kogoś takiego jak on zamach przerodzi się w wojnę.

– Przychodzili już do mnie różni ludzie. Większość z nich bredziła. Dziwisz się moim słowom?

- Nie.
- Każdy z nich czegoś ode mnie chciał. Ty różnisz się tym, że oczekujesz pomocy dopiero po wykonaniu swojej misji.
- Tak właśnie jest.
- Wiesz też dobrze, że nie mogę udzielić wiążącej odpowiedzi.
- Wszystko musi mieć swoją kolejność.
- Doskonale to określiłeś. – Szejk poprawił okulary na nosie. – Niech każdy z nas czyni, co powinien.

Zdaje się, że audiencja była skończona. Niczego więcej nie oczekiwał. Szejk nie odmówił. A to już dużo.

Ahmed Chalaf al-Din nie miał nic wspólnego z operacjami wojskowymi. Jego domenę stanowiły religia i sprawy społeczne. W radiu, telewizji i Internecie udzielał rad dotyczących zasad pobożnego życia, jakie powinien prowadzić każdy muzułmanin, i wskazywał, co robić, aby islam nadal rósł w siłę. Jako kaznodzieja posiadał miliony słuchaczy. Prawdziwy wirtuoz słowa. Jego interpretacje Koranu cieszyły się sporym uznaniem. Wsparcie dla religijnych bojowników w tym przypadku wydawało się całkiem normalne. Izrael nienawidził Al-Dina, ale dopóki ten wprost nie wzywał do zabijania niewiernych, nic nie mógł zrobić. Kolejny męczennik, zwłaszcza taki, do niczego nie był potrzebny. A teraz przybysz z dalekiej północy wzywał szejka do sprzeniewierzenia się własnym zasadom. Na szczęście nie żądał niczego konkretnego w zamian. Pomoc otrzyma, gdy już zrobi swoje.

- Z niecierpliwością oczekuję rezultatów.
- Wszystko dzieje się z woli Allaha.

Ramzan z szacunkiem pokłonił się szejkowi i wyszedł, prowadzony przez asystenta. Gdyby choć jedno słowo, jakie tu padło, doszło do niepowołanych uszu, godziny Szamilewa byłyby policzone. Mossad, francuska DGSE czy brytyjska MI-6 zrobią wszystko, żeby ich dopaść.

Łagodny uśmiech komendanta, jakim obdarzał mijanych domowników i interesantów szejka, skrywał głęboką zaniepokojenie. Z fazy przygotowań przechodzili do fazy realizacji. Jak do tej pory to on dyktował warunki, teraz znajdzie się na łasce innych.

Na wiele pytań wciąż nie znajdował odpowiedzi. Przecież nie wszystko musi potoczyć się tak, jak założył. Dotyczyło to zwłaszcza reakcji rządów państw europejskich, które mają zwyczaj zatrzymywać się w pół kroku. Dobra decyzja to brak decyzji. To wyznacznik postępowania większości tych matołów.

Niemniej w jego przypadku odwrotu już nie było.

Szamilew, planując drogę do Europy, zrazu brał pod uwagę kuter lub niewielki przybrzeżny kabotażowiec, który należało dzielić z setką tych, którzy tak jak

oni zapłacili za przerzut. W końcu okazało się, że polecą samolotem.

Była to Cessna 208 Grand Caravan, jednosilnikowa maszyna z kilkunastoma miejscami dla pasażerów. Idealny transportowiec, jak na ich oczekiwania. Niczego więcej nie potrzebowali. Szamilew nie chciał nawet wiedzieć, skąd ją wytrzaśnięto. Podobno jakieś egzemplarze wykorzystywały siły powietrzne Iraku. Zresztą czy to ważne? Chodziło o transport, więc go mają.

CBU-55 została rozmontowana. Kabir i Saleh uczynili to po mistrzowsku. Zamiast jednej wielkiej skorupy na pokład zabrali trzy mniejsze elementy ważące nie więcej jak osiemdziesiąt kilogramów. Ramzan nie sądził, że to się uda, a jednak Hindus poradził sobie znakomicie. Tym, na co właśnie spoglądał, była śmierć w najczystszej postaci. Z tych trzech baniaków wypuszczą potężne dżiny, które zniszczą stary porządek świata, a on będzie jak mag rozporządzający losami królestw i władców.

Załadunek odbywał się pod czujnym okiem Izzata al-Rawiego, byłego kapitana irackich sił bezpieczeństwa, który zaczynał swoją przygodę z zawodem jeszcze pod rządami Saddama Husajna. Choć dobiegał sześćdziesiątki, niewielu potrafiło stawić mu czoła. Mówiono, że Al-Rawi ukręcał łby więźniom gołymi rękami. Pewnie coś w tym było. W zadawaniu cierpienia nie miał sobie równych. Nawet z wyglądu podobny do irackiego dyktatora, z uśmiezkim błakającym się na ustach potrafił poradzić sobie z każdym przypadkiem niesubordynacji. Ramzan zabrał kapitana z jednego powodu – był on bezwzględnie oddany islamskiej rewolucji.

Fiodor i Anton pracowali bez słowa. Timur ze Sznajderem również, tylko Renard i Kabir prowadzili cichą rozmowę nad jedną z otwartych skrzyń. Komentant uznał, że nie należy im przeszkadzać i lepiej pomóc Salehowi, który taszczył prowiant dla nich wszystkich. Podróż zajmie ze dwie doby. Najpierw z niewielkiego polowego lotniska niedaleko Trypolisu polecą nad Syrią, Irakiem, wprost nad szmaragdowe wody Zatoki Perskiej. Dalej Oman, Jemen, Sudan, Libia, Tunezja i w końcu Sardynia. Bezpośredni lot z Libanu nad Morzem Śródziemnym był niemożliwy z powodu wciąż trwającego konfliktu pomiędzy Turcją i Grecją. Choć podpisano zawieszenie broni, ryzyko zestrzelenia wydawało się zbyt duże. Oficjalnie lotu zgłosić nie mogli, a stacje radiolokacyjne wychwycą ich od razu.

Jeszcze do niedawna to właśnie przez Morze Egejskie wiódł główny szlak przemytniczy do Europy. Dziś pozostało po nim jedynie wspomnienie. Tylko samobójcy mogli się pchać tędy na północ. Turcy topili każdą podejrzaną łajbę, nie pytając, kto jest na pokładzie. Tłumaczyli się przy tym względami bezpieczeństwa. Konflikt został zamrożony, choć wiele wskazywało, że niedługo wybuchnie z nową siłą. Turcy w końcu wypuszczą te miliony, które u nich koczują. Takiego desantu nikt nie przetrzyma, zwłaszcza że będzie się odbywał pod nadzorem tureckiego lotnictwa.

Wystarczy wdeptać najstarszą demokrację w glebę, a reszta załatwi się niejako sama. Serbia i Bułgaria padną w parę tygodni. Szamilew wcale przy tym nie myślał o działaniach wojennych, bo jak powstrzymać milion uciekinierów, albo dwa? Płoty nie pomogą, zawsze znajdzie się jakaś dziura.

Jeden z pilotów dał znak, aby przyspieszyć załadunek. Ramzan podszedł do Saleha i zabrał od niego bańkę z wodą. Starał się ograniczyć bagaże i ładunek do rzeczy niezbędnych, lecz i tak zebrało się całkiem sporo kłopotów. Wciąż nie był pewien, czy nie wzięli za mało broni osobistej. Zaledwie parę pistoletów... Z drugiej strony cekaemy nie będą im potrzebne.

W końcu wszyscy znaleźli się na swoich miejscach. Silnik zaskoczył i Cesna ustawiła się na pasie startowym.

Ramzan już teraz zaczął przysypiać. Cokolwiek się zdarzy, przez najbliższe dwie godziny nic nie będzie zależeć od niego. Powinien odpocząć przed następnymi fazami operacji. Cała przeszłość w ręku Boga.

Artur spróbował wyciągnąć nogi przed siebie, ale fotel z przodu był zbyt blisko. Po namyśle obrócił się bokiem, kładąc stopy na jednej ze skrzyń ustawionych w przejściu pomiędzy siedzeniami.

Nie mógł znaleźć sobie miejsca. Akcja, w której przyszło mu uczestniczyć, w ogóle mu się nie podobała. Zgodził się na udział w niej tylko z jednego powodu – odmowa oznaczałaby dla niego natychmiastową śmierć. Nie był aż taki głupi, żeby tego nie wiedzieć. Owszem, lubił Szamilewa i go szanował, ale wiedział, do jakiej organizacji przystał. To nie harcerze ani kółko różańcowe, tylko psychopatyczni mordercy, a on był jednym z nich.

Cholera, skąd te wyrzuty sumienia? Już dawno powinien je wyrwać z duszy. Przecież był innym człowiekiem niż kiedyś. Prawdziwa wiara go odmieniła. Tylko czy do końca? Tego akurat nie był pewien. Zabijał bez mrugnięcia okiem. Taką drogę wybrał. I tylko wspomnienia, które wypływały chwilami na powierzchnię świadomości, nie pozwalały mu zasnąć.

Pamiętał szkołę, kumpli i koleżanki, szlugi palone po kryjomu i słodki smak owocowego wina na którymś z sylwestrów. Kiedyś nawet chodził do kościoła. Aż trudno uwierzyć. Robił zakupy i opiekował się kotem znajomych. Im robił się starszy, tym częściej wracał pamięcią do tamtych czasów. Obrazy napływały jeden po drugim. Wycieczka do Krakowa i w Tatry... Obóz w Bieszczadach...

Coś go ścisnęło w gardle. Chrzął i przełknął ślinę. Nie pomogło. Łyk wody, później drugi. Lepiej. Tylko skąd ta wilgoć pod powiekami? Czyżby się wzruszył? Niemożliwe. Takiego twardziela miałyby ruszyć jakieś wspominki? No już, spokój. Kimnie się trochę i będzie dobrze.

Na zewnątrz zapadła ciemność. Gdzieś tam w końcu wylądują, w jakimś za-

sranym Abu Dabi czy innym arabskim Pierdziszewie. Szczerze mówiąc, chętniej zobaczyłby Sochaczew czy Kutno. Egzotyki miał po dziurki w nosie.

I znów ten obrzydliwy smak wody z plastikowej butelki. Kiedyś pił piwo...

Szlag. Zaczyna się rozklejać. Tak nie można. Nie ma Boga prócz Allaha, a Mahomet jest jego Prorokiem.

Święta. Choinka. Prezenty. Kurwa, tego już za wiele.

– Ej, co się tak tłuczesz? – Z boku dobiegł głos Saleha.

– Noga mi zdrętwiała.

– To ją sobie pomasuj.

– Spadaj.

– Następnym razem.

– Możecie się zamknąć? – Al-Rawi czuwał nad wszystkim.

– Kiedy lądujemy? – zapytał Sznajder.

– Za godzinę.

– Aż tyle?

– A co?

– Już ledwo siedzę.

– To wyjdź na świeże powietrze – wycedził Izzat.

Artur przejechał dłonią po twarzy, zaciskając zęby. Zwariuje. Siedzi w jakiejś rurze mknącej w pustce przez noc. Nigdy wcześniej nie miał klaustrofobii. To na pewno stres. Ile można wytrzymać?

Stary dostał kiedyś działkę na Krzekowie. Kurwa, nie teraz! Na chuj z tą działką. Nie cierpiał tam łązić i rwać porzeczek, malin i agrestu. A to kopanie grządek? Porażka.

W liceum była taka dziewczyna...

Omiał nie zakrztusił się własną śliną. Jak to możliwe, że wszystko spieprzył na własne życzenie? Czekala na niego, nawet gdy poszedł do wojska. Chryste Panie, ile to minęło lat?

Trzepnęło go jak nigdy dotąd. Przeszłość zaczęła napływać falami, zupełnie puściła jakaś tama w mózgu.

Budowana z takim trudem tożsamość bojownika za wiarę rozsypała się. Pewnie psychologia jakoś to nazywa – dla niego było to po prostu uderzenie obuchem siekiery w łeb.

Po jaką cholere pchał się na tę całą wojnę? W pewnym momencie uległ zaślepieniu, pewnie można go uznać za fanatyka. Gdyby nie współpraca z wywiadem, do dziś kiblowałby w ciemniej celi. Nadarzyła się okazja, to prysnął. Dżihad stał się jego życiem i już się wydawało, że tą ścieżką podąży do końca. Dlaczego nie zdechł w jakiejś nic nieznaczącej akcji? W Syrii, w Szczecinie, na misjach?

Nienawidził sam siebie za to, kim się stał, i za to, kim był wcześniej i jeszcze wcześniej. Jeśli czegoś nie zrobi, sam siebie zamęczy.

Na Sardynii panowały łaście afrykańskie temperatury. Czterdzieci piąt stopni jak nic. Słaba bryza wiejąca w kierunku morza nie dawała ochłody. Oczy szczypały od słonego potu, który lał się po twarzy. Wobec tak piekielnego żaru lot jawił się wręcz sielankowo, mimo że po tylu godzinach w powietrzu czuli się otępiali, senni i zeszywniali. Międzylądowania były zbyt krótkie, by dobrze rozprostować kości, a nie chcieli ich przedłużać. Po co się pchać w oczy postronnym. Wszędzie unosiła się woń wojny, skończył się czas na biznesowe eskapady. Taki samolot i tacy pasażerowie od razu wzbudzają ciekawość – skąd, dokąd i w jakim celu. Zbędne pytania, na które i tak nikt nie odpowie.

Tym razem przesiedli się do dwóch białych furgonetek, którymi mieli dojechać do przystani. Dalej łodzią w okolice Civitavecchia po drugiej stronie Morza Tyrreńskiego. Do celu dotrą już sami. 'Ndràngheta raczej ich nie wyroluje. Jednego, dwóch, trzech bandziory mogłyby skubnąć i przejąć ładunek, ale dziesięciu zabijaków nie tak łatwo zneutralizować. Wszystkich nie zaskoczą, a ostra strzelanina ściągnie na nich jedynie uwagę policji. I na co to komu? Takie interesy nie lubiły rozgłosu.

– Ostrożnie.

Pierwsza ze skrzyń została wyladowana i przeniesiona do samochodu. Jak na razie wszystko przebiegało bez zakłóceń. Oby tak dalej.

Lotnisko należało do lokalnego aeroklubu i – co tu kryć – wolno popadało w ruinę. Od czasu wielkiej katastrofy, jaka spotkała Stany Zjednoczone, wojny pomiędzy Grecją i Turcją, konfliktu na Bałkanach oraz fali emigrantów, która wciskała się do Europy każdym dostępnym szlakiem, turystyka w basenie Morza Śródziemnego zaczęła podupadać. Bogacze próbowali żyć jak kiedyś, ale wobec powtarzających się ataków islamskich bojówek na kurorty zamykali się we własnych gettach, chronieni przez strażników, psy i kamery.

Na otwartych wodach łatwiej było dostrzec okręty marynarki wojennej czy kutry ochrony wybrzeża niż kontenerowce, których setki do niedawna przewoziły towary. Co prawda przebąkiwało się tu i ówdzie o nawiązaniu nowego porozumienia pomiędzy Londynem, Paryżem i Madrytem a amerykańską administracją wciąż urzędującą na Hawajach, ale na razie była to pieśń przyszłości. Każdy z krajów stawał na samowystarczalność.

Zdaniem Szamilewa długo tak nie pociągną. Można posiadać gigantyczną gospodarkę jak Niemcy, tylko z kim handlować? Kto kupi wyprodukowane dobra? Pal lichy pralki i telewizory, ale są jeszcze koparki, tekstylia i artykuły spożywcze. Obrót wewnętrzny nie załatwi wszystkiego. Konsumpcja została ograniczona, bo obywatele wolą zachować pieniądze na czarną godzinę. Nie potrzeba eksperta, by wiedzieć, że w Europie rządzi strach. Nikt już nie liczy drobnych incydentów. Tu

atak nożownika, tam strzelanina na skrzyżowaniu. Policja i wojsko robią, co mogą. Władze przedłużają stan wyjątkowy w nieskończoność. Wszyscy czekają na nieuchronne, bowiem apokalipsa już się rozpoczęła, odbywa się jednak na raty.

Droga w stronę przystani wiła się malowniczo wśród ośrodków wczasowych i pensjonatów, w większości jednak zamkniętych. Raz czy dwa Ramzan dostrzegł kort tenisowy, na którym niemrawi zawodnicy bez entuzjazmu odbijali piłeczkę. Na basenach po parę osób, podobnie jak przy stolikach ustawionych na ulicy.

Lazurowe wody otaczające Sardinie skrzyły się w świetle zachodzącego słońca. Pejzaż wyglądał pięknie, jednak Ramzanowi czegoś tu brakowało. Nawet wiedział czego: gdzie są meczety? O tej porze muezzin powinien nawoływać wiernych na modlitwę.

Za rok – dwa osiedli się tu kilkadziesiąt tysięcy przybyszów z krajów muzułmańskich, raz na zawsze zmieniając strukturę społeczną. Niewiernych obłoży się podatkiem – dżizją – i niech pracują na chwałę Allaha. Ciekawe, co powiedzą ci, którym życie do tej pory upływało na pustych przyjemnościach? Dom, samochód albo i dwa, basen – i nagle towarzystwo brodatych fundamentalistów. Toż to ziemia zadrży w posadach...

Uśmiechnięty Szamilew odruchowo chciał pogłodzić własną brodę, lecz jego palce natrafiły tylko na guziki koszuli. Jeszcze się nie przyzwyczał do braku zarostu. Przed wyjazdem kazał się ogolić każdemu biorącemu udział w operacji mudżahedinowi. Anton, Fiodor i Sznajder posłuchali Ramzana bez słowa. Hindus w ogóle nie posiadał zarostu, więc z nim sprawa od początku była prosta. Reszta trochę ponarzekala, lecz i oni w końcu uznali konieczność tego kamuflażu. Wyglądali obecnie jak drużyna sportowa.

Niedaleko przystani furgonetkę wyprzedził policyjny patrol. Szamilewa ogarnął strach. Tylko nie teraz. Nie po to pokonali taki szmat drogi, aby zdechnąć w tej dziurze. Zmiłuj się, Allahu!

Kierowca radiowozu zwolnił, wrzucił kierunkowskaz i skręcił w lewo. Allah jest Największy! Ostatni odcinek pokonali już bez przeszkód. Zmierzchało się, gdy w końcu wysiedli przy portowym nabrzeżu, zalatującym rybami i solą. Ramzan, nieprzyzwyczajony do takich zapachów, zmarszczył nos. Jak można żyć w takim smrodzie? Oby tylko kuter, który gdzieś tu na nich czeka, nie jechał tą padliną.

Szyper już na nich czekał. Grubo ciosany facet w podkoszulku na ramiączkach skinął im głową i poszedł pogadać z kierowcami. Dwudziestometrowa jednostka mogła wydawać się mała, ale na ich potrzeby była idealna.

Kolejny raz to samo. Trzy skrzynie. Wynieść, przenieść i ustawić na nowym miejscu. Pozostałego drobiazgu nawet nie liczył.

Ramzan zrobił parę kroków, próbując odczytać nazwę łajby. Z łuszczących się śladów odcyfrował coś jakby „Merlin”. Niech będzie.

Dostał się na pokład po aluminiowym trapie. Jak taką łupinką można wypły-

wać na otwarte morze? Nie był co prawda Arabem, który całe życie spędził na pustyni, mimo to dezynwoltura użytkowników tej łodzi zdała mu się to nadużywaniem miłosierdzia Allaha.

Wszedł do sterówki i przyjrzał się wnętrzu. Sprzęt niczego sobie. Radar, GPS, a do tego sonar. Ten ostatni na niewiele się im przyda. Ławicy ryb i tak nie będą szukać. Kuter, wcześniej zapewne rybacki trawler, przerobiono na jednostkę dla wędkarzy. Amatorzy większych okazów mogli wynająć „Merlina” na parę godzin i rozkoszować się morskimi łowami na tuńczyki czy dorady.

Od wybrzeża kontynentalnych Włoch dzieliło ich jakieś dwieście kilometrów. Przy średniej prędkości piętnastu – osiemnastu węzłów, do brzegu przybiją po sześciu – ośmiu godzinach, *Inszallah*.

– Jesteśmy gotowi. – Al-Rawi wyłonił się z ciemności niczym duch.

– Dobra. Wołaj tego żeglarza. Czas nas goni.

Trochę się bał, ale już nie wpadki, tylko kołysania po wypłynięciu z portu. To wstyd porzygać się przy podwładnych. Co sobie pomyśla? Że jest słaby? Szkoda, że nie przewidział tego wcześniej. Są odpowiednie leki. Jedna pastylka i podróż z głowy. Latania się nie bał, a teraz to wahanie...

Jak na błyskotliwego stratega tym razem się nie popisał. Cała nadzieja w tym, że choroba morska dopadnie nie tylko jego.

David Embolo miał 17 lat, ale nie wyglądał na tyle. Urodził się w Mali, a do Francji trafił wraz z rodzicami w wieku trzech lat. Ojciec pracował w paryskim zakładzie oczyszczania miasta. Nie było to szczególnie nobilitujące zajęcie, ale przynajmniej dawało stały dochód. Rodzina żyła skromnie, lecz nikt nie głodował, a standard życia i tak był wyższy niż w dawnej ojczyźnie.

Wszystko uległo zmianie, odkąd David trafił do ulicznego gangu. Przeszedł szybką i bolesną edukację: skromnie to żyli frajerzy, a on powinien chcieć tego, co najlepsze. Na pierwszym miejscu niezły samochód i poważanie otoczenia, dom z basenem i modne ciuchy. Droga do sukcesu była w zasadzie jedna – handel prochami, choć ryzykowny, zdecydowanie popłacał. Tylko w ten sposób można się było wyrwać z zakłętego kręgu biedy. O innej ścieżce kariery David jakoś nie pomyślał. Sport czy muzyka? W obu dziedzinach całkowity brak talentu. Studia? Najmniejszych szans, zresztą ile to czasu potrzeba. Na pewno nie chciał być jak ojciec zasuwający na nocnej zmianie przy opróżnianiu śmietników. To poniżej jego godności. Na samą myśl o wbiciu się w pomarańczowy kombinezon dostawał mdłości. Ostatecznie pozostawała armia, ale i co do niej miał mieszane uczucia. Na pewno nie chciał umierać za Francję.

Robota dla gangu wydawała się prosta. Zaczynał od przenoszenia towaru. Prochy naturalne i syntetyki. Przez ręce Davida przechodziło kilkadziesiąt małych

paczuszek dziennie. Raz został zatrzymany przez tajniaka. Na szczęście akurat nic przy sobie nie miał. Funkcjonariusz zbyt szybko się pospieszył, więc ku przestrodze dał tylko Davidowi w pysk i puścił wolno. Tę lekcję chłopak zapamiętał na długo i od-tąd traktował policję jako osobistego wroga.

Po narkotykach przyszła kolej na samochody. Kradł je z kumplami i sprzedawał na części. Czasami zabierali je tylko dla żartu. Davida najbardziej rajcował ten zajebisty skok adrenaliny przy włamie.

Tym razem wszystko odbywało się podobnie. Chichot kumpli dodawał odwagi. To miał być mocny punkt na zakończenie imprezy. Do domu wrócić samochodem. Po jaką cholere mają drałować na piechotę? Jak się nie zbłąźni, to może ta mała Aisza przestanie się na niego boczyć i w końcu wylądują w łóżku. Na razie to Omar szeptał jej do ucha sprośne kawałki, a ona śmiała się z nich gardłowo.

Co tu kryć, cała szóstka była mocno napruta i żadna wrażeń. Peugeot 208 wydawał się idealny do podpieprzenia. Bez większych problemów pomieści się w nim cała wesoła gromadka. Dziewczyny wezmą na kolana. Byle tylko silnik odpalił i będzie dobrze.

Minutę później już ładowali się do środka. Ruszyli z piskiem opon. Śmiech zagłuszał pracę silnika. Wóz prowadził się znakomicie. Szkoda tylko, że tak mało w nim miejsca. Pierwsza przecznic i skręt w lewo. Niektóre sklepy pracowały przez całą noc. Może dokupić parę butelek wina lub czegoś mocniejszego? Nim zdążył przemyśleć sprawę, w lusterku dostrzegł rozbłysk policyjnych kogutów i usłyszał jęk syreny.

– *Putain!*

Śmiechy ucichły jak ucięte nożem. David wcisnął pedał gazu do oporu. Jak ich dorwą, na pewno wylądają za kratami, a tego za wszelką cenę chciał uniknąć. Drugi raz nie pozwoli się upokorzyć. Zakręcił w prawo i kolejny w lewo. Gliniarze wciąż siedzieli im na ogonie. Niech ich jasna cholera.

Przyspieszał i redukowałam prędkość, wymijał przeszkody niczym mistrz kierownicy. Przed nimi skrzyżowanie. Właśnie wskoczyło czerwone. Z przecznic ruszyły samochody. Zaciął zęby i dodał gazu. Przelecieli przez krzyżówkę w mgnieniu oka.

Udało się! Uderzył dłońmi w kierownicę. No i który mu dorówna?

Gorzej, że tę część miasta znał tak sobie. Skręci w jakieś podwórko i już z niego nie wyjedzie.

Ależ ci gliniarze są upierdliwi. Już sądził, że od nich odskoczyli, ale niebieskie refleksy ponownie odbijały się w lusterku.

Embolo wpatrywał się w nie i próbował oszacować odległość od radiowozu, gdy nagle z bocznej bramy wyjechała ciężarówka, całkowicie blokując przejazd. Na jakiegokolwiek manewry było za późno. W ostatniej sekundzie życia pomyślał o rodzicach i Aiszy siedzącej z tyłu. Był w niej naprawdę zakochany. Może na tam-

tym świecie...

Peugeot został właściwie unicestwiony. Karoseria wyglądała niczym rosyjska harmoszka, koła odpadły, a z jadących wozem dzieciaków czworo zginęło od razu. Aisza zmarła w drodze do szpitala, zaś Omar skonał na stole operacyjnym.

Jeszcze tej samej nocy o wypadku poinformowały lokalne media. Nie co dzień dochodzi do takiej tragedii. I jak zwykle w takich przypadkach bywa, plotka bardzo szybko pokazała swoją moc. Podobno policjanci dobili rannych. Naoczni świadkowie zaklinali się, że tak właśnie było. Wypadki się zdarzają, ale bestialska rozprawa z młodocianymi członkami gangu nie mogła ujść władzy na sucho.

Okolo pierwszej w nocy podpalono pierwszy samochód, a stuosobowa grupa młodzieży zaczęła blokować ulice, nie pozwalając przejechać wozom straży pożarnej.

Podobnych wystąpień zanotowano już setki i nikt z tego powodu nie rozdzielał szat. Trochę dymu, trochę ognia i do rana większość zadymiarzy rozejdzie się do domów. Fajnie było, ale pora kończyć tę szopkę, zwłaszcza gdy człowiek pada z nóg.

Już się wydawało, że sytuacja jest opanowana, kiedy w porze porannej modlitwy część ulicznych kaznodziejów wezwała do wystąpień przeciwko zachowaniu policji.

Dziesięć tysięcy ludzi to nie to samo co gromada wyrostków. Takiego tłumu nie da się łatwo spacyfikować. Najlepiej przeczekać. Ludzie pokrzyczą i w końcu się rozejdą. Władze nie życzyły sobie jednak, aby zamieszki rozlały się na pozostałe dzielnice. Na wszelki wypadek w okolice Place de Stalingrad ściągnięto dodatkowe oddziały zmotoryzowanej policji CRS – *Compagnies Républicaines de Sécurité* – nad wyraz skuteczne w pacyfikowaniu masowych wystąpień. Już sam ich widok powinien zniechęcić protestujących do gwałtownych wystąpień.

Sierżant Henri Degas przemaszerował przed frontem plutonu, którym dowodził, dokładnie lustrując podkomendnych. Trzydziestu chłopaków, z których większość uzbrojono w długie pałki i tarcze, a tylko kilku w ręczne wyrzutnie granatów łzawiących. Broń gładkolufową posiadało trzech. Wystrzelone z nich breneki powalały niejednego twardziela.

Resztę kompanii ustawiono u wylotu Rue Eugène Eichenberger. Na razie rozkazy brzmiały jednoznacznie: czekać na rozwój wypadków. Ruszyć dopiero w przypadku zaatakowania przez zgromadzonych.

Sierżant uniósł plastikową przyłbicę kasku i splunął na rozgrzany asfalt. Upał dawał się we znaki funkcjonariuszowi w ciężkim uniformie. Pot spływający z głowy łaskotał kark.

Pałkę, którą do tej pory trzymał w dłoniach, zatknął za pas. Tylko on posiadał pistolet w kaburze na biodrze. Takie asekuranctwo przełożonych uważał za błąd. Komu taki idiotyczny pomysł strzelił do łba? Niech ten gryziپیórek wyjdzie

na ulicę i rozejrzy się dookoła. Zobaczymy, co wówczas powie.

Na tę arabską hołotę należało nasłać nie policję, tylko regularną armię. Degas był mocno sfrustrowany. Od paru miesięcy wciąż to samo. Choć pochodził z Tuluzy, stolicę poznał jak własną kieszeń. Wciąż patrole, blokady i łapanki, uliczne bijatyki i ataki samotnych wilków. Kiedy ktoś wykopie to całe towarzystwo do Afryki, gdzie jego miejsce?

W swoich przemyśleniach Henri nie był osamotniony. Słyszał, co się mówiło w koszarach i na posterunkach. Kraj staczał się w stronę wojny domowej. Policjanci znali sytuację najlepiej.

Wiele przekazów nie trafiało do opinii publicznej, niemniej wewnętrzne struktury odpowiedzialne za bezpieczeństwo wiedziały swoje. Ciemnoskórzy funkcjonariusze również mieli tego wszystkiego dość. Środowiska, w których się obracali, a nawet własne rodziny, nie do końca akceptowały ich wybory. Dla radykałów byli zdrajcami, którzy sprzedali się za parę euro. Opluwani i lżeni, przesuwali się na coraz bardziej skrajne pozycje. Każdy ma swoją wytrzymałość, oni nie byli wyjątkami.

Z oddali dało się słyszeć rytmiczne skandowane hasła, z których jedno wybiła się ponad resztę: *Allahu Akbar, Allahu Akbar, Allahu Akbar*.

Ależ oni są namolni. Wciąż to samo. Allah i Allah. Aż niedobrze się robi. Jak te parszywe czarnuchy podejda bliżej, zobaczą, co to znaczy oberwać pięścią prosto w ryj.

W końcu dostrzegł mężczyzn w sięgających kostek dżalabijach, z brodami i z czapeczkami na głowach. Szli całą szerokością ulicy, a ich okrzyki brzmiały wciąż głośniej i głośniej.

Wątki kordon, który oddział Degas'a próbował ustawić, na pewno nie sprosta tej masie. Tego akurat porucznik był pewien. Już sięgał po radiotelefon, gdy kątem oka dostrzegł, że jeden z sąsiednich plutonów skierował się biegiem w ich stronę. To wciąż mało, ale lepiej niż przed chwilą.

Szczeniak w policyjnym mundurze z dystynkcjami podporucznika próbował nawiązać dialog z tłumem przez ręczny megafon. Piskliwy głos ginął w gniewnych pomrukach.

– Do szeregu! – Degas zaczął wydawać komendy.

Sześćdziesięciu przeciwko tysiącom to bardzo niekorzystna proporcja. Radiowozy już ustawiały się za ich plecami. Na pewno przydałyby się armatki wodne i trochę cięższego sprzętu. Kilka samochodów pancernych zrobiłoby tu porządek. Nikt nie jest aż tak twardy, aby sprostać tonom stali. Wystarczy wjechać w tłum, a ludzie sami się rozpierzchną. To czysta psychologia.

Ech... że też życie jest tak skomplikowane.

Podporucznik dał sobie spokój. I dobrze, te jego wrzaski tylko wkurzały podkomendnych.

– *Allahu Akbar, Allahu Akbar!* – Wezwanie brzmiało ogłuszająco.

Pora działać, inaczej zostaną wdeptani w bruk.

– Przygotować się. – Degas dał znak policjantom z bronią gładkolufową i ręcznymi wyrzutniami granatów łzawiących. Parę strzelb do konfrontacji z wielotysięczną masą. Nie wyglądało to dobrze.

Podporucznika jakby zamurowało. Gdzie on ma rozum? Czy w szkółce niczego go nie nauczyli?

– Dłużej czekać nie możemy.

– Słucham?

– Mówię...

W stronę mundurowych poleciały obelgi i złorzeczenia.

– Musi pan dać rozkaz.

– Dobrze.

Degas dłużej nie zwlekał – podbiegł parę kroków dzielących go od wątego muru plastikowych tarcz i wykrzyczał polecenie:

– Strzelać!

Hałastra znajdowała się co najwyżej czterdzieści metrów od nich. Ku zgrozie sierżanta protestujący nie tylko się nie cofnęli, ale pozostali obojętni na lecące w ich kierunku pociski i granaty.

Ten i ów się zachwiał. Jeden z demonstrantów chwycił się za głowę, a inny zgiął się w pół, gdy oberwał gumową kulą w brzuch, natomiast cała reszta parła naprzód z tą samą niezachwianą pewnością siebie.

Policjanci zaczęli niepewnie zerkać na boki. Za minutę zetrą się w bezpośredniej konfrontacji z dyszącym żądzą zemsty tłumem wkurzonych obywateli. Tu nie dwóch plutonów potrzeba, a dwóch kompanii albo i całego batalionu. Podporucznik tymczasem stał, kontemplując własne buty. Skąd sztab wytrzasnął tego palanta?

Degas nie pierwszy raz znajdował się w podobnej sytuacji. Służąc w CRS, wiele razy ryzykował własne zdrowie i życie. Dziś było trochę inaczej niż do tej pory. Nie miał przeciwko sobie gówniarzy, których łatwo nastraszyć, tylko mężczyzn pomiędzy trzydziestką a czterdziestką. Jak już wyszli na ulice, to nie wycofają się z byle powodu.

Zresztą ci z przodu może by i chcieli stanąć, lecz nie mogli, popychani przez masy demonstrantów nadciągające za nimi.

– Degas. – Podporucznik ocknął się w końcu z letargu.

– Tak.

– Odwrót.

Zdaniem sierżanta to nie był najlepszy pomysł, ale co mogli zrobić. Najważniejsze to wycofać się w ścisłym porządku, tak aby tłum nie nabrał przekonania, że uciekają. Oczywiście rozkaz łatwiej wydać niż wykonać. Pałkarze osłaniani przez

strzelców uczynili parę kroków wstecz, ale stanęli, gdy spadł na nich grad butelek i kamieni.

– Utrzymać szyk.

Sierżant nerwowym ruchem sięgnął po pistolet. Żarty się skończyły. Zdaje się, że niedługo przyjdzie im walczyć o życie.

– Utrzymać...

Ze zwartej ludzkiej masy zaczęli się wyrywać pierwsi harcownicy. To ci, którym się wydawało, że są niepokonani. Adrenalina buzowała im w żyłach. Z gołymi rękami wprost na pały, tarcze i gaz? Imponujące.

– Do tyłu.

Sierżant w porę dostrzegł niebezpieczeństwo na prawym skrzydle. Co najmniej stuosobowa grupa muzułmanów zaczęła ich obchodzić, próbując wyjść na tyły plutonu.

– Uwaga!

Odwrót robił się coraz bardziej chaotyczny. Już co najmniej kilkuset demonstrantów wyrwało do przodu, próbując zewrzeć się z policjantami Degas'a. Wydawało się, że gaz łzawiący i gumowe kule tylko rozwścieczyły nadciągającą horde.

Paniczny strach chwycił sierżanta za gardło. Niedługo funkcjonariusze padną, a wówczas nic go nie uratuje przed startowaniem.

W końcu doszło do nieuchronnego. Dwie grupy zwały się w morderczym uścisku. Środki przymusu bezpośredniego kontra zęby i pięści. Zamiast regularnego pałowania bezładna bijatyka.

Niespodziewanie naprzeciwko sierżanta stanęła dwójka rozkrzyczanych osiłków. Ci faceci przewyższali wzrostem nawet jego, a Degas ze swoim metrem dziewięćdziesiąt ułomkiem nie był.

Kopniaka wymierzonego w swoją pieszczel nawet nie poczuł przez ochroniacz. Został jednak opluty, a to już wkurzyło go o wiele bardziej. Tu chodziło o jego honor. Zamiast po pałkę sięgnął po pistolet. Zobaczmy, co wy na to. Spróbował odsunąć się w tył. Napastnik o nalanej twarzy, z długą skundloną brodą, lecz bez wąsów, wymierzył cios pięścią.

Nie z nim te numery. Sierpowy minął szczękę policjanta o dobre parę centymetrów. Pora na kontratak. Nim zdążył wyszarpnąć broń z kabury, drugi z przeciwników przyblokował rękę sierżanta, przyciskając ją do tułowia. Walka w zwarciu to nie najlepszy pomysł, tym bardziej że facet posiadał sporą parę w łapskach.

W końcu pod sierżantem ugięły się nogi. Takiego ciężaru nikt nie wytrzyma. Głowa jak najwyżej, byle tylko nie walnąć potylicą o bruk. Wyżej, kurwa, wyżej. Nadlatującego buta nie zauważył. Nawet nie miał na to szansy. Świat nagle stracił kolory, a ciało Degas'a zwiotczało. Ból nie był jakoś szczególnie dotkliwy, tylko kończyny nie chciały wykonywać poleceń.

Po kolejnym kopniaku stracił orientację, gdzie jest. Fala mdłości napłynęła

z wnętrza trzewi. Palce zaciśnięte na rękojeści pistoletu rozluźniły się. Z gardła sierżanta dobył się cichy charkot.

Siła przygniatająca płuca w końcu zelżała. Co za ulga.

Radość nie trwała długo. Już przy trzecim oddechu Degas uświadomił sobie, że stracił spluwę. Przechylił się na bok i podtrzymując rękoma, usiadł na jezdni.

Bijatyka trwała na całego. Siły CRS walczyły o przetrwanie i wyraźnie wi-
dać było, że tę walkę przegrywają.

Masakra. To jedno słowo przychodziło Henriemu na myśl. Ci, którzy go po-
bili, gdzie się ulotnili. Przynajmniej w pobliżu nie dawało się ich dostrzec.

Spróbował wstać. Mocno pochylony, nawet nie wiedział, kiedy został
pchnięty ponownie. Wylądował na lewym boku, cicho przy tym jęcząc. Co jest? Ile
razy można powtarzać to samo?

– Policja to świnie.

Słyszał to już setki razy. Najlepiej zrobi, jak odejdzie ze służby. Robił się za
stary na takie doznania.

– Zostawcie – wysyczał przez zaciśnięte zęby. – No już.

Zdzielił w twarz człowieka, który się nad nim pochylał. Typ znikł momental-
nie.

Degas odwrócił głowę w prawo, starając się zlokalizować policjantów, któ-
rzy wciąż jeszcze się bronili. Niewielu stało na nogach. Większość leżała na jezdni,
kopana przez napastników.

Podporucznik klęczał, przyciskając ręce do żeber. Stojący nad nim facet uno-
sił do góry płytę chodnikową.

– Co wy robicie... Stój, człowieku!

Uderzenie pałką w skroń przyszło w samą porę. Sierżant stracił przytom-
ność, więc nie widział, jak betonowa bryła miażdży czaszkę dowódcy. Szczęśliwie
też nie czuł, jak zwyrodnialcy pastwią się nad jego ciałem.

Degas zmarł pięć minut później z powodu wewnętrznego krwotoku. Jego
głowa została odcięta zupełnie tak samo jak tysiącom innych ofiar Państwa Islam-
skiego i zatknięta na metalowy pręt.

Widoki z Francji obiegły cały świat. A był to dopiero początek.

Wieczne dzienniki informowały w zasadzie o jednym – o „paryskiej masa-
krze” lub też o „nocy świętego Jana”, jak mówili niektórzy. Zdarzyła się rzecz bez
precedensu. W krajach starej Unii dochodziło ostatnio do najróżniejszych incyden-
tów, ale obcinania głów dotąd nie praktykowano. Z policjantów jeszcze siedmiu
poniosło śmierć. Resztę pobito do nieprzytomności. Nieliczni uciekli. Z podobnym
okrucieństwem Francja zetknęła się po raz pierwszy.

Reakcja władz była oczywiście gwałtowna. Do muzułmańskich dzielnic
skierowano wzmocnione siły wojska i policji. Niejeden z ekspertów miał wątpliwo-
ści. Regularne jednostki armii nadawały się generalnie do walki z wrogiem ze-

wnętrznym. Do rozprawienia się z buntem obywateli środki i doświadczenie miały raczej żandarmeria oraz CRS. Niemniej zdecydowano inaczej. Place de Stalingrad i okoliczne ulice wypełniły się żołnierzami z 13 Pułku Dragonów Spadochronowych. Ci nie przebierali w środkach. Wkraczali do każdej z kamienic i wyciągali z nich podejrzanych. Podejrzanymi byli oczywiście wszyscy bez wyjątku.

Każdy, kto stawiał choćby najmniejszy opór, był bity i zabierany na komisariat. Wydawało się, że wróciły czasy de Gaulle'a i rozprawy z OAS. Agresja oczywiście wzmagająca opór. Dochodziło do dziesiątków incydentów. Jęki policyjnych klaksonów rozbrzmiewały nad Paryżem dzień i noc. Nikt już nie chodził oglądać wieży Eiffla i Luwru. Bulwary nad Sekwaną świeciły pustkami, a szczególnie pilnowano katedry Notre Dame, po tym jak w sieci ukazał się komunikat zamaskowanego terrorysty grożącego obróceniem świątyni w gruzy.

– Durnie. – Wydawało się, że Ramzan Szamilew uderzy pilotem o podłogę.
– Kompletni kretyni.

Jego podwładni milczeli. Szef musiał się wyszaleć. To oczywiste.

Dobrze, że nikt postronny go nie słyszał. Farmę na odludziu, na północ od Rzymu, wynajęli ludzie należący do włoskiej komórki Światłości Dnia. Najbliższy sąsiad mieszkał trzy kilometry od nich i pilnował własnego nosa. Dość miał kłopotów w domu, kolejnych nie potrzebował.

– Co oni sobie wyobrażają? – Szamilew wstał i długimi krokami zmierzył pomieszczenie. – Są kompletnie nieodpowiedzialni.

Złość kipiała w Ramzanie jak woda w samowarze. Nie mogli z tym pocze-kać? Tak, tak, doskonale wiedział, że takich wypadków się nie kontroluje, ale zamieszki w Paryżu przysły nie w porę. Po czymś takim rządy każdego kraju z odpowiedzialnością liczną muzułmańską mniejszością wzmocnią kontrole i zaostrzą przepisy.

On też chciał zatykać głowy niewiernych na sztachety, ale dopiero po zamachu.

Potrzebował tygodnia, najwyżej dwóch, aby dopiąć wszystko na ostatni guzik. Przygotowania szły pełną parą. Kabir przygotował pierwsze symulacje. To, co zaplanował, będzie naprawdę imponujące. Zabijają... A kto to może wiedzieć ilu? Tysiąc, pięć, dziesięć tysięcy... To jedynie statystyka.

Furgonetki z wyposażeniem już zdobyli. Potrzebowali jeszcze paru przedmiotów, które da się kupić w każdym sklepie z narzędziami. Hindus przygotował listę.

Ramzan spojrzął na zegarek. Dochodziła dziesiąta przed południem. Pora wydawała się odpowiednia. Wyśle człowieka po zakupy. A najlepiej, jak pośle dwóch. Jeden będzie miał oko na drugiego. Tak bezpieczniej.

Kogo by tak...

Anton i Fiodor słabo mówili po angielsku. Odpadają. Saleh i Timur? Lepiej, jak na razie pozostaną na miejscu. Sznajder i Renard...

Europejczycy pełną gębą. Prawdziwi światowcy. Elokwentni i dobrze wyglądający. Z takimi nie wstyd pokazać się nawet na salonach.

– Szef cię wzywa.

– Teraz?

– Jakiś problem? – Izzat al-Rawi przyjrzał się Polakowi.

– Najmniejszego.

Sznajder wytarł dłonie w ścierkę. Przygotowanie posiłku dla dziesięciu osób wymagało nieco zachodu. Wybredni nie byli, za to potrafili pochłonąć całą górę żarcia. Po pizzę nie zadzwoni. Jedzenie należało przygotować we własnym zakresie. Dziś przypadała jego kolej.

Cebulę, paprykę i pomidory wrzuci do jednego gara, doda mięso, przyprawi i będzie git.

Właśnie szatkował cebulę, gdy przyszło wezwanie od Ramzana.

Szamilewa znalazł na podwórku, gdzie ten rozmawiał z Paulem.

– Pojedziecie do miasteczka, ale nie tego najbliższego.

– Jasne.

– Spoleto jest większe. Znajdziecie tam sklep z elektronarzędziami.

– Kabirowi czegoś brakuje? – zapytał Sznajder.

– Samych drobiazgów. – Ramzan podał Polakowi kartkę z listą niezbędnych przedmiotów.

Sprężarka, folia samoprzylepna, farba, pistolet natryskowy.

Interesujące.

Żaden z nich nie został wtajemniczony we wszystkie szczegóły. Na razie znali ogólny zarys planu zamachu.

– Kupujecie i wracacie. Bez postojów na kawę czy inne przyjemności.

– Jasne.

– Zbierajcie się. Przed dwunastą chcę was widzieć z powrotem.

Pięć minut później byli już w drodze. Francuz przy kierownicy zdawał się przysypiać. Od kiedy się znali, Artur nie widział Paula zdenerwowanego. On też by tak chciał. Niestety, nie zawsze wychodziło.

– Ramzan dawno tak nie szalał. – Sznajder uchylił nieco boczną szybę, tak aby łagodne, ciepłe powiewy wiatru wpadały do wnętrza szoferki.

– Wszystko przez Paryż.

– I mnie się tak zdaje.

– Telewizję ogląda non stop. W ogóle się nie kładł.

- Skąd wiesz?
- Bo siedziałem obok niego. Anton zresztą też.
- Za bardzo się przejmuję.
- Bo ja wiem? Sporo nerwów go to kosztowało. Gliny szaleją. Można powiedzieć, że nasi paryscy współbracia wpakowali nas w niezłe szambo.
- Pewnie sam chciałbyś tam być.

Kąciki ust Renarda uniosły się nieznacznie ku górze.

Rozmawiali na różne tematy, ale nie o tym, co ich skłoniło do zostania dżihadystami. Niemniej prawie zawsze chodziło o jedno. To samo pchało tylu różnych ludzi z tyłu zakątków świata pod sztandar Proroka – zemsta.

Można to ubrać w różne słowa, ale to właśnie zemsta napędzała ich do działania. Byłeś prześladowany w szkole, rzuciła cię dziewczyna, szef w robocie wylał na ciebie wiadro pomyj, zostałeś oszukany w interesach? To normalne, że chcesz się odegrać. W końcu jesteś mężczyzną. Werbownicy żerowali na takich uczuciach.

Nic prostszego, jak przyłączyć się do nas. Nas nikt nie pokona. Na pewno chcesz wrócić tam, skąd pochodzisz, i zrobić porządek – my ci w tym pomożemy. Wszystkie nasze siły do twojej dyspozycji.

Twoi towarzysze, z którymi przelewałś krew, pójdą wraz z tobą. Kto się oprze naszym karabinom i maczetom? Twoi wrogowie już nie istnieją. Z kobiet, które cię nie chciały, zrobimy niewolnice, a twojego dawnego dyrektora powiesimy na latarni.

Ile osób jest w stanie oprzeć się takiemu kuszeniu?

Zostaniesz bohaterem, z twoim zdaniem będzie się musiał liczyć każdy, i nie ma znaczenia, kim był wcześniej – posłem, przełożonym czy tylko sklepikarzem, który dawał odczuć, że jest lepszy od ciebie. Zabierzemy im majątki, szacunek i pewność siebie. Będą skamleć u twoich stóp.

Jak dobrze ich rozumiał.

Zjechali z niewysokiego wzgórza i dotarli do lokalnej szosy. Ruch umiarkowany, patroli brak. Do Spoleto trzydzieści kilometrów. Czekala ich całkiem miła przejażdżka. Nawet gdyby zostali zatrzymani, i tak nic im nie groziło. Papiery mieli bez zarzutu, wyglądali normalnie. Gorzej z wytłumaczeniem, czego tu szukają, ale i z tym daliby sobie radę. Przecież mogli być parą gejów na wakacjach. Policjanci to sami tolerancyjni goście, choć na widok obściskujących się facetów robili się trochę sztywni.

Z drogi widział gospodarstwa rolne okolone smukłymi drzewami. Lazurowa nieba nad nimi był zniewalający. Nic dziwnego, że dawni malarze uwielbiali Italię. Takiego światła nie widziało się w żadnym innym miejscu.

Minęli stację benzynową i autogrilla. Renard nawet nie zerknął w tamtym kierunku. Myślni pewnie błędził gdzie indziej.

Prawdę powiedziawszy, Artur też. Czuł, jak niepokój pożera go od środka.

Już się zdecydował, nie podaży ścieżką dżihadu do końca. To nie dla niego. A może i dla niego, ale zamach mający zmienić bieg historii go przerastał.

Najważniejsze pytanie brzmiało następująco: jak się teraz z tego wyplątać? Wciąż nie znał na nie odpowiedzi.

Na policję nie pójdzie, mowy nie ma. Jakieś reguły obowiązywały. Na pewno nie był zdrajcą ani kapusiem. Oba te słowa mierzyły Artura niepomrotnie. Kapuś. Lepiej zginąć. Tu już nie chodziło o innych, tylko o niego samego.

Zdrajca.

Kurwa. Ale się wpierdolił. I to na własne życzenie.

Sam ich wszystkich nie pozabija. Mógł spróbować nocą albo nad ranem nożem... Przy dużej dozie szczęścia da sobie radę. Tylko jak z tym później żyć? Kolejny dylemat. Nie chciał śmierci niewinnych, ale i rozwałka towarzyszy bronii jakoś mu nie leżała.

Co w tej sytuacji pozostawało?

Trzeba to zrobić tak, aby wyjść z honorem.

Dobre sobie. To nie koncert życzeń.

Myśl człowieku, myśl, kombinuj, bo jak nie, to zginiesz marnie.

Na kim się tu oprzeć? Przyjaciół nie miał. Parę kontaktów... Wszystkie do niczego... Może... Nagle go olśniło. Byli tacy, na których mógł liczyć. Raz im pomógł. Niech teraz oni pomogą jemu.

Spokojnie, bez ekscytacji. Jakoś sobie poradzi.

Do Spoleto dojechali parę minut później, a GPS poprowadził ich prosto pod drzwi sklepu z elektronarzędziami i innym żelastwem. Klimatyzacja w środku pracowała na pełnych obrotach. Szli alejkami ramię w ramię i przetrząsali półki. Znaleźli wszystko prócz farby i folii samoprzylepnej. Zdaje się, że będą musieli zahaczyć o supermarket. Arturowi to pasowało. Zapakowali towar do furgonetki i wsiedli do szoferki.

– Ramzan nas zabije, jak nie przywieziemy folii.

– Wiem – odparł Paul.

– Tu musi być jeszcze jakiś sklep.

– I jest. Widziałem reklamę.

– Jedziemy. – Artur sięgnął po pas, aby przypiąć się do fotela, a Renard uruchomił silnik.

Taka okazja mogła się już nie powtórzyć. Kiedy Szamilew dostanie niezbędne narzędzia, kolejny raz znajdą się w mieście dopiero w dzień zamachu. Ale wtedy będzie za późno.

– Tu i tu.

– Hmm...

– Tak będzie najlepiej. – Kabir narysował schemat, opierając się na zapamiętanych danych.

– I to wystarczy? – zapytał Szamilew.

– W zupełności.

– Jesteś pewny?

– Tak. Pod warunkiem, że zgramy detonacje w czasie. Bliżej podjechać nam nie pozwolą, a ten parking jest idealny. Z tego, co wiem, to tutaj zatrzymują się wozy transmisyjne.

– Sprawdzona informacja?

– Jak najbardziej.

– A co się stanie, jak jedną furgonetkę ustawimy pięćdziesiąt metrów dalej?

– Szamilew wskazał palcem kolejny punkt na mapie miasta.

– Bez znaczenia. – Hindus był pewny każdego wypowiedzanego słowa. – Przy tej sile rażenia takie różnice są nieistotne. Najważniejsza i tak jest synchronizacja. Sile uderzeniowej dwóch odrębnych eksplozji nic się nie oprze. Wiem, co mówię.

– Już ktoś tego próbował?

– W takich warunkach nie. Zresztą w jakim celu? Już pojedynczy ładunek jest dostatecznie mocny, aby uzyskać powodzenie. Trzy... Nie wiem, jak to ująć, trzy... to już totalna destrukcja. W promieniu pięciuset metrów nie ma prawa przeżyć nikt.

– Dwa ładunki wystarczą?

– W zupełności.

Szamilew podrapał się po brodzie. Z tego, co mówił Kabir, wynikało jasno – efekt działania BLU-73 będzie porażający. Trzecia bomba pozostanie w zapasie. Doskonale się składa. Celów przecież nie brakowało. Londyn i Pałac Westminsterski, Berlin i siedziba Reichstagu. Wymieniać mógł długo.

Szamilew wyprostował plecy, krzywiąc przy tym twarz. Ostatnio się nie oszczędzał. Dobrze, że już są na ostatniej prostej. O odstąpieniu od zamierzenia nawet nie chciał myśleć. Dokonają niemożliwego. Tylko o to jedno prosił Allaha.

Paul zahamował ostro przed supermarketem o wdzięcznej nazwie Tigr.

– Zaparkuj. Ja na ciebie poczekam. – Sznajder jako pierwszy próbował wygramolić się na zewnątrz.

– Czekać, nie tak prędko. Ramzan nie chciał, żebyśmy się rozdzielali.

– Co ty, dziecko jesteś?

– Nie mów tak do mnie.

– Dobra, jak uważasz. Nie chcę się kłócić. – Artur cofnął nogę. – Choć uważam, że to nie jest najlepszy pomysł.

– Mógł zamiast mnie wysłać Izzata. Z nim też byś dyskutował?
– Nie wiem jak ciebie, ale mnie ten facet drażni już samym swoim widokiem.

– Przyzwyczaj się.
– Nie mam zamiaru – warknął Sznajder przez zaciśnięte zęby. – To palant. Z tą swoją gębą debila tylko straszy ludzi. Wpadniemy przez niego. Ja ci to mówię.

– Ramzan tak nie uważa. – Renard wykręcił kierownicą, ustawiając wóz pomiędzy srebrnym mercedesem a zielonym volkswagenem.

– Sam przyznasz, że to nie jest normalne. Jak można ufać tej górze mięcha.
– Wiesz, co ci powiem? Sam jesteś debil. Jak ci się nie podoba, idź z tym do Ramzana. Zobaczymy, co usłyszysz. Izzat jest z nami nie bez powodu. To najlepszy oficer kontrwywiadu, jakiego znam.

Wyszli z samochodu na zalany słońcem plac parkingowy. Próba wsadzenia klina pomiędzy Paula a resztę grupy nie powiodła się. Źle to rozegrał. Niepotrzebnie tak ostro zaatakował Al-Rawiego. Widać dla Renarda to jakiś guru.

– Opacznie mnie zrozumiałeś – zapewnił szybko Artur, żeby zatrzeć złe wrażenie. Byle tylko Francuz nie nakablował dowódcy. – Izzat jest potrzebny, tylko te jego metody...

– Skoro ma wyniki, to i metody są dobre. Musisz się z tym zgodzić.

Ochota, aby zadusić Renarda tu i teraz, sprawiła, że dłonie w kieszeniach Artura zacisnęły się w pięści. Miał go za inteligentniejszego. Fanatyk do końca pozostanie fanatykiem.

Jak brzmiała ta oprawa kibiców Legii: „Boże Chroń Fanatyków”? Jakoś tak. „Allahu, chroń fanatyków” to nie to samo. Zamiast tego wracała wielokrotnie powtarzana przestroga wobec niewiernych: *Ich schronieniem będzie ogień. A jakże to nieszczęsna przystań!*

Stanowczo za dużo ostatnio myśli. W głowie pobrzmiwały na wpół zapomniane piosenki i fragmenty kabaretowych skeczy. Zamiast wezwania do modlitwy on słyszał w łepetynie Budkę Suflera albo Kayah z Bregoviciem. Jak tak dalej pójdzie, zaczną lepić pierogi, a do samobójczego ataku ruszą po spożyciu kapuśniaku.

Z islamistycznego bojówkarza stał się zgredem. Omal się nie roześmiał na samą myśl o tym.

Tu boli, a tam strzyka. To cud, że dociągnął do tak pięknego wieku.

– Na początek farba – zdecydował Renard.

– Twoja wola.

Polak powlókł się za Francuzem jak pies za swoim panem. Mógł temu małemu kutasowi skrócić kark. Tylko co później? Uciekać nie będzie. Należało to rozegrać w inny sposób.

– Nie zapomnij o rozcieńczalniku – powiedział Paul, wybierając z ekspozycji

odpowiedni odcień białego.

– Zobaczę z drugiej strony.

Sznajder doszedł do końca regału i skręcił w lewo. Artykuły przemysłowe ciągnęły się jak okiem sięgnąć. Garnki, miski, talerze. Tylko nie to, czego potrzebował.

– Znalazłeś?

– Jeszcze nie.

Ani chwili spokoju. Paul idealnie nadawał się na klawisza. Szamilew wiedział, kogo wybrać.

W końcu załadowali wózek. Nic, tylko iść do kasy i uregulować rachunek. Sznajder pchał wehikuł, próbując nie najechać na pięty Renardowi, który szedł na przedzie.

– Poczekaj.

– Co znowu?

– Jest okazja.

– Do czego?

– Smakowało ci to, co ostatnio jadłeś?

– Nie bardzo. – Francuz aż się wzdrygnął.

– Kupmy jakieś zioła, oliwę, makaron. Inaczej pomrzemy z głodu.

– Dobra. Bierz, co tam potrzebujesz.

Wkrótce obok puszek z farbą i rolek folii piętrzyły się zgrzewki coca-coli, fanty i smakowej wody mineralnej. Dalej poszło już łatwo, trochę owoców i gotowych dań. Wszystkiego po trochu, tak aby nie wzbudzić podejrzeń. Za to z przyprawami zaszalał. Skoro chłopaki lubią na ostro, to duże opakowanie pieprzu kajeńskiego będzie w sam raz.

Rachunek nie był mały, ale i nie przesadnie wysoki. Spokojnie mieścili się w normie.

Przeładownie towaru zajęło im dosłownie chwilę.

– A ty dokąd?

– Muszę do kibla. Idziesz ze mną? – Sznajder zaczął niespokojnie przebierać nogami.

– Nie. Tylko odstaw wózek.

No, w końcu. Zdaje się, że ma swoje upragnione pięć minut spokoju. Kompletnie nie wiedział, co by zrobił, gdyby Paul poszedł wraz z nim.

Artur ponownie wszedł do holu sklepu, ale nie skierował się w stronę toalet, tylko przemknął na halę główną. Musi wycząić, gdzie jest dział z elektroniką, a konkretnie z telefonami na kartę. To jego ostatnia nadzieja.

Zerknął do tyłu, żeby się upewnić, czy Renard faktycznie go zostawił. Po tym palancie wszystkiego można się było spodziewać.

Wyminął starsze małżeństwo, które najwidoczniej tu postanowiło znaleźć

ochłode przed skwarem dnia, i młodego sprzedawcę próbującego ułożyć w piramidę sporej wielkości arbuzy.

– Przepraszam, mogę przeszkodzić? – Sznajder obrócił się na pięcie i podszedł do chłopaka. Oby tylko tamten znał angielski, bo włoski Polaka było fatalny. Wszystkiego parę słów i beznadziejna wymowa.

– Służę.

Nareszcie wydarzenia zaczęły toczyć się tak, jak zaplanował.

– Potrzebuję telefonu.

– Mamy spory wybór.

– Może mi pan pokazać?

– Oczywiście. Sporo modeli jest w promocji.

– Nie jestem wybredny. Najprostszy aparat mi wystarczy.

– Może samsung albo LG.

– Trochę drogie.

Artur sięgnął po opakowanie, żeby sprawdzić cenę. Dwieście euro. Własnej gotówki miał najwyżej pięćdziesiąt.

– Będzie jeszcze potrzebny zestaw startowy. I proszę pamiętać o rejestracji. Inaczej z nikim się pan nie połączy.

Kompletnie o tym zapomniał. Przepisy to przepisy. Ustawa antyterrorystyczna niosła ze sobą szereg ograniczeń. Pewnie niektóre z nich dawało się obejść, ale nie miał na to pieniędzy ani czasu.

– Nie odpowiada?

– Niestety.

– To może ten.

Alcatel za jedyne dziewięćdziesiąt dziewięć. Szlag.

– W czym problem? – Chłopak wyglądał na takiego, który autentycznie chce pomóc.

– Jestem w podróży. Moje środki są mocno ograniczone, a koniecznie muszę zadzwonić.

– To pilne?

– Nawet nie wiesz, jak bardzo.

Chłopak wypuścił powietrze przez zęby.

– Te są najtańsze.

– Kupię twój. – Tylko to przyszło Arturowi do głowy.

– Mój? – Sprzedawca wybałuszył oczy. – Nie jest na sprzedaż.

– Spokojnie. Rozumiem. Jak masz na imię? – Sznajder wiedział, że posuwa się za daleko, nie miał jednak wyjścia. Za minutę lub dwie Renard zacznie go szukać i zrobi się całkiem nieprzyjemnie.

– Stefano.

– Pięknie. Od dawna tu robisz?

- Od pół roku.
- Zarobić dają?
- Nie bardzo. Ciągłe słyszę, że jest recesja. A szef ma wypasione ferrari.
- Nie ma sprawiedliwości.
- Ano nie ma. – Stefano smętnie pokiwał głową.
- Nie martw się, kiedyś będzie lepiej.
- Wątpię.
- Optymistą to ty nie jesteś.

Mogli tak gadać do wieczora. Z sytuacji ogólnej przejdą do polityki, z polityki na sport, a ze sportu na pogodę.

Stefano nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia pięć lat. Skoro zasuwał tutaj, to nie załapał się na studia i pewnie tego żałował. Rzym niedaleko, a on ugrzązł w tej dziurze. Nie każdego życie rozpieszczało.

– Powiem szczerze. Sprawa jest poważna. Moja matka zachorowała, a mnie jakiś sukinsyn podprowadził telefon.

– To przykre.

– A co ja mam powiedzieć? Jestem splukany. To wszystko, co mam. – Dwa banknoty po dwadzieścia i bilon znalazły się na dłoni Sznajdera. – Wiem, że to mało, ale spróbuj mnie zrozumieć.

– Wybacz.

– Dobra. Dorzucę zegarek. – Polak odpiął bransoletę i podał sprzedawcy. – Jest wart co najmniej tysiaka.

– Nie jest złoty.

– To oryginalny zenith. Solidna szwajcarska robota. Przyjrzyj się.

– Sam nie wiem.

Normalnie to dałby gamoniowi w łeb i byłoby po sprawie.

Chłopie, tylko się nie irytuj. Jedna zmarszczka na czole i sklepikarz odpłynie w siną dal, a ty zostaniesz z niczym.

– Więcej nie mam – powiedział cicho. – A to tylko telefon.

– Mam w nim numery, nie... to nie przejdzie. – Stefano odwrócił się i pomaszerował w stronę zaplecza.

Ale go wyrolował. Dobrze, że szczył nie pobiegł do kierownika ze skargą. Po takim można się spodziewać wszystkiego. Artur był wściekły na samego siebie, że dał się tak potraktować.

Stracił pięć minut na użeranie się z tym palantem, a na dodatek nic nie wskórał. Tymi pięćdziesięcioma euro najwyżej mógł pomachać Renardowi przed oczami. Szansa pojawiła się i zgasła jak iskierka.

Z regału ściągnął gumę do żucia i pastę do zębów, po czym ponownie ustawił się w kolejce do kasy. Zmarnował już tyle czasu, że dwie minuty go nie zbawia.

Stojąca przed nim para dobiegała sześćdziesiątki. On ze zwisającym brzuchem, ona ze zwisającym biustem. Kiedyś prawdopodobnie była z niej niezła laska. Na jej twarzy Artur dostrzegł ślady dawno minionej urody.

– Nie zapomniałeś o kaparach? – Lekko ochryply głos kobiety brzmiał całym przyjemnie.

– Tu leżą.

Jej mąż o zmęczonym spojrzeniu weterana rodzinnych wojen dla świętego spokoju omiół wzrokiem wyładowany produktami wózek.

– A oliwki?

– Cały słój.

– Te co zawsze?

– Uhm...

Facet włożył ręce w kieszenie szortów i odwrócił się bokiem do zamęczającej go żony. Gapił się przy tym w przestrzeń, a jego myśli wydawały się krążyć wokół jednego problemu – jak pozbyć się tej jędry raz na zawsze.

Przy kasie powstał niewielki zator. Jak nic postoją tu jeszcze pięć minut.

Kobieta mimo natapirowanej fryzury i obcasów sięgała Arturowi najwyżej do brody. W białym przylegającym do ciała topie i obcisłych spodniach pozowała na osobę dużo młodszą, niż była w rzeczywistości.

Sznajder przyjrzał się jej uważnie. Na każdym palcu mieniły się złote pierścionki, a bransolety na przegubach dźwięczały przy najmniejszym poruszeniu ręką. I jeszcze okazały wisior na szyi. Z czymś takim to prosto do muzeum. Tylko torebka nie pasowała do całości. Tak się mu przynajmniej zdawało. Zresztą co on może o tym wiedzieć. Był dżihadystą, a nie stylistą. To duża różnica.

Kolejka przesunęła się do przodu może o pół metra. To wystarczyło, by para przed nim zaczęła wykladać produkty na taśmę.

Artur pilnie ich obserwował. Któreś z nich musiało posiadać telefon. To pewne jak w banku. Kolejny krok i zaczyna się poszukiwanie kart płatniczych. No, kochanie, pokaż, co masz w torebce.

Niby przez przypadek przesunął się bliżej. Dobrze, że Włoszka stała tuż obok. Ostrożny żuraw i...

– Proszę się nie pchać.

– Najmocniej przepraszam. To przez te perfumy. Zakręciło mi się od nich w głowie.

Zamiast spodziewanego ochrzanu otrzymał kokieterjny uśmiezek.

– To Giorgio Armani?

– Nie.

– Są naprawdę urzekające. – Artur nie tracił rezonu. – Zupełnie tak jak pani.

Nie chciał przeginać. Co za dużo, to niezdrowo. Byle tylko odwrócić uwagę zainteresowanej.

Pamiętał zasady „szkoły lwowskiej”, gdzie złodzieje ćwiczyli na manekinie obwieszonym dzwoneczkami, lecz nie mógł się mierzyć nawet z bardzo przeciętnym kieszonkowcem. Paluchy miał grube i sztywne, przywykłe do trzymania karabinu, a nie do gry na fortepianie i innych finezyjnych ruchów.

Kolejna szansa. Teraz albo nigdy.

Kasjer zajęty zliczaniem towaru, mąż chowaniem zakupów, a ona przyglądaniem się, co robią tamci dwaj.

Szybki ruch i palce Sznajdera zacisnęły się na twardym tworzywie. Jest. Byle tylko aparat nie wyslizgnął się z jego uścisku. No dalej, już prawie go masz.

Nie przyglądał się, co uchwycił. To bez znaczenia. Najważniejsze, żeby nie zadzwonił.

Wcisnął smartfon do kieszeni spodni i zaczął odliczać od trzydziestu do jednego. Uff. Ale się przy tym spocił. I nic dziwnego. W tym fachu był amatorem.

– Tylko to?

– Tak.

Guma i pasta zostały skasowane.

– Cztery pięćdziesiąt.

Zapłacił i z duszą na ramieniu podążył do wyjścia. Gdy nikt go nie widział, wyłączył zasięg. Koszulę wyłożył na wierzch, tak aby choć trochę maskowała kształt ukrytego telefonu. Później przełożył go do skrzynki z żarciem i zataszczył wszystko do kuchni. Nikt nie powinien niczego podejrzewać. Zwłaszcza Izzat.

– Co tak długo? – Renard bębnił palcami po kierownicy.

– Ciebie nigdy nie przycisnęło? – Artur cisnął opakowanie gumy w jego stronę.

– Jedziemy. Jeszcze pięć minut w tej dziurze i zacznę rozjeżdżać tych kretyków na chodnikach.

– Ależ ty jesteś niecierpliwy.

– Każdy ma swoje słabości. Ty ich nie masz?

– Opowiesz mi o nich?

– Innym razem. – Renard wrzucił bieg i furgonetka ruszyła na północ.

Sznajder oddychał przez nos powoli i równo. Serce w jego piersi przestało łomotać. To dobrze. Jeszcze tylko brakowało mu problemów ze zdrowiem.

Zgłoszenie od Alessandry Luciano wpłynęło około trzynastej. Sierżant karabinierów, który z nią rozmawiał, omal nie dostał ataku serca. Cholerne babsko ciaskało się tak, jakby od jej telefonu zależały losy świata. Upierała się przy tym, że aparat został jej podprowadzony podczas zakupów w supermarkecie. Potrafiła nawet wskazać sprawcę – młodego mężczyznę z dziwnym akcentem, który kilkakrotnie potrafił ją przy kasie.

Funkcjonariusz słyszał już nie takie oskarżenia. Niemniej zgłoszenie wpłynęło i coś z nim należało zrobić. Trochę dziwiło pozostawienie przez domniemanego złodzieja portmonetki. Jak utrzymywała sama okradziona, znajdowało się w niej przeszło dwieście euro w gotówce. Telefon, model Sony sprzed kilku lat, był wart najwyżej połowę sumy w portfelu.

Nie jego sprawa. Dane zostały wprowadzone do systemu. Przy pierwszej próbie uzyskania połączenia od razu będą wiedzieli, gdzie jest złodziej, bowiem telefon zaloguje się swoim numerem IMEI w najbliższych przekaźnikach, nawet jeżeli typ jest sprytny i wymieni kartę. Tylko po co miałyby to robić? Najprostszy model dawało się kupić w komisie za centy.

Luciano poświęcono dokładnie tyle czasu, ile trzeba, i ani minuty więcej. Taką błahostką nikt nie będzie się przejmował. Na karabinierów czekały poważniejsze zajęcia, jak chociażby sprawa zaginięcia 12-letniej Chiary. Gówniara związała z chaty, po tym jak ojczym podbił jej oko. Tym się należało zająć, a nie głupim telefonem. Niektórzy to nie mają sumienia zawracać im głowę takimi duperelami.

Jak coś wypłynie, to wypłynie, a jak nie, to nie. Wystarczy. *Basta.*

Sznajder wytarł usta serwetką. Pozostali takie burżuazyjne zachowanie mieli za nic. W końcu na swój sposób byli rewolucjonistami, walczącymi o nowy sprawiedliwy ustrój społeczny – Państwo Boże. W Koranie wszystko zostało dokładnie wyjaśnione. Hołdowanie drobnomieszczańskim manierom to nie dla nich. Większość i tak niezbyt orientowała się w tych niuansach. Najważniejsze, że jedzenie było dobre. Nikt nie narzekał, a sam Ramzan pochwalił ich za inicjatywę.

Artur wstał od stołu, zabrał swój talerz i poszedł do kuchni szorować naczynia. Nie spieszył się przy tym, wykonywał każdą czynność z namaszczeniem.

Jeszcze wieczorna modlitwa i każdy z nich zajmie się sobą. Kabir jak zwykle będzie siedział w Internecie, Szamilew zacznie przerzucać strony Koranu, a reszta wbije spojrzenia w telewizor. Układ idealny. Po kuchni nikt się nie będzie pętał.

Do największego z garów nalał wody i zaczął przygotowywać wywar na zupę. Raz czy dwa do kuchni zajrzał Izzat, ale widząc, co robi Polak, w końcu się wycofał i poszedł do siebie. I o to chodziło.

Smartfon był tam, gdzie go ukrył. Kosza z zieleniną nikt nie ruszał. Z salonu dochodziły śmiechy i pokrzykiwania. Jak znał życie, jego towarzysze oglądali właśnie jakiś głupawy program rozrywkowy. Wcale się im nie dziwił, każdy musi jakoś odreagować stres.

Co by nie mówić, ich stres w porównaniu do jego był doprawdy niczym. Cholera. Krojąc marchewkę, dziabnął się w palec, i to mocno.

Szybko odkręcił zimną wodę, przyglądając się, jak rubinowe krople skapują do zlewu. Gdzie jest plaster? Zdaje się, że w łazience na górze.

Owinał skaleczenie papierowym ręcznikiem. Niby nic wielkiego, a bolało jak wszyscy diabli.

Powędrował po schodach, klnąc na czym świat stoi. Łazienka po lewej stronie korytarza. Gdzieś tu widział apteczkę. Pokoje obok puste. Taka okazja może się już nie powtórzyć. Jak ma zatelefonować, to tylko teraz.

- Jeszcze po jednym?
- Ja mam dość, ale ty jak chcesz.
- Pewna jesteś?
- Przecież mnie znasz.

Podpułkownik żandarmerii wojskowej w stanie spoczynku Piotr Halicki spróbował powstrzymać ziewnięcie. Wiedział, na ile może sobie pozwolić, i nie chciał przesadzić. Dwa browary wystarczą. Jutro też jest dzień.

- Poczekasz na mnie?
- Jasne.

Odprowadził Alicję wzrokiem, a sam skinął na kelnera, od którego dostał rachunek w całkiem rozsądnych granicach. Zapłacił, dodawszy napiwek, i ruszył w kierunku schodów, zatrzymując się przy toaletach.

Było wcześniej. Może uda się namówić Alicję na mały spacer? Żadne z nich nie musiało rano gnać do roboty. Od kiedy wywalono go z armii, na wiele spraw zaczął patrzeć w inny sposób. I było się tak spalać? Dostał kopa i tyle. Dobrze, że wyłądował na emeryturze z pełną odprawą, choć ilość papierów, które musiał wcześniej podpisać, przekraczała granice rozsądku.

Od zadymy w Bukareszcie upłynął rok, a on wciąż nie mógł się pozbierać. Pewnych rzeczy nie zapomni do końca życia. Wszystkich uwikłanych w tę aferę wykopano na zbity pysk. Wszystkich bez wyjątku. Banacha, Osmeckiego, jego, chłopaków z JSOC... Galiński w piach. Kurwa, ale się porobiło.

- Minę masz niewyraźną. Wszystko gra?

Alicja. Bez niej już dawno skończyłby na dnie. Kochał ją bez pamięci, ale jedno cenił w niej najbardziej: cierpliwość do jego humorów. Na co dzień niby wszystko było w porządku, lecz wystarczyło parę sekund, a zapadał się w sobie, tracąc kontakt z rzeczywistością. Czasami wstawał w środku nocy i łąził po mieszkaniu, nie mogąc znaleźć sobie miejsca. Podobno bezsenność to jeden z objawów depresji. Jak tak dalej pójdzie, zaczniesz brać leki. Żartów nie ma.

- Tak mnie naszło.
- Właśnie widzę – burknęła Alicja.
- Wiem i przepraszam.
- Chodź już.

Wyszli z lokalu na szczecińskiej starówce i ruszyli w stronę Zamku Książąt

Pomorskich. Pójdą pod górę Kuśnierską, a później skręcą w prawo. Przed paru laty w tym miejscu...

Sygnal telefonu oderwał myśli podpułkownika od wspomnień.

– Ktoś sobie o mnie przypomniał – spróbował zażartować.

– Starzy kumple?

– Zaraz się przekonamy.

Zerknął na wyświetlacz. Obcy numer, długi. Z zagranicy? Słyszał o takich oszustwach.

– To chyba pomyłka.

– Odbierz w końcu.

– Jak sobie życzysz, tylko żeby później nie było na mnie – westchnął i przyłożył aparat do ucha. – Słucham?

Cisza. Więc jednak żarty.

– Halo, słucham!

– Piotr?

Halicki stanął jak wryty. Te smartfony to diabelskie urządzenia. Był tego całkowicie pewien. Normalnie połączenie z tamtym światem nie jest możliwe.

– Kto mówi?

– To ja.

– Głupi kawał. – Wciąż jeszcze nie dopuszczał do siebie pewnych myśli.

– Mówi Artur.

– Nie znam...

– Sznajder.

– Oszalałeś, człowieku, jeżeli myślisz, że ci uwierzę. – Twarz Halickiego stała się kredowobiała.

– Pan major mnie nie pamięta?

– Podpułkownik – sprostował machinalnie.

– Gratuluję awansu.

Sznajder, dżihadystyczny wypierdek, z którym były same kłopoty.

– Piotr, o co chodzi? – Alicja wydawała się szczerze zaniepokojona.

– O nic. To pomyłka.

– Ogarnij się w końcu. Nie mam ochoty na pogaduszki. Jak się dowiedzą, że z tobą rozmawiam, zginę – zniecierpliwił się głos w telefonie.

– Gdzie jesteś?

– Niedaleko Rzymu.

– Masz wakacje?

– Wysłuchaj mnie.

– Staniesz przed sądem. Uciekłeś.

– Ale wcześniej uratowałem ci życie. Robert przy tym był.

– On nie żyje.

- Jak to?
- Normalnie. Dostał kulę i umarł.
- Przykro mi.
- Mów, jaką masz sprawę.

No i po wszystkim.

Sznajder wyjął z telefonu kartę i baterię. Najchętniej wyrzuciłby całość do kibla i spuścił wodę. Z jednej strony czuł się podle, jak skończona szmata, ale z drugiej mu ulżyło. Zrobił to, co do niego należało. Teraz niech martwią się inni.

Po namyśle wcisnął aparat do kieszeni. Może jeszcze się przydać. Halicki prosił o meldunki co jakiś czas.

Dobre sobie. Czy ten palant zdaje sobie sprawę, jaka jest stawka? Zapamiętał ten numer telefonu tylko dlatego, że był prawie identyczny z jego datą urodzin. Podczas wspólnej wyprawy do Syrii dostał go od Halickiego. Nie sądził, że się jeszcze przyda, bo niby do czego? Życzeń na święta wymieniać nie będą. Jak to się człowiek może pomylić.

Szkoda Galińskiego. Można powiedzieć, że dobry był z niego kumpel. W życiu nieczęsto się takich spotyka. Był i go nie ma. Chłopak miał całe życie przed sobą. Z jego zdolnościami...

Drzwi do łazienki uchyliły się nieznacznie i w wąskiej szparze ukazało się ponure oblicze Al-Rawiego.

- Czego chcesz? – zapytał Polak.
- Słyszałem głosy.
- Owszem, mówiłem do siebie. – Sznajder uniósł pokrzwawioną dłoń. – Głupia sprawa. W takim momencie...
- Poradzisz sobie?
- Oczywiście.
- Jakbyś czegoś potrzebował, zawołaj.

Nagła troska Izzata wydawała się podejrzana. Gburowaty Irakijczyk zazwyczaj tak się nie zachowywał. Opierdolić kogoś, to i owszem, bez problemu, ale współczucia dla bliźniego miał jak na lekarstwo.

Ciekawe, ile słyszał z tego rozmowy. Po polsku raczej nie rozumiał, chociaż cholera go wie. Może wcześniej spotykał się z Polakami i przyswoił sobie parę słów. Ten sukinsyn był kuty na cztery nogi. Jedno jest pewne, będzie u drania na cenzurowanym.

Artur usiadł na krawędzi wanny, przykładając czoło do chłodnej umywalki. Chciał pomóc, a wyszło jak zwykle. Jeżeli Halicki czegoś szybko nie wymyśli, jest skończony. Akurat to nie ulegało wątpliwości.

- Powiesz mi w końcu, co się stało? – pytanie Alicji zawisło w powietrzu.
- Sam chciałbym wiedzieć.
- Z kim rozmawiałeś?
- Z duchem.
- Nie jesteś zabawny.
- Wiem.

Kobieta sporo o nim wiedziała, lecz nie wszystko. Były takie sprawy, o których nie chciał i nie mógł powiedzieć.

- Ten facet już dawno powinien być trupem.
- Piotr, proszę, nie musisz do tego wracać. Jesteś cywilem. Usunęli cię. Nie masz zobowiązań wobec nich. Zapomniałeś? Jesteś tylko człowiekiem. Ostatnio było już całkiem dobrze. Koszmary minęły.
- A tu proszę.

Halicki wydłużył krok i intensywnie myślał. Sznajder nie dzwonił z byle powodu, a to oznaczało wyłącznie jedno – jest źle, a będzie jeszcze gorzej. Strzępy zapamiętanych zdań zaczęły się układać w logiczną całość. I choć nie wiedział, co to jest CBU-55, nie brzmiało to dobrze. Nazwisko Szakilew – bo takie chyba podał Sznajder – żandarmowi nic nie mówiło, ale mało to popaprańców chodzi po świecie?

Normalnie kazałby któremuś podwładnych posprawdzać wszystko w zasobach służb i poczekałby na wynik. Jeśli gość jest w bazach danych, to by go znaleźli.

Parszywy świat. Dlaczego Sznajder zatelefonował z tym właśnie do niego? To akurat proste – pewnie mu ufał i był przekonany, że to najlepszy kontakt. Taki cwany i tak się przeliczył. Skąd mógł wiedzieć, że on już dawno został wydalony ze służby i jego możliwości były bliskie zeru? Nikt nie wysłucha byłego oficera, który stał się czarną owcą. Zostanie wyśmiany. I to dosłownie.

- Kurwa.
- Co mówiłeś?
- Do siebie. Nie przejmuj się.
- Jak się mam nie przejmować, skoro jesteś zdenerwowany?
- Próbuję myśleć.

Do Banacha z tym nie pójdzie. Zresztą kto wie, gdzie jest generał? Pewnie pasie owieczki na hali. To do niego podobne.

Osmecki? Chmura? Nieosiągalni tak samo jak były szef wywiadu wojskowego. Teraz na stołkach zasiadali „mądrzejsi” od nich.

Pozostawał Cyrus Parker. Ostatnia wiadomość od sierżanta pochodziła sprzed kilku miesięcy. Podobno robił w wywiadowni u Kruczkowskiego. Kruczkowski, właśnie. Facet w środowisku opinię posiadał dobrą. Może u niego warto

spróbować?

– *Jak twierdzi policja, incydent nie ma podłoża terrorystycznego. Wszystko wskazuje na zwykły wypadek drogowy.*

Ernest Wolski gapił się w telewizor zniesmaczony idiotycznym komentarzem. Trzy osoby nie żyją, siedem jest rannych, a ci pieprzą od rzeczy. Imienia ani nazwiska kierowcy nie podano. Dobro śledztwa nade wszystko. Policja w Malmö wie, co robi.

Wolski odłożył trzymaną na kolanach książkę, wstał i przeciągnął się, aż zatrzeszczały kości. Musi się ruszać, inaczej zardzewieje. Na rozgrzewkę pompki, później brzuszki. Jak nie będzie dbał o sześciopak, to obrośnie tłuszczem.

Był akurat w połowie pierwszej serii, gdy odezwał się telefon.

Ależ sobie znaleźli porę. Mogli poczekać chociaż z pięć minut.

– Jestem. – Nie musiał patrzeć na numer, aby wiedzieć, kto o tej porze zakłóca mu odpoczynek.

– Zbieraj się. Za pół godziny chcę cię widzieć w biurze. – Głos Mateusza Kruczkowskiego brzmiał ponuro.

– Pojutrze mam egzamin.

– Znowu?

– Z...

– Nawet nie chcę wiedzieć z czego.

– Zerówkę oblałem. – Ernest niechętnie spojrział na podręcznik do łaciny.

– Jakoś to załatwimy.

– Co?

– Te rekolekcje. A teraz wal do firmy.

Nim założył buty i wciągnął kurtkę, przeleciał jeszcze serwisy informacyjne. Same „incydenty”: jeden w Malmö, drugi w Helsinkach, trzeci w Nancy... bunt w obozie na Lampedusie i wywrotka kutra z imigrantami u wybrzeży Hiszpanii. Podobno utonęło aż pięćset osób.

Wolski zdjął z haczyka na ubrania kluczyki do motocykla, a z szafki ściągnął kask. Współczuł tym wszystkim biedakom. Naprawdę. Każdy ma prawo do lepszego życia. Kumple się z niego śmiali. Podobno jest za miękki. Trudno, co zrobić, sumienia sobie nie wyrwie. Taki się urodził i taki pewnie zdechnie.

Przekręcił klucz w zamku i zbiegł po schodach. O tej porze korków się nie spodziewał. Dojedzie bez problemów. Z Mokotowa na plac Narutowicza tak daleko nie było.

Akurat zaczął padać deszcz. Nie jakoś szczególnie uciążliwy, ot, plastik przysłony pokrył się kropelkami wody, a na jezdni pojawiły się kałuże.

Przy skrzyżowaniu alei Niepodległości z Woronicza minął sznur policyjnych

bud. Co najmniej dziesięć wozów i jedna panczerka. Konwój podążał na południe. Niebieskie i czerwone światła odbijały się w mokrym asfalcie.

Ta informacja pewnie zainteresuje Kruczkowskiego. Albo raczej nie. Niejednokrotnie zdawało się Ernestowi, że jego szef jest najlepiej poinformowanym człowiekiem w Warszawie. Kumpli miał wszędzie. W policji, armii, rządzie, a nawet episkopacie.

Parę minut później zaparkował przed biurem i wszedł do środka.

- Szef w jakim humorze? – zapytał sekretarki.
- Parszywym – usłyszał w odpowiedzi. – Czeka na ciebie.
- Wiadomo, co jest grane?
- Sam ci wyjaśni. Pospiesz się.

Nim dotarł do gabinetu Kruczkowskiego, pozdrowił znajomych i zajrzał przez ramię analitykowi, który pracowicie walił w klawisze komputera. Na tapecie Izrael. O co znów mogło chodzić?

– Siadaj. – Kruczkowski wskazał dłonią krzesło obok Parkera. – A ty, Cyrus, powiedz Plazmie, co się dzieje.

- Ja?
- Do ciebie pierwszego zadzwonił Halicki. Może się myłę?
- To tylko przez wzgląd na dawną znajomość.
- Dowiem się w końcu, co jest grane? – zniecierpliwił się Wolski.

Parker, obrócony bokiem do niego, wydawał się spięty. A nie był to częsty widok.

- Pułkownika pamiętasz?
- Trudno zapomnieć. – Kto jak kto, ale Halicki wbijał się w pamięć. Poznali się w Bukareszcie. Reszta to historia.
- Odezwał się mniej więcej dwie godziny temu, wściekły na cały świat.
- Co powiedział?
- Na początek podał nazwisko do sprawdzenia. Niejaki Szakilew. Sprawdzi-
liśmy, nikogo takiego nie ma.
- Czyli lipa.
- Nie do końca. Jeden z naszych bystrzaków zorientował się, że nie chodzi tu o Szakilewa, ale o Szamilewa, a tu już grubo.
- Co to za jeden? – Wolski zmrużył oczy.
- Przewodzi Światłości Dnia, jednej z ekstremistycznych grup z Syrii. Nie
muszę chyba mówić, jakie mają cele?
- Domyślam się.
- Sam Szamilew to pikuś, ale jest jeszcze coś.
- No.
- Podobno ma CBU-55.
- Nic mi to nie mówi.

– To bomba termobaryczna.
– Kurwa.
– I ja tak myślę – zgodził się Parker.
– I od pułkownika pochodziły te rewelacje?
– Ma tam informatora. Podobno Galiński też go znał, tyle że Galińskiego już nie ma.

– Powoli, nie tak szybko. Gdzie ten cały Szamilew przebywa obecnie? – pytanie Ernesta wydawało się logiczne. – Tylko nie mówcie, że nie ma go w Syrii.

– Jest we Włoszech. Gdzieś pod Rzymem.

– To żart?

– Niestety nie.

– Kto o tym wie?

– Na razie tylko my.

Wolski otworzył usta, lecz nim zdążył powiedzieć choć słowo, został uprzedzony przez Kruczkowskiego.

– Uspokój się. Załatwimy to oficjalnie dyplomatycznymi kanałami. Dam znać, komu trzeba. Pismo będzie gotowe na rano, bo trochę musi to potrwać.

– A oni nam uwierzą? Niesprawdzona informacja z enigmatycznego źródła.

– Jeżeli nie, to już ich sprawa.

– Jak to trzaśnie... Zaraz, zaraz, ta bomba to jakiej jest produkcji?

– Izraelskiej.

– Ciekawe. Pamiętacie tę operację CaHaLu sprzed paru tygodni, tę, w której ponieśli tak duże straty? Z kim się wówczas bili?

– Z Szamilewem i jego bandą. – Kruczkowski wycelował palec w Ernesta. – To ma sens.

– Jak na poganiaczy kóz są całkiem sprytni – zauważył Parker.

– Nie doceniamy ich.

Wolski czuł wyraźnie, że przez ostatni rok przestał być ogonem, a stał się człowiekiem, z którego zdaniem liczą się wszyscy, poczynając od Kruczkowskiego, a na byłych żołnierzach JSOC kończąc. Być może sprawiły to studia, w co nie do końca wierzył. Na pewno wiele zawdzięczał Mateuszowi, który od początku widział w nim kogoś więcej niż zwykłego wykonawcę poleceń.

– Dobra, mów, jaki masz pomysł. – Kruczkowski popatrzył mu prosto w oczy.

– Pan dobrze wie, szefie, jak układają się stosunki pomiędzy nami a dawnymi sojusznikami. Dobrze nie jest. Oni wciąż nam mają za złe przyjęcie jankesów na własne podwórko. Obrazą dla nich jest fakt, że ośmielamy się mieć własne zdanie...

– I że wstaliście z kolan. – Cyrus znał tę śpiewkę. – Przejdź do konkretów.

– Dostaną nasze pismo i co? Przeczytają, porobią notatki, przekażą dalej. Je-

den okólnik, drugi, trzeci. Sprawa utknie na biurku prefekta czy szefa tamtejszych służb.

– Fatalnie to brzmi.

– Ale taka jest prawda. Co pan by zrobił, gdyby podobne ostrzeżenie przyszło od nich?

– Pojęcia nie mam.

– O jakiś punkt trzeba się zahaczyć. Okolice Rzymu to dosyć szerokie pojęcie.

– Dać foty Szamilewa każdemu gliniarzowi.

– Mógł zmienić wygląd albo się ucharakteryzować. Poza tym co wiemy o celu?

– Na razie nic.

– Sami widzicie, jak to wygląda. Mają ładunek paliwowo-powietrzny. To potężna siła. Obojętnie, gdzie go odpalą, straty będą gigantyczne.

– Co radzisz?

– Jedyńm dojściem jest informator Halickiego. Innego nie widzę.

– Pogadam z nim, znaczy się z Halickim – odezwał się Parker. – Tyle mogę zrobić.

– Ale nie telefonicznie. Pojedziecie do Szczecina. To całkiem ładne miasto – zadecydował Kruczkowski. – Weźmiecie range rovera. Tu są kluczyki.

– To kawał drogi.

– Jak wyjedziecie przed północą, rano będziecie na miejscu.

– Pan nie ma litości – jęknął Parker.

– Co jeszcze?

– Na Puławskiej widziałem kolumnę policyjną. Dziesięć wozów. Jechali na południe.

– W obozie dla imigrantów pod Piasecznem doszło do zamieszek.

– Z jakiego powodu?

– Sudańczycy kontra Egipcjanie albo Erytrejczycy przeciw Etiopczykom. Jakoś tak. Spłonęły dwa baraki. Ze trzydzieści osób jest rannych i poparzonych. Ochrona nie dała sobie rady. Tak, tak, nie rób takich oczu, tu w kraju mamy już ze sto tysięcy śniadych przyjaciół i z każdym dniem przybywa ich więcej.

– W telewizji o tym nie mówili – zdziwił się Ernest.

– Bo i chwalić się nie ma czym. I nie zapomnijcie o rachunkach. Inaczej księgowość nie rozliczy wam wyjazdu. A teraz spadajcie, mam parę telefonów do wykonania.

Wyszli, cicho zamykając za sobą drzwi.

Do Szczecina wjechali szosą S3 od strony Gorzowa. Na Pomorzu przynaj-

mniej nie padało, mimo to nad ranem pojawiły się mgły i musieli zwolnić do rozsądnych granic.

Wolski, podobnie jak i Parker, nigdy wcześniej nie zapuszczał się w te rejony Polski, bo i po co? Od stolicy to kawał drogi. Szybciej z Okęcia doleczą do Tunezji, niż dojadą samochodem na te obrzeża. Już Poznań i Wrocław wydawały się daleko, a Szczecin to połowa drogi na Księżyc. Halicki zdecydowanie powinien mieszkać trochę bliżej. Zaoszczędziłoby to wielu osobom czasu.

– Jeść mi się chce – oznajmił Ernest, bezskutecznie próbując w miarę wygodnie ułożyć nogi.

– Jest po szóstej.

– A jakie ma to znaczenie?

– Formalnie żadnego, ale mnie też boli dupa od siedzenia.

– To co?

– Najbliższa stacja.

Tę znaleźli dopiero parę kilometrów dalej. Nie wyróżniała się niczym oprócz tego, że należała do znanej krajowej sieci dystrybucji paliw. W Polsce było takich tysiące. Czynne 24/7, przy kasach napoje, gazety i słodycze, a dla szczególnie wędrownych hot dogi.

Wzięli po dwa i do tego kawę w wysokich tekturowych kubkach. Stanęli tak, aby mieć widok na parking.

– Jak ci się zdaje, ten informator Halickiego mówił prawdę?

– Po co miałyby kłamać – odparł Plazma z pełnymi ustami.

– Może to podpucha? Chcą nas skierować na niewłaściwe tory, a prawdziwą akcję przeprowadzą w Polsce. – Parker zatopił zęby w bułce i parówce, odgryzając solidny kęs.

– Wszystko możliwe.

– Na takim meczu Legii w finałach. Szkoda by było.

– Od kiedy stałeś się takim miłośnikiem futbolu?

– Odkąd nie mogę oglądać Super Bowl. – Cyrus wyrzucił papierek po hot dogu do najbliższego kosza. Dobry humor ulotnił się w jednej chwili.

Ernest westchnął. Zdążył się przyzwyczaić do zachowań amerykańskich przyjaciół. Właściwie to już nie byli Amerykanie, tylko Polacy. Posiadali obywatelstwo, papiery i masę zaświadczeń, nawet z ZUS-u. Mogli głosować i być wybierani na urzędy. Wymowny był przykład Słupska, gdzie dotychczasowego prezydenta zastąpiła czarnoskóra starsza bosman, zresztą lesbijka. Wydawało się, że dobrze zasymilowali się z mieszkańcami kraju nad Wisłą. Tylko niekiedy dawała o sobie znać ich druga natura.

Parker na przykład popadał w przygnębienie. Można powiedzieć, że odpływał gdzieś daleko i nie chciał wracać. Nie należało go wówczas drażnić. Fatalny nastrój po jakimś czasie mijał, choć – jak przewidywał Ernest – któregoś razu kum-

pel może już z tej podróży nie powrócić. Odsetek samobójstw wśród nich był... powiedzieć, że „spory”, to eufemizm. Z Amerykanów, którzy znaleźli się w Polsce, nie zaaklimatyzowało się już przeszło tysiąc trzysta osób. Jak żyć, kiedy cały świat rozsypał się w gruzy?

W kieszeni Wolskiego odezwał się telefon.

– Tak?

– Gdzie jesteście? – Kruczkowski lubił wiedzieć, gdzie też podziewają się jego ludzie.

– Dojeżdżamy. Za pół godziny będziemy na miejscu.

– Halicki będzie na was czekał o ósmej. Adres wyślę SMS-em.

Do spotkania pozostało półtorej godziny.

– Dobra.

– O jedno was proszę. Halicki ma opinię dziwaka. Podobno parę razy nieźle mu... No, wiesz...

– Taa...

– Wysłuchajcie go w spokoju.

– Tak zrobimy.

– Jeżeli kroi cię coś dużego, tylko on może nam pomóc – dodał szef i rozłączył się.

Kruczkowski nigdy się tak nie zachowywał. Ślad paniki w jego głosie dawał do myślenia. Może w centrali dokopali się kolejnych informacji o Szamilewie.

– Hmm...

– Co mówiłeś?

– Tak o piłce... – Parker zdawał się powoli wydobywać z dołka. – W pucharach widzę...

– Poczekaj. – Wolskiego zaczęło łupać w tyle głowy.

Skąpe dane przekazane przez podpułkownika mówiły wyraźnie, że informator ukrywa się gdzieś na obrzeżach stolicy Włoch. CBU-55 to potężna broń. Na otwartej przestrzeni przetoczy się jak taran. A co, jeżeli ta przestrzeń nie będzie otwarta? Taki stadion na przykład. I derby Lazio z AS Roma? Ilu kibiców zasiądzie na trybunach? Z pięćdziesiąt tysięcy? Spoko. Jaki zwyrodnialec mógłby coś podobnego wymyślić? Po czymś takim Włochy zatrzęsą się w posadach. Nie tylko zresztą Włochy.

Nim wyszli na parking, swoimi spostrzeżeniami podzielił się z Parkerem.

– Powiedz o tym Kruczkowskiemu.

– To jedynie hipoteza.

– Ma ręce i nogi.

– Nie panikuj, bo się stresuję.

– Ernest, nie kombinuj, tylko zrób to, proszę cię.

– Najpierw pogadamy z Halickim. Zgoda?

– Taki tłum. Nie potrzeba atomówki.

– Myślisz, że mnie się podoba to, co wymyśliłem? – Teraz Wolski usiadł za kierownicą i zatrzasnął za sobą drzwiczki. Parker usadowił się z drugiej strony. Milczeli. Tylko z radia dobiegał głos dziennikarza odczytującego poranne wiadomości. Pożar, zamach, plaga... Ernest zmienił stację na jedyną, która nadawała muzykę klasyczną. *V Symfonia* van Beethovena pasowała do ich nastroju idealnie.

– A mnie się wydawało, że sprawy idą w dobrym kierunku – mruknął Parker i przymknął oczy. Miał zamiar zdrzemnąć się choć kilka minut, lecz głowę zaprzętnęły mu niewesołe rozmyślenia.

Epidemia w Stanach wygasła już dawno. Kraj powoli stawał na nogi, jeżeli można tak powiedzieć. Ponad jedna trzecia populacji USA zmarła w wyniku pandemii, natomiast późniejsze zamieszki i klęska głodu mogły przyczynić się do śmierci większej liczby obywateli niż sam wirus.

Mur na Rio Grande wciąż stał. W wyniku stanowczej postawy rządu Meksyku udało się uniknąć najgorszego i choroba nie rozprzestrzeniła się na południe kontynentu.

W tym przypadku mur oznaczał dosłownie mur, a nie siatkę, jaka wcześniej odgradzała oba państwa. Budowla powstała w przeciągu kilku tygodni, czego po Meksykanach nikt się nie spodziewał. Motywacja czyni cuda. Na ironię zakrawało, że niewiele wcześniej to spora część Amerykanów gardłowała za takim właśnie rozwiązaniem.

Jednocześnie ze wznoszeniem żelbetowych ścian z zasiekami i fosami Meksykanie wysiedlali wszystkich mieszkańców z pięciokilometrowej strefy przygranicznej. Wojsko i policja nie cackały się z nikim. Wyjeżdżasz albo won na drugą stronę granicy. Wystarczy przecież jeden zakażony i nikt nie ocaleje.

Meksyk nie stanął do tej walki sam – szybko uzyskał wsparcie Panamy, Nikaragui, Kolumbii, Ekwadoru, Peru, Brazylii, Argentyny i Paragwaju. Każde z tych państw przysłało własny, choćby symboliczny kontyngent wojskowy, sprzęt do obserwacji terenu, powietrzne i morskie jednostki obrony wybrzeża. Dorazny sojusz wojskowy szybko przekształcił się w polityczny. Skoro po stuleciach wreszcie zdarzyła się okazja odgryźć znieprawdzonym *gringos*, to dlaczego tego nie zrobić?

W samych Stanach Zjednoczonych nadal nie działało się najlepiej. Władze centralne istniały, ale na bezkresnej prowincji wielu poczuło się mocniejszymi od rządu federalnego. W Atlancie, Bostonie, Los Angeles i Miami bunty wybuchały jeden po drugim. Powodów było co niemiara – a to brakowało i tak reglamentowanej żywności, a to wzrosły obciążenia fiskalne, zaś pomoc społeczna nie docierała do najbardziej zainteresowanych.

Liczyli się ci, którzy byli blisko. Senator, który w porę prysnął za granicę, nic nie znaczył. Większy autorytet miał przedstawiciel lokalnych struktur, taki burmistrz, szeryf czy też nawet zwykły obywatel, posiadający dość energii, aby zorga-

nizować mieszkańców najbliższej okolicy i jakoś przetrwać najtrudniejszy okres.

Wielu z tych lokalnych przywódców zasmakowało w nieograniczonej władzy i nawet po ustąpieniu epidemii nie chciało podporządkować się starej administracji.

Góry, lasy i prerie stały się areną zacieklej walk. Ten i ów zaczął przebąkać o nowej wojnie secesyjnej. Nic bardziej mylnego. Nowy ruch jeszcze nie okrzepł, a już spadły na niego represje. Oficjalne przekazy mówiły o bandach mających podobno terroryzować spokojnych i lojalnych wobec Waszyngtonu obywateli. Większość wiedziała swoje. Opór narastał i trudno było przewidzieć, jaką przybierze on formę – czynną czy bierną. Dla prezydenta i jego administracji był to twardy orzech do zgryzienia.

Niemniej nikt już nie zestrzeliwał samolotów lecących ze Stanów i nie zawracał statków. Nawet Kubańczycy rozpoczęli odwrót z najdalej na południe wysuniętego cypla Florydy, lecz jak się wydawało, nie powiedzieli jeszcze ostatniego słowa.

Można uznać, że coś wisiało w powietrzu. Czy nie czas wracać do ojczyzny?

Z S3 wjechali na berlinkę, starą autostradę wiodącą z Berlina do Królewca, by po paru minutach dojechać do kolejnego zjazdu. Nie spodziewali się, że zobaczą Szczecin z lotu ptaka. Dzielnice lewo- i prawobrzeżne przecinał pas sinej wody. Tu i tam wyrastały wysokościowce, lecz tylko dach bazyliki świętego Jakuba, obity miedzianą blachą, na dłużej przykuwał uwagę.

– Nie tak to sobie wyobrażałem – bąknął pod nosem Wolski.

– Ja też nie.

Prawdę powiedziawszy, Parker niczego sobie nie wyobrażał.

GPS prowadził ich jak po sznurku. Droga wiodła w dół, tuż przy hotelu Panorama. Przynajmniej wiadomo, skąd ta nazwa. Poniemieckie domy, trochę nowej zabudowy i... kompletna masakra. Korek przed mostem na Regalicy zdawał się nie mieć końca. Kto wymyślił tak idiotyczną krzyżówkę? Kraj się rozwijał, a tu wszystko jak za głębokiego PRL-u.

Jechać prosto czy skrócić w prawo? Na wyświetlaczu oba rozwiązania wydawały się dobre.

– Skręcaj – poradził Cyrus.

– Tu?

– A gdzie?

– Jak chcesz.

Ustawili się za autobusem komunikacji miejskiej, czekając, aż ten ruszy.

Dalej nie było lepiej. Po obu stronach szosy ciągnął się las, a tej drogi nie modernizowano od trzydziestu lat. Jechali, a właściwie wlekli się czterdziestką. Dopiero bliżej centrum skończyły się powody do narzekania. Jedno rondo, drugie, trzecie, skrzyżowanie. Ruch na jezdni stał się bardziej płynny.

Wały Chrobrego to nie był zwykły adres – trzy potężne gmachy górujące nad Odrą okazały się Akademią Morską, Muzeum Narodowym i Urzędem Wojewódzkim.

Zaparkowali w pierwszym dostępnym miejscu i dalej poszli piechotą. Ten fragment miasta robił wrażenie. Wystarczyło stanąć na wysokiej skarpie, by zobaczyć port, dźwigi i estakadę drogi szybkiego ruchu. Na prawo, w odległości wielu kilometrów, wypiętrzony leśny masyw. To z niego zjechali.

Usiedli na jednej z ławek i z braku innych zajęć kontemplowali widok.

– Zaskoczeni?

Wolski powoli odwrócił się do tyłu.

– Miło pana widzieć, pułkowniku.

– Was też.

Zmarszczki w kącikach oczu oficera, siwe skronie, zapadnięte policzki i spuchnięte powieki jakoś nie zaskoczyły Ernesta. Halicki trzymał się prosto, lecz widać było, że robi to z nawyku. Ramiona oklapły, a pod T-shirtem zarysował się brzusek. Nie takim go zapamiętał. Zdaje się, że ich były dowódca zajrzał w piekielną czeluść o jeden raz za dużo.

– Co wiemy o informatorze? – Parker nie bawił się w pogawędki.

– Skurwiel.

– Tylko tyle? To samo można powiedzieć i o nas.

– Tylko że wy staliście po... no, mniejsza z tym – powiedział powoli były żandarm. – On wybrał dżihad świadomie.

– Dobrze się znaliście?

– Lepiej, niżbym chciał.

– Kruczkowski wycisnie z nas każdą molekułę informacji.

– Raz go złapałem, drugim razem zwiął. Nic więcej powiedzieć nie mogę.

Chcecie wiedzieć więcej, idźcie do Banacha lub Osmeckiego.

– Pan był jego bezpośrednim przełożonym.

– Mniej więcej tak jak i waszym.

Zapadło niezręczne milczenie. Każdy z nich analizował w myślach własne wspomnienia.

– Sprawdziliśmy, co to CBU-55 – powiedział po chwili Wolski. – Paskudna sprawa.

– Wyobraźcie sobie, że ja też zajrzałem do Internetu. Zachodzę tylko w głowę, jak ten Szakilew mógł ją zdobyć.

– Szamilew. Ramzan Szamilew, przywódca dużej terrorystycznej grupy.

– Z Kaukazu?

– Nie, z Syrii, panie pułkowniku.

– A teraz jest we Włoszech.

– Tak twierdzi pański kumpel.

– Sznajder nie jest moim kumplem.
Nazwisko już mają. Przynajmniej szef nie pourywa im łbów.
– Skąd się znacie? – Wolski zaryzykował kolejne pytanie.
– Długo by mówić.
– Mamy czas.
– Jak dostanę papier od ministra, usłyszycie tę ciekawą historię, ale do tej pory będę milczał.
– Tu może chodzić o życie wielu osób. Może nawet paru tysięcy.
– Plazma, powiedz pułkownikowi, jaką masz teorię – odezwał się Parker.
Ernest w paru zdaniach streścił swoją hipotezę.
– Niech pan nie bierze tych wszystkich ludzi na swoje sumienie, pułkowniku.
– Ależ z was upierdliwcy.
– Taką mamy robotę.
– I pomyśleć, że kiedyś byłem żandarmem.
– Dalej nim pan jest.
– Gówno prawda. – Halicki machnął ręką. – Pozostała ze mnie wypalona skorupa. Ten ostatni raz to już było za wiele.
– Proszę nie zapominać, że my też tam byliśmy, choć nie od początku. Nic pan nie mógł zrobić.
– Nie mam takiej pewności. – Halicki wstał i zaczął iść ze wzrokiem wbitym w ziemię.
Chcąc nie chcąc, ruszyli za nim aleją.
– Robi pan błąd, biorąc winę na siebie – nie ustępował Wolski.
– A co innego mi pozostaje?
– Zacisnąć zęby i iść dalej.
– Łatwo powiedzieć.
– Już do końca życia chce się pan nad sobą użalać?
– Wiem, wiem, tacy jak my nie pękają, tylko odchodzą z honorem. A już na pewno nie wyciągają wniosków z doświadczeń.
Wolski popatrzył na Parkera, lecz ten, ponury, wzruszył jedynie ramionami.
Ernest poczuł się trochę nie na miejscu. Ci dwaj mieli ze sobą więcej wspólnego, niż wcześniej mu się wydawało. Obaj to weterani, mocno doświadczeni przez los. On przy nich nic nie znaczył.
Lepiej robi, jak pozwoli działać Cyrusowi. Ostatecznie to właśnie z nim skontaktował się Halicki. Jeżeli podpułkownik chłapnie więcej, zrobi to jedynie w rozmowie z nim.
Parker chyba zrozumiał, w czym rzecz. Po chwili zrównał się z Halickim i coś tam zaczęli pomiędzy sobą szeptać, zupełnie jak konspiratorzy. Wolski pozostał z tyłu.

A swoją drogą, dziwnie się to życie układało. Kiedyś chciał być taki jak Hallycki, ostatni z niezłomnych, jak uważał. Dziś już nie był tego taki pewien.

Kolorki wyszły idealnie. Granatowe akcenty i loga na białym tle upodobały obie furgonetki do wozów transmisyjnych największej z włoskich sieci informacyjnych. Sprzęt w środku też wyglądał fachowo – nawet konsole mrugały światłkami, gdy się je włączyło. I tyle. Sygnału nie nadadzą. Pod odpowiednio umocowanymi pokrywami bagażnika dachowego, które imitowały osłonę anten satelitarnych, tkwiły ładunki termobaryczne, najpierw rozłożone przez Saleha i Kabira, a później ponownie zmontowane i zamaskowane. Według symulacji komputerowych eksplozja na tej wysokości powinna być maksymalnie efektywna. Wystarczyło podejść na wyznaczone miejsce, zwolnić zamek pokrywy i nacisnąć guzik. Nastąpi bum, a oni przejdą do historii.

W każdym wozie po dwóch zamachowców. Reszta zapewni osłonę.

Jeżeli nic się nie zmieni, ruszą w przyszłym tygodniu. Właśnie kroilo się jedno z takich wydarzeń, o jakich zwykle rozpisują się gazety. Frekwencja z pewnością będzie ponadprzeciętna. Transmisja na żywo pójdzie na cały świat. I o to chodzi.

Szamilew przyjrzał się niebu, jakby stamtąd oczekiwał wsparcia. Już niedługo przekroczy bramy raj. Można powiedzieć, że je wyważy, wkraczając z przytupelem.

Pora przygotować się do kolejnej modlitwy. Tego obowiązku nie można opuścić. Wieczorem popracuje nad oświadczeniem. To nie może być banalny tekst kolejnego watażki, tylko głos płynący z serca mądrego przywódcy. Musi się w nim odwołać do fundamentów wiary, ukazać głęboki sens tego aktu i pokazać dalszą drogę dla wiernych.

Przed nimi masa pracy i wyrzeczeń, nim wreszcie *Dar-al-Islam* zapanuje nad Europą. Cała społeczność muzułmanów na świecie – *umma* – czekała właśnie na niego.

– Jest tak, jak przewidziałeś.

Kruczkowski stał pośrodku swojego gabinetu, z dłońmi głęboko wciśniętymi w kieszenie.

– Mianowicie?

– Włosi nas olali.

– Jak to?

– Nie potraktowali naszego ostrzeżenia poważnie.

– Głupi są. – Wolski omal nie parsknął śmiechem.

– Wiecie, jaki podali powód?
– Pojęcia nie mam.
– Że w Polsce mniejszość muzułmańska jest tak nieliczna, że nasze ostrzeżenie nie jest próbą zapobieżenia zamachowi, a wtrącaniem się w ich wewnętrzne sprawy.

– Oni tak poważnie?

– Jedna sugestia nie jest dla nich powodem do wszczynania alarmu.

Parker, który siedział obok Wolskiego, siorbnął kawy i założył nogę na nogę. Milczał.

– Nigdy nie uważałem ich za tytanów intelektu. Są zapatrzonymi w siebie dupkami, mającymi w pogardzie całą resztę – wyrzucił z siebie Wolski.

– Co niczego nie zmienia. – Kruczkowski z ledwością powstrzymał się przed uderzeniem pięścią w stół. – Kiedy najbliższy mecz?

– Za tydzień, za dwa, za trzy, tam co chwila jest mecz. To przecież ich sport narodowy. Za miesiąc grają z Olympic Marsylia. To dopiero będzie się działo – wycedził Amerykanin.

– A za dwa z Bayernem Monachium – oznajmił Wolski.

– Cudownie.

– Ludzie muszą mieć jakąś radochę, inaczej zadręcą się na śmierć – powiedział Ernest.

– Panowie, to oczywiste: tylko my stoimy pomiędzy chaosem a porządkiem, między życiem a śmiercią tysięcy... – zaczął Kruczkowski.

– Wow. – Cyrus docenił patos.

Wolskiemu przypomniało się ostatnie kazanie ordynariusza polowego. Ten zaczął podobnie, od razu waląc z grubej rury: tu my, tam oni, za nami Bóg i aniołowie, a za nimi hufce piekielne. Czyż nie miał racji?

– Doskonale wiecie, że z każdym dniem liczba ataków rośnie. Wydarzenia w Paryżu pokazały dobitnie, jaki kierunek obiorą islamiści. To już nie będą ataki z użyciem noża czy samochodu, ale masowe wystąpienia muzułmanów z żądania-
mi wprowadzenia szariat.

– To nie przejdzie – mruknął Parker. – Ludzie za bardzo przyzwyczaili się do wolności. Nawet społeczeństwa muzułmańskie poluzowują sobie gorsety obyczajowe, jak tylko mogą.

– Przyzwyczajenia większości to słaba zaporę dla fanatyków. Ludzie poprotestują i zrezygnują, a niedobitki się do tego zmusi. Wszystkich, ale to wszystkich da się zastraszyć bez większego problemu – oświadczył Kruczkowski z przekonaniem.

– Czyli nie ma ratunku. Nie wysiedli się tych milionów z powrotem do Afryki czy na Bliski Wschód, bo to nierealne. Wystrzelać też się nie da...

– A ty, Plazma, jakie masz o tym zdanie? – Przełożony skinął głową ku Wol-

skiemu.

– Zastanawiający jest brak zdecydowania takich na przykład Francuzów w tej kwestii. Nie wahali się ani chwili, by zabronić przylotu amerykańskich samolotów w czasie epidemii, ale zawrócić fali uchodźców przez Morze Śródziemne jakoś nie chcą. Rozumiecie takie postępowanie?

– Czyli spisek? – podsunął Cyrus.

– Ja bym powiedział, że celowe diabelskie działanie elit. Rozmyjemy tożsamość narodów europejskich, sprowadzając muzułmanów. Ci jednak okazali się żywiołem nieprzewidywalnym i prędzej rozsądzą kontynent, niż się przystosują do naszych warunków.

– Trafna diagnoza – skonkludował Kruczkowski z ponurą miną.

– Szamilew też o tym wie. Jeżeli jego operacja zakończy się sukcesem, wyrośnie na lidera. I to nie jednego z setek, lecz dla większej części wyznawców Allaha stanie się prawdziwym bohaterem, który upokorzył największe państwa świata.

– Wiecie, że nie możemy do tego dopuścić?

– A co jesteśmy w stanie zrobić? Jeżeli nie chcą naszej pomocy, nic nie wskóramy. Mamy ich błagać na kolanach, żeby nam uwierzyli? Kompletnie bez sensu.

– Słyszałeś o grzechu zaniechania?

– Szefie, co pan mi tutaj...

– Pojedźcie do Włoch i postaracie się znaleźć Sznajdera.

– My dwaj?

– Nikogo lepszego nie mam.

– Pan nie mówi poważnie.

– Ty, Plazma, masz łeb, a Parker doświadczenie. Poprosiłbym Halickiego, ale z tego, co mówicie, to już wrak. Prędzej zaszkodzi, niż pomoże.

– Tak nieoficjalnie?

– Mam o zgodę prosić MSZ?

– To cholerni koniunkturaliści.

– Właśnie.

– Cyrus, jakie masz o tym zdanie?

– Wszystko mi jedno – burknął Parker.

– Sznajder w końcu się odezwie, a Halicki skieruje go do was. Będąc w Rzymie, szybciej zareagujecie. Zresztą wiecie, czego się spodziewać.

– Ale we dwóch... – Wolski wciąż jeszcze nie był przekonany.

– Jedźcie tam ratować cywilizację.

– Co się stanie, jak nas wcześniej dorwą makaroniarze?

– Macie zrobić wszystko, aby do tego nie dopuścić. Idźcie do domu się spakować. Wyjedźcie, jak będziecie gotowi. Ja popracuję nad przykrywką, tylko muszę pogadać z paroma osobami.

– Błado to widzę.
– Ja też, ale jakoś trzeba to załatwić. – Parker skrzywił się.
Dochodziła siedemnasta. Zdaje się, że dzisiejszej nocy nie zmrużą oka.

– Podziękujmy Allahowi, że obdarzył nas swoją łaską.
Ramzan Szmilew spojrział na każdego z obecnych z uczuciem głębokiej radości. Wiedział, że dobrze wybrał. To byli najlepsi z najlepszych. Najbardziej lojalni i zaufani. Wypróbowani towarzysze.

– Zastanawiacie się zapewne, po co się tu zebraliśmy.
Niepokój, zaciekawienie, obawa. Każdy z nich inaczej reagował na słowa Szamilewa.

– Pora, żebyście się dowiedzieli, jaka jest nasza misja.
Kolorowy plan miasta leżał na stole, wokół którego się zgromadzili. W samym środku planu państwo, którego istnienie dla większości muzułmanów było obrazą.

– Uderzymy tu, za cztery dni.
Artur Sznajder, stojący pomiędzy Timurem a Salehem, zdębiał. Gdzieś w głowie przewidywał taką możliwość, ale nie brał jej na poważnie.

Watykan.
To przecież niemożliwe. Miasta-państwa pilnowała nieprzeliczona rzesza kabinierów i agentów tajnych służb. Mysz się nie prześlizgnie.

I nie musi.
Żadne prześlizgnięcie się nie będzie potrzebne. Mają takie ładunki, że wystarczy ustawić się w pobliżu albo podjechać pod punkt kontrolny i detonować bombę. Zginie papież, kardynałowie i wierni. Bazylika ulegnie uszkodzeniu, o ile nie zawali się rażona siłą podmuchu.

Zuchwałość planu przerażała. Chrześcijanie im tego nie darują. Równie dobrze można zbombardować Mekkę. Wojna religijna, jaka wybuchnie, rozsądzi cały porządek świata.

Sznajder przełknął ślinę, czując nieodpartą chęć sięgnięcia po papierosa lub wychylenia czegoś głębszego, choć to wbrew zasadom wiary.

Dobrze, że nie wywalił telefonu. Musi koniecznie pogadać z Halickim.
Nie mógł sobie darować, że jednak nie pozarzynał tych sukinsynów wcześniej. Już nie czuł z nimi braterstwa. Pierdoleni psychopaci.

Warszawa – Katowice – Wiedeń i dalej przez Alpy na południe kontynentu.
Prowadził Parker. Od kiedy wrócili ze Szczecina, popadł w przygnębienie. Odpowiadał zdawkowo na pytania, sam przeważnie milczał. Zbywał nawet swoich

dawnych kumpli Pabla Castillo i Jamesa Appeltona. Ernestowi zdawało się, że był to wynik spotkania z Halickim.

O czym gadali? Trudno powiedzieć. Pewnie nie o kwiatkach i pogodzie.

Minęli tablicę informacyjną. Do Wiednia trzydzieści kilometrów. To podobno całkiem przyjemne miasto. Przynajmniej takim było niedawno. Obecnie sporą mniejszość stanowili tam przybysze z południa.

– Byłeś kiedyś samotny?

Pytanie Parkera zaniepokoiło Ernesta.

– Nie. Nie wiem. Jakoś o tym nie myślałem.

– Szczęściarz z ciebie.

– A ty?

– Co ja?

– No jak jest z tobą?

– Na cholere ci to wiedzieć?

Mógłby znaleźć parę powodów. W końcu tworzyli zespół i nie chciał, żeby Cyrusowi któregoś dnia odbiło.

Zdaniem Kruczkowskiego Halicki to wrak. A Parker nie?

– Myślałem o tym, co ma się wydarzyć. – Ernest wyłączył radio. Irytowała go sieczka przebojów przerywanych tylko szwargotem prezenterów.

– I do jakich doszedłeś wniosków?

– Wybuchnie wojna.

– Nie pierwsza i nie ostatnia.

– Ale ta będzie inna.

– Zdaje się, że Europa już sporo takich przeszła.

– Owszem. Później przez dekady podnosiła się z kolan.

– Zapamiętaj jedno, młody... – Parker zwolnił. Za niecały kilometr zjazd do jakiejś podwiedeńskiej miejscowości. Skoro mają jechać dalej, czas na solidny posiłek. – Na wojnie umierają biedacy. Tacy jak my.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Bogaci przetrwają. Ich synowie, majątki, wszystko, co posiadają. Po prostu im się zawsze udaje. Cwani są. Tylko dla takich jak my pojęcia honor i ojczyzna coś jeszcze znaczą. Ale to naszymi rękoma te skurwysyny załatwiają swoje interesy. Jeżeli myślisz inaczej, to jesteś frajer. Siedzę w tym dostatecznie długo, aby wiedzieć, o czym mówię. Swoje podręczniki możesz sobie wsadzić w dupę. Nic w nich nie ma.

– Są opracowania... – niepewnie powiedział Ernest.

– Tak? Jak to jeden prowadzi szarżę, a inny się broni? Śmierć i chwała?

Wiesz, co ci powiem? Debil, kurwa, jesteś. Kogo to obchodzi? Wyrzynają się biedacy. Elita, obojętnie jaka, ma cię gdzieś. Powiedziałeś, że tym razem będzie inaczej. Bardziej pomylić się nie mogłeś. I teraz walczyć będą ci, co nie mają nic lub

bardzo niewiele, przeciwko takim samym, tylko bardziej zmotywowanym wiarą. Co to zmieni? Nic. Detale. Politycy przyjdą później, gdy trzeba będzie się układać, podpisywać traktaty i mówić, jakie to straty ponieśliśmy.

– Przerażasz mnie.

– A ty mnie drażnisz tą swoją szczerą wiarą. Pamiętasz Bukareszt? Byłeś tam, widziałeś. Ilu ludzi zginęło, bo paru mądralom zachciało się bawić w pierdoloną walkę wywiadów? Dziesiątki chłopaków poszły do piachu, a decyzyjne skurwysyny grzeją tyłki na emeryturach. Z poczuciem krzywdy, oczywiście. Nie wiem, jak z tobą mówić.

Wjechali do miasteczka, zaparkowali i udali się na poszukiwanie najbliższego gasthausu.

Milczeli, obrażeni jeden na drugiego.

W końcu na skrzyżowaniu ulic dostrzegli odpowiedni lokal. Kafajka serwowała posiłki od szóstej rano do dwudziestej drugiej. Miejsce w sam raz dla nich.

Zamówili jajka i smażone kiełbaski. Miła starsza kobieta podała im jedzenie do stolika. Byli jedynymi gośćmi.

– Czytałem akta tego Sznajdera – powiedział Wolski z pełnymi ustami.

– I co?

– Wiele tam nie ma. Same suche fakty. Urodził się, żył, służba wojskowa. Później już nic.

– Takie nic, że z Halickim łączą go jakieś ciemne sprawy. Mam przeczucie, że ten facet to chodząca katastrofa.

– Dżihadysta.

– Właśnie to miałem na myśli. – Parker powoli żuł mięso. – Każdy, kto się z nimi zadaje, to dla mnie pojebaniec. Trzeba być psychopatą, żeby odcinać ludziom głowy. Może nie mam racji?

– Pewnie, że masz. – Ernest odłożył widelec i sięgnął po serwetkę. – Może kluczem do Sznajdera jest Halicki. Co my o nim wiemy?

– Tylko to, co zechce nam powiedzieć. Ja osobiście nie mam mu nic do zarzucenia. W Bukareszcie się sprawdził. Byłem, widziałem. Daj Boże więcej takich łebskich dowódców.

– Galiński też...

– Kurwa, odpierdol się... – warknął Parker przez zaciśnięte zęby. – Musisz do tego wracać? Co ja ci, kurwa, zrobiłem?

Galińskiego z Bukaresztu wzięli, chociaż w worku. Innych zostawili – Florina, rumuńskiego gliniarza, który trzymał z nimi, Elenę... W piersi Ernesta rozlała się fala gorąca. Już nic więcej nie przełknie. Zostawili ją, ot tak. Oni wsiedli do samolotu, a ona została.

Pewnych rzeczy się nie zapomina.

– Idziemy? – zapytał Ernest.

– Niech skończę. – Cyrus łyknął kawy z porcelanowego kubka. – Następny postój zrobimy za Alpami.

– W takim razie muszę na stronę.

Ernest wstał i poszedł w kierunku toalet.

Niedługo zrobi się taki sam jak Parker i Halicki. Łatwo powiedzieć: nie martw się, wszystko będzie dobrze. Jakie, kurwa, dobrze? Serca sobie nie wyrwie, mózgu nie wypali. Dobrych rad udzielali kretyńcy, którzy nigdy niczego w życiu nie przeżyli. Od tych banałów mdliło. Poradzisz sobie, człowieku, wszystko się ułoży...

Ja pierdołę. Infantylny teksty urodzonych debili.

Ernest mył ręce powoli i starannie.

Co się z nim dzieje? Dotarł do jakiejś granicy, czy co?

Pchnął drzwi i wyszedł na salę. W lokalu zrobiło się trochę tłoczniej. Nie przyglądał się nowym klientom, od razu kierując się w stronę stolika, przy którym siedział Cyrus.

– Jestem gotowy – oznajmił.

– A ja nie – odrzekł Amerykanin.

Ernest dopiero teraz zorientował się, że coś jest grubo nie w porządku. To nie byli klienci. Piątka śniadoskórych chłopaków, na oko pomiędzy osiemnastym a dwudziestym piątym rokiem życia, otoczyła kontuar, za którym stała sprzedawczyni.

Przewodzący grupie wysoki chudzielec zrzucił z lady jedną filiżankę, później drugą i trzecią, nie przejmując się tym, że ma widownię.

– Który raz tu jesteśmy?

Struchlała kobieta nie potrafiła wykrztusić słowa.

– Powiem ci, starucho: piąty. Piąty. Czy ty to rozumiesz? Przychodzimy tu raz na tydzień, a ty wciąż nic nie kumasz? Masz się wynieść, i to jak najszybciej.

– Ale...

– Mansur nie lubi konkurencji.

– Zrozumcie...

– Dostałaś jedno ostrzeżenie, później drugie... – Nagle tknięty instynktem bandyta obrócił się do tyłu. – A wy czego się gapicie?

Wolski z Parkerem mogli się wycofać. Właściwie nic tu po nich. Mieli swoje zadanie i powinni po prostu wyjść, jak gdyby nigdy nic. Tyle że oni tego nie robią. To pewne jak lokata w banku. Pewniejsze.

– Nie słyszycie, co powiedziałem?

Ernest zauważył, że Cyrus przeszedł w tryb bojowy. Tych pięciu chłystków właśnie znalazło się pomiędzy życiem a śmiercią, lecz jeszcze nie zdawało sobie z tego sprawy.

Przywódca gangu nie bardzo wiedział, jak ma postąpić. Jeśli zlekceważy

tych dwóch, straci w oczach podwładnych. Nie po to się buduje autorytet, by go trwonić z byle powodu. Zresztą większego zagrożenia nie widział. Pięciu na dwóch? Skopią dupy tym zasrańcom aż miło.

- Idźcie sobie – ochryply głos Cyrusa dobywał się wprost z trzewi.
- Co powiedziałaś?
- Matka nie nauczyła cię manier? Masz czelność tu przychodzić i obrażać kobietę, a nam przerywać posiłek.
- Kim ty jesteś?
- Nikim.
- Skoro tak, to moja rada jest prosta. Masz trzydzieści sekund na opuszczenie tej budy.
- A jak nie?

Tego było już za wiele. Zgraja ruszyła wprost na nich, prowadzona przez drągała. Napastnicy mieli pewien kłopot, bo ruch ograniczały stoliki i krzesła, tworzące tylko dwa przejścia.

Ernest przyjrzał się napastnikom bliżej.

Szumowiny. Mocni w grupie. Całkiem prawdopodobne, że z ostatniej fali uchodźców. Z inżynierami czy lekarzami, jak ich lubiły określać liberalne media, niewiele mieli wspólnego. Ewentualnie tutejszej służbie zdrowie podsyłali pacjentów. Dziś role się zmieniają.

– Spokojnie. – Parker, który do tej pory siedział, wstał i wyciągnął obie dłonie przed siebie w uspokajającym geście. – Po co te nerwy? Nie możemy się dogadać?

- My z wami?
- Jak nie chcecie...

Noga Cyrusa wystrzeliła w przód, trafiając chłopaka w brzuch. Tamten odleciał metr do tyłu, wpadł na stół i wraz z nim zatrzymał się dopiero na ścianie, po czym bezwładnie opadł bokiem na posadzkę. Zdaniem Ernesta, jeżeli przeżył, to z pękniętą wątrobą i złamanymi żebrami.

Jego dalsza kariera jako szefa stanęła pod znakiem zapytania.

Reszta zmartwiała. Nie tego się spodziewali. Byli zaskoczeni i powolni. Walka z nimi to jak przewracanie przedszkolaków.

Ten, który stał przed Wolskim, sięgnął po kosę, a właściwie chciał to zrobić. Ernest od urodzenia nie wierzył w równe szanse, a już szczególnie w walce.

Postąpił krok w przód, lewą ręką złapał za bluzę napastnika, przyciągając go bliżej, a prawą uderzył w krtań. Nie za mocno. Nie chciał zabić.

Oczy przeciwnika zmętniały. Tego zdziwienia na twarzy Wolski długo nie zapomni. Nawet nie musiał go podcinać. Żuł wałną o glebę tuż obok swojego wozu.

Pozostała trójka okazała się tak samo nic niewarta, jak ci, którzy już oberwa-

li. Dobiegnięcie do wyjścia zajęło im dwie sekundy.

– Przepraszamy za ten bałagan. – Wolski z niesmakiem rozejrzył się dookoła.

Parker postawił stolik na miejscu i dosunął krzesła. Dobrze, że wyposażenie lokalu nie uległo zniszczeniu, ale i tak należało się stąd wynieść jak najprędzej. Policja może już tu jechać. Jeśli zostaną zatrzymani, Kruczkowski dostanie szafu. Wydobyć ich z aresztu może zająć cały dzień, a honorarium adwokata będzie astronomiczne.

– Oni tak często? – Cyrus przeszedł nad leżącym ciałem.

– Dosyć. – Wystraszona sprzedawczyni przemówiła cichym głosem. – Miesiąc temu niedaleko otworzono lokal z kebabem. Podobno stanowią dla nich konkurencję. Chcą mnie wyrzucić.

– Była pani na policji?

– Tak.

– I co powiedzieli?

– Że takimi drobnymi sprawami się nie zajmują.

– Groźby są dla nich drobne? Najścia? Awantury? – Wolski skrzywił się z niesmakiem.

– Jak do tej pory nikt nie ucierpiał. Ale klienci przestali przychodzić. Chyba pójdę z torbami...

– Proszę pomyśleć o ochronie.

– Teraz będę musiała. Tamci wrócą.

Wymknęli się z kafejki niczym złodzieje. Nic więcej nie byli w stanie zrobić. Jedno wiedzieli na pewno – skopanie dupy tym ówkom to mało. Wciągnąć jednego z drugim w ciemny zaułek i połamać im ręce i nogi. Może któryś zmańdrzeje, a jak nie, to już nie ich sprawa.

Jak się wydawało, przybytki z kebabem wyprą niedługo normalne żarcie. Kto je takie gówny? Ernesta wzbierało na wymioty na sam widok. Kto dziś zje, jutro umrze. Strawić to paskudztwo mógł tylko padlinożerca. Może to sposób arabów na wytępienie Europejczyków? Kto wie, jakimi pokrętnymi ścieżkami chodziły myśli poganiaczy kóz.

Do niedzieli pozostało czterdzieści osiem godzin. To będą najdłuższe dwa dni w jego życiu. Zadania zostały porozdzielane. Pozostało jedynie czekać.

Z woli Allaha nadarzyła się wyjątkowa okazja. Tego dnia papież wyniesie na ołtarze kolejnego błogosławionego.

Jeffrey Okara już za życia był legendą. Wiele mówiło się o uzdrowieniach za jego wstawiennictwem. Jak nikt potrafił godzić zwaśnionych chrześcijan i muzułmanów, a w końcu zginął śmiercią męczeńską w północnej Nigerii. Każdą trwałą

trzy dni. Kapłanowi nie oszczędzono niczego, aż skonał, obdarty ze skóry przez bojówkarzy Boko Haram i przybity do krzyża.

Przewidywano, że na uroczystą beatyfikację przybędzie co najmniej pół miliona wiernych.

Takiego wydarzenia nie można przepuścić.

Autostrada Słońca wiodła ich wciąż dalej na południe. O jej budowie zdecydował w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku rząd włoski, chcący połączyć rolnicze południe kraju z uprzemysłowioną północą. Ale Wolski wiedział, że to Benito Mussolini pierwszy wystąpił z tym pomysłem. Dziś już mało kto o tym pamiętał, choć ten przywódca sporo zrobił dla Włoch. Inwestycje, które zapoczątkował, bardzo wzmocniły przemysł, tak że Italia stała się jedną z potęg gospodarczych.

To zabawne, że człowiek, który miał się za nieomylnego i uwielbianego przez naród, tak szybko stanął przed plutonem egzekucyjnym, a następnie zawisł powieszony za nogi. Przestroga dla każdego polityka.

Rzym to spora metropolia, zamieszkała przez ponad cztery miliony obywateli. Przynajmniej tak głosiły oficjalne statystyki. Te nieoficjalne trochę od nich odbiegały. Zdaniem niektórych należało dodać jakieś półtora miliona mieszkańców – tych, którzy przybyli tu stosunkowo niedawno.

Obaj wysłannicy Kruczkowskiego byli świadomi, że bez pomocy Sznajdera znalezienie terrorystów będzie niemożliwe. Nie tylko każdy czarny czy Arab mógł być zamachowcem. Przykład polskiego dżihadysty dawał do myślenia. Szamilew był Tatarem, i to wyjątkowo przebiegłym i okrutnym, skoro udało się mu wspiąć na sam szczyt islamistycznej międzynarodówki. Ci, którzy podążali za nim, niekoniecznie muszą pochodzić z Afryki czy Bliskiego Wschodu. Nierzadko pojawiały się opinie, że europejscy neofici są znacznie bardziej radykalni.

Coś w tym musiało być. Jaki związek z Syrią czy Irakiem ma facet, który przyjechał z Manchesteru, Lyonu, Monachium czy Katowic? Żadnego. Nie znam nikogo i mnie nikt nie zna. Mogę mordować do woli, bo wszystko jest tu obce. Jedynym wsparciem są współtowarzysze walki. Tylko na nich mogę liczyć.

Niepokój Wolskiego sięgał zenitu. Już niedługo do Rzymu zawitają tłumy. I to z zupełnie innego powodu, niż sądził. Mecz meczem, ale to w Watykanie rozpoczną się uroczystości, które mogą zwabić terrorystów. Nie słyszał wcześniej o tym wydarzeniu. Nie chodził do kościoła chyba od końca podstawówki. Wolał wybrać się z kumplami na ryby czy też pograć w piłkę niż słuchać mendzenia klechy.

Obecnie patrzył na te sprawy trochę inaczej. Wystarczyło, że otarł się o śmierć, by koncepcja życia wiecznego wydała mu się bardziej interesująca. Po powrocie odwiedzi swój kościół parafialny. Podobno dla takich grzeszników jak on

w niebie też znajdzie się miejsce.

Miasto leżało na wypalanej przez słońce równinie. Minęli ostatnią autostradową bramkę, tuż przy jednej z końcowych linii metra. Ulice oczywiście zakorkowane. Przez otwarte okna do wnętrza range rovera napływały fale gorącego powietrza zmieszane z ostrą wonią spalin. Stada skuterów wciskały się w każdy wolny fragment jezdni. Młodzi ludzie prowadzili z brawurą, której mógł im pozazdrościć. Musiał bardzo uważać, aby nikogo nie potrącić.

Pensjonat, który znalazł im Kruczkowski, znajdował się na Via di Monte Brianzo, w pobliżu Tybru, w kamienicy pamiętającej czasy renesansu.

Zaparkowali na ulicy, pięćdziesiąt metrów od wejścia. Na cały bagaż składały się dwie walizki i laptop w czarnej torbie, którą niósł Ernest.

Parker jako pierwszy minął drzwi z matową szybą i mosiężnymi uchwyty. Panujący wewnątrz chód sprawił, że na czole Wolskiego przestały pojawiać się grube krople potu.

– *Buongiorno.*

Dziewczyna za recepcyjną ladą wyglądała najwyżej na dwadzieścia lat. Miała niezłą figurę, za to urodę mocno kontrowersyjną. Ciemne włosy związała w kucyk, a czarne, obcisłe spodnie i biały podkoszulek dopełniały wizerunku. Na widok obu gości uśmiechnęła się zawodowo.

– Mamy rezerwację. – Cyrus odstawił jedną z walizek i podszedł bliżej konuaru.

– Na nazwisko?

– Parker.

Chwilę trwało sprawdzanie danych w komputerze. Wolski w tym czasie podszedł do baniaka z wodą, sięgnął po kubeczek i odkręcił kranik. Wkrótce zimna strużka spłynęła do gardła. Szkoda, że ciecz zalatywała plastikiem.

– Pokoje czternaście i piętnaście. Trzecie piętro.

– Niżej niczego nie dostaniemy?

– Niestety. Wszystko przez te uroczystości w Watykanie. To ostatnie wolne pokoje. – Dziewczyna uśmiechnęła się przepaszająco, lecz było widać, że ma ich gdzieś.

– Słyszałeś, Plazma, trzecie piętro – sapnął po polsku zirytowany Parker.

– Masz z tym problem?

– Zastanawiałeś się, jak szybko będziemy w stanie wchodzić i schodzić po schodach?

– Możesz przekimnąć w samochodzie, jak chcesz.

Schody z solidnego dębowego drewna z fantazyjnie rzeźbioną poręczą powiodły ich w górę. Odgłosy kroków tłumił gruby czerwony dywan. Na ścianach sztychy z widokami dawnego Rzymu. Ernestowi się podobało.

Pokoje były małe i przytulne, ściany białe, a łóżko miękkie, pokryte wzorzy-

stą kapą. Obok mikroskopijna łazienka. Jedyne okna nie dawało się otworzyć.

Usiadł przy stoliku i uruchomił laptopa. Następnie sprawdził pocztę i sam wysłał informację, że u nich wszystko w porządku.

W końcu mógł odpocząć. Bez pomocy z Warszawy i tak byli jak dzieci we mgle, więc przeciągnął się raz i drugi, by w końcu lec na łóżku i zapaść w płytki sen.

Czekali.

– Jak to nie ma?

– Normalnie.

– To gdzie jest?

– Wyszedł. Wróci za godzinę.

– Muszę z nim pilnie porozmawiać.

– Dam znać, jak się pojawi. – Osoba po drugiej stronie telefonu zaczynała się irytować.

– Próbuję już trzeci dzień.

– Co ja mogę na to poradzić...

Mateusz Kruczkowski czuł, że niedługo wpadnie we wściekłość. Podobno był najlepiej poinformowaną osobą w Polsce, a nie potrafił skontaktować się z byłym dowódcą wywiadu wojskowego. To prestiżowa porażka.

Banach się ukrywał. Nie tylko zresztą przed nim, ale jak należało przypuszczać, przed całym światem.

Uzyskany od jednego z kolegów numer był wszystkim, co miał. Jego wydebienie to kolejna przysługa, którą wcześniej czy później będzie musiał spłacić. Trudno. Sprawę uznał za wartą zachodu.

Już chciał się rozłączyć, gdy usłyszał chrobot i prowadzoną zduszonym szeptem rozmowę.

– Halo... – Tym razem głos brzmiał czysto. – Z kim mówię?

– Panie generale...

– Mateusz, to ty?

– Tak.

– Dawno się nie odzywałeś.

A to stary skurczybyk. Sam zaszył się gdzieś na końcu świata i ma jeszcze czelność zwać winę na innych.

– Nie jest łatwo pana znaleźć.

– Sam rozumiesz. W Warszawie jestem *persona non grata*. Wiele osób jest na mnie ciętych.

Kruczkowski uśmiechnął się półgębkiem. Ciętych to mało powiedziane. Połowa obecnej wierchuszki Ministerstwa Obrony Narodowej nienawidziła Banacha

z całego serca. Gdyby tylko mogli, zakopaliby generała po głowę w mrowisku. Był dla nich jak cierń, którego nie mogli się pozbyć.

– Mam pewien problem – oświadczył w końcu Kruczkowski.

– Domyślam się.

Przez następne trzy minuty mówił, a generał słuchał, nie przerywając.

– ...Jeżeli Sznajder się z nami nie skontaktuje, leżymy – skończył podpułkownik. Na chwilę po drugiej stronie łącza zapadła cisza.

– I mnie się tak zdaje. Czego ode mnie oczekujesz?

– Ma pan jakieś kontakty?

– Kochany, co ja mogę? Odcięli mnie.

– Jest aż tak źle?

– Gorzej być nie może.

– Skoro tak, przepraszam, że zawracałem panu głowę.

– Nie trać nadziei.

Połączenie zostało przerwane.

Oskar Borzęcki, dyrektor Instytutu Wysokich Technologii, obudził się przed szóstą rano, rozdrażniony i zmęczony. Powód był jeden. Sen, który go nawiedził, nie był czarowną marą, ale okrutnym i pełnym przemocy koszmarem. Widział ludzi, setki i tysiące, ginących w męczarniach, ponabijanych na pale i rozszarpywanych przez dzikie bestie.

Chciał o tym zapomnieć jak najszybciej.

Wsunął stopy w kapcie i poczłapał do łazienki. Nim zdążył przemyć twarz wodą, odezwał się telefon. Postanowił, że nie odbierze. Niech sobie dzwoni, co mu tam. Tylko poczekać, aż się włączy poczta głosowa.

Nareszcie.

Chwila ulgi trwała krótko. Aparat zaczął wydzwaniać od początku. Nie ma innej rady. Spławi natręta, tak jak on to potrafi.

– Oskar? – usłyszał, gdy tylko wcisnął przycisk na wyświetlaczu.

– To ty, Emil?

– Długo kazałeś na siebie czekać.

– Spałem – skłamał z całą świadomością.

– Mam sprawę.

– Dlaczego nie jestem zdziwiony?

Znali się od lat. Łączyła ich przyjaźń, o jakiej inni mogli tylko pomarzyć. Borzęcki wiedział, że gdyby nie poparcie Emila, na pewno nie znalazłby się w tym miejscu, w którym był teraz.

Jako jedyny uniknął czystki po operacji w Rumunii. Dla rządzących był zbyt cenny – cały instytut funkcjonował dzięki niemu – jednak i on nie uniknął kary.

Pewnych projektów zaniechano. Rzekomo z braku zainteresowania kół wojskowych i przemysłowych nowymi wynalazkami. W koszu wylądował projekt pływającego laboratorium, który Oskar tak hołubił. Cofnięto też zgodę na badania pocisków hipersonicznych, czego nie potrafił zrozumieć. Ta banda kmiotów przy korycie nie miała pojęcia, jaką przewagę mogli sobie w ten sposób zapewnić. Obecna ekipę interesowały jedynie słupki w sondażach. Podobno raz zdobytej władzy nie oddadzą nigdy. Zobaczymy.

– Sprawa jest gruba.
– Emil, na miłość boską, czego ty chcesz? Żeby mnie wylali z roboty?
– Nie zrobią tego.
– Jak nawalę kolejny raz, nie okażą miłosierdzia. Postawią mnie pod ścianą, na wprost plutonu egzekucyjnego.

– Optymista – zaśmiał się Banach. – Prędzej wsadzą ci łeb do piecyka. Wiesz, jak się to u nas nazywa?

– Nieszczęśliwy wypadek.
– Albo seryjny samobójca. Dopadnie każdego.
– Po jaką cholere w ogóle się z tobą zadawałem?
– Bo mnie lubisz.
– Pochlebiasz sobie. – Borzęcki poszedł do kuchni i nastawił wodę. Przy okazji zerknął przez okno, lecz nie dostrzegł niczego podejrzanego. – Dobrze. W jaki sposób mogę ci pomóc? – spytał zrezygnowany.

– Musimy znaleźć pewnego skubańca.
– Idź do swoich służb, one na pewno przychylą ci nieba.
– Gość prawdopodobnie siedzi gdzieś pod Rzymem. I nie jest sam.
– Kto to taki?
Banach powiedział.
– Ciężko będzie.
– Jak pojedziemy normalnym trybem, to tak. Ale przecież jest też droga na skróty.

– Emil, proszę cię.
– Strach cię obleciał?
– Mało powiedziane.
– Tak się nią zachwycę. Tylko nie mów, że nie korzystasz z jej możliwości.

– To bardziej skomplikowane, niż ci się wydaje.
– Niemniej gra jest warta świeczki.
– Niczego nie obiecuję. Ale to już ostatni raz.
– Przecież mnie znasz. – Banach zakaszłał.
– Wszystko w porządku? – zaniepokoił się Borzęcki.
– Najzupełniej.

- Dam znać, jak Ariadna podejmie trop.
- Liczy się każda minuta.
- Nie musisz wciąż mi o tym przypominać – zniecierpliwił się, ale generał się rozłączył.

Już się rozbudził. Skoro Emil twierdzi, że sprawa jest pilna, to tak jest.

Wskoczył w ubranie i po pięciu minutach był gotowy do wyjścia. Zbiegł po schodach i wsiadł do zaparkowanego pod domem samochodu.

Ariadna będzie uszczęśliwiona. Zadanie w sam raz dla sztucznej inteligencji. Ostatnio nie miała zbyt wiele do roboty.

Sznajder wyczyścił swojego Glocka 17. Ten egzemplarz nie był nowy, lecz poprzedni właściciel dbał o niego.

Artur sprawdził cały mechanizm, a na koniec wcisnął w rękojeść siedemnastonabojowy magazynek. Wszystko grało.

Posiadał broń, lecz nie bardzo wiedział, co ma robić dalej. Od kiedy ludzie Szamilewa dowiedzieli się o terminie i celu ataku, chodzili jak naćpani. Oni naprawdę cieszyli się jak dzieci z bożonarodzeniowych prezentów. Mało który spał. Samochody sprawdzali co godzina, dopinając operację na ostatni guzik.

Święci męczennicy.

Bodaj ich pokręciło.

Kabir i te jego symulacje. Wyszło mu, że jeśliby na placu Świętego Piotra zgromadziło się pół miliona osób, zginie do stu tysięcy z nich, pod warunkiem że uda się podjechać na odległość pięćdziesięciu metrów od skraju placu. W jednym z wozów ukryto dwa ładunki BLU-73, a w drugim jeden. Kabir zainicjuje wybuch w tym, który podjedzie bliżej.

Haker będzie obserwował ich na ekranie komputera, siedząc sobie wygodnie w fotelu. Apokalipsa w technicolorze i w czasie rzeczywistym. To dopiero postęp. Kierowcy nie będą mieli nic do powiedzenia, nawet się nie dowiedzą, kiedy wylecą w powietrze. Szamilew już się o to postarał. Obojętnie, co się wydarzy, szanse na przeżycie będą równe zeru.

Z relacji telewizyjnych wynikało, że Włosi dobrze przygotowali się na uroczystość. Łodzie patrolowe na Tybrze i baterie rakiet przeciwlotniczych. Helikoptery i samoloty. Tysiące funkcjonariuszy na ulicach. Wszystko nadaremnie.

Lewe papiery mieli świetnie podrobione. Kabir o to zadbał. Wszelkie zaświadczenia, przepustki i legitymacje, choć i tak pierwszy bystrzejszy karabinier pozna, że nie są Włochami. Nawet gdyby zostali zatrzymani, niczego to nie zmieni, cała okolica wyleci w powietrze.

Jeżeli Halicki działa, to niech się lepiej pospieszy, bo czas ucieka błyskawicznie.

Ponad sto kilometrów dalej na południe Ernest Wolski leżał na łóżku i wpatrywał się w biały sufit. Każdy jego nerw był napięty jak postronek.

Nic się nie działo.

Kruczkowski nie odezwał się do nich ani razu. Ernest mógł oczywiście sam zatelefonować, tylko po co? Ciągle łudził się nadzieją, że ostrzeżenie Halickiego to jakaś bzdura, wymysł wariata, a nawet jeżeli nie, to wyczekiwał, aż telewizja przekaże newsa o tym, jak dzielni funkcjonariusze rozbili niebezpieczną grupę terrorystów. Akcja zakończona sukcesem, a on z Cyrusem mogą wracać do domu.

Wyraźnie słyszał, jak Parker tłucze się po swoim pokoju. Wydawało się, że

Amerykanin jest tak samo sfrustrowany bezczynnością. W takiej sytuacji każdy by był.

Ernest przewrócił się na lewy bok. Teraz w zasięgu jego wzroku znalazł się stolik i wypolerowana na błysk szafa. Przymknął oczy, próbując choć na moment zapomnieć o chwili obecnej.

Rzym... wcześniej Bukareszt, który do tej pory odbijał się im czkawką.

Elena... Jeśli żyje, to gdzie teraz jest?

Masa pytań, na które nie znajdował odpowiedzi.

Borzęcki usłyszał rozmowę dochodzącą od strony sekretariatu. Czyżby niezapowiedziani goście? Była sobota, więc w instytucie nikt nie pracował. W budynku przebywał tylko on i ochrona. Reszta ludzi odpoczywała, co im się słusznie należało.

– O, pan dyrektor... Nie wiedziałem, że pan tu jest.

– Kapitan Czerwiński i porucznik Syty. Jak miło. Proszę wejść.

Para nadzorców z Agencji Wywiadu Wojskowego pojawiła się w drzwiach.

– Taki piękny dzień. Na ryby by się pan wybrał.

Czerwiński nie musiał udawać idioty, on nim był. Wysoki i niezgrabny, biurokrata w mundurze. Trudno powiedzieć, z jakiego śmietnika został wyciągnięty.

– Eee, pan dyrektor lubi pracować. – Czerwiński przy Sytym to intelektualista.

– W czym mogę panom pomóc? – Borzęcki przybrał postawę nobliwego starszego pana.

– Robiliśmy obchód i tak sobie pomyśleliśmy, że zobaczymy, czy tu wszystko pozamykane. Idziemy, a tu niespodzianka. – Czerwiński przechodził dziś samego siebie.

– Mam masę zaległej roboty.

– Jak to mówią, robota nie zając, nie ucieknie. – Syty wyszczerzył popsute zęby.

– Kawy, herbaty?

– Nie będziemy przeszkadzać – odrzekł kapitan. – Mamy obowiązki.

Na ekranie komputera Borzęckiego pojawiła się wiadomość.

– Nie będę zatrzymywał.

Nie potrafił się skupić, kiedy ci dwaj tak się na niego gapili.

Najpierw Czerwiński, a po nim Syty wycofali się wreszcie do sekretariatu.

Borzęcki odczekał, aż zupełnie znikną mu z oczu, i zaczął wczytywać się w informacje.

– Alessandra Luciano? Kim jest Alessandra Luciano?

– To z jej komórki dzwonił Artur Sznajder.

Ariadna, SI Instytutu Wysokich Technologii, dobrze wykonała robotę. Można powiedzieć, że nawet za dobrze. Ten cały natłok danych nie był Oskarowi do niczego potrzebny.

Personalalia Włoszki, wraz ze zdjęciem oraz kontem na Facebooku, to doprawdy szczyt złośliwości. Co go może obchodzić jakaś głupia baba? Dla analityka to pole do popisu. Borzęckiego od nadmiaru informacji rozboleły zęby. Co może łączyć Sznajdera z tą kobietą? Ma z nią romans?

Żarty.

We włoskim nie był biegły, a właściwie nie znał go wcale. Musiał więc pośilkować się komputerowym tłumaczem, co oczywiście sprawiło, że gdzieś w powodzi słów zgubił sens.

Powoli... Info o skradzionej komórce wyskoczyło jako następne. No tak, to logiczne: Sznajder ukradł telefon i przekazał, co wie, Halickiemu. Później wyjął kartę i baterię, o ile nie wyrzucił urządzenia do śmieci.

Dobra. Zabierze się do tego inaczej.

– Ariadna, w którym przekaźniku aparat Alessandry Luciano logował się ostatnio?

– BXL 2573 – odpowiedziała SI głosem Poli Raksy.

– Pokaż na mapie.

Borzęcki wlepił wzrok w monitor. Na początek Rzym, tyle już wiedzą, następnie obraz zaczął się powiększać. Żółte, brązowe i zielone plamy przybrały konkretne kształty. Jakieś miasto.

Spoletto.

Oskarowi wydawało się, że chodzi o miasteczko, lecz nie.

– Cholera, nie tak szybko.

Migotanie na ekranie przestało przypominać efekt stroboskopowy.

– Wyostrz.

Wciąż to samo. Nie potrzebował panoramy okolicy. Nie był turystą.

– Wskaż przekaźnik – poprosił SI.

Jest.

– Do góry, tylko powoli.

To, zdaje się, były winnice. Zabudowania pojawiły się w lewym górnym rogu. O niczym to nie świadczyło. Do przekaźnika logowały się komórki z kwadratu dziesięć na dziesięć, czyli ze stu kilometrów kwadratowych. Takich gospodarstw mogło być tu więcej.

Czego ma teraz szukać?

Odpowiedź nasuwała się sama: wszelkich anomalii, czyli wszystkiego, co odbiegało od normy.

Ariadna to bystra dziewczynka, na pewno sobie z tym poradzi.

– Wiesz, czego szukamy?

- Artura Sznajdera.
- Właśnie. Gdzieś się tam ukrywa.
- Mam wgląd w jego akta.
- Archiwiści z AWW nie będą szczęśliwi – parsknął Borzęcki pod nosem.
- Jest niebezpieczny.

Zamiast rolniczych terenów środkowych Włoch na ekranie pojawiła się fotografa mniej więcej czterdziestoletniego mężczyzny. Artur Sznajder. Cierń w dupie i wyrzut sumienia polskiego wywiadu. Człowiek wyjątkowo brutalny i niebezpieczny, a do tego pomysłowy. Snajper. Materiały wybuchowe też nie miały przed nim tajemnic.

- Kiedy dokonano ostatniego wpisu?
- Pół roku temu.
- Naprawdę? Myślałem, że jego teczkę już dawno pokrył kurz.
- Teczka jako nazwa zbioru danych nie podlega zakurzeniu...
- Dobra, zrozumiałem. – Borzęcki nie chciał się wdawać w dyskusję

z Ariadną.

Już od dawna wiele instytucji przestało prowadzić dokumentację papierową i się zdigitalizowało. To było prostsze, bardziej efektywne, no i oczywiście nie zajmowało aż tak wiele miejsca co kiedyś.

- Jak brzmi ten wpis?
- Podejznanego widziano w Kairze, w towarzystwie bojownika Światłości Dnia. Podpisano „Platon”.
- Tylko tyle? – zdziwił się Oskar.
- Tak.
- Kim jest ten „Platon”?
- To major Anna Zaus...
- Nie chcę wiedzieć więcej.

Wyhodował potwora. Dokładnie tak. Ariadna była potworem, który potrafił dotrzeć do każdej informacji. Supertajna broń, o której wiedziało niewielu. Niech tak zostanie, bo przecież potwory się zabija.

Na szczęście ten okaz był ich.

- Szamilew – po chwili ciszy Ariadna odezwała się ponownie.
- Kto?
- Ramzan Szamilew, przywódca Światłości Dnia.
- Co z nim?
- Wiem, gdzie jest.
- Mówisz poważnie?

Nie padła werbalna odpowiedź, za to na monitorze pojawił się kolejny obraz. Następne gospodarstwo, trochę większe od tego, które widział za pierwszym razem. Zaraz potem przed oczami Borzęckiego przewinęło się mnóstwo fotografii,

trochę planów i szkiców, a na koniec wyświetlił się punkt, który szybko zaczął powiększać swoją średnicę. Kolumnada i zabytkowy gmach wydawały się znajome.

- Co to za miejsce?
- Watykan.
- O w mordę.
- Atak pochłonie życie około pięćdziesięciu tysięcy uczestników mszy.

Może nawet więcej.

- Atak? – wydukał zdenerwowany Oskar.
- Tak wynika z symulacji. Właśnie przejrzałam twardego dysku. Mają tam sporo interesujących danych.

Już się nie dziwił poirytowaniu Emila. A więc to o to chodziło. Co za draństwo. Należało ich dopaść, zanim opuszczą farmę.

- Powiadom Banacha i naszych chłopaków w Rzymie.
- Już się robi.
- Możesz ich zablokować?
- Co masz na myśli?
- Skąd mam wiedzieć? Wymyśl coś.
- Mogę ich podsłuchiwać i podglądać. Są podłączeni do sieci. Mają solidne zabezpieczenia, ale ja jestem lepsza.
- Dobrze. Monitoruj ich na bieżąco. I wiesz co... połącz mnie z Emilem. Pogadam z nim osobiście.

Faruk Ahmed Kabir wstał, przeciągnął się i wyszedł do kuchni zrobić sobie kawę. Siedzenie godzinami przed komputerem wyczerpywało hakera, jakby przebiegł maraton. Co prawda w żadnym nie wziął udziału, ale potrafił to sobie wyobrazić.

Przez ostatnie dni nie oszczędzał się. Sprawdzał szczegóły akcji, zabezpieczał kanały dostępu. W dodatku Ramzan chciał dokładnie wiedzieć, ile osób przeniesie się na tamten świat w wyniku eksplozji bomb.

Przy ścisłości, jaki będzie panował na placu Świętego Piotra, na pewno dużo. Dokładne symulacje uzależnione były od zbyt wielu zmiennych – od odległości, wysokości budynków otoczenia i tak dalej – żeby podać dokładne liczby. Na odczepnego rzucił pięćdziesiąt tysięcy, Szamilew był zadowolony. Pomyślawszy, Faruk odczekał chwilę przy komputerze i poinformował szefa, że da się zwiększyć efekt do stu tysięcy trupów. Szamilew był zachwycony.

Zdaniem Kabira Tatar należał do tych ludzi, z którymi lepiej się nie zadawać. Psychol i tyle.

Niemniej płacił bez szemrania, więc Faruk posiadał już niezłą sumkę zdeponowaną na szwajcarskim koncie. Na początek wystarczy, a kto wie, dokąd go za-

prowadzi znajomość z Szamilewem. Plany były dalekosiężne. Kalifat Europejski... Jak to się w życiu dziwnie układa. On, skromny wyrobnik z północnych Indii, prawą ręką nowego władcy.

Na Europie zapewne się nie skończy. Szamilew wielokrotnie wspominał o Rosji, a czynił to z taką namiętnością, jakby opowiadał o uwodzonej kobiecie. Niech tam, może być i Rosja, choć ponoć zimą po ulicach chodzą tam białe niedźwiedzie. Kumpel kuzyna był i widział na własne oczy.

Ekspres przestał bulgotać, a filiżanka napelniła się parującym eliksirem życia. Dzięki ci, Allahu, za takie drobne przyjemności.

Kabir wrócił do stanowiska i ponownie zasiadł nad klawiaturą.

Jeszcze jedna symulacja? Wystarczy. Lepiej sprawdzić, czym się zajmują włoscy gliniarze.

Wejście do wewnętrznej sieci karabinierów nie było aż takie trudne. Wszędzie są furtki pozwalające ominąć hasła i loginy. Kabir robił to wielokrotnie. Dziś program działał wyjątkowo powoli. Może złapał wirusa, ktoś się włamał? Niemożliwe. Od tego jest on.

Na wszelki wypadek zaczął sprawdzać system, rejestry i połączenia. Już dawno postanowił, że jeśli nabierze najmniejszego podejrzenia wpadki, to pryska stąd. Niech Szamilew sam kombinuje, co dalej.

Skanowania i przegląd logów nic nie wykazały. Może to przeciążenie lokalnej sieci albo coś w tym stylu.

Chciałby móc sobie powiedzieć, że jeszcze dwanaście godzin i koniec tej mordęgi. Wszelako gdy skończy się jedna, zacznie kolejna. Trudno. Przynajmniej działał na chwałę Allaha, a że praca przynosiła dochody, to przecież nie grzech. Raj był daleko, a on chciał pożyc już teraz. Czy to źle, że zarabiał?

Z całą pewnością nie. Najwyższy był przecież miłosierny dla swoich wyznawców, karał tylko wrogów. A Kabir wiedział, po której stanąć stronie.

Artur Sznajder wszedł do łazienki i odkręcił kurek z wodą. Myjącego się faceta raczej nikt nie zaatakuje. Może oprócz Al-Rawiego, bo co do jego orientacji Artur nie miał pewności.

I tak nie mógł dłużej zwlekać. Watykan, Boże drogi, za parę godzin wysadzi bazylikę w powietrze.

Ciekawe, jaką by dostał za to pokutę? Na kolanach stąd do Częstochowy to mało.

Wcisnął kartę i baterię. Kurwa, przecież nie zna PIN-u! Kompletnie o tym zapomniał. Jednak stres zrobił swoje.

Już chciał grzmotnąć aparatem o ścianę, gdy wyświetlacz zajaśniał i pokazał się na nim komunikat.

Czary, czy co?

„Wiemy, gdzie jesteś”.

– Co za my? – powiedział na głos.

„Ludzie, którzy w ciebie wierzą”.

– Kolejna sztuczka Halickiego?

„Nietrudno się tego domyślić”.

– Policja wie?

„Nie chcą z nami współpracować”.

– Kurwa.

„Mamy agentów w Rzymie. Będą twoim kontaktem operacyjnym”.

– Co mam robić?

„Nie wyłączaj komórki”.

Parker nastawił telewizor w swoim pokoju na odbiór programów informacyjnych. Żadne tam tańce, śpiewy i durnowate kabarety. Nawet nie sport czy filmy. Nie znosił kryminałów ani sensacji. Steżenie absurdów w nich go żenowało. Dzielny glina albo inny detektyw z pistoletem w dłoni sam rozprawia się z hordą wrogów, w pogardzie mając zdrowy rozsądek i rachunek prawdopodobieństwa, a setki kul omijają go z daleka. Jeżeli już dla lepszego efektu dramatycznego zostanie trafiony, to tylko tak malowniczo w ramię czy nogę. Trochę postęka, ale jeszcze wybija resztę bandziorów i wypowie mnóstwo patetycznych lub dowcipnych kwestii.

Parker dostatecznie często widział postrzelonych, by nie chcieć oglądać fantazji baletowych na ich temat. Taki człowiek najczęściej znajduje się w szoku. Ból odbiera zdolność racjonalnego myślenia, wszędzie wokół jest krew i tkanka.

– Śpisz? – Ernest bez pukania wszedł do pokoju kumpla.

– Nie, tak sobie leżę. – Cyrus na widok Wolskiego usiadł na posłaniu i przetarł oczy.

Właśnie nadawali prognozę pogody. Dzień zapowiadał się piękny, wręcz upalny, trzydzieści pięć stopni, bezchmurne niebo. Ludzie w tłumie będą padać jak muchy. Jeżeli terroryści są sprytni, to do zamachu użyją ambulansu. Taki wóz nie wzbudzi zainteresowania, a podjechać może praktycznie wszędzie. Karabinierzy nie powinni się czepiać, przecież chodzi o ludzkie życie.

– Ciągle nic. – Wolski przespacerował się przez pokój i wyjrzał przez okno na ulicę.

– Za bardzo się przejmujesz.

– Ja się przejmuję?

– Weź coś na uspokojenie.

– Niby co?

– Bo ja wiem... – Parker wzruszył ramionami. – Jak ładnie poprosisz, dosta-

niesz odpowiedni specyfik.

– Ciebie to nie wkurwia?

– A co tu ma wkurwiać? Dopiero się rozpakowałem. Pamiętam, jak kiedyś czekaliśmy na gościa trzy dni na jakimś zadupiu w Meksyku. Szansa, że się pojawi, minimalna, ale dowództwo koniecznie chciało dorwać tego typu. Mówili, że to chemik, a gówno, jakie produkuje, trzepie w mózg dziesięć razy bardziej od metaamfetaminy.

– I co?

– W końcu przyjechał. Nie sam, oczywiście, tylko z obstawą. Dziesięciu bydłaków. Nas czterech. Jak więc widzisz, szanse wyrównane.

– Dostał w czapę?

– Chcieli go żywego.

Wolski już nie przerywał, tylko słuchał.

– Przywieźli ze sobą wszystko, co było potrzebne do produkcji. Nim się rozstawili, dałem rozkaz... *Fuck*... Ilekroć wspomnę tę akcję... Rozwaliliśmy tamtych, ale zginął jeden z naszych. Przez przypadek oberwało się też chemikowi. W sumie dostaliśmy ostro po dupie.

– Bywa i tak.

– Najgorsze to zadawać się z psycholami.

Parker przeplukał usta zimną wodą z butelki. Zanim zdążył wypić całość, odezwała się komórka Plazmy.

– Tak? – Ernest zatrzymał się na środku pokoju. – Już się niepokoiłem. Dobra. Zrozumiałem. Tak zrobimy.

Arturowi Sznajderowi zaczęły drżeć ręce. Dawno nie miał takich objawów zdenerwowania. Na śniadanie zjadł lekki posiłek. Nie będzie się przecież obżerał, gdy za parę godzin przeniesie się do lepszego świata. Krystalicznie czysta woda zrosi jego gardło, będzie jadł owoce i zażywał rozkoszy z hurysami.

Pięknie.

Szkoda tylko, że dopiero na tamym świecie.

Przed wyjazdem rytualna ablucja i modlitwa. Timur aż tryskał energią. Jemu jakoś nie przeszkadzało, że zostanie masowym mordercą.

– Macie wszystko?

Ramzan jechał osobnym wozem. W razie potrzeby zajmie się koordynowaniem akcji na miejscu. Na farmie pozostanie jedynie Kabir. Będzie, co postanowi Allah.

Telefon milczał. Może to i lepiej. Nie odbierze przecież połączenia, bo pierwsze, co zrobi Timur, to strzeli mu w łeb.

Pewnie jest namierzany przez satelitę albo jakoś tak. Dokładnie nie wiedział.

Lepiej, żeby tak było. Jak dojdzie do najgorszego, niech inni myślą za niego.

Słyszał, jak w nocy Szamilew nagrywał oświadczenie. Kabir wyemituje je, gdy tylko wysadzą Watykan w powietrze. Do wieczora Europę ogarnie wojna religijna. Nikt przecież nie pozostanie obojętny.

– Ruszajcie – zwykłe hasło Ramzana zabrzmiało jak wezwanie do rozpoczęcia bitwy.

Artur usiadł za kierownicą. Poprawił lusterko i przekręcił kluczyk w stacyjce. Silnik zaskoczył od razu. Nadzieja na awarię samochodu rozwiąła się jak poranna mgła.

Na szyi powiesił sobie legitymację prasową. Resztę papierów trzymał Timur. Poprzedzająca ich furgonetka z Antonem i Renardem potoczyła się do przodu. Teraz pora na nich.

Wyjechali z farmy i ruszyli powoli w kierunku szosy.

– Kto koordynuje? – zapytał Parker.

– Nie wiem, jakaś kobieta.

– Od nas?

– Trudno powiedzieć.

Wolski był pewny, że gdzieś już ją słyszał. Głos charakterystyczny jak żaden inny. Może Kruczkowski dogadał się z tymi palantami z Agencji Wywiadu. Nie każdy z nich ma zakuty łeb.

– Co dokładnie powiedziała?

– Polecenia będą przekazywane na bieżąco. Na razie czekamy.

– Wsparcie?

– Zapomnij. – Wolski chrząknął niewyraźnie.

Ich dwóch przeciwko całej zgrai? Słabo to wyglądało.

Kolejna informacja pojawiła się na ekranie laptopa.

– Kurwa, cztery wozy... – Plazma nabrał ochoty, aby splunąć na podłogę.

– Nie panikuj, to jeszcze nic nie znaczy.

– Jak, kurwa, nic nie znaczy! Cztery samochody! Potrafisz liczyć?

– Gdybym wiedział, że wymiękniesz, poprosiłbym o zmianę przydziału.

– Wiesz, ilu ich będzie?

Nim Parker zdołał odpowiedzieć, na monitorze pojawiła się odpowiedź.

– Dziewięciu, o w dupę.

– Dobra, jest problem. Lepiej ci? – mruknął Cyrus.

– Leżymy.

– Dopóki nie wcisną detonatora, jest szansa.

– Ariadna, czy to nie za duże ryzyko? – Oskar Borzęcki z zafrasowaną miną gapił się na ekran.

– Nie. Kontroluję wszystkie łącza.

– A ten Kabir? Nie zorientuje się, w czym rzecz?

– To buc.

– Jak na SI, jesteś wyjątkowo arogancka.

– Wypraszam sobie.

– Zrozum wreszcie, twój plan jest niezwykle ryzykowny. Lepiej, jak zawiadomimy tamtejsze służby. Słyszysz, co mówię? Wejź do ich systemu i każ zatrzymać te cholerne wozy. Niech karabinierzy zrobią, co do nich należy.

– Nie.

– O, w... – wyrwało się Borzęckiemu.

– Nie zrozumiałam.

– Nic takiego.

To nie pierwszy raz, kiedy Ariadna zamiast pomóc, zaczynała mieszać. Niby wszystko nadzoruje, ale ludzkich reakcji przewidzieć nie jest w stanie.

– W takim razie wyślij ostrzeżenie. Tyle chyba możesz zrobić?

– Pan mi nie ufa?

– Ależ skąd. Po prostu wolę dmuchać na zimne.

– To oni. – Wolski wskazał palcem przemieszczające się samochody na ujęciu z ulicznej kamery. Obraz taki sobie, ale lepsze to niż nic.

– Zlokalizujesz ich?

– Poczekaj, niech pomyślę.

Natychmiast pokazał się plan z siatką rzymskich ulic.

– Dobry jesteś.

– Niczego nie zrobiłem. – Plazma był wyraźnie zdziwiony. – To samo...

– Patrz tu...

Na planie czerwone punkty przemieszczały się powoli z północy na południe.

– To oni?

– Zapewne.

– Jeśli nie utkną w korku, będą na miejscu za czterdzieści minut – powiedział Cyrus.

– Może gliny ich zatrzymają?

– Całkiem możliwe.

Przez następne minuty nic się nie działo.

– Co będzie, jak się rozdziela?

– Pojęcia nie mam. Ale chyba ktoś to kontroluje? – Pytanie Wolskiego nie

doczekało się odpowiedzi.

Nagle obraz znikł zastąpiony komunikatem nakazującym im opuścić samochód i zająć pozycje na ulicy.

– Coraz mniej mi się to podoba. – Ernest schował pistolet pod koszulę.

Ich przykrywka była marna jak rzadko kiedy. Oficjalnie przybyli do Włoch jako ochroniarze jednej z polskich firm, która weszła w zatarg z mafią. Posiadali zezwolenie na broń, mimo to kręcenie się z nią w takim momencie było ze wszech miar podejrzane.

Plazma i Cyrus przystanęli na chodniku. Tłum był gęsty. Warunki najgorsze z możliwych. Niemniej na Via della Conciliazione ruch odbywał się normalnie. Widać jakiegoś geniuszowi w magistracie było wszystko jedno. Niech się wierni cisną na chodnikach. Nie zakorkujemy miasta z byle powodu.

Ernest nie potrafił zrozumieć takiego myślenia. Czy nie lepiej zamknąć ulicę, a ruch kołowy puścić objazdem? Przecież nie raz i nie dwa Rzym obchodził podobne uroczystości. Przykład pierwszy z brzegu – śmierć Jana Pawła II. Ilu uczestników pogrzebu przyjechało wtedy? Dwa – trzy miliony? Jakoś tak. Plac Świętego Piotra jest duży, ale tylu osób nie pomieścił. Trzysta tysięcy to maks.

Parker obracał głową na prawo i lewo, zupełnie jak automat. Nawet jeśli się denerwował, to wyszkolenie brało górę nad emocjami.

Plazma nie wypuszczał z dłoni smartfonu. Bezprzewodowa słuchawka tkwiła w prawym uchu.

„Idźcie w prawo”.

Polecenie było jednoznacznie.

Ernest zaczął przeciskać się pomiędzy ludźmi, a Cyrus podążał utorowanym przez kolegę szlakiem.

– Patrz na nich. Wydają się szczęśliwi.

– Dostaną kolejnego świętego.

– Ja nie o tym. – Parker zrównał się z Wolskim. – Od dawna nie słyszałem o tak dużym zgromadzeniu.

– A koncert na Agrykoli?

– To u nas. Tu to co innego.

W słowach Cyrusa było sporo racji. Masowe imprezy powoli wychodziły z mody. Nikt nie chciał się pokazać na koncercie, gdzie w każdej chwili można było zostać wysadzonym w powietrze lub też zdeptanym przez panikujący motłoch. Artyści grali po klubach. Większość festiwali została czasowo zawieszona. Mimo licznych wezwań, aby nie ulegać presji, mieszkańcy Europy Zachodniej wiedzieli swoje. Bycie fanem ograniczało się obecnie do klikania lajków w Internecie.

– Ciekawe, ilu wśród nich jest tajniaków? – Parker szturchnął Ernesta w ramię.

– Całe mnóstwo.

– Obyś miał rację.

– Patrz, Wiciu, jak to jest...

– No?...

– Dziś niedziela, a my w robocie, kurwa.

– To niesprawiedliwe.

– Życie jest niesprawiedliwe, kurwa. – Kajetan Karliński przesunął beret na tył głowy i podwinął rękawy. Kapeć w ustach był nie do wytrzymania. Wczoraj trochę popił. Nawet więcej niż trochę. Nic w tym złego. Do poniedziałku kac by przeszedł, a w robocie stawiliby się świeży jak niemowlak, tyle że doszło do awarii rury z gazem, a sprawy nie można było przeciągać przez następne dwadzieścia cztery godziny. Nieszczelność należało usunąć natychmiast. Bez gazu pozostawało prawie dwadzieścia tysięcy mieszkań i domów na peryferiach Warszawy. Chcąc nie chcąc, brygada naprawcza musiała stawić się w komplecie. Kierownika nie obchodziło, jak się kto czuje. Co to za filozofia, siedzieć w koparce i sterować łyżką, wywalając ziemię z dziury? Żadna.

Teoretycznie, kurwa.

Karliński przetaił oczy i wsunął się na swoje miejsce.

– A żebyś wiedział, kurwa – zawtórował koledze Witold Sikora. I on nie wyglądał dobrze, acz trochę lepiej od kumpla. Z petem przyklejonym do warg i znękaną twarzą nałogowego alkoholika przypominał człowieka stojącego nad grobem. – Szef prosił, kurwa, żebyś uważał.

– Na co?

– A bo ja wiem, kurwa? Podobno są tu, kurwa, jakieś kable. – Sikorze odbiło się nieprzyjemnie.

– To idź do niego i zapytaj, gdzie leżą.

– Właśnie pojechał do Zarządu Dróg.

– To wołaj Zenka.

– Dobra.

Sikora ruszył przez zryte kołami ciężarówek błoto w stronę miejsca, gdzie jego zdaniem mógł być brygadzysta.

Już dawno powinien zrezygnować z tej roboty. Człowiek się natyra, a zarobek mizerny. Co to jest te cztery koła na rękę? Robota piątek, świątek i niedziela. Tak jak dzisiaj. A właśnie dziś chciał porobić na działeczce. Nową szklarnię postawić, a krzaki malin wyciąć w cholerę. Ale nie, pilne wezwanie. Rób, człowieku, co chcesz, kurwa, ale stawić się musisz.

Co najmniej połowa z tych, których przywieziono na miejsce awarii, cierpiała na syndrom dnia poprzedniego. Ci bardziej zmęczeni popracują łopatami. Podobno na kaca najlepsza praca.

Pierdolenie.

Brygadziście w pomarańczowym kasku na głowie i odblaskowej kamizelce dojrzał pięćdziesiąt metrów dalej. Jak on tego leszcza nie lubił. No i gdzie się ten drań tak spieszy? Niech, kurwa, stanie.

Co za pech. Facet znikł w toi-toiu.

Zanosiło się na dłuższe czekanie.

Sam już nie wiedział, czy chce żyć, czy umrzeć. Było mu wszystko jedno. Czuł rezygnację przemieszaną z narastającą wściekłością. Kompletnie nic się nie kleiło. To znaczy kleiło się aż za dobrze, ale nie w tym sensie, w jakim by chciał. Gdzie karabinierzy? Gdzie oddziały specjalne? Gdzie ta cała państwowa machina przemocy? Gdy potrzeba, nigdy ich nie ma.

W pewnym momencie poprzedzający ich wóz z Antonem i Renardem zjechał na prawy pas i przyhamował.

Sznajder zgłupiał. Co ma zrobić? Ustawić się za nimi czy też pozostać na tym samym pasie co wcześniej?

– Jedź. – Timur nie miał wątpliwości, to on odbierał komunikaty przez telefon.

Nie trwało długo, gdy druga furgonetka ponownie ich wyprzedziła. Artur spojrzął w ich stronę. Siedzący za kierownicą Anton szczerzył zęby w uśmiechu. Zdaje się, że tylko Sznajder nie był wesoły.

Zwolnił tak jak podążający przed nim nissan, by w końcu stanąć zupełnie. Dokładnie nie widział, ale zdaje się, że z przodu ustawiono blokadę. Kilku karabinierów na wrywki sprawdzało przejeżdżające pojazdy i kierowało ruchem.

Lepiej późno niż wcale.

Pierwsza furgonetka z logo RAI Uno przejechała bez problemu. Funkcjonariusz zajrzał do środka, zerknął na papiery, machnął ręką i puścił ją dalej. Żadnej kontroli. Jeżeli tak działają tutejsze służby, to powodzenia.

Wóz szybko zniknął Sznajderowi z oczu, co Timur skwitował mocnym uderzeniem pięści w szybę.

– Szczęśliwcy – szepnął.

– Można tak powiedzieć.

– Za chwilę przestąpią próg raju.

– Kto wie, co komu pisane. – Głos Sznajdera był wyprany z emocji.

– Dziwnie mówisz.

– Bo naszły mnie wątpliwości.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – parsknął Czeczen, lecz nie było w tym śladu wesołości. Wykonał ruch, jakby chciał sięgnąć po pistolet.

– Nic, przecież mnie znasz. Doprowadzimy to do końca. *Allahu Akbar*. – Ar-

tur plótt, co ślina na język przyniesie.

– Przymknij się.

Podjechali parę metrów i ponownie stanęli. Przed nimi znajdował się most Wiktora Emanuela II na Tybrze. Zamek Świętego Anioła był widoczny po przeciwnej stronie rzeki. Sekundy zaczęły rozciągać się w minuty, a minuty w godziny.

W tym momencie w kieszeni Sznajdera odezwał się telefon.

Kajetan Karliński oblizwał suche wargi. Język w ustach wysechł mu na wiór. Ledwie zaczął, a już myślał o fajrancie. Co prawda w kabinie koparki znajdowała się butelka wody mineralnej, ale kto by pił wodę. Marzył tylko o piwie.

Jeden łyk przecież nie zaszkodzi, prawda?

Prawda, kurwa, prawda, tylko skąd go wziąć. I gdzie, u diabła, podziewa się Wiciu? Jak poszedł szukać brygadzysty dziesięć minut temu, tak do tej pory nie wrócił. Noc go zastanie w tej koparce.

Dobra. Wystarczy tego użalania się nad sobą. Pora zabrać się do roboty. Jak będzie ostrożny, nic się nie stanie.

Z grubsza wiedział, gdzie ma kopać. Silnik ryknął, kłęb spalin wyleciał z rury wydechowej, łyżka wbiła się w ziemię. Pierwszy metr sześcienny gleby załegł obok wykopu. Byłe nie myśleć o kacu, bo to człowieka wykończy na amen. Raz i dwa. Królestwo za szluga. Poradzi sobie bez niczyjej pomocy. Wykop się pogłębiał. Tyle wystarczy. Teraz na boki. Ekipa naprawcza już czekała w pogotowiu. Gazownia na pewno odcięła cały rejon. Tym się nie martwił. Standardowa procedura. Ale i tak należy uważać. W tej robocie nigdy nic nie wiadomo. Idzie świetnie. Jeszcze raz i przerwa.

Stalowe zęby zagłębiały się w ziemię. Do uszu Karlińskiego doszedł głośny zgrzyt, który na moment zagłuszył nawet warkot silnika.

Co jest? Rozejrzał się na boki. Koledzy od rur przestępowali z nogi na nogę.

Powoli, jeszcze raz. Teraz będzie lepiej. Przesunął drążek w swoją stronę, próbując unieść ramię koparki do góry.

Kurwa.

Iskra wystarczyła, aby spowodować eksplozję. Huknęło tak, że odgłos detonacji słyhać było aż na Mokotowie. Wążąca kilka ton maszyna po krótkim locie wbiła się w ziemię gąsienicami do góry. Kabina została zmiażdżona, a Karlińskiego przed niechybną śmiercią uratowało to, że wcześniej wyleciał przez otwarte drzwi. Trudno tu jednak mówić o pełni szczęścia – miał połamane obie nogi i poparzoną znaczną część ciała.

Stojący w pobliżu ogłuchli, lecz nic poważniejszego im się nie stało. Najgorzej wybuch przeżył brygadzysta w przewróconym toi-toiu, na którego wylała się cała zawartość zbiornika. Żaden z podwładnych nie chciał się do niego zbliżyć na-

wet na krok. Dopiero ekipa ratunkowa udzieliła poszkodowanemu pierwszej pomocy.

Mała awaria zmieniła się w katastrofę. Bez gazu pozostawała znaczna część Warszawy. Przerwany został także światłowód ułożony wzdłuż rur. Mało kto wiedział, że łączył on Instytut Wysokich Technologii z resztą świata.

Farukowi Ahmedowi Kabirowi cała sytuacja kojarzyła się z niezbyt skomplikowaną grą komputerową. Właściwie nic nie musiał robić. Siedział i czekał, popijając kawę. Jedna z furgonetek była już w pobliżu Watykanu. Druga niestety utknęła przed blokadą ustawioną na moście.

Żadna tragedia. Szamilew liczył się z taką możliwością. Jeden wóz wystarczy w zupełności do przeprowadzenia zamachu.

Reszta zespołu wraz z Ramzanem rozproszyła się po okolicy. Kabir widział Saleha i Al-Rawiego spokojnie spacerujących nad Tybrem. Za parę minut wciśnie enter i wywoła chaos na niespotykaną wcześniej skalę.

Furgon z Antonem i Renardem znajdował się jakieś dwieście metrów od kolumnady. Kabir zrobił zbliżenie z kamery zainstalowanej na ścianie domu pielgrzyma na Via della Conciliazione.

Niedobrze. Kolejna blokada. Co najmniej dwudziestu karabinierów pilnowało dalszego przejazdu.

Lepiej, jak się połączy z Ramzanem. Niech on decyduje, co robić dalej.

Timur spojrzał podejrzliwie na Artura.

– Masz telefon.

– Mam, Szamilew mi dał. – Sznajder postanowił grać na zwłokę.

– Nic mi o tym nie powiedziałaś.

Łokieć Polaka zatoczył niewielkie koło i uderzył Czeczena w nos. I jeszcze raz, i jeszcze. Mimo zaskoczenia tamten dosyć szybko otrząsnął się z szoku, odchylił głowę w bok i próbował zablokować koleje ciosy. Pasy krępowwały ruchy ich obu. Artur jako pierwszy zwolnił blokadę i wyswobodził ciało. Musiał się spieszyć. Zaraz Faruk odpali ładunek.

– Ty...

Od zadawanych uderzeń Sznajdera rozboleła ręka. Łeb Timura już dawno powinien pęknąć na połowę, chyba był wyciosany z granitu.

Niespodziewany cios pod żebra wycisnął z płuc Artura resztkę powietrza. Pistolet. Gdzie ma spluwać? Tylko w ten sposób może zakończyć tę walkę.

Odepchnął się nogami i spróbował przygnieść przeciwnika ciężarem ciała, jednocześnie lewą dłonią szarpiąc za rękojęść Glocka. W zamieszaniu pistolet wy-

msknał się z uchwytu i poleciał pod blok kierownicy.

Zdecydowanie nie ma dzisiaj farta.

Jakby tego było mało, oberwał głową Timura w szczękę.

Niepotrzebnie zwlekał tak długo. Mógł tego sukinsyna rozwalić już wcześniej.

Tymczasem Czeczen przeszedł do kontrataku. Zablokował prawy bark Sznajdera, a szybkie, proste ciosy zaczęły masakrować tułów Polaka. W tych zmaganiach Timur miał zdecydowaną przewagę.

Sznajder skapitulował. Wystarczy. Dłużej tego nie zniesie.

Uderzył ostatni raz i sięgnął do klamki, spiąwszy całe ciało. Wypadł na jezdnię i na czworakach rzucił się do ucieczki.

Jeśli przeżyje następną minutę, to będzie cud.

– Co robią?

– Sprawdzają dokumenty. – Haker był coraz bardziej zdenerwowany.

– Wszystko jest pod kontrolą.

Kabir bardzo chciał w to wierzyć.

– Sprawdź, co ze Sznajderem i Timurem.

– Już się robi.

Ze zlokalizowaniem drugiej furgonetki nie było problemu. Wóz stał w tym samym miejscu, gdzie wcześniej, nie drgnął nawet o cal.

Już chciał przejść do poprzedniego obrazu, gdy z samochodu ktoś się wytoczył. To Sznajder. Ramzan nawet go lubił, ale Izzat nie ufał mu od samego początku.

Co tam się dzieje?

Dlaczego ten wielbłądzi wypierdek ucieka? I gdzie jest Timur? Czyżby Polakowi w tej chwili próby puściły nerwy?

Całkiem prawdopodobne. Zdaniem Fakuka Szamilew dokonał złego wyboru, zabierając ze sobą Sznajdera na akcję. Od razu było widać, że to mięczak.

Tymczasem na ulicę wyskoczył Timur z pistoletem w rękę. Sytuacja zrobiła się niebezpieczna. Niedługo ich zdemaskują. Już pierwsi ciekawscy przyglądali się zamieszaniu.

– Jest źle – powiedział po sekundzie wahania do mikrofonu.

– Wysadzaj.

Wysadzaj, ale który?

– Szybciej.

Ramzanowi na pewno chodziło o furgonetkę znajdującą się bliżej placu Świętego Piotra. Ci po drugiej stronie Tybru byli mniej ważni. Mogą poczekać te parę sekund.

Palce hakera zaczęły uruchamiać sekwencję zniszczenia. Teraz albo nigdy.
– Działaj – z oddali ponaglał go Szamilew.
Allahu, na twoją chwałę.
Nacisnął enter.

Wolski jako pierwszy dostrzegł uciekającego Sznajdera. Facet kluczył pomiędzy samochodami i w końcu wbiegł na chodnik, kierując się na południe, wzdłuż brzegu rzeki.

– Tam.

Parkerowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Amerykanin pomknął przed siebie, ile sił w nogach. Plazma skulił się, gdy przez przypadek zderzył się z postawnym mężczyzną.

– Sorry – wydyszał zmieszany i pogalopował w ślad za Cyrusem.

Jeden unik, drugi, trzeci. Każda następna osoba wyrastała przed nim jak pień w środku lasu. Nikt nie zrobił przejścia.

Parker wyprzedzał go o co najmniej dziesięć metrów.

Ernest stracił Sznajdera z oczu, gdy próbował obieć większą grupę pielgrzymów. Zamarł, kiedy usłyszał huk wystrzału. Kto strzelał i do kogo? Podobnie zareagowali inni znajdujący się w pobliżu. Trwało to sekundę, może dwie. Później zadziałał instykt i medialna tresura. Kto żyw, rzucił się do ucieczki lub też rozpląszczył się na chodniku, byle ująć przeznaczeniu.

Ernest zrobił krok w bok, ustępując kobiecie, która z obłędem na twarzy próbowała go stratować. Była niższa, ale dysponowała stanowczo większą masą.

Ten bieg z przeszkodami zaczynał go wyczerpywać. Po kilkunastu dalszych metrach przystanął, próbując rozeznaczyć się w sytuacji.

Dostrzegł Parkera w przykłęku na jedno kolano za ciężarówką z biało-czerwonym logo producenta makaronów Barilla na plandece. Sznajder gnał prosto w jego kierunku.

– Tutaj! – Ernest zawołał po polsku i zamachał rękami.

O mało nie przypłacił tego życiem, gdy kula gwizdnęła tuż nad jego głową. To zdecydowanie nie było rozsądne. Rozciągnął się na chodniku i zaczął przesuwając w kierunku Cyrusa.

Kolejna większa grupa cywilów przebiegła po ulicy, zasłaniając Ernestowi widok.

– Kurwa... – Dość tego dobrego. Sięgnął po pistolet, wypatrując potencjalnego celu. Teraz. Poderwał się i ostatni odcinek pokonał jednym skokiem.

– Gdzie Sznajder? – wysapał wprost do ucha Cyrusowi.

– Tam.

Polski dżihadysta znajdował się ledwie parę metrów od nich.

– Dawaj! – krzyknął Ernest.

Jeden sus wystarczył, aby Sznajder znalazł się wśród nich.

– *Salam alejkum*.

– Nie pierdol – warknął Parker po polsku ze spojrzeniem utkwionym w głębi ulicy.

– Jestem...

– Wiemy, kurwa, kim jesteś.

– Macie mnie chronić?

– Nic nam o tym nie wiadomo.

W karoserii pojazdu utkwiała kula.

– Co to za jeden?

– Mój współnik. Zdejmij go.

Timur był ostrożny. Nauczyły go tego lata spędzone na froncie.

Ładunek detonuje się automatycznie, a on w międzyczasie zabije zdrajcę.

Polak był dobry, ale nie dość dobry. Na dodatek zgubił pistolet. Jest sam, bezbrony, w obcym mieście. Jego minuty są policzone.

Czczena najbardziej irytował ten galopujący we wszystkich kierunkach tłum. Jakiś debil, bo tylko tak można nazwać, rzucił się na niego, próbując wyszarpnąć broń. Strzał w samo serce powstrzymał te zapędy, niemniej i tak należało się spieszyć. Tu zaraz zaroi się od mundurowych i ochroniarzy.

Sznajder skrył się za dostawczym iveco. Dobra, przyjacielu, wiele razem przeszliśmy, ale szykuj się na śmierć.

Timur wyciągnął broń przed siebie, zrobił krok i wtedy świat stracił swoje kontury. Wiedział, czego się spodziewać, a mimo to został zaskoczony. Wydawało się, że ziemia pękła na dwoje, a powietrze zapłonęło. Znajdował się kilkaset metrów od epicentrum. Wybuch w głównej mierze przyjęły na siebie budowle na Via della Concilliazione, mimo to czuł się, jakby dostał się pod prasę.

Fala uderzeniowa zaledwie popchnęła go lekko, tak że upadł na bok i zdarł sobie skórę na ręce, szorując metr po asfalcie. Broń poleciała nieco dalej. Na plecach czuł żar, jakby go poliział wielki jęzor ognia. Odruchowo zwinął się w kłębek i zamknął oczy. Chwilę później spojrzał do tyłu. Niczego nie dostrzegł. Zamek Świętego Anioła znikł w tumanach kurzu, pyłu i czarnego dymu, który szybko wznosił się ku górze. Dla postronnych musiało to wyglądać jak wybuch bomby atomowej.

W całym tym zamieszaniu tylko Cyrus nie stracił głowy. Oczywiście i jemu serce podskoczyło do gardła, ale był doświadczonym żołnierzem i potrafił zachować zimną krew.

Mięśniak o azjatyckich rysach twarzy stanowił pierwszą przeszkodę, którą należało wyeliminować. Zdjął go zatem jednym strzałem.

– Zwijamy się – zakomenderował.

– A oni? – Wolski wskazał drżącą dłonią w kierunku potęgującego się chaosu.

– Co?

– Potrzebują pomocy.

– Ale nie naszej.

– Poczekajcie. – Sznajder wyciągnął z kieszeni smartfon. – Powiedzą nam, co mamy robić.

Urządzenie dało się uruchomić i na tym koniec.

– Cholerny grat.

– Spróbuję na swoim – powiedział Ernest.

– Byle szybko.

Swąd spalenizny uderzył w ich nozdrza.

– Nie działa. – Rozczarowanie Plazmy nie miało granic.

– Bo nie powinien. – Stwierdzenie Parkera dało im do myślenia. – Niedługo zaczną nas szukać.

– Kto? – zapytał Sznajder.

– Miejscowi gliniarze, twoi kumple, bo ja wiem, kto jeszcze?

– Moi kumple są martwi – stwierdził Artur.

– Wszyscy? No właśnie. Niczego nie jesteś pewny. Ja zresztą też.

– Drugi ładunek jeszcze nie detonował.

Słowa Sznajdera sprawiły, że zdali sobie sprawę z grożącego im niebezpieczeństwa.

– Dasz radę rozbroić to gównno? – zapytał Parker.

– Nie. Jest sterowane zdalnie. Ruszysz i już cię nie ma.

– Chciałbym wiedzieć, kto tu nawalił.

– Ja też. – Artur czuł, że koszula lepi się do jego pleców. – Uwierz mi, że ja też.

Ileż można czekać? To skandal. Takie przerwy nie zdarzały się od lat. Prąd też fiksował. Skoki napięcia były wyraźnie odczuwalne. Borzęcki co prawda słyszał jakiś daleki odgłos wybuchu, ale nie łączył tego ze swoimi kłopotami.

– No...

Cisza.

– No, Ariadna, dalej. O co chodzi?

SI zamilkła, i to na dobre. A niech ją pokręci. Sumienia nie ma. I to w takim momencie, kiedy akcja wisi na włosku.

– Pracuję – odezwała się w końcu.

– Nad czym?

– Nad rozwiązaniem problemu.

- To ty masz jakieś problemy?
- Uszkodzeniu uległa sieć przepływu danych.
- Borzęckiemu zrobiło się słabo. Jak to możliwe? I kto za to odpowiada?
- Połączenia awaryjne?
- Uruchamiają się, jeszcze trzydzieści sekund.
- Pół minuty? Może być za późno.
- Zrób coś!
- Mam swoje ograniczenia.

Oskar najchętniej sięgnąłby do szafki po coś mocniejszego. O jakich ograniczeniach mówiła Ariadna? Czyż nie była tworem doskonałym, mogącym poradzić sobie w każdych okolicznościach?

Ten twór go przerażał, a jednocześnie fascynował. Dzięki sztucznej inteligencji mogli sięgać dalej niż inni. Podobno Ariadna była o trzy kroki przed wszystkimi. Gorzej, jak na jej drodze stawała inna SI, lecz do tej pory miał miejsce tylko jeden taki przypadek.

W końcu ekrany rozbłysły na nowo. Borzęcki odetchnął, ale jego spokój nie trwał długo.

- Boże drogi, co tam się stało?
- Nad Rzymem unosił się całun zniszczenia.
- Coś ty narobiła...

Ramzanowi chciało się rzygać. Potworny ból głowy i wypełniający płuca kurz sprawiły, że był skołowany i bliski obłądu.

A jednak dopiął swego. *Allahu Akbar*. Wróg został zniszczony, a on przeżył. Czyż to nie zasługa Allaha?

Miał właśnie przejść przez most Świętego Anioła, żeby skierować się w stronę rotundy, gdy wydał polecenie. Zdażył paść na ziemię, zanim Kabir detonował bombę. Ludzie stojący w pobliżu przez moment przyglądali mu się ze zdziwieniem. Później ich zmiotło. Ognisty wicher pomknął we wszystkie strony. Teoretycznie powinien zamknąć oczy i schować głowę, ale nie potrafił się powstrzymać od patrzenia. Widział fragmenty murów oraz pojedyncze kamienie szybujące w powietrzu i uderzające w spacerujących ludzi. Parę osób wpadło do Tybru. Inni ginęli przygniecieni przez samochody. Tych, którzy znaleźli się najbliżej wybuchu, rozewało ciśnienie. Wielu ciał już pewnie nigdy nie uda się odnaleźć. Nie żałował ich ani trochę.

*Zaprawdę, Tych, którzy nie uwierzyli,
ukarzę karą straszną
na tym świecie i w życiu ostatecznym
i oni nie będą mieli pomocników.*

Wstał, mocno chwiejąc się na nogach.

O Allahu, to dopiero połowa planu. Kabir odpalił ładunek znajdujący się w furgonetce bliżej Watykanu, a jemu chodziło o wóz ze Sznajderem i Timurem.

Nic straconego. Może i lepiej się stało. Niedługo ci, którzy przeżyli, zaczną uchodzić mostem Wiktora Emanuela na lewy brzeg Tybru. Z kolei wszyscy, którzy będą chcieli nieść pomoc ofiarom, ruszą z przeciwnej strony. Kolejna eksplozja wybije im ten pomysł z głowy.

Niedaleko dostrzegł Fiodora. Ruszył w jego kierunku, lecz po kilku krokach zrezygnował. Spory odłamek cegły zgruchotał czaszkę Rosjanina. Ramzan nie mógł zatem liczyć na pomoc z jego strony. Pozostało znaleźć Saleha i Al-Rawiego, a następnie wyjaśnić, co się stało z zespołem drugiej furgonetki.

Sięgnął po telefon. Brak sygnału. Mógł się tego spodziewać.

Przebiegający obok mężczyzna zatrzymał się przy Ramzanie.

– Jest pan cały? – Słowa Włocha brzmiały niewyraźnie.

Kiwnął głową.

Tamten ruszył dalej, zatrzymując się przy rozciągniętym na chodniku pielgrzymie.

Najbardziej dziwiła Ramzana cisza. Jeszcze przed chwilą miasto tętniło życiem, a teraz zatrzymało się w pół kroku.

Gdzieś w oddali odezwała się syrena, lecz szybko umilkła. Szamilew po rozmowach z Kabirem wiedział, jakie będą zniszczenia. Niemniej wiedzieć a widzieć i przeżyć, to dwie różne sprawy. Gdy się tak włókł noga za nogą, a w myślach potarzał sury Koranu, na dnie serca czuł pustkę. Tu martwe dziecko, tam przygnieciona arkuszem blachy młoda kobieta. Tu ręka, tam noga.

Trudno. Skoro taka jest droga do zwycięstwa prawdy, weźmie to na swoje barki.

Saleha znalazł kilkadziesiąt metrów dalej. Były legionista próbował zatamować krwawienie z tętnicy udowej mnicha odzianego w brązowy habit. Dowódca wszystkiego się po nim spodziewał, ale nie tego. Podszedł bliżej i szturchnął saperską stopą. Ich spojrzenia skrzyżowały się.

– Musimy iść.

Tamten wstał, nie protestując.

– Był jeden wybuch – powiedział Saleh.

– Wiem.

– Kiedy następny?

– Nie ma łączności – odpowiedział Szamilew. – Musimy sprawdzić, co się stało.

– Gdzie Izzat?

– Pojęcia nie mam. Pewnie gdzieś się tu kręci.

– Słyszałem strzały.

- Pewny jesteś?
- Tak.
- To teraz bez znaczenia – odparł Ramzan. – Zadanie nie zostało wykonane do końca. Wiesz, co to oznacza?
- Jesteśmy narzędziami w ręku Allaha. Dopóki żyjemy, misja trwa.

Szejk Ahmed Chalaf al-Din sięgnął po gałązkę winogron. Zerwał jeden z owoców, rozgryzł go i poczekał, aż słodki sok spłynie do gardła. W tej chwili od poczynku nie myślał o niczym konkretnym. Po prostu napawał się ciszą i spokojem. Spotkania przewidziane na popołudnie potrwać zapewne do wieczora. Później wysłucha dziesiątków skarg i żalów, rozstrzygnie spory i zaapeluje o pokój. Wszystko w imię Allaha miłosiernego i litościwego. Najważniejsze to jedność pomiędzy wiernymi. Bez niej wrogowie będą ich rozgrywać na dziesiątki sposobów. Żyją w tym mistrzami. Znał ich dobrze. Walczył z nimi przez całe życie.

Szejk spośród wielu marzeń upodobał sobie szczególnie jedno – Egipt rządony prawem szariatu. Już kiedyś byli blisko – ich człowiek, pobożny Muhammad Mursi, został wybrany w powszechnych wyborach na prezydenta. Niestety, w wyniku knowań armii i Zachodu został obalony, a przywódca puczu, marszałek Abd al-Fattah as-Sisi, do tej pory trzyma Egipt w stalowym uścisku. Powtórzenie tamtego sukcesu wydawało się niemożliwe.

As-Sisi to nie schorowany Mubarak, ten się nie waha, protesty dusi w zarodku. Niezależnie od ofiar światowi przywódcy nie powiedzą ani słowa. Zresztą kto miałby to zrobić? Prezydent Francji, niemiecka kanclerz czy ten sprawujący władzę nad Rosją tyran? Oni wszyscy byli sobie warci. I wszyscy mieli ten sam problem z muzułmanami na własnym podwórku. Cóż musiałoby się stać, by upadł As-Sisi i jemu podobni?

Ahmed Chalaf al-Din westchnął i opadł na poduszki. Należało wierzyć. To Allah kierował wydarzeniami, nie ludzie.

Myśli szejka odpłynęły daleko, poczęła ogarniać go senność, gdy do pomieszczenia, w którym odpoczywał, niemal bezszelestnie wsunął się asystent.

Czarny garnitur, biała koszula bez krawata, ręcznie robione buty. Wcześniej studiował w Oksfordzie. Idealny wykonawca poleceń. Człowiek, bez którego Chalaf al-Din nie potrafił się obyć.

- O co chodzi, Ibrahimie?
 - Rzym został zniszczony.
- Fala emocji ogarnęła szejka.
- Jak to możliwe?
 - Dokładnie nie wiadomo, ale w telewizji mówią o wybuchu atomowym.
- Zniszczenia są ogromne. Pół miasta wyleciało w powietrze.

- Kiedy się to stało?
- Dziesięć minut temu.

Al-Din wstał i podążył do pokoju, gdzie przed panoramicznym telewizorem ustawili się już wszyscy domownicy. Zza ich pleców niczego nie dawało się dostrzec. Zgromadzeni milczeli, słysząc tylko klimatyzację i głos dziennikarza relacjonującego wydarzenie.

- Z drogi.

Szejk chłonał obrazy w bezruchu i bez słowa. Widział już takie rzeczy parę razy w filmach katastroficznych, gdzie wyobraźnia reżysera ściagała się ze zdrowym rozsądkiem. Tym razem to była rzeczywistość. Ponad dachami Rzymu unosiły się słupy czarnego dymu, na ulicach zalegały trupy i wraki samochodów.

Na razie nikt nie wiedział, co się stało. Spiker coś bredził o uroczystościach, w których uczestniczył papież, i o tłumach wiernych przetaczających się przez ulice Wiecznego Miasta. Były to jednak strzępy informacji. Na razie nikt nie wydał oficjalnego oświadczenia. Było na to za wcześnie. To akt wojny czy naturalna katastrofa? Zamach czy uderzenie meteorytu? Szereg pytań bez odpowiedzi.

- Zmień kanał.

Egipska telewizja dopiero teraz modyfikowała ramówkę, Al-Dżazira również. W studiach stacji europejskich szok i przerażenie. Ich ekipy, mające relacjonować wydarzenia, siłą rzeczy znajdujące się najbliżej wybuchu, zostały spopielone. Pozostawał jedynie samotny helikopter CNN, który właśnie zaczął zataczać kręgi nad obszarem zniszczenia.

Z góry niewiele było widać, a pilot najwyraźniej bał się podlecieć bliżej. Wysoko ponad nim śmignęła para dyżurnych Typhoonów z Włoskich Sił Powietrznych. Po tym, co się stało, zestrzelenie śmigłowca to najmniejszy problem.

Przynajmniej jedno nie ulegało wątpliwości. Bazylika pod wezwaniem Świętego Piotra nadal stała. Zatem to nie na placu przed nią doszło do eksplozji, tylko gdzieś w pobliżu.

Ramzanowi nie udało się doprowadzić planu do końca. Był blisko, to prawda, ale na ostatniej prostej nie dał rady. Szkoda. Następnej okazji już pewnie nie będzie.

Teraz należało poczekać na rozwój wypadków. Za parę godzin sytuacja się wyklaruje, wtedy on podejmie odpowiednie kroki.

- Zróbcie miejsce.

Szejk podszedł do sofy, ustawionej na wprost telewizora, i zasiadł pośrodku.

– Herbaty – zarządził. – I niech Allahowi będą dzięki, że pokarał niewiernych.

Arkadiusz Brzozowski nie uważał się nigdy za informatora. Informator to

ktoś, kto kabluje, a on jedynie wymieniał z Mateuszem Kruczkowskim poglądy. Zнали się zresztą od lat. Razem chodzili na strzelnicę i do knajpy, dać w palnik po całym tygodniu ciężkiej pracy. Czy to dziwne, że przy okazji rozmawiali? Przecież nie będą milczeć. On coś podsunął Kruczkowskiemu, Kruczkowski jemu i tak się to kręciło. Samo życie, można powiedzieć. Człowiek jest tylko człowiekiem. Żeby chociaż Brzozowski robił w wywiadzie, ale nie, on był jedynie szeregowym urzędnikiem Biura Bezpieczeństwa Narodowego. No, może nie takim szeregowym. Coś tam znaczył. Dostawał informacje i je analizował. Sam prezydent go cenił. Po prostu był dobry i tyle.

Dzisiejsze spotkanie na bulwarach nad Wisłą, opodal Narodowego Centrum Nauki „Kopernik”, wynikło tak jakoś samoistnie. Kruczkowski nie odpuszczał, naciskając na wszystkich, których znał, aby pogonić Włochów do działania.

– Mateusz, daj ty sobie spokój. – Brzozowski, szczupły czterdziestolatek z pierwszymi pasmami siwizny na skroniach i w grubych okularach, upił łyk kawy z papierowego kubka i usiadł na ławce. – Oni najwyraźniej olewają naszą pomoc.

– Nie potrafię tego zrozumieć.

– To proste. Nie ufają nam, a doskonale wiesz, że zaufanie to podstawa.

Szybciej posłuchają tych fiutów z Berlina niż nas.

– Robią błąd.

– Ja to wiem, ty to wiesz. Świata nie zbawisz, choćbyś nie wiadomo jak się starał.

– Powiem ci w tajemnicy, że wysłałem do Rzymu własną ekipę.

– Na cholerę ci ta szarpanina? – Brzozowski odstawił kawę i złożył dłonie na wysokości brody.

– Zagrożenie jest poważne.

– Ten twój agent...

– Sznajder.

– Jesteś pewny, że to on we własnej osobie? Może ktoś się pod niego podszywa? Były już takie przypadki. Celowo robią nas w konia. A to się zemści. Mówię ci.

– Ja już niczego nie jestem pewny. – Kruczkowskiemu zatrzęsły się dłonie. – Powiem ci jedno, tęsknię do czasów, kiedy rządził Banach. Ten facet miał przynajmniej jaja i nie bał się podejmować decyzji. Dzisiaj to dzielenie włosa na czworo. Może zrobimy tak, a może tak. Na koniec nikt za nic nie odpowiada.

– Czy to moja wina? – Brzozowski wbił wzrok w przeciwny brzeg Wisły. – Tak sobie myślę...

– Nie załamuj mnie.

– Daj mi skończyć, bo sobie pójdę i z naszej rozmowy nic nie wyniknie.

– Dobra. Już się zamykam.

– Ty masz tam u siebie ludzi z Dowództwa Operacji Specjalnych?

– Ktoś ich musiał przygarnąć. Lepiej, żeby nie szwendali się po ulicach i nie kombinowali, jak tu zarobić parę złotych.

– Dobrzy są?

– Najlepsi.

– Z tego, co wiem, w naszych sztabach panuje kompletny marazm. Spoczęliśmy na laurach. Tak to wygląda. Co ja ci będę mówił. Sam wiesz, jak jest.

– Prezydent nie może pogonić ich do roboty?

– Prezydent nie chce się mieszać. Woli robić za rozjemcę. Łączyć, nie dzielić. Hasło znane nie od dziś.

– Wygodna strategia.

– Dziwisz się?

– Ja się już niczemu nie dziwię.

– Coś ci powiem. – Brzozowski chrząknął. – Nowa polityka jest taka, że będziemy próbowali się dogadać.

– Z kim?

– Z kim się da. Z Berlinem, Paryżem i Moskwą. Sami nie przetrwamy.

– Kto tak uważa?

– Doradcy. Jak na koniec zostaniemy bez sojuszników, to nas zajebią.

– A ten z takim trudem budowany alians z krajami nam bliskimi? Zostawimy je?

– Kraje nam bliskie nabrały dystansu po nalocie waszej husarii na Bukareszt.

– To był incydent. Działaliśmy w samoobronie.

– Nawet nie wiesz, ile nas kosztowała poprawa relacji z sojusznikami po tym incydencie, a i tak to już pudrowanie trupa. Niemniej sojusz formalnie wciąż istnieje. I to może być nasza karta przetargowa.

– Wiesz, jak się to nazywa? Kurestwo. Dokładnie tak. Kurestwo.

– Pamiętasz, co powiedział lord Palmerston?

– Że nie ma wiecznych sprzymierzeńców i wiecznych wrogów...

– Są wyłącznie wieczne interesy – dokończył Brzozowski.

– Chcecie wywalić do śmieci cały dotychczasowy układ? Tak? To po co nasi żołnierze ginęli w Rumunii? Po co ta zadyma na Bałkanach? Ja się pytam, po co? Oddacie wszystko Berlinowi w imię wyższych racji?

– Trzeba się było zapytać wcześniej po co. Zanim to wymyśliliście i spieprzyliście, a sprzymierzeńców zmieniliście we wrogów. Dobra już, nie gorączkuj się tak.

– Wybacz, ale trudno mi zachować spokój.

– Mam swoje zdanie, ale nie ulega wątpliwości, że gdyby nie błędy popełnione przez poprzednią ekipę, dziś bylibyśmy na zupełnie innym etapie.

– Wam normalnie brakuje motywacji. Zdajesz sobie sprawę, czym się to skończy? Mam to powiedzieć wprost?

– Nie traktuj mnie jak wroga. – Brzozowski wypił kawę do końca, a kubek wrzucił do śmieci. – Liczą się realia, a nie dobre chęci.

– Możesz mi powiedzieć, jak daleko to zaszło?

– Na razie sondujemy, co możemy ugrać. Prowadzimy rozmowy w Moskwie...

– Parę osób przewraca się w grobach.

– Więcej niż parę osób nie byłoby w grobach, gdybyście ich tam nie posłali.

– Co jeszcze? – Podpułkownik zgrzytnął zębami.

– Już jutro przyjeżdża do nas delegacja z Berlina. Nieformalnie. Musimy wyjaśnić parę nieporozumień.

– Mówisz to z takim spokojem.

– A jak mam mówić? Z pianą na ustach? Na szczęście nie jestem tobą. Mateusz, weź ty się ocknij. Państwo nie sprowadza się do armii. Większość ludzi, twój ukochany naród nie chce przeżyć całego życia w okopach. Jeżeli da się coś załatwić bez wojny, normalni ludzie to robią.

Kruczkowski milczał. Rozmowa z Brzozowskim mocno go zdołowała. Parę lat budowania nowego państwa poszło na marne. Można się było tego spodziewać. Nie każdy przywódca polityczny musi być wizjonerem. Jak widać, bycie liderem wyczerpywało. Stara ekipa odeszła, nowa nie dorosła do zadań. Oby tylko nie zaprzepaścili dokonań poprzedników.

Najlepiej zrobi, jak odwoła Wolskiego i Parkera z Rzymu. Nic tam po nich. Historia potoczy się dalej bez ich udziału.

– Mateusz...

– No?

– Co się dzieje?

Stojąca niedaleko nich kobieta wpadła w histerię. Kruczkowski widział, jak wcześniej szła spokojnie pod rękę z towarzyszącym jej mężczyzną, a teraz z jej ust wydobywał się skowyt. Facet też zaczął krzyczeć i rwać włosy z głowy.

Spokojnie. To tylko atak paniki. Przyjedzie karetka i wszystko będzie dobrze.

Trochę się zdziwił, gdy usłyszał kościelny dzwon. Najpierw jeden, potem drugi i trzeci. W sumie dziś niedziela...

Znajdujące się obok małżeństwo z wózkiem nagle się zatrzymało. Dziewczyna z telefonem przy uchu osunęła się na ziemię. Coraz więcej osób zaczęło zachowywać się irracjonalnie.

– Mateusz...

– Widzę.

– Co robimy?

– Ty mi powiedz. Stoisz wyżej niż ja. – Kruczkowski rozglądał się na boki z niepokojem.

– Zabili! Zabili! – darł się jakiś mężczyzna, przebiegając obok nich z obłądem w oczach.

– Co się, kurwa, stało? – Mateusz czuł, że dłużej tego nie zniesie.

Brzozowski kompletnie zbaraniał. W końcu Kruczkowski podszedł do pary z dzieckiem i przystanął obok.

– Mogą mi państwo powiedzieć...

– Papieża zabili.

– Pa...

– Watykan zniszczony. Tysiące zabitych.

Odpowiedzi chłopaka, choć chaotyczne, sprawiły, że pod Kruczkowskim ugięły się nogi.

– Boże drogi, takie nieszczęście. – Brzozowski chwycił się za głowę.

– Nieszczęście? – Emocje, które opanowały podpułkownika, musiały w końcu znaleźć ujście. – Masz, kurwa, swoją politykę. Ja pierdolę, ale syf. Dogadajmy się...

– Do mnie masz pretensje?

– Nikt mnie nie chciał słuchać. A mówiłem sto razy, kurwa. Co za kanał. No tak, doigraliśmy się. Wszyscy bez wyjątku.

– Co mam robić?

– Zapiierdalaj do siebie.

– Do domu?

– Głupi, kurwa, jesteś? Do biura. Gównno właśnie pierdolnęło w wentylator. – Kruczkowski zaczął się rozglądać za taksówką.

– Mateusz, co teraz będzie?

– Jeżeli to, co mówią, jest prawdą... Pomyśl sam. Nie wiemy, kto jest wykonawcą, ale ludzie i tak się wkurwią, i to potężnie. Nie będzie zmiłuj. Sytuacja najgorsza z możliwych.

W końcu odezwał się telefon Kruczkowskiego.

– Już wiem. Potrzebuję szczegółów. Tak, natychmiast! – darł się do mikrofonu. – Daj mi parę minut. Już jadę. Spotkanie miałem. To potwierdzone? Kurwa. Gdzie? Nagrywaj. Wszystko jak leci. I ściągnij każdego, kto jest wolny. Nie ma urlopów. Nie ma niczego. Jest wojna.

– Mówisz poważnie? – Oblicze Brzozowskiego zrobiło się kredowobiałe. – O tej wojnie?

– Jak najbardziej.

– To jakaś banda szaleńców...

– Ale dokonali niemożliwego. Cały obecny układ możesz wyrzucić do kosza. Dokładnie tak. Obym się mylił, ale za parę godzin staniemy w obliczu kryzysu, o jakim nam się nie śniło.

Faruk Ahmed Kabir zrobił dokładnie to, czego od niego oczekiwano. Nie mogąc nawiązać kontaktu z Szamilewem, sam podjął decyzję o przesłaniu nagranego wcześniej materiału do kilku ogólnoswiatowych sieci telewizyjnych. Nie chciał się ograniczać do jednej. Zawsze istniało ryzyko zablokowania przekazu przez jakiegoś nadgorliwego urzędnika. Oświadczenie Szmilewa otrzymali wszyscy potencjalnie zainteresowani. Telewizje arabskie, europejskie, a nawet chińska wnet zaczęły się prześcigać w liczbach emisji.

Telewizje to raz, Internet to dwa. Oczywiście wcześniej zabezpieczył tyły, korzystając z dobrodziejstw darknetu.

Teraz należało tylko poczekać.

Nie mógł sobie darować jednego – jak ma uruchomić drugą bombę, skoro nie posiada łączności? Powinien to przewidzieć. Fala uderzeniowa zmiotła wszystkie przekaźniki w najbliższej okolicy, a reszta sieci natychmiast uległa przeciążeniu. Nie miał dostępu do ulicznego monitoringu, nie wiedział, co się stało ze Sznajderem, i nie znał położenia Ramzana. Nagle cała operacja znalazła się na jego głowie, a zabrakło mu narzędzi.

Mógł za to oglądać światowe media, więc z zainteresowaniem przerzucał kanały. Na twarzach dziennikarzy widział szok i niedowierzanie. Szum w eterze robił się coraz większy.

No, w końcu... Al-Arabija jako pierwsza pokazała Szamilewa odczytującego oświadczenie i biorącego na siebie odpowiedzialność za przeprowadzenie zamachu. Z Kałasznikowem w ręce i arafatką na głowie wyglądał świetnie, dokładnie tak, jak powinien wyglądać bojownik za sprawę. Kabir był z niego dumny.

Parę minut później nieprzebrane tłumy zaczęły się gromadzić na placach i ulicach muzułmańskich miast, świętując zwycięstwo. W końcu osiągnęli swój cel. Ze względu na panujące w Rzymie zamieszanie napływające stamtąd informacje wciąż były nad wyraz skromne. Na trzynastą zapowiedziano nadzwyczajne wystąpienie prezydenta Republiki Włoskiej. Ten starzec pewnie nie powie nic interesującego, ale i tak należało go wysłuchać.

Na miejsce kataklizmu ściągały wciąż nowe ekipy telewizyjne. Karabinierzy dopiero teraz zaczęli tworzyć kordon ochronny. Płonęły dziesiątki domów, parę się zawaliło, a w tysiącach okien wyleciały szyby. Na placu Świętego Piotra ludzie leżeli pokotem. Straty wśród służb zabezpieczających uroczystości były ogromne. Na razie nikt nawet nie próbował oszacować liczby zabitych.

Zamach natychmiast został potępiony przez każdego, kto miał coś do powiedzenia.

O, wy naiwni frajerzy, jeżeli myślicie, że się wam upiecze, to jesteście w błędzie.

Pojawiły się też głosy o zachowanie spokoju i o nieuleganie emocjom. Zatro-

skane twarze mędrców i autorytetów moralnych wyświetlały się na ekranie jedna za drugą.

Kabira to śmieszyło. O jakim pokoju oni mówią?

Haker wyprostował plecy, aż poczuł ból w kręgosłupie. Od tego siedzenia przed ekranem zupełnie stracił formę. Należało pomyśleć o własnym zdrowiu.

Sięgnął po telefon i wybrał numer Ramzana.

To samo co poprzednio.

Tym razem Faruk mocno się zaniepokoił. Całkiem możliwe, że Szamilew zginął, stając się męczennikiem za sprawę, tak jak chciał.

Jeżeli przez następną godzinę nic nie ulegnie zmianie, on pryska. Na farmie nie zostanie. Jest bogaty, jakoś sobie poradzi. Na wszelki wypadek do małego plecaka wrzucił kilka niezbędnych przedmiotów. W ucieczkach był w końcu mistrzem.

– Panie, panie, życie panu niemiłe?

Taksówkarz wyglądał na czerstwego sześćdziesięciolatka.

– Człowieku, z nieba mi spadłeś.

Kruczkowski otworzył drzwiczki i wpakował się do środka samochodu.

– Czy ja powiedziałem, że jestem wolny? Kurs mam zamówiony...

– Zapłacę podwójnie.

– Licencję stracę.

– Potrójnie.

– Dobra. – Mężczyzna wcisnął klawisz i ciężko westchnął. – Florczak mówi.

Na Lipową dajcie kogoś innego. Żaden problem. Poradzę sobie.

– Jest pan aniołem.

– Proszę to powiedzieć mojej żonie.

– Powiem.

– Akurat. – Taksówkarz zatrzymał się przed skrzyżowaniem Dobrej z Leszczyńską.

– Na plac Narutowicza.

– Jak pan sobie życzy.

Kruczkowski rozsiadł się na kanapie, próbując nieco się uspokoić. Ciśnienie skoczyło mu chyba do dwustu na sto pięćdziesiąt. Musi odetchnąć.

– Może włączy pan radio – poprosił.

– Właśnie je wyłączyłem.

– To ważne. Słyszał pan, co się stało?

– Właśnie z tego powodu. Panie, ja nerwowo jestem. Po dwóch zawałach.

Jak usłyszałem, co się wyrabia, o mało nie dostałem trzeciego.

– To może lepiej niech pan jedzie do domu?

– No jak? Córkę mam na wydaniu – rozgądał się niespodziewanie taksówkarz. – Właściwie to mam dwie córki. Młodsza jest jeszcze na studiach, ale ta starsza to się wkopała. Wzięła sobie takiego jednego...

– Radio – zaskomlał Kruczkowski.

– Pan myśli, że to prawda?

Z eteru popłynęły dźwięki muzyki Chopina.

– Skoro mówią.

– Pamiętam, jak ostatnim razem mieliby w Warszawie podobną rozpierduchę.

Kruczkowski mógłby na ten temat sporo powiedzieć, ale teraz wołał się skoncentrować na wydarzeniach we Włoszech.

– *Wciąż brak wiarygodnych informacji na temat liczby zabitych i poszkodowanych.* – Żałobne dźwięki ucichły, a do mikrofonu dorwał się dziennikarz. – *Jedno nie ulega wątpliwości, to największa katastrofa we współczesnej historii naszego kontynentu. Jeżeli mamy do czynienia z zamachem, a wszystko na to wskazuje,*

skutki będą dalekosiężne. Jak twierdzą eksperci... proszę poczekać... – Z radia dobiegały teraz szумы i trzaski. – Jest potwierdzenie... – Prezenter musiał się z kimś konsultować, bo słycać było prowadzoną szeptem rozmowę. – To jednak zamach. Przyznała się do tego mało znana wcześniej organizacja muzułmańskich radykałów o nazwie Światłość Dnia. Za chwilę w naszym studiu gościć będziemy eksperta od stosunków międzynarodowych. O, właśnie. Witam serdecznie.

Kruczkowski sapnął. Wszyscy liczący się specjaliści zasiadali teraz przed kamerami telewizyjnymi. Ci z radia to druga liga, o ile nie trzecia.

– Profesor Jan Stępniewski, Uniwersytet Warszawski. Cieszę się bardzo, mogąc gościć tak wybitnego znawcę przedmiotu.

– Witam pana, witam słuchaczy.

– Panie profesorze, czy zamach, bo to był zamach, jak się przed momentem dowiedzieliśmy, zaskoczył pana?

– Odpowiedź na to pytanie jest niebywale złożona. Do tej pory Włochy omijała obecna fala islamskiego terroru. Proszę zauważyć, że ataki koncentrowały się głównie na Francji, Wielkiej Brytanii, Niemczech i Holandii. Do incydentów dochodziło też w Hiszpanii czy Skandynawii, ale nigdy na taką skalę.

– No właśnie, pan pozwoli, że przerwę. Już w tej chwili możemy mówić o setkach, jeżeli nie tysiącach ofiar. Terrorysty ugodzili tak naprawdę w samo serce naszej cywilizacji. Wydarzenie bez precedensu.

– Pragnę przypomnieć, że tak zwane Państwo Islamskie w swoim najbardziej znanym periodyku...

– Chodzi panu o „Dabiq”?

– Tak, właśnie. Na okładce ostatniego numeru przedstawiono kopułę Bazyliki Świętego Piotra z powiewającym nad nią sztandarem Proroka.

– Ktoś się tym zainspirował?

– Wiemy nawet kto. – Profesor Stępniewski się rozkręcał. – Światłość Dnia to jedna z tych grup, które łączą islamską retorykę z ideami rewolucji społecznej.

– To, co pan powiedział, jest szalenie ciekawe. – Dziennikarz wtrącił swoje trzy grosze.

– Powiem więcej, one znajdują naśladowców. Wcześniejsze organizacje, Al-Kaida czy Daesz, nie forsowały tak programu społecznego, koncentrując się głównie na sprawach związanych z religią, co odstręczało wielu muzułmanów od tych grup. Tym razem przekaz jest inny. Przeobrażeniu ma ulec cały system, by rzecz w skrócie, na sprawiedliwszy dla najbiedniejszych.

– Taki arabski socjalizm?

– Trochę, ale nie do końca. Nie taki jak w czasach Sadata czy partii Baas. Socjalizm kończy się tam, gdzie zaczyna się religia, a ta określa niemal każdy aspekt życia społecznego. Weźmy na przykład...

– Dobrze, ale wracając do dzisiejszych wydarzeń: co możemy powiedzieć

o ludziach, którzy dopuścili się tej zbrodni?

– *To bez wątplenia psychopaci znajdujący się po silnym wpływie lidera.*

– *Co o nim wiemy?*

– *Niewiele, ale to silna osobowość...*

Czyli nie masz pojęcia, o czym mówisz. Kruczkowski miał dość tego bałwana. Ściągnęli gościa z domu, przywieźli do studia, a on potrafił jedynie zaserwować banały i wiedzę ogólną. Zresztą czego się spodziewać po komercyjnym radiu. Tu się mówiło o wszystkim i o niczym.

– *Do naszej rozmowy wrócimy za chwilę, a teraz przerwa na reklamy.*

Doskonale. Piosenka o środku na hemoroidy była lepsza od tych bredni. Na szczęście już dojeżdżali.

– Tu się pan zatrzyma. – Kruczkowski wskazał taksówkarzowi miejsce.

– Proszę bardzo.

Taryfa stanęła.

– Razem to będzie...

Kruczkowski wysupłał z kieszeni pięćdziesiąt złotych i podał kierowcy.

– Reszty nie trzeba.

– Ale to za dużo.

– Proszę pomyśleć o swojej starszej córce. Pan ją kocha, ona pana kocha, jakoś się dogadacie.

Trzasnęły drzwiczki i Mateusz znalazł się na chodniku. Jeśli zrezygnuje z prowadzenia firmy, zostanie psychoanalitykiem. Będzie siedział i słuchał, jakie to ludzie mają problemy. I jeszcze zarobi przy tym kupę kasy. Albo nie. Założy bar. Wyjdzie na to samo, ale robota mniej stresująca.

Na razie siedział w środku afery o globalnym zasięgu.

Wbiegł do biura, od razu ustawiając pracowników.

– Wszyscy obecni?

– Brakuje Fishera i Kubiaka – odpowiedziała sekretarka.

– Gdzie są?

– W Toruniu.

– Co tam robią?

– Sam pan ich tam wysłał, żeby pogadali z właścicielem tej firmy, co to zaprojektowała nowe drony dla naszej armii.

– Faktycznie.

W głowie Kruczkowskiego otworzyła się klapka. Pewien gość miał łeb na karku. Zaprojektował uderzeniowego drona, a ponieważ Ministerstwo Obrony Narodowej nie wykazało zainteresowania projektem, chciał go opchnąć za granicą. Paru nabywców już się znalazło. Najlepiej, jak od razu wybiją mu te pomysły z głowy. Fisher i Kubiak wiedzą, jak to rozegrać. Jeśli ustna perswazja nie pomoże, to znajdą się inne argumenty.

- Chcę gadać z Wolskim – natychmiast przeszedł do kolejnej sprawy.
- Szefie, tam nic nie działa – odpowiedział Pablo Castillo.
- Musi być jakiś sposób.
- Cudotwórcami nie jesteśmy. – Były sierżant komandosów wzruszył ramionami. – A próbowaliśmy wszystkiego.
- Jasna cholera. A co z Szamilewem? To oświadczenie nie poszło chyba na żywca?
- Oczywiście, że nie. Przygotowali je wcześniej. Ten palant gdzieś się znalazł. Takie jest moje zdanie. Popierdoleniec jeden.
- Może szlag go trafił?
- Nie takiego jak on.
- Musimy go znaleźć.
- Nie my jedni. Po tym numerze stał się legendą.
- A my tę legendę musimy zabić.

Pora wydawała się odpowiednia na spacer, a piętnastoletni Thomas Muselle lubił chodzić. Nie miał zresztą nic innego do roboty. Gdy się tak snuł ulicami Stuttgartu, wyobrażał sobie, że jest dyrektorem wielkiego studia i właśnie wypuszcza na rynek nową grę komputerową. Takie *Battlefield* w wersji afrykańskiej, gdzie bohaterami są komandosi bliżej niezidentyfikowanego państwa położonego na południe od Sahary.

Muselle jak na swój wiek był niski i chudy, a z powodu noszonych okularów nie miał lekko wśród rówieśników. Czym mógł im zaimponować? Nie grał w piłkę i nie brał udziału w rozróbach przez nich organizowanych. Żył w swoim świecie, ograniczonym przez cztery ściany własnego pokoju. Typowy marzyciel.

– Ej, gdzie zapierdalasz, czarnuchu?

Thomas drgnął. Tych czterech typów z zakazanymi mordami urodzonych sadystów nie widział na dzielnicy nigdy wcześniej.

– Mówić nie potrafisz?

Musellego zamurowało. Podobne sytuacje, jak do tej pory, jakoś go omijały.

– Patrzcie go, debila. Muzułmański bękart.

– Nie jestem muzulmaninem.

– A kim? – Pytanie zadane przez najgrubszego z czwórki napastników, a zarazem prowodyrą, sprawiło, że pod Thomasem ugięły się nogi.

– Baptystą.

– Baptystą? Kurwa, kłamiesz. Nie ma takich muzulmanów.

Muselle chciał się wycofać, ale tamci już go otoczyli. Nie wrywał się, stał spokojnie, czekając, co się wydarzy.

– Powtarzaj za mną.

Thomas uśmiechnął się niepewnie.
– Jestem pierdoloną czarną małą.
– Ależ proszę pana...
Cios otwartą dłonią oszołomił chłopaka.
– Co ja powiedziałem?
W oczach Thomasa pojawiły się łzy.
– Proszę. Ja przecież nic nie zrobiłem.
– Jak to nie? Kto niszczy nasze miasta? Może ja?
Thomas coś tam słyszał w telewizji, gdy wychodził z domu, ale nie przywiązywał do tego znaczenia. Polityka go nie interesowała.
– Wiesz, kim jesteś?
Thomas pokręcił głową. Od alkoholowego oddechu grubasa zaczęło go mdlić.
– Pierdolonym czarnym szczurem. Twoja matka to dziwka.
– Proszę mnie puścić.
Uderzenie w żebra sprawiło, że popuścił w spodnie.
– Patrzcie go. Szczyl się złał. – Skini ryknęli śmiechem.
Nikt jeszcze Thomasa tak nie upokorzył. W odruchu desperacji spróbował się uwolnić.
– A ty dokąd? To dopiero początek.
Oberwał w splot słoneczny i nie wiedząc kiedy, znalazł się na betonie. Zapiszczał, gdy ciężkie buty zaczęły masakrować wątłe ciało. W końcu jeden z bandytów stanął na jego głowie. Ból był nie do wytrzymania. Kość pękła jak skorupka jajka.
– Jednej zawszonej glizdy mniej. – Grubas splunął na martwe ciało. – A ty, Uwe, możesz założyć czerwone sznurówki. Zasłużyłeś sobie.
– Naprawdę?
– A co myślałeś? To ty załatwiłeś tego śmiecia.
Obok nich przejechał samochód. Facet siedzący za kierownicą przyglądał się im z uwagą. Widział, co zrobili, lecz nie sięgnął po telefon i nie zawiadomił policji.
Nim przyspieszył, pomachał jeszcze z uznaniem do skinheadów. Kraj należało oczyścić z imigrantów. Dobrze, że są tacy, którzy nie boją się ubrudzić rąk w imię tradycyjnych wartości.

Pierwszą myślą, jak przyszła Ernestowi do głowy po tym, jak odnaleźli Sznajdera, był powrót do pensjonatu, o ile ten oczywiście jeszcze stał. To jedyne znane im bezpieczne miejsce w Rzymie. Tam się zastanowią, co robić dalej.
– Chyba oszalałeś? – Parker miał odmienne zdanie.
– Został tam laptop.

- I co z tego?
- A jak się porozumieć z Mateuszem, cwaniaku, no jak? Zanim sieci komórkowe zaczną działać, mogą upłynąć godziny. Przecież widzisz, co się tu wyprawia.
- Lepiej nie ryzykować. – Cyrus stanął pod ścianą, gdzie znalazł kawałek wolnej przestrzeni. – A jak zdetonują drugą bombę?
- I tak musimy komuś o niej powiedzieć.
- Ale komu?
- Policji – wypalił Plazma.
- A oni nas...
- Niech Mateusz to zrobi.
- Może i masz rację. – To przekonało Amerykanina.

Od pensjonatu dzieliło ich najwyżej trzysta metrów, ale wiedzieli, że przebycie tego odcinka wcale nie będzie łatwe. Ci, którzy przeżyli eksplozję, wciąż znajdowali się w szoku. Leżeli w miejscu, gdzie dopadł ich wybuch, lub snuli się jak zombie. Pod ścianami wiekowych kamienic układano pierwsze zwłoki. Przybywało ich w zastraszającym tempie. Z braku prześcieradeł przykrywano je tym, co było na podorędziu – kawałkami folii, kocami. Niektórych wcale nie przykrywano. Mały chłopiec szklistym spojrzeniem wciąż patrzył w pustkę nic nierozumiejącym wzrokiem. Obok leżała starsza kobieta z wyprutymi wnętrznościami.

Plazma już dawno przestał uważać się za twardziela, a każdy następny dzień utwierdzał go w przekonaniu, że to nie dla niego. Sznajder jakoś się trzymał, lecz i u niego dawało się dostrzec pierwsze oznaki stresu. Przystawał co parę kroków, kaszłąc, w końcu zgiał się w pół i zwymiotował żółcią.

- Wszystko gra? – zapytał Ernest.
- Nie. – Artur wytarł usta dłonią i głęboko odetchnął.
- Później będziecie przeżywać, teraz nie ma czasu – przywołał ich do porządku Parker.

W polu widzenia pojawił się wóz strażacki próbujący dotrzeć do płonącego budynku. Posuwanie się do przodu szło mu nad wyraz wolno. Załoga co rusz utykała na przeszkodach, które mozolnie usuwała.

Plazma nie namyślał się długo. Dopadł pierwszego wraku tarasującego drogę i zaczął spychać żelastwo na bok. Cyrus i Artur dołączyli z obu stron. Poszło im całkiem sprawnie.

- W końcu robię coś sensownego – burknął Wolski, otrzepując dłonie.
- Minąłeś się z powołaniem. – Parkerowi ta chwila zwłoki wydawała się całą wiecznością.

Może miał rację? Na widok tyłu nieszczęść Ernesta zaczęły nachodzić różne myśli. Czy tak bardzo różnił się od tych, którzy podłożyli ładunki i zabili tysiące niewinnych ludzi? Oni też mieli na swoje usprawiedliwienie całą masę argumentów. Działali przecież w imię wyższych celów: w imię wiary czy choćby odwetu za

śmierć swoich rodzin i bliskich pod bombami Europejczyków.

Może zamiast historii powinien studiować filozofię? A na koniec pójść do seminarium?

Bywały już takie przypadki.

Parker jako pierwszy dopadł drzwi pensjonatu, otworzył je jednym szarpnięciem i wskoczył do środka. Recepcjonistka, która ich przyjmowała poprzedniego dnia, wycierała właśnie krew z czoła. Paskudna czerwona szrama ciągnęła się od linii włosów aż do nasady nosa. Dobrze, że nie straciła oczu.

– Ernest, spróbuj ją opatryć. Ja sprawdzę, co z naszymi kłopotami – rzucił Cyrus.

Znalezienie apteczki nie było trudne, wisiała na ścianie w korytarzu wiodącym na zaplecze. Plazma wygarnął ze środka całą zawartość szafki. Plaster się nie przyda, bandaż już tak. I woda utleniona.

Szwy założą w szpitalu.

Kazał dziewczynie usiąść i zaczął przemywać ranę, najdelikatniej jak potrafił.

– Siedź spokojnie.

– Ten wybuch...

– Doszło do zamachu.

– Ktoś zginął?

– Niestety tak. – Czuł się jak krety, udzielając takich wyjaśnień.

– Enrique tam poszedł. Chciał zobaczyć uroczystości.

– Kto to jest Enrique?

– Mój chłopak. W grudniu mamy się pobrać. Mam nadzieję, że jest cały.

– Na pewno. – Chciał ją jakoś pocieszyć.

Nim skończył, całe dłonie miał lepkie od krwi.

– Nie ruszaj się. Zawiadomimy kogo trzeba. W pokojach są goście? – Opłukał dłonie pod kranem i wytarł je ręcznikiem.

– Wszyscy wyszli. Nikt oprócz was nie wrócił.

– Będzie dobrze – zapewnił ją ponownie i wspiał się po schodach na trzecie piętro. Nim tam dotarł, o mało nie wywalił się na ostatnim stopniu. Przeżył hekatombę zamachu, a zabiłby się na schodach.

Wejście do pokoju było otarte na oścież. Sznajder z Parkerem już dorwali się do komputera i starali się nawiązać kontakt.

– Jak wam idzie? – zapytał.

– Do dupy – odparł Cyrus.

– Daj, może ja spróbuję.

– Jak chcesz.

Parker ustąpił Ernestowi miejsca i sam przeniósł się na łóżko, klnąc przy tym pod nosem.

Wolski spróbował połączyć się z Internetem. Efekt za każdym razem był taki sam. Ach, ta nowoczesna technika. Jak działa, to działa, a jak się sypie, to dosłownie wszystko.

– Możesz tak stukać do wieczora. – Parker, wyciągnięty na materacu, wpatrywał się w sufit.

– W końcu zaskoczy.

– Pewnie tak.

Nie zważając na uwagi, wciąż ponawiał próby. Już stracił nadzieję, gdy w końcu wszedł na strony WWW.

– Bingo.

Dalej poszło już szybko. Przez VPN wysłał Kruczkowskiemu wiadomość.

Odpowiedź przyszła natychmiast.

Plazma zamrugał oczami.

– O w mordę.

– Co jest? – natychmiast ożywił się Parker.

– Szamilew żyje. – Serce w piersi Plazmy zamarło. Gdzieś w głębi duszy bardzo chciał, aby ten sukinsyn gryzł ziemię. Trudno powiedzieć, który Szamilew był groźniejszy: żywy czy martwy. Martwy to symbol walki, żywy mógł wyrządzić jeszcze sporo złego, i to wkrótce.

– Dopadniemy go – odezwał się Sznajder po chwili milczenia. – Mam z nim porachunki.

– Spokojnie, nie tak szybko. Faruka Ahmeda Kabira znasz?

– To haker wynajęty przez Ramzana.

– To jego musimy zlikwidować. Bez informatyka Szamilew przestanie być groźny.

– Nie zgadzam się z tą opinią – odparł Parker.

– Twoje prawo, ale rozkaz to rozkaz. Im szybciej dopadniemy drania, tym lepiej.

Razman Szamilew wędrował przez piekło, które sam zgotował innym ludziom. Na razie wygrał bitwę. Wojna była dopiero przed nimi. Saleh postępował za nim jak wierny pies.

Niedaleko miejsca, w którym się znaleźli, Ramzan dojrzał porzuconą furgonetkę z logo RAI Uno. Od razu poznał ich wóz.

Szoferka była pusta. Rozejrzał się podejrzliwie we wszystkich kierunkach. Polaka i Czeczena gdzieś wymiotło. Gdzie się podziali? O dezercję ich nie podejrzewał, więc co się stało?

Skinął na Saleha. Nikt się nimi nie interesował. Drzwiczki były uchylone. Ramzan otworzył je i usiadł na miejscu kierowcy. Saleh załadował się do tylnej

części furgonetki.

– Sprawdź, co z ładunkiem.

Minęła minuta. Później kolejna. Krzyki, płacz i złorzeczenia dochodziły ze wszystkich stron, budząc irytację Tatara. Zawsze jest tak samo. Obojętnie, czy to w arabskiej wiosce, czy stolicy europejskiego kraju.

– Pewności nie mam, ale układ wygląda na sprawny. Nic nie jest zniszczone, napięcie załączone.

– Muszę mieć pewność.

– Elektronikę zakładał Faruk. On się na tym zna.

– A ty nie?

– Nie we wszystko mnie wtajemniczył.

– I miał rację. Dasz mi kwadrans, aż odejdę, a potem wiesz, co masz zrobić?

– Tak.

– Niech Allah ci sprzyja.

Szamilew wyskoczył na chodnik. Zachował się jak szmata, ale co innego miał uczynić? Kolejna eksplozja dopełni dzieła destrukcji. A on jest jeszcze potrzebny Allahowi.

Saleh zacisnął zęby aż do bólu. Czuł się jak przemielony, przeżuty i wypluty przez olbrzymiego potwora. Łupało go w głowie i zaczął boleć brzuch. Tak podłego nastroju nie miał od dawna. Był z Szamilewem prawie od początku, walcząc za wspólną sprawę i wierząc mu z całej duszy, ale ten rozkaz go zmroził.

Co da kolejna eksplozja? Zabije następne kilkaset osób, ale niczego nie zmieni. Poświęcenie Renarda i Antona się opłaciło. Jego już niekoniecznie.

To nie tak, że nagle stracił wiarę, ale wystarczyło rozejrzeć się dookoła, by określić priorytety na nowo. Nie był pozbawiony uczuć, jak się mogło wydawać. Pięć lat służby w Legii Cudzoziemskiej, dokąd wyrwał się z totalnej biedy algierskiej wsi, zdążyło zaszcześcić w nim pewne wartości, których choćby chciał, nie potrafił się wyzbyć. Nim trafił w szeregi organizacji Szamilewa, przebywał w Afryce, niosąc pomoc humanitarną. Wiedział, co znaczy ludzkie okrucieństwo. Niektóre regiony Sahelu wprost cuchnęły śmiercią. I to dosłownie. Od słodkawego odoru rozkładających się zwłok nie potrafił się uwolnić przez kolejne tygodnie. Przy boku Ramzana nerwica, której się nabawił, trochę osłabła, ale nie zaniknęła zupełnie. Jeśli uruchomi detonator, stanie się sprawcą niewyobrażalnego koszmaru. Gdyby chodziło tylko o jego życie, poświęciłby je bez wahania. Ale dostanie się do raję w ten sposób jakoś go przerażało.

Spojrzał na zegarek. Minęło pięć minut. Czas mijał zdecydowanie zbyt szybko.

Dlaczego on ma zginąć, a nie Ramzan? Czy to sprawiedliwe? Całkiem świa-

domie buntował się przeciwko tej decyzji.

Gdy w pobliżu przebiegła nastolatka z oderwaną dłonią, nie wytrzymał i wyszedł z samochodu. Zadziały odruchy, jakich się po sobie nie spodziewał.

Powoli ruszył zrujnowaną ulicą. W pobliżu zaczęło się robić gęsto od mundurowych, a on nie chciał zostać zatrzymany przez jeden z patroli. Skulił się w sobie, przycisnął lewą rękę do żeber. Wyglądał teraz jak osoba, która ucierpiała w zamachu. Może nie potrzebuje natychmiastowej pomocy, ale całkowicie sprawny też nie jest.

W okolicach Piazza Navona było znacznie spokojniej.

Saleh od ulicznego sprzedawcy dostał butelkę wody mineralnej i po raz pierwszy od wielu godzin zwilżył gardło. Takie małe przyjemności też się liczyły. W raju pewnie dostałby...

– Co tu robisz? – wściekły Ramzan stał o dwa kroki od niego.
– Mechanizm jest uszkodzony – odparł bez zająknięcia.
– Przecież mówiłeś, że wszystko gra.
– Mówiłem, że nie widać uszkodzeń. – Saleh wypił resztę wody i głęboko odetchnął. – Może się mylę. Próbowałem wszystkiego. Pewnie Kabir coś poplątał albo Sznajder. Nie wiem.

– Ręczny zapalnik nie działa? – podejrzliwie zapytał Szmilew.
– Właśnie o tym mówię.
– Jakoś nie chce się mi w to wierzyć.
– Możemy tam wrócić i sprawdzić. – Saleh śmiało popatrzył Ramzanowi w oczy.

– Nie trzeba. Widać taka jest wola Allaha.

Szamil Lew nie całkiem uwierzył saperowi. To kolejny dzisiejszego dnia przypadek, którego nie przewidział. Dobrze, że udało się wykonać zasadniczą część zadania. Teraz musiał się zastanowić, co dalej. W Rzymie zrobiło się dla nich zbyt niebezpiecznie. Należało się stąd wydostać jak najszybciej. Na farmie przeczekają pierwsze najgorętsze dni, a potem się zobaczy. Być może Kabirowi uda się jeszcze zdetonować bombę. Kto to może wiedzieć?

Ponad nimi z wizgiem rotorów przeleciał helikopter. Sam dźwięk źle się kojarzył Szamilowi. Bojownicy nie posiadali takich maszyn. Izraelczycy, syryjska armia rządowa, Rosjanie – owszem. I za każdym razem, gdy widział stalowe ważki na niebie, musiał się liczyć z możliwością ataku.

Ciekawe, czy metro zostało zablokowane? Zdaje się, że tak. Szkoda, bo to najszybsza metoda znalezienia się na przedmieściach. Pozostawały im nogi. Przez moment Ramzan chciał skraść któryś z licznych skuterów, lecz szybko porzucił tę myśl. Trzeba unikać zbędnego zamieszania.

Takich jak oni, wędrujących we wszystkich kierunkach, na jezdni i na chodnikach były tysiące. Część na pewno wracała do domu, lecz znalazłoby się wielu,

którzy koniecznie chcieli zobaczyć masakrę na własne oczy.

Ramzan łowił uchem ich rozmowy. Zamarł, gdy usłyszał swoje nazwisko. Kabir zbyt szybko przekazał nagranie. Już go szukają. Wkrótce jego twarz znajdzie się w telewizji i na plakatach.

Przyspieszył kroku i skręcił w boczną uliczkę, gdzie miał nadzieję łatwiej zachować anonimowość.

– Stać! – Trzyosobowy patrol karabinierów zastąpił im drogę. – Dokumenty. Ramzanowi momentalnie spocły się dłonie. Wyciągnąć pistolet czy paszport?

– Nazwisko? – zapytał funkcjonariusz z cieniutkim wąsikiem ponad górną wargą i w wywiniętej czapce ozdobionej emblematem płonącego granatu.

Szamilew zdębiał. Wcześniej, owszem, przejrzał lewe papiery, ale fałszywe imię i nazwisko jakoś nie wyryło się w jego pamięci.

– Luigi... – Imię przypomniał sobie z najwyższym trudem.

– Dalej.

– Luigi...

– Zaciąłeś się?

Szamilew umilkł.

– Stawaj pod murem.

Saleh właśnie podawał podrobione prawo jazdy drugiemu z karabinierów.

– Szybciej.

Dłużej nie mogli zwlekać. Ramzan chwycił podoficera za granatową kurtkę i rąbnął głową wprost w nos Włocha. Walnął tak mocno, że chrupnęła chrząstka, a przeciwnik poleciał na chodnik.

Saleh odepchnął drugiego Włocha i zerwał się do biegu, przy okazji potrącając trzeciego z karabinierów.

– *Stop!* – wrzasnął ten, który wylądował tyłkiem na chodniku.

Bieganie nigdy nie było ulubionym sportem Szamilewa. Powinien wyciągnąć broń i zastrzelić tych niewiernych, jak tylko pojawiła się okazja.

– *Stop!*

Choć dawał z siebie wszystko, wiedział, że kuli nie prześcignie.

Wystrzał ich nie zaskoczył. Byle dopaść najbliższej przecznicy i zejść z linii strzału.

Huk rozległ się jeszcze kilkukrotnie. Szamilew zerknął za siebie. To nie do niego strzelano. Karabinierzy celowali w Al-Rawiego, który stał na środku ulicy, niczym szeryf z westernu, i ostrzeliwał się czeską CZ75 Auto.

Pierwszy z Włochów oberwał w głowę. Pocisk wszedł tuż pod lewym okiem i wyszedł potylicą. Podoficer nie miał najmniejszych szansy na przeżycie. Na pewno nie po czymś takim.

Drugiemu z mundurowych poszło lepiej. Trafił Izzata, lecz ten, przełożyw-

szy tylko pistolet do lewej ręki, dalej osłaniał ucieczkę dowódcy.

Włochowi za bardzo trzęsły się ręce, aby trafił po raz kolejny. Za to Al-Rawi przybliżył się do niego krok za krokiem. Nie celował w głowę jak za pierwszym razem. Trafił w tułów. Raz i drugi. Karabinier konał przez minutę.

Ten, któremu Szamilew rozwalił nos, ledwie widział, co się dzieje. Wyszarpnął broń z kabury, lecz strzelał na wycucie, leżąc na wznak. Dostał w udo, za to w końcu trafił Irakijczyka w brzuch. To wystarczyło.

Wymiana ognia pozwoliła odskoczyć Ramzanowi i Salehowi na bezpieczną odległość. Szamilew wiedział, że Al-Rawi go pilnuje, ale takiej lojalności się nie spodziewał. Przynajmniej on, jak Kabir, zrobił to, czego od niego oczekiwano.

– Mówi pan, że kto tam dowodzi? – Kruczkowski zatkał sobie jedno ucho, aby lepiej słyszeć głos dobiegający z aparatu.

– Ariadna.

– Kto? Nie zrozumiałem?

– Ariadna.

– A kim ona, u diabła, jest? To ktoś z Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych? Nigdy o niej nie słyszałem.

Jego rozmówca był jakiś dziwny. Nazwisko Borzęcki niewiele Mateuszowi mówiło. Słyszał o dyrektorze pewnego instytutu, który sporo mógł, ale dlaczego ten facet dzwoni właśnie do niego?

– Przepraszam, że pytam, ale skąd pan ma mój numer? – zainteresował się Kruczkowski.

– Od Ariadny.

– Ja nie znam żadnej Ady, rozumie pan. A skoro jej nie znam, to i nie podałem jej mojego numeru.

– Ona sama pana znalazła.

– Ciekawe.

– Powiem krótko: wiem wszystko.

– A to zabawne, bo ja wiem niewiele. – Mateusz poczuł drapanie w gardle.

– Mamy wspólnego znajomego.

– Mianowicie?

– Generała Banacha.

– Od tego należało zacząć. – Kruczkowskiemu nieznacznie ulżyło.

– Wie pan, Ariadna wiele może, ale jest nam potrzebna pomoc pańskich podwładnych.

– A kogóż to?

– Cyrusa Parkera i Ernesta Wolskiego.

– Pan wybaczy, ale nie mam z nimi kontaktu.

– Ale Ariadna ma... No bo, prawdę powiedziawszy, ten chaos to poniekąd nasza wina.

– Mówi pan samymi ogólnikami. – Kruczkowski poczuł narastającą irytację.
– O jakim chaosie pan mówi?

– Tym w Rzymie. Proszę mnie źle nie zrozumieć, to nie my... to znaczy... – Borzęcki coraz bardziej plątał się w zeznaniach. – Trudno to wytłumaczyć. Może kiedyś będzie okazja. Teraz proszę o pomoc. Co prawda Ariadna już podjęła odpowiednie kroki...

– Jeżeli Wolski i Parker wylądują w więzieniu, to osobiście dopilnuję, żeby pan dzielił z nimi celę. Rozumiemy się?

– Niczego podobnego nie przewidujemy.

Zapewnienie Borzęckiego nie zrobiło na Mateuszu wrażenia.

– Nie zdążyłem powiedzieć, że udało się nam skontaktować ze Sznajderem. Co ja mówię „nam”. Pańskim podwładnym.

– Jak to skontaktować?

– Przechwycić, czy jak to nazwiemy. Już współpracują, tak powinienem to ująć.

– Dlaczego ja nic o tym nie wiem?

– Właśnie mówię.

– Mam nadzieję, że nie robi mnie pan w konia?

– Ależ skąd – zapewnił Borzęcki. – To co? Jesteśmy dogadani? Ariadna pokieruje działaniami. Jest naszym asem atutowym, że tak powiem. Bywa niezastąpiona, lecz jest uzależniona...

– Od czego?

– Hmm, od energii.

– Bierze coś?

– Pobiera prąd, a jak się zirytuje, robi to w niesamowitych ilościach. Niemniej i jej potrafią się przepalić bezpieczniki.

Ja pierdołę, to zupełny bełkot. Facet bredzi od rzeczy. Kruczkowski nic z tego nie rozumiał. Uzależnienie od prądu? O takim nałogu słyszał po raz pierwszy. A niech tam... gra była warta świeczki. Szczegóły wybada później. A tę całą Adę dorwie przy okazji. Dowie się, gdzie mieszka, i wpadnie do niej z roboczą wizytą. Pogada jak czekista z czekistą. Może porucznik Syty będzie mógł pomóc. Kontaktowali się co prawda raz na ruski rok, ale nie zaszkodzi odnowić znajomości.

Jak już pozna nazwisko tej panny, będzie łatwiej. Może to mężatka? Brunetka czy blondynka?

– Dobrze. Wyrażam zgodę. Proszę mnie tylko informować na bieżąco. Taki jest mój warunek.

– Oczywiście.

- I bez mataczenia. I tak dowiem się o wszystkim.
- Dołożę wszelkich starań.
- I jeszcze jedno. Chciałbym porozmawiać z Wolskim.
- W pierwszym nadarzącym się terminie.
- Teraz nie?
- Pan najlepiej wie, co się wyprawia. Całą grupę musimy bezpiecznie wyprowadzić, a to nie będzie takie proste. Za... powiedzmy, dwadzieścia cztery godziny...
- Ile?
- Może mniej. Ale czy to na pewno konieczne?
- Raczej tak.
- Skoro inaczej się nie da, dowiem się, co możemy zrobić.
- Będę zobowiązany. – Głos Kruczkowskiego aż ociekał sarkazmem.
- Jeżeli to wszystko...
- W zasadzie tak. – Mateuszowi nie przychodziło do głowy nic konkretnego.

Akcja trwała, chociaż zupełnie bez jego kontroli. Wydarzyło się najgorsze, więc teraz najpilniejszym zadaniem jest likwidacja resztek grupy Szamilewa.

Telewizor chodził non stop. Kto miał ochotę, gapił się w ekran.

Na placu Świętego Piotra pokazała się postać w białym stroju. Eksperci w studiu zaczęli się przekrzykiwać. Papież żyje! Najwyraźniej nic mu się nie stało, a teraz wyszedł do wiernych wraz z rzeszą kardynałów, biskupów i księży. Pracy przed nimi co niemiara. Na ostatnie namaszczenie czekały setki rannych. Wkrótce biała szata zrobiła się czerwona od krwi.

Kruczkowski zauważył, że wyszczekanemu dziennikarzowi, który komentował wydarzenia, a słynął ze swoich awangardowych poglądów, odebrało mowę. Nie tylko jemu. Cała masa postępców i wszelkiej maści radykałów musiała na nowo przemyśleć swoje postępowanie.

Jakby dla kontrastu pokazywano ulice Kairu, Islamabadu, Bagdadu, Ankary, Algieru, Dżakarty i dziesiątek innych muzułmańskich miast, gdzie tłumy wiwatowały.

Podpułkownik na tyle znał się na polityce, aby wiedzieć, jaki strach u dupy mają rządy w tych krajach. To nie było tak, że oni byli z ludem. Oni się bali tego ludu, bo stanowił śmiertelne zagrożenie dla ich władzy.

W Egipcie już ogłoszono cichą mobilizację. Armia i policja stały w pełnej gotowości, gdyż szła radości w każdej chwili mógł przeistoczyć się w rebelię.

Bunt często udaje się skanalizować, kierując złość demonstrantów w odpowiednią stronę. Prowokatorzy wskazywali cele, lecz tym razem może to nie być takie proste. Hotele świeciły pustkami, turystów jak na lekarstwo. Pod piramidy przebywały jedynie pojedyncze osoby, biura linii lotniczych zamknięto już dawno. Z braku niewiernych zostanie władza lub chrześcijańscy Koptowie. Islamistyczni

podżegacze najpewniej już judzili tłum do wystąpień. Przemówienie prezydenta As-Sisiego raczej nie rozładuje emocji buzujących w tłumie.

Radykałowie na całym świecie pójdą za ciosem. Już teraz pewien nastolatek w Londynie zaatakował nożem ludzi przebywających w pubie i oglądających telewizję. Zaszlachtował czworo z nich, nim został obezwładniony. Przyjazdu policji nie doczekał, zatłuczony na śmierć. W Glasgow zwykły samochód stał się kosiarką Allaha. Jego kierowca wjechał w piesznych na przejściu w samym centrum miasta. Zabił dwoje z nich, kilkoro ranił.

W Bordeaux...

Kruczkowski obserwował, jak świat staje na skraju szaleństwa. Szamilew nie był głupi. On doskonale wiedział, co robi.

W Jerozolimie strzelano pod wzgórzem świątynnym. Na północy Hezbollah wypuścił rakiety. Tel Awiw nie da długo czekać na odpowiedź.

W Moskwie wyrzucono z drugiego piętra sprzątaczkę pochodzącą z Dagestanu. Kobieta przeżyła, lecz jest sparaliżowana. W Stuttgarcie... kogo, kurwa, obchodzi, co się stało w Stuttgarcie?

W Malmö usiłowano podpalić meczet. To dopiero pierwszy. Do poniedziałkowego świtu zapłoną ich setki.

Muhammad Hazni należał do tych osób, które sąsiedzi określają jako uosobienie spokoju. Zawsze kłaniał się na ulicy, nie pił, nie palił, nie awanturował się i miał tylko jedną żonę oraz dwoje uroczych dzieci. Chłopca i dziewczynkę oczywiście. Ubierał się po europejsku, czyli normalnie, a od dudniącego arabskiego popu wolał Mozarta i Vivaldiego. Hazni był bez wątpienia idealnym przykładem tego, jak można się zasymilować w nowym kraju i środowisku.

Muhammad wyciągnął z kieszeni klucz i otworzył drzwi garażu. Wsunął się do wnętrza, mając przy boku dwóch najlepszych przyjaciół – Jasira i Salima. Reszta grupy przyjdzie później. Nie szkodzi. Na razie poradzą sobie we trzech.

Pomieszczenie nie było duże, lecz całkowicie zastawione butlami acetylenowymi. Teraz należało je przenieść do dostawczego Citroëna, podłączyć, przewieźć do centrum Barcelony w pobliże bazyliki Sagrada Família i wysadzić w powietrze.

Hazni wraz ze swoją komórką chciał to zrobić w przyszłym miesiącu. Po wypadkach w Rzymie musieli się pospieszyć. Nie było na co czekać. Masakra może nie dorówna tej spod Watykanu, ale też będzie spektakularna. Przegniły gmach zachodniego świata drżał w posadach. Jeszcze jeden wysiłek i wszystko runie.

– Bierzcie się do roboty – polecił współtowarzyszom.

Jasir bez szemrania zakasał rękawy i wraz z Salimem zaczęli targać ciężary do podstawionej wcześniej furgonetki.

Sam Hazni ponownie przejrzał schemat, według którego przerobił butle na bomby. Nie chciał powtórzyć błędu poprzedników. Był gotowy na śmierć, ale nie w idiotyczny sposób. Mają zabić niewiernych modlących się w pogańskiej świątyni, a nie siebie samych. Od kiedy znalazł się w Hiszpanii, nienawidził tego kraju z całego serca. Ci ludzie mieli o sobie nadzwyczajne mniemanie. Katalończycy, czyli lepszy rodzaj człowieka, chciałoby się rzec. Już niedługo będziecie wspomnieniem.

Hazni skończył politechnikę, więc z technicznymi zawiłościami dawał sobie radę bez problemów. Najtrudniej było im zdobyć potrzebne materiały. Broń i amunicja przywędrowały z Portugalii, zapalniki przemycano z Francji, tylko butle kupiono na miejscu. Gdy nadeszła chwila próby, byli niemal gotowi.

Pół godziny później dołączyło do nich dwóch kolejnych członków grupy. Praca ruszyła raźniej. Po trzech godzinach skończyli. Nic, tylko jechać.

Na ochotnika zgłosił się Jasir. Muhammad serdecznie go uściskał. Odchodzili najlepsi. Reszta musiała trwać.

Po odjeździe Jasira nie pozostało im nic innego jak się ukryć. Dysponowali wynajętym mieszkaniem w okolicy. Rano, jeżeli okaże się to konieczne, wyjadą do Maroka, choć Hazni nie sądził, aby do tego doszło.

Jasir, jak przystało na zdyscyplinowanego żołnierza Kalifatu, wiedział, że od jego postawy zależy powodzenie misji. Siebie był pewien, a reszta w rękach Allaha.

Przez pierwsze dziesięć minut akcja szła dobrze. Jechał powoli, nie łamał przepisów, a nawet zatrzymał się przed przejściem dla pieszych i przepuścił przez nie starszą parę.

W to niedzielne popołudnie sporo Katalończyków wyległo na ulice. Wszyscy komentowali zajścia w Rzymie. Nie było człowieka, który by o nich nie słyszał.

Jasirowi w duszy śpiewały anioły. Myślami był już w raju. Dopiero w ostatniej chwili dostrzegł blokadę ciężko uzbrojonych funkcjonariuszy Guardia Civil. Wcześniej ich tu nie było. Musieli zająć pozycje dosłownie przed paroma minutami.

I co teraz?

Spróbuj sforsować przeszkodę. Doda gazu i pogna przed siebie. Do bazyliki pozostało najwyżej kilkaset metrów.

Samochód stojący przed nim odjechał. Przyszła jego kolej. Jasir wrzucił bieg. Obciążony do granic możliwości dostawczak przyspieszał z trudem. Jeszcze tylko rozjechać tego palanta, który stoi na jezdni.

Szybciej. No, szybciej. Już prawie go ma.

Facet znikł pod samochodem.

Dalsza jazda była krótka. Pozostali funkcjonariusze otworzyli ogień z pisto-

letów maszynowych. Co najmniej pięćdziesiąt kul trafiło w szoferkę, zabijając Jasi-
ra na miejscu. Wóz zwolnił i w końcu się zatrzymał. Ładunek nie eksplodował.

Natychmiast wszczęto dochodzenie. Zidentyfikowanie zamachowca nie było
trudne, a skala przedsięwzięcia kazała się domyślać, że nie działał sam.

Wiadomość o udaremnionym zamachu od razu trafiła do mediów. Hazni
wpadł w panikę. Nie tak to miało wyglądać.

Gwoździem do trumny całej grupy było zgłoszenie od jednego z zaniepokojonych sąsiadów Muhammada. Wyślane na miejsce siły policji zostały ostrzelane
przez islamistów zabarykadowanych w domu Hazniego. W wyniku półgodzinnej
kanonady polegli wszyscy islamiści, a jeden policjant został ranny. Na terrorystach
zemścił się brak wyszkolenia. Wszyscy bez wyjątku okazali się amatorami. Pełny-
mi gniewu i silnie zmotywowanymi, ale jednak amatorami. Strzelali słabo i choć
stawili zacięty opór, nie stanowili większego zagrożenia.

Hazni chciał unicestwić niewiernych, a mimowolnie zainicjował wydarzenia
zupełnie przeciwne do jego nadziei.

Ruch kołowy w centrum Rzymu został wstrzymany. W wyznaczonej strefie
poruszać się mogły jedynie pojazdy uprzywilejowane. Dodatkowo przeszukiwano
każdy samochód, który tam się znajdował, sprawdzając, czy w swoim wnętrzu nie
kryje następnej bomby.

Kontrola była powolna i ryzykowna, ale konieczna. Siła wyższa, można po-
wiedzieć.

Z pokojów zabrali, co się dało, i ruszyli w stronę przedmieścia. Plazma od
dawna chciał zobaczyć Rzym. No i zobaczył. Szkoda, że nie z przewodnikiem,
a z Parkerem i Sznajderem wśród spanikowanego tłumu i wkurwionych gliniarzy.

Polska koordynatorka wskazała im miejsce, w które powinni się udać. We-
dług Google'a mieli do pokonania jakieś sto dwadzieścia kilometrów. Piechotą zaj-
mie im to co najmniej dwa dni, jeśli nie trzy. Nawet dla zaprawionego w marszach
Sznajdera było to za dużo. Przede wszystkim zaś ten pieprzony haker może się
w tym czasie ulotnić.

Artur położył na chodniku torbę z laptopem i usiadł na krawężniku, wyciąga-
jąc przed siebie nogi. Było widać, że jest wypompowany. Nawet najtwardszy czło-
wiek kiedyś w końcu dojdzie do kresu sił.

– Odpoczynek? – zapytał Cyrus.

– Taa...

Przeszli najwyżej kilometr. W tym tempie na farmę dowloką się na winobra-
nie.

– To beznadziejne – powiedział Sznajder.

– A co ja ci poradzę?

- Ty? Nic.
- A ty masz jakiś pomysł?
- Może.

Ernest spojrział na Parkera, unosząc brwi do góry.

- Zamieniam się w słuch.
- Telefon działa?
- Już tak.

– W takim razie muszę z kimś pogadać. – Sznajder wyciągnął rękę w stronę Wolskiego. – Nie bój się, nie ukradnę.

- To nieregulaminowe.
- Ja też jestem nieregulaminowy.

Sznajder wyrzucił już do śmieci ukradziony smartfon. Dalsze używanie tego aparatu nie było dobrym pomysłem. Zresztą tak nakazała koordynatorka, a ta chyba wiedziała, co mówi.

Artur sięgnął po komórkę Ernesta. Przez moment ważył ją w dłoni, aż przypomniał sobie numer.

Tak... jak to mówili Karim i Hussejn, przemytnicy dzieł sztuki, których zatrzymał, gdy zaczynała się ta historia, „przyjaźń to podstawa”. Mówili też, że ich mocodawcy wiele mogą.

Właśnie nadeszła pora, aby to sprawdzić.

– *Salam alejkum*, przyjacielu – odezwał się, gdy tylko po tamtej stronie usłyszał głos. – Wiesz, kto mówi?

– Nie.

Zdaje się, że odebrał Karim, ale pewny nie był.

– Biznes antykwaryczny dalej kwitnie?

Tym razem odpowiedziała mu cisza.

– Wciąż jeździcie drogą na Bejrut?

– To ty...

– Tak.

– Nie sądziłem... chociaż ... Allah jest wielki. Jak ci się wiedzie?

– Mam kłopoty – westchnął Polak.

– Domyślam się.

Sznajder w paru słowach wyjaśnił, o co chodzi.

Jak się okazało, Karim przebywał w Bejrucie, lecz nie stanowiło to wielkiej przeszkody. Artur obawiał się, że zostanie splądowany, ale ku swojemu zdziwieniu przekonał się, że niektórzy swoje honorowe zobowiązania traktują poważnie.

Dogadał się bez problemu. Powinni dostać samochód w ciągu godziny.

Podczas parominutowej rozmowy Wolski z Parkerem uważnie przyglądali się bojownikowi. To w końcu oni mieli go wyciągnąć z kłopotów, a nie on ich.

Parker w końcu machnął ręką. W pobliskim sklepiku kupił paczkę fajek

i z lubością zaciągnął się dymem. Dzisiejszy dzień wywołał w nim po raz kolejny poczucie klęski. Stracił już dom, kraj, rodzinę, Yvonne...

Na wspomnienie dziewczyny w duszy Cyrusa otworzyła się czarna dziura. Gdy widział ją ostatni raz, była pełna życia i wewnętrznego blasku. Podobno zginęła niedługo potem.

Nie drażył tematu. Na takich jak on czeka jedynie ciemna cela lub pluton egzekucyjny. I tak udało im się wywinąć tanim kosztem.

Szybko przysiadł się do niego Sznajder. On też zapalił. Jedynie Plazma niepokojnie krążył po chodniku, nie mogąc zrozumieć ich spokoju.

To nie był spokój, raczej kompletna rezygnacja.

Młodzieniec, który wyskoczył z poobijanego fiata punto, wyglądał najwyżej na dwadzieścia lat. Luźne džinsy ledwo trzymały się na jego biodrach. Do tego dochodziła koszulka, tak na oko o cztery rozmiary za duża, i biała czapka z daszkiem, przekrzywiona na bok. Na szyi łańcuch. Koleś, obficie skropiony wodą po goleniu, poruszał się na ugiętych nogach, zupełnie jak hiphopowiec podczas występu.

Sznajder podszedł do niego miękkim krokiem zabójcy. Obserwując ich obu, Ernest zastanawiał się, który z tej dwójki jest groźniejszy.

Dokładnie tak.

Sznajder to zawodowy morderca, ale gówniarz prawdopodobnie też odstraszył niejednego człowieka. Mafia brała takich jak on do porachunków z konkurencją i egzekucji długów. Nastolatki nie wiedzieli, co to strach. Śmierć była dla nich czymś tak odległym jak załogowy lot na Marsa. W swojej głupocie byli gotowi dopuścić się każdej zbrodni.

Rozmowa trwała najwyżej minutę, po czym chłopak oddalił się chodnikiem.

– Pedalski wózek. – Parker kopnął w przednią oponę samochodu.

– Nie chcesz, to nie jedź. Ja cię prosić nie będę – odciął się Artur. – Młody prowadzi.

– Od kiedy zostałeś tu szefem?

– Nie mam pojęcia, jak trafiliście do tej roboty, ale wyglądacie mi na amatorów.

Twarz Parkera przybrała lekko purpurowy odcień.

– Znalazł się, kurwa, profesjonalista. Ciesz się swobodą, póki możesz.

– Grozisz mi?

Obaj mniej więcej tego samego wzrostu. Parker cięższy, Polak lżejszy, a to za sprawą niskobiałkowej diety. Ogolone głowy, kartoflane nosy. Powietrze niedługo zacznie trzeszczeć od wyładowań.

– Przestańcie już – interweniował Ernest. – Ludzie się na was gapią. Głusi jesteście? Do wozu, powiedziałem.

Otworzył drzwiczki i poczekał, aż ujdzie z nich para. Zmęczenie materiału. Dla jakiejś głupoty ci twardziele gotowi się pozabijać.

Czarne myśli opadły Ramzana jak duszna noc. Był zły na siebie, Kabira, Saleha i Al-Rawiego.

Na Kabira, bo ten za szybko puścił nagranie do sieci, na Saleha, bo nie potrafił uruchomić zapalnika, na Al-Rawiego, bo dał się zabić, a na siebie, bo nie przewidział braku łączności.

A już najbardziej wściekał Szamilewa ten cholerny polaczek. Powinien za-wierzyć intuicji. Sznajder był jakiś taki miękki. Niby robił, co do niego należało, ale brakowało w tym entuzjazmu.

Zmęczony ucieczką, przystanął obok sklepiku z pamiątkami. Dobrze, że nikt ich nie gonił. Poziom adrenaliny we krwi powoli opadał, więc nie pozostało nic innego, jak przysiąść w cieniu i dać odpocząć obolałym mięśniom. Ta piwnica będzie idealna.

W ciasnym pomieszczeniu cicho szumiała wentylacja. Ruch powietrza wprawił w delikatne drżenie i kołysanie niezliczone kartki, zakładki, wisiorki i breloczki. I bez tego migotania i szelestu potencjalny klient mógł się obawiać, że przy najmniejszym ruchu potrąci jakiś talerzyk, filiżankę, kubek lub wazonik. Bezpieczne wydawały się tylko długopisy i przypinki w przeszklonej ladzie oraz książki i koszulki zajmujące półki za właścicielem, który urzędował w rogu tej dziupli. Ramzan go nie dostrzegł, dopóki ten się nie poruszył.

– Czym mogę służyć?

Staruszek miał pod osiemdziesiątkę, siwe włosy, wyblakłe oczy, ogromne uszy i sępi nos. Taka pomarszczona wersja Juliusza Cezara.

– Potrzebujemy... – wzrok Szamilewa zaczął błądzić po zakamarkach lokalu
– ...mapy.

– Dobrze pan trafił. Na pewno mam taką, która pana zadowoli. – Włoch wskazał gablotę pełną przewodników.

Nad jego głową brzęczał maleńki telewizor. Dobiegający z niego głos był ledwie słyszalny. O ile Ramzan się nie mylił, liczbę zabitych określono wstępnie na ponad osiemset osób, a rannych na dwa tysiące. Lista ofiar oczywiście szybko się wydłuży. W przekazie nie wspomniano na razie o zaginionych. Tych mogły być setki. Widział migawki ze szpitali, gdzie poszkodowani łączyli się na korytarzach. Do Rzymu wkroczyło wojsko. Obraz ze śmigłowca ukazywał ciągnące się po horyzont sznury zielonych ciężarówek. Wśród ofiar byli ponoć mieszkańcy większości krajów świata. W przebitkach powtarzało się zdjęcie papieża klęczącego wśród umierających. Na pewno stanie się ikoną. Ludziom niewiele trzeba – jedno chwytające za serce ujęcie i popularność na miarę Elvisa Presleya albo Che Guevary.

Ramzan zorientował się nagle, że i on jest popularny. Oczywiście jako czarny charakter. Na liście najokrutniejszych typów plasował się gdzieś pomiędzy Lor-

dem Vaderem a Hannibalem Lecterem.

– Straszna masakra – zagadnął staruszek. – Nawet chciałem iść na mszę, ale coś mnie tknęło. Poza tym zdrowie już nie to. Upał. Człowiek zasłabnąć może.

– Dostaniemy kawy? – zapytał Szamilew.

– Oczywiście. Dwa pięćdziesiąt. Z cukrem?

– Poproszę.

– Dwie czy jedna?

– Kolega też się napije. – Ramzan zdecydował za Saleha.

Wybór map rzeczywiście był ogromny. Szamilew, oderwawszy wzrok od ekranu, wybrał cały atlas z rozrysowanymi ulicami, zaułkami, placami i arteriami przelotowymi.

– Może mi pan powiedzieć, w którym miejscu się znajdujemy? Trochę się pogubiliśmy.

– Proszę mi pokazać. – Dłonie staruszka zaczęły wertować książkę. – O, tu.

– Myślałem, że jesteśmy bliżej Schodów Hiszpańskich. – Ramzan złapał za krawędź papierowego kubeczka i siorbnął.

– Na piechotę to niecałe pół godziny. Panowie są młodzi, spacer nie zaszkodzi. Chociaż teraz to żadna przyjemność.

– Łazimy tak od rana. – Ramzan poszukał miejsca, w które mógłby odstawić kawę.

W końcu, mając poparzone od wrzątku palce, zdecydował się na półkę z porcelaną. Zahaczył przy tym o stojak na pocztówki, który niebezpiecznie się zachwiał.

– Przepraszam.

– Nic nie szkodzi. Ja się już przyzwyczailem. Handluję pamiątkami od trzydziestu lat. Ale każdy, kto tu wchodzi, jest oczarowany. Pan rozumie, asortyment musi być spory. Inaczej nie zarobię.

– Jasne.

W telewizji poinformowano o znalezieniu ciała z raną postrzałową niedaleko mostu Wiktora Emanuela. Ramzan popatrzył na ekran. Twarzy nie pokazano, ale bez wątplenia był to Timur.

Skoro Czeczen nie żyje, to co się stało z Polakiem?

Podobno, bo świadkowie wydarzenia nie byli pewni, doszło do wymiany ognia pomiędzy dwoma grupami przestępców. Policja na razie nabrała wody w usta, twierdząc, że dopiero bada tę sprawę.

– Niedługo zamykam. Panowie to już chyba ostatni klienci. Rano, nie wiem, ruch był. Przyjechała grupa z Innsbrucku. Poszła cała zastawa zdobiona papieską symboliką. Nie wiem, czy panowie wiedzą, ale wciąż jeszcze sprzedają się podobizny Jana Pawła II. Breloczki, otwieracze do piwa, talerzyki i takie tam. Te z Franciszkiem też idą całkiem dobrze. Tylko Benedykt XVI to marketingowe nie-

porozumienie.

- Ma pan samochód? – Szamilewa zaczynało nudzić gędzenie dziadka.
- Tak. Stoi na ulicy. Ten czerwony opel. Ha, stary jak ja. A dlaczego pan pyta?
- Kluczyki?
- Mam je przy sobie. – Sprzedawca na wszelki wypadek poklepał się po kieszeniach.
- Może byłby pan tak miły i podrzucił nas do hotelu?
- Taksówek nie ma?
- Dobrze zapłacimy – kusił Szamilew. – A skoro i tak pan zamyka, więc akurat...

W tym momencie na ekranie telewizora pokazano twarz Ramzana. Zdjęcie miało parę lat, prawdopodobnie zostało zrobione, kiedy opuszczał Rosję, wszelako nie miało to większego znaczenia. Dość charakterystyczne rysy Szamilewa były łatwe do rozpoznania dla każdego.

Dla staruszka również. Najpierw rzucił spojrzenie na monitor, potem na Tantara.

– Eee...

Szamilew podszedł bliżej.

- Szkoda. Naprawdę szkoda – powiedział cicho do sprzedawcy.
- Pokazują pana w telewizji. To jakaś sztuczka?
- Można tak powiedzieć.

Nie chciał strzelać. Za dużo hałasu. Kilka rzemieni z wizerunkiem świętego Krzysztofa wystarczy. Jednym pchnięciem rzucił starca pomiędzy kartony a ścianę. Tamten upadł na lewy bok. Ramzan przerzucił pętlę przez głowę mężczyzny i odwrócił ciało tyłem tak, aby rzemień uciskał tchawicę. Pomógł sobie przy tym kolaniem, klękając na kręgosłupie leżącego.

Saleh w tym czasie zamknął drzwi i odwrócił wiszącą na nich tabliczkę z APERTO na CHIUSO.

Starzec wyzionął ducha w niespełna pół minuty. Próbował się szarpać, ale to jedynie zirytowało Szamilewa. Mniej, człowieku, choć trochę godności. Jak już zdychasz, to bez stawiania oporu. I tak jesteś bez szans.

Po chwili Ramzan wstał i poprawił ubranie. Z kasy wygarnął forszę, prawie pięćset euro, a z podłogi wziął kluczyki do samochodu. Na koniec otworzył plan miasta i zaczął obmyślać trasę ucieczki. Postanowił jechać bocznymi uliczkami, może jakoś dotrą na farmę.

Właśnie mówili o strzelaninie, w wyniku której śmierć poniosło dwóch karabinierów, a trzeci został ranny. Zginął też kolejny terrorysta. I tak samo jak poprzednio opinie świadków zajścia były podzielone.

Ktoś się w końcu połapie, o co chodzi. A im co pozostało? Próbować i po-

kładać ufność w Panu.

Grup kolorowej młodzieży, obsiadających jak co dzień ławki w pobliżu Moulin Rouge, było dziś więcej niż zwykle. Postronnym obserwatorom wydawało się, że nastolatki tylko czekają na okazję do rozróby. Mało kto z nich pracował. Nudę zabijali na różne sposoby. Draki z policją były najpopularniejszym sposobem rozładowania energii.

Przez ostatnie parę tygodni było w miarę spokojnie. CRS i armia zrobiły porządek, lecz obie strony wiedziały, że nic nie trwa wiecznie. W zasadzie wszystko już przerobili – kosiarkę Allaha, karabiny maszynowe, bomby i egzekucje rzeźniczym nożem.

Późnym popołudniem co najmniej dwudziestu białych mężczyzn pojawiło się u wylotu alei. Na pewno nie należeli do klasy wyższej ani też średniej, ale do proletariatu, i to tych najniżej stojących w hierarchii społecznej. Szybko dołączyli do nich kolejni, aż z dwudziestki zrobiła się setka. Na początek tylu wystarczyło.

Pierwszy w ich łapy wpadł narkotykowy diler. Później już poszło szybko. W dłoniach błysnęły kastety, pałki i noże. To nie była jakaś tam zadyma, ale pacyfikacja.

Już po pierwszym ciosie muzułmanie poszli w rozsypkę. Na placu boju pozostali martwi i nieprzytomni. Starcia zaczęły się przenosić w stronę dzielnic zamieszkałych przez wyznawców Allaha.

Od tej pory żaden z kolorowych nie mógł czuć się bezpiecznie.

Pojedyncze incydenty przerodziły się wkrótce w regularne polowanie. Parne, duszne powietrze, które wisiało nad Paryżem, sprzyjało szaleństwu. Tłum ruszył do ostatecznej rozprawy z wszelkimi obcokrajowcami. Zapłonęły bary z kebabem, sklepy z arabskimi towarami, azjatyckie restauracje i kamienice zamieszkałe przez uchodźców.

Policja, która spodziewała się zamieszek, nie przewidziała jednego – ich skali. Gdy dodatkowo w jednym z komisariatów czarnoskóry funkcjonariusz otworzył ogień z pistoletu do swoich białych kolegów, zabijając pięciu z nich, a paru dalszych raniąc, przepełniła się czara goryczy. Zamiast chronić niewinnych, gliniarze stali się biernymi obserwatorami wydarzeń, bo niby w imię czego mieli się narażać?

Kobiety, dzieci i mężczyźni mordowano na ulicach i placach. Spojrzenie zdumionego świata z Rzymu przesunęło się na Paryż.

Stolica Francji wielokrotnie doświadczała masakr i rewolucji – od rzezi hugenotów w Noc świętego Bartłomieja w 1572, przez rewolucję 1789, po dziewiętnastowiecznych komunardów. Wyglądało na to, że właśnie zaczął się kolejny zryw ludności.

Prezydent Republiki w trybie pilnym wezwał do stolicy oddziały wojskowe. Część jednostek wciąż stacjonowała na obrzeżach. Niektóre, jak 13 Pułk Dragonów Spadochronowych, rozstawiono w centrum. Tylko na nich mogły liczyć władze w nadchodzącej konfrontacji.

Podarowany przez mafię fiat zdecydowanie nie był pojazdem przystosowanym do pokonywania tak wyboistej drogi. Co parę metrów podwozie miejskiego auta zgrzytało o wystające kamienie, co w Erneście budziło trwogę. Jak uszkodzi grata, to skąd wytrzasną kolejnego?

– Zatrzymaj. – Cyrus Parker, przytrzymujący się uchwyty pod sufitem, również miał dosyć. – Dalej pójdziemy piechotą.

– To parę kilometrów.

– Nic nie szkodzi. Wieczór jest piękny. Przespacerujemy się.

Do tej pory jechali według wskazań koordynatorki, bocznymi traktami, dzięki czemu mieli pewność, że po drodze nie natkną się na patrol.

Blokady stały się prawdziwą obsesją Ernesta. Władze zrobią wszystko, aby dorwać zamachowców, a tak się niefortunnie składało, że jeden z nich siedział właśnie na tylnej kanapie samochodu. Jak się z tego wytłumaczyć? Tu się powinno roić od grup pościgowych na motocyklach, w terenówkach i helikopterach. Trochę się uspokoił, gdy usłyszał o przetaczającej się przez Europę fali zamieszek. Rzym okazał się początkiem, niejako detonatorem wydarzeń.

W Paryżu regularna wojna. Muzułmanie ogłosili dżihad. Co prawda robili to już wielokrotnie na różnych frontach i wobec wielu wrogów, ale tym razem obrócili się wprost przeciw Europie. Do zbrojnych starć doszło w Niemczech, Norwegii i na Bałkanach. Nie daj Boże, zaraz ruszy się Turcja. Co powstrzyma fanatyków znad Bosforu? Właśnie trafiła się okazja jak kumulacja w Eurojackpota. Dywersja na tyłach przeciwnika, którą można sobie jedynie wymarzyć.

Każde z państw mających na swoim terytorium sporą mniejszość muzułmańską powinno się liczyć z rebelią. I jak tu wtedy walczyć z wrogiem na granicach, skoro w miastach wrze?

Ernestowi przypomniał się jeden z wykładów. Był o populacji i wojnie. Po krótko chodziło o to, że w każdym społeczeństwie, w którym odsetek mężczyzn pomiędzy piętnastym a trzydziestym piątym rokiem życia przekroczy dwadzieścia procent, dochodzi do poważnych zaburzeń społecznych – rewolucji albo wojny.

Tak się właśnie stało. Muzułmanie pod względem demograficznym tak właśnie wyglądali. Jednocześnie młodzi stanowili najbardziej upośledzoną warstwę społeczną. A nic tak nie wkurza, jak bycie jednocześnie młodym i biednym. Starzy, grubi i bogaci Europejczycy właśnie odchodzili w przeszłość. Ich wartości nic nie znaczyły.

Sorry, oni nie mieli żadnych wartości.

Dosyć tych rozważań. Dorwą Kabira i zrobią porządek.

Po nocy w samochodzie Plazma czuł się podle. Najchętniej kimnąłby się godzinę lub dwie, a zamiast tego czekał go marsz. Nie długi i wyczerpujący, ledwie parę kilometrów, ale zawsze.

– Bagaże zostawiamy. Później tu wrócimy – zdecydował Parker. – Bierzemy broń i wodę.

Samochód ukryli w gęstej kępie karłowatych krzaków porastających dół zbocza. Wyżej zaczynała się winnica. Cicho, gorąco i pusto. Idealne miejsce na odpoczynek. Szkoda, że nie mogli sobie na niego pozwolić.

Plazma przesunął palcem po ekranie tabletu, na którym wyświetlał się obraz przekazany przez satelitę. Gospodarstwo wynajęte przez Szamilewa znajdowało się sześć kilometrów dalej. Niby niewiele, lecz kluczenie wśród tych pagórków nie będzie proste.

– Pokaż, ja popatrzę.

Wolski oddał tablet Cyrusowi.

– Dobra. Tędy.

Cholerny mądrała.

Po pierwszych kilkuset metrach Ernest żałował, że ma na nogach zwykłe sportowe obuwie, a nie traperki. Czuł każdy kamień pod podeszwą. Skarżyć się nie będzie. Zaciśnie zęby i da radę. Musi. Nikt go nie wyręczy.

Wkrótce dotarli na dno dolinki. Wił się tam strumień, który dawał odrobinę ochłody. Aż się prosiło, aby przysiąść na parę minut, jednak Parker okazał się bezlitosnym dowódcą.

Sznajder też wydawał się wyciosany z jednego bloku granitu. Nie jęczał, nie marudził i nie wzdychał. Nawet się nie pociał. Co to dla niego. W końcu przybył z miejsca o dużo gorętszym klimacie. Teren pokonywał z łatwością zaprawionego w marszach weterana.

Przy tej dwójce Ernest mógł się nabawić kompleksów.

– Ten Kabir będzie sam? – zapytał Parker.

– Tak. Nikt oprócz niego nie został.

– Twardy jest?

– Z tego, co wiem, to były partyzant. Niewiele mówił o sobie. Głównie zajmuje się komputerami. Ale strzelać potrafi.

– Z radością wpakuję tej mendzie kulę w potylicę.

– Może wpierw go przesłuchamy? – nieśmiało zasugerował Ernest.

– Myślisz, że to takie proste?

– Jest sposób. – W głowie Plazmy zaświtała pewna myśl.

– Nie kombinuj, tylko mów.

– Mamy otwarte łącza. Posadzimy delikwenta na krześle i wypytamy o pew-

ne sprawy. A jak nie będzie chciał współpracować, to przecież wiesz, jak się robi rozszerzone przesłuchanie.

Twarz Parkera stężała.

– O co ci chodzi? – zapytał Wolski.

– Ależ z ciebie prędko gościu. Ja mam go torturować, a ty w tym czasie będziesz udawał, że nic nie widzisz.

– Pomogę ci.

– Jak chcesz się bawić w wrywanie paznokci i podtapianie, to pogadaj ze Sznajderem. Jego pewnie rajcują takie zabawy.

– Przeginasz. – Artur spojrzał na niego z ukosa.

– Przyznaj się, lubisz się znęcać nad słabszymi. Podciąć komuś gardło, wypatroszyć czy przelecieć małą dziewczynkę... No co się, kurwa, nadymasz, przecież tak robicie. Te jazydki dobre były?

– Gównu wiesz o islamie.

– O islamie może tak, ale o takich jak ty sporo.

– Jeśli natychmiast nie przestaniecie, zamelduję o wszystkim centrali.

– Ernest, twoje pogrożki nie robią na mnie wrażenia. – Parker zdobył się na niewyraźny uśmiech. – Swoje pomysły zachowaj dla siebie, bo następnym razem, jeżeli wyskoczysz z czym podobnym, to nie ręczę za siebie.

Przez kolejne pół godziny wciąż pięli się w górę pomiędzy rzędami winorośli.

Wolski zerwał jedną kiść i spróbował owoców. Niezłe, prawie jak ze sklepu.

Praca w takim miejscu wymaga pewnie niezłej kondycji. Można się zmachać. Jeżeli nie ma w tym pasji... Potknął się o kamień wystający z gleby. Zaklął szpetnie.

Wreszcie droga zaczęła opadać, szło się znacznie łatwiej i szybciej. W końcu dostrzegli czerwony dach.

Zatrzymali się, Sznajder przepłukał usta wodą z butelki.

– Może teraz ja poprowadzę. Znam to miejsce – zaproponował.

– Dobra. Tylko bez numerów – przestrzegł go Cyrus.

– Przecież wiesz, kim jestem.

– Dlatego właśnie cię ostrzegam.

Sznajdera wręcz bolało, że nie ma spluwy. Plazma miał, Parker miał, a on nie. Dla kogoś, kto od lat nie rozstawał się z bronią, była to istna mordęga, zwłaszcza że wkraczali na teren wroga.

Kabir na pewno siedział przy komputerze. Odstrzelenie hakera to najmniejszy problem. Nawet nie dowie się, kto go sprzątnął. Ernest, zdaniem Artura, był za miękki, Parker robi to z łatwością, ale ten wyrok chciał wykonać osobiście. Nie będzie przesłuchania, ani zwykłego, ani rozszerzonego. Ukatrupią typa i już. Ostatecznie skręci Farukowi kark. Żaden problem. Już kiedyś... Nie, nie chciał wracać

do tamtych wspomnień.

Krok za krokiem zaczęli zbliżać się do zabudowań. Długa kamienna ściana przed nimi to fragment tłoczni, obecnie zmienionej na garaż i warsztat. Obok szopa i dom. Wejdą od strony podwórza. Faruk na pewno się ich nie spodziewa, chociaż cwany z niego gość. On jeden od początku wiedział, że przeżyje.

Cóż, plany nie zawsze da się zrealizować.

Z twarzy Ramzana Szamilewa nie zniknął uśmiech. Wyszło tak, jak to sobie zaplanował. Ostatni akt przedstawienia, jakim było wystąpienie Ahmeda Chalafa al-Dina, udał się znakomicie. Szejk nie zawiódł pokładanych w nim nadziei, spisał się wręcz doskonale. Jego apel najwyraźniej trafił do serc zainteresowanych. Odezwa żyła w sieci. Brak zgody na jej emisję telewizyjną nic tu nie zmieni. Wzbierającej fali nikt nie powstrzyma.

Pobieżna sonda, przeprowadzona na zlecenie jednej z arabskich sieci telewizyjnych, wykazała wyraźnie, kogo muzułmanie uważają za lidera. Na czołowym miejscu znalazł się Szamilew, zaraz za nim plasował się Al-Din. Dowódca był nieco rozgoryczony tymi wynikami. Przecież to on wziął na swoje barki przeprowadzenie operacji, Al-Din wygłosił jedynie odezwę. Ani przez moment się nie narażał. Siedział sobie w Bejrucie, otoczony przez rodzinę i współpracowników, głąbił o pomocy i jedności, a mimo to spory odsetek współwyznawców nadal uważał go za przywódcę. To nie fair.

Jak przyjdzie pora, pozbędzie się tego starca. Byle kaznodzieja nie będzie mu bruździł. Na razie należało zachować daleko idącą powściągliwość na tym froncie i pomyśleć nad dalszymi krokami. Ktoś musi pokierować działaniami zbrojnymi. Większość członków Światłości Dnia przebywała w Syrii. Ściągnięcie ich do Europy Zachodniej nie będzie takie proste. Na pewno potrzebował co najmniej kilkudziesięciu dowódców różnego szczebla, którzy przygotują plany dalszych działań. Na początek taktyka partyzancka, ataki na patrole, posterunki, blokady i koszary. Bomby i snajperzy, VBIED-y i samobójcy. Bezustanne nękanie przeciwnika. Jednocześnie tworzenie oddziałów mogących prowadzić bardziej złożone operacje. Mało to w Europie tuneli, mostów, zapór?

Im mocniej zaczną naciskać, tym silniejsze staną się represje. Wtedy na terytorium niewiernych zaczną napływać z całego świata zaprawieni w walkach bojownicy. Przyczółki już istniały, w Bośni czy w Kosowie.

Nadejdzie dzień, kiedy w końcu zmasakrują Serbów i Chorwatów, zamieniając Belgrad i Zagrzeb w morze ruin. Ci, którzy przeżyją, zostaną wysiedleni w głąb Azji, na Pustynię Syryjską i Iracką. Turcy wiedzą, jak się do tego zabrać, i na pewno pomogą.

Ramzanowi chodziło po głowie parę pomysłów. Regularne armie, takie jak

hiszpańska, włoska czy francuska, niewątpliwie przewyższały bojowników siłą ognia. Szczególnie z lotnictwem trudno wygrać. Pytanie, czy jeżeli do wybrzeży państw Unii ruszą miliony uchodźców, to przywódcy europejscy zdecydują się na ich masową zagładę. Wojna prawdopodobnie potrwa lata. Szamilew nie spodziewał się szybkiego zwycięstwa. Prędzej wojna przybierze taką formę jak na Bliskim Wschodzie – starcia na prowincji i w miastach, zasadzki na konwoje i obiekty przemysłowe, w końcu stopniowy upadek gospodarek. Społeczeństwa zmęczą się nieustającymi potyczkami, rozruchami i wciąż rosnącymi wydatkami w sferze bezpieczeństwa, a oni zaczną przejmować coraz większe obszary. Tam, gdzie warunki pozwolą, działania zbrojne trzeba będzie wspomóc naciskami politycznymi. „Kompromis” to ulubione słowo tych kmiotków z Brukseli. Niech się nim w końcu udławią.

Do całkowitego rozsadzenia europejskiej wspólnoty droga daleka. Najważniejsze to nie pozwolić się zabić w ciągu najbliższych miesięcy. Stworzyć odpowiednią strukturę, ruszyć do walki i atakować, wciąż atakować, aż do upadłego. Przy pomocy Kabira nie będzie to aż tak trudne.

Samochód ukradziony sprzedawcy pamiątek sprawował się bez zarzutu. Stary wiedział, jak o niego zadbać. Przed karabinierami nie uciekną, ale nie istniało też ryzyko, że silnik zgaśnie w najmniej odpowiednim momencie.

Za pomocą mapy wyznaczył przebieg trasy, pilotując Saleha, aż w końcu wydostali się poza obszar aglomeracji. Dalej też nie ryzykowali. Kluczyli przez parę godzin, aż w końcu znaleźli się w pobliżu farmy. I wtedy złapali gumę. Bywa i tak, trudno. Na razie nic z tym nie robią. Najwyżej później Saleh zmieni koło, tymczasem obaj mieli dosyć.

Włokąc się noga za nogą, ruszyli w stronę gospodarstwa. Jak już dotrą na miejsce, zrobi sobie kawę i zje ogromną kolację. Nieprędko uśnie, ale i tak wyciągnie się na kanapie i odpocznie. Allah nie będzie miał nic przeciwko temu.

– Czekaj. – Wzniesiona tu górze dłoń Saleha sprawiła, że Ramzan od razu stał się czujny.

– O co chodzi?

– Jeszcze nie wiem.

Saleh wyciągnął pistolet. Szamilew poszedł w jego ślady. Jeżeli to policyjna pułapka, to dlaczego nie strzelają?

Najprymitywniejsza część umysłu Tatara, jego gadzi mózg, chciała uciekać. Powstrzymał się z największym trudem. Jednocześnie wiedział, że i tak są bez szansy. Dokąd zwieje? Do uszkodzonego opla z przebitą dętką? I co dalej? Nie wsiądzie i nie odjedzie. Aresztowania sobie nie wyobrażał. On, bohater, przed sądem? Już lepiej, jak zginie. Przynajmniej zostanie zapamiętany jako symbol niezłomnej walki.

Saleh tymczasem zrobił krok do przodu, a potem kolejny. Może intuicja tym

razem go zawiodła? Błądzić rzecz ludzka, ale oberwie, gdy się okaże, że na przykład Kabir bierze prysznic.

Na wszelki wypadek zeszedli z traktu i ukryli się w krzakach.

– Pójdę i sprawdzę, co i jak – zaproponował saper.

– Pójdziemy razem – szorstko odparł Ramzan. Żałował, że w tej chwili dysponował tylko jednym człowiekiem. Z Al-Rawim czułby się pewniej.

Skradając się, podeszli pod dom. Jeżeli wpadną w łapy karabinierów, trudno, przynajmniej polegna z honorem, a jeżeli się mylą, to za parę minut będą się z tego śmiać, *Inszallah*.

Ernest Wolski delikatnie pchnął drzwi wejściowe. Nie poczuł oporu, więc nie obawiał się skrzyknięcia. Nie były też zamknięte. To błąd Kabira, powinien się zabezpieczyć. Przecież pochodził z Kaszmiru. Najścia indyjskich wojsk powinny mu być znane przynajmniej ze słyszenia. Po cholere ułatwiać im robotę?

A może liczył się czas? Zamiast szarpać się z zamkiem, jeden skok i już jest się na zewnątrz.

Motywy powodujące hakerem nie były istotne, ważne, że ułatwił im przeniknięcie do wnętrza.

Parę minut wcześniej Sznajder opisał im rozkład pomieszczeń.

Przed sobą widzieli kuchnię, wielką, taką, jakie bywają na wsiach, dalej znajdował się korytarz i jadalnia, gdzieś powinna być łazienka i salon. Kabir rozstawił się ze sprzętem w jadalni. Z braku biurka zajął stół, który całkowicie zawałił elektroniką. Ciekawe, czy jeszcze coś przygotowywał, czy nie dbał o sprzątnięcie niepotrzebnych gratów.

Za każdym razem gdy Ernest się skradał, miał mieszane uczucia. Wiedział, że gra idzie o życie, a jednocześnie czuł neodpartą chęć ryknięcia śmiechem. W dzieciństwie tak straszył rodziców. Teraz wygarniał wrogów.

Z plecami przyklejonymi do ściany przesunął się o metr. Musiał uważać na wiszący obrazek i zdobiony kinkiet. Dobra. Udało się. Jest i jadalnia. Oddech Parkera łaskotał jego kark.

– Powoli. – Szept Cyrusa był jak muśnięcie wiatru.

Spodziewali się Faruka zapatrzonego w monitor, lecz w pomieszczeniu nikt nie był.

Wolski palcem wskazał salon. Wystarczyły trzy kroki i jedno zerknięcie zza ściany.

Też pusto.

Czyżby haker zwiął? Całkiem możliwe. Zrobił swoje i uznał, że lepiej przysnąć, niż dalej zadawać się z Szamilewem. Dlaczego w takim razie koordynatorka nie poinformowała ich o tym?

Woda spuszczone w klozecie uświadomiła Ernestowi, że pominęli jedno pomieszczenie.

Nim któryś z nich drgnął, drzwi się otworzyły i ukazała się w nich postać Hindusa.

Zanim pozostali zareagowali, Sznajder z doskoku wymierzył cios pięścią w szczękę. Haker poleciał do tyłu i walnął potylicą w posadzkę.

– Nie tak ostro – wyrwało się Parkerowi.

– A co? Chcesz się z nim umówić na randkę? W takim razie jest twój. Dobrze się składa, bo jeszcze nie zdążył zapiąć paska.

Sznajder pochylił się nad Farukiem i wymierzył mu siarczysty policzek.

– Wstawaj.

Hindus jęknął.

– Polej go wodą – poradził Ernest.

– Jeszcze czego.

Artur chwycił Kabira za koszulę i zataszczył pod muszlę klozetową.

– Doprawdy nie wiem, dlaczego się z nim tak cackamy. – Parker splótł ręce na piersiach, obserwując scenę z pobłażliwym uśmiechem. – Chcesz go utopić?

– Jeżeli inaczej się nie da.

– Psychol.

– Patrz na siebie.

Haker zaczął się szarpać, gdy tylko woda napłynęła do muszli.

– Jeden dżihadysta topi drugiego. Tego jeszcze nie widziałem – powiedział Cyrus do Wolskiego.

Sznajdera interesowało co innego. Plecy Kabira wygięły się w łuk, lecz głowa wciąż tkwiła tam gdzie poprzednio. W końcu Artur uznał, że wystarczy. Jedno szarpnięcie i Faruk mógł zaczerpnąć powietrza. Krztusił się przy tym i rzeźił.

– Gdzie Szamilew?

– Nie wiem.

– Kontaktował się z tobą?

– Nie. Łączność uległa przerwaniu.

– Jakoś ci nie ufam.

Siedzenie przed komputerem nie wzmacnia mięśni. W bezpośredniej konfrontacji z Polakiem Kabir był bez szans. Próbował wszystkiego. Wił się, drapał i usiłował kopać, wciąż z tym samym skutkiem. Łapska Sznajdera nie pozwalały na zmianę pozycji.

– A nie mówiłem, że tak będzie? – Parker obserwował widowisko z zacięciem.

Plazma uśmiechnął się krzywo.

– Najważniejsza jest skuteczność – ciągnął Cyrus. – Ucz się, młody, może ci się w życiu przydać.

- Tak sądzisz?
 - Kiedyś byłem równie naiwny co ty. Życie zweryfikowało moje poglądy. Po drugim seansie Kabir wyraźnie opadł z sił.
 - Kiedy ostatni raz kontaktowałeś się z Ramzanem? – dociskał Sznajder.
 - Nie pamiętam.
 - To ja ci zaraz przypomnę...
 - Wystarczy.
 - Więc kiedy?
 - Tuż przed wybuchem.
 - Kto inicjował eksplozję?
- Tym razem haker nie był tak chętny do udzielenia odpowiedzi.
- Pytam się grzecznie.
 - Ja.

Wolski głośno nabrał powietrza do płuc, a Parker syknął przez zęby. Oto leżał przed nimi bezpośredni sprawca rzezi. Sukinsyn bez sumienia. Bezwolny wykonawca rozkazów Szamilewa.

- Mam do ciebie prośbę. – Cyrus zwrócił się bezpośrednio do Artura. – Utop tego bydlaka. Że też ziemia nosi podobne ścierwo.
- Może lepiej się stanie, jak zajmie się nim sąd? – zaproponował Ernest.
- Fatalny pomysł. – Sznajder postawił hakera na nogi i pchnął w stronę korytarza. – Za dużo wie.
- To jest problem?
- Oni mają długie ręce i są pamiętliwi. Ja też sporo wiem i wcale mi się to nie podoba.
- Ukryjemy cię. Mamy możliwości. Kruczkowski to załatwi.
- Nie znam żadnego Kruczkowskiego. To Halicki jest mi winien przysługę.
- Może o tym nie wiesz, ale sporo się u nas zmieniło. – Parker przepuścił Hindusa przodem.

Bez wątplenia ten człowiek wiele wiedział. Zapewne znał szczegóły, których Artur mógł się jedynie domyślać. To w końcu on do spółki z Szamilewem zaplanował całą operację, a jak się okazuje, zdetonował też bombę, wysyłając na tamten świat tysiące niewinnych ofiar.

Parkera kusiło wpakowanie kulki prosto w... nie w czerep, ten sukinsyn musi cierpieć. Może na początek strzał w kolano albo kostkę? Łamanie palców, obcięcie przyrodzenia, wypatroszenie?

Wszystko mało.

Widział ludzi leżących na jezdni jak szmaciane lalki. Dopiero teraz to określenie nabrało dla Cyrusa sensu. Szmaciane, bo nie mają kości, zupełnie jak zwłoki spoczywające na ulicach Rzymu.

Kończyny powyginane pod nieprawdopodobnymi kątami albo sama skóra

z głową. Gdzie podziła się reszta? Ręce, nogi, tułowia. Dziwna szaro-czerwona posoka spływająca ze ścian. Czysty, spreparowany kręgosłup z kawałkami żeber i miednicą. Poza tym nic.

Niektórzy wyglądali, jakby przetoczył się po nich walec. Wnętrznosci zwisające z dachów i oskalpowany dzieciak biegnący wśród zgliszczy.

Cyrus nie lubił krzywdzić ludzi. To przecież nienormalne wyżywać się na kimś, kto ci nic nie zrobił. Tak się jednak ułożyło, że wyłądował w JSOC, a później został przygarnięty do polskiej armii. Robił to, co robił. Trudno powiedzieć, że był z tego dumny. Raczej tak, choć nie zawsze. Zastrzelenie zwyrodnialca to najmniejszy problem, lecz tortury nie były w jego stylu.

Niektóre wcześniejsze zadania pozostawiały w nim poczucie winy. Żył z tym, bo co miał zrobić. Przyjmował, że tak już będzie do końca. Wczorajszy dzień wszystko zmienił.

Każdy łotr, którego zgładził, to mało. Bez wahania rozwaliłby ich jednego po drugim jeszcze raz.

Z Hindusa należało wycisnąć, co się tylko da, a później... może zalepić mu ryj gipsem?

Słabe.

Oskórować?

Lepiej. Tym bardziej, że może to trochę potrwać. Tak dzień czy dwa.

Zakopać w mrowisku?

Za dużo roboty.

Połamać kości stalowym prętem?

Rozciąć brzuch i wyciągnąć jelita?

Ciekawe, cwaniaczku, co wówczas będziesz czuł?

Nagle olśnienie spłynęło na Parkera.

To muzułmanin. Natrzeć drania świńskim tłuszczem, a może i w ogóle wrzucić do zagrody ze świniami. Twój Allah nigdy nie przyjmie cię do siebie.

Tylko gdzie tu teraz znaleźć chlewnię?

Usłyszał strzał, lecz nie od razu skojarzył fakty.

Kto strzelał? Wolski? Po jaką cholere?

Idący o krok przed nim Kabir zachwiał się i padł na podłogę. W głębi salonu mignęła niewyraźna postać. W jej dłoni Cyrus dostrzegł broń.

Zareagował tak, jak został wyszkolony. Unik i już przywierał plecami do ściany w korytarzu.

– Kryć się.

Sam położył się na brzuchu i z tej pozycji zaczął razić napastnika. Kule zagwizdały nad jego głową, wbijając się w ceglany mur. Wolski z głębi korytarza wciąż nie dostrzegał wroga.

– Obejdź go – rozkazał Parker.

Chłopak znikł w kuchni. Cyrus nawet nie zauważył, kiedy dołączył do niego Sznajder. Nieważne. Zajęty był czymś innym. Zrobili błąd, nie przetrzasajac domu, tylko zajmując się Farukiem. Postąpili jak amatorzy. Na szkoleniach nieraz o tym mówiono. Uwierzyli słowom Sznajdera, że w zabudowaniach ukrywa się jeden terrorysta.

To było celowe, czy też zdecydował zwykły przypadek?

Później wyjaśnią tę zagadkę.

Należało to sobie powiedzieć otwarcie – gdyby nie Kabir, teraz to on leżałby tu z dziurą w głowie. Z ludźmi Szamilewa nie ma żartów.

Oddał dwa kolejne strzały, trafiając w kanapę i sufit. Tak to mogą sobie pykać do usranej śmierci. Tfu, to nie jest dobre określenie.

Dziki gniew spłynął na Parkera. Nie lubił, gdy coś szło nie po jego myśli.

Suchy odgłos pistoletowych strzałów drażnił nerwy Ramzana. Gdy weszli do domu, pierwszym, co usłyszał, była rozmowa dobiegająca od strony łazienki. Wystarczyła chwila, aby domyślić się prawdy. Kabir zdradził.

Żałosny palant.

Nieważne, z kim się zgadał, to raczej nie policja, tylko miejscowy szwadron śmierci, ważne, że wyjawiał tajemnice.

Saleh położył niktzemnika jednym strzałem. Idącego za nim człowieka sprawiedliwość już nie zdążyła osiągnąć. Typ skrył się i zaczął strzelać. Był dobry. Prawdziwy zawodowiec, nie żaden amator.

Ramzan cofnął się na podwórze. Wciąż bał się zasadzki. Na dodatek nie wiedział, z iloma przeciwnikami przyszło się im zmierzyć.

Bał się o wiele bardziej niż wcześniej. Co się z nim działo? Przecież przygotował się na śmierć, więc skąd ten cykor?

Zza rogu budynku ktoś wypadł. Ramzan strzelił. Chybił. Nie znosił takich sytuacji. Był ideologiem, nie bojownikiem. Znał się na broni, ale do sprawności jego własnych ludzi nieco mu brakowało.

Musi koniecznie uspokoić oddech. Saleh sobie poradzi. W tym czasie on zlikwiduje kolejnego wroga.

Oczy Ramzana zaczęły zachodzić łzami. Tatar zgrzytnął zębami ze złości.

No dalej, gdzie jesteś?

Wystrzelił raz, drugi i trzeci. Ucieszył się, widząc, że trafia. Był w euforii do czasu, aż poczuł odbierający oddech ból pod obojczykiem.

Zerknął na koszulę.

Najmniejszej wątpliwości. Oberwał. Może postrzał nie był śmiertelny, ale paraliż powoli ogarniał ciało.

Wystrzelił ostatni pocisk, próbując sobie przypomnieć, gdzie schował zapa-

sowy magazynek. Chyba zostawił go w samochodzie. Przestraszony cisnął spluwę na ziemię i rzucił się do ucieczki.

Liczyło się jedno: musiał przeżyć.

Ernest nacisnął spust. Drugą dłonią uciskał ranę na udzie, miał więc powody do zdenerwowania. Trafił, lecz przeciwnik znów się odgryzł, ale tylko raz, po czym rzucił broń i zaczął uciekać.

– To Ramzan – odezwał się Sznajder zerkający z ukrycia.

– Szlag. – Plazma bezsilny jak niemowlak klęczał w pyłe podwórza. – Łap go.

Arturowi nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Właśnie nadarzyła się niepowtarzalna okazja wyrównania rachunków.

Nim ruszył w pościg, pochylił się nad Wolskim i zabrał jego spluwę. Zrobił to instynktownie. Plazma nie protestował. On również wiedział, kto tu jest ważniejszy.

Szamilew odskoczył na jakieś pięćdziesiąt metrów. Nie szkodzi. To żaden dystans. Zaczął się wyścig, w którym Sznajder był myśliwym, a Tatar zwierzyną.

Od dawna Artur nie czuł się tak dobrze. Ramzan obrócił się raz i drugi, poznał go. Na pewno.

Mocno pochylony Szamilew dobiegł do winnicy. Jego biała koszula wyraźnie odcinała się od ciemnozielonych liści.

Sznajder mocniej ścisnął pistolet w garści. Nie chciał strzelać. Jeszcze nie. Ponapawa się trochę przerażeniem Ramzana, który i tak słabł z każdym pokonanym metrem.

Zaczęli zbiegać w dół zbocza pomiędzy ciągnącymi się w równych odstępach krzakami winorośli. Szamilew gubił krok, potykał się, aż w końcu upadł. Szybko się poderwał, ale Artur zyskał kolejne parę metrów.

Polak znudził się w końcu tą gonitwą i wystrzelił. Kula trafiła w łydkę Szamilewa, który zawył i ostatecznie runął w spękaną, żółtą glebę.

– Zdrajca – wycedził Tatar, gdy tylko Sznajder nad nim stanął. – Nie zaprzeczaj. Obróciłeś się przeciwko nam. Allah ci tego nie wybaczy.

Spróbował dźwignąć się na kolana, lecz nie zdążył. Zawył, gdy otrzymał kopniaka w szczękę.

– Wciąż mamy szansę.

– Mylisz się – odparł zimno Polak. – Ja mam szansę. Ty jesteś trupem.

– Nie rób tego.

– Boisz się, że Allah cię oleje?

Ramzan nerwowo łykał ślinę.

– Ty się boisz. – Artur o mało nie parsknął śmiechem. – Miałem cię za wiel-

kiego... bo ja wiem, jak to nazwać? Bojownik to mało. Byłeś... co ja mówię: jesteś bohaterem milionów, a klęczysz przede mną jak pies. Co się z tobą dzieje? Gdzie się podziała twoja godność? Może nigdy jej nie było?

Nabrał ochoty, aby splunąć Ramzanowi w twarz, ale nie potrafił zebrać w ustach dostatecznie dużo śliny.

– Chcesz pieniędzy?

– Nie kompromituj się bardziej.

– Milion? Dwa?

– Posłałeś na śmierć tysiące swoich współwyznawców, zabiłeś kolejne tysiące chrześcijan i chcesz się wyłgać milionem?

– Zorganizuję więcej. – Ramzan złożył dłonie jak do modlitwy. – Możesz mi zaufać. Ja zawsze dotrzymuję słowa.

Sznajder wycelował w kość udową islamskiego przywódcy i strzelił. Jakież był naiwny, wierząc w te wszystkie brednie, w równość społeczną na tym świecie i raj na tamym. Postawa Szamilewa rozwiała wszelkie wątpliwości. Od pewnego momentu liczy się jedynie władza. Im więcej władzy, tym większe poważanie. Czym Ramzan różnił się od innych tyranów i despotów?

Niczym.

Szedł po trupach do celu, a jak się już wejdzie na szczyt, robi się wszystko, aby tej władzy nie utracić. To normalna kolej rzeczy. Na pewno ufunduje meczet albo i tysiąc, aby zagłuszyć własne sumienie. Jakiś przytułek, szpital, szkołę. Na koniec wdzięczny lud nazwie go Wielkim.

Zdaje się, że Ramzan właśnie o tym marzył.

Sznajder strzelił po raz kolejny, tym razem w drugą nogę.

– Daruj – wystękał Szamilew.

– Wiesz, co ci powiem? Rozczarowałeś mnie.

– A ty jesteś moim największym błędem.

– Masz rację. Powinieneś pozwolić mi zdechnąć, a nie proponować tę wyprawę.

– Uważałem cię za brata.

– Faktycznie się pomyliłeś. – Tym razem kula trafiła w środek czoła.

Mimo wszystkiego, co sobie na koniec powiedzieli, Sznajder nie potrafił wyrwać się spod uroku Ramzana. Co by nie mówić, facet miał zapał i energię. To akurat nie ulegało wątpliwości. Całe swoje życie podporządkował jednemu celowi i cel ten osiągnął.

Szkoda, że jemu w odpowiedniej chwili nie udało się powstrzymać szaleńca. Wykonał wyrok, ale żyć musiał dalej.

Ciałem nie zawracał sobie głowy, wrócił na farmę. Parker właśnie opatrywał Ernesta.

Oddał soplówkę Plazmie i wszedł do domu. Strasznie go suszyło i musiał się

wreszcie napić. Leżący na dywanie Saleh nie zrobił na nim wrażenia. Szkoda chłopca, ale ich drogi rozeszły się już dawno.

Trzech martwych dżihadystów, i to przed kolacją. Allah nie był dziś łaskawy dla swoich wyznawców.

Dla sierżanta Tomasza Byrskiego z 2 Cudzoziemskiego Pułku Powietrznodesantowego Legii Cudzoziemskiej wieczór zaczął się przyjemnie. Od rana większość żołnierzy siedziała w kantine, oglądając wiadomości. Później się znudzili. Byrski miał przepustkę i wraz z kumplami wyskoczył do pobliskiego baru na parę szybkich kolejek.

Jego kompania stacjonowała na przedmieściach Marsylii w dawnych koszarach żandarmerii. Patrole non stop. Miasto wrzało. Służba mijła od incydentu do incydentu. W zeszłym miesiącu Byrski miał pecha i w ciągu tygodnia interweniował trzykrotnie. Za pierwszym razem unieszkodliwił przeciwnika, waląc go pięścią w ryj podczas awantury w barze szybkiej obsługi.

Później nie było już tak miło. Podczas kolejnego zdarzenia postrzelił wariata wymachującego tasakiem. Facetowi konkretnie odwaliło i nie chodziło o uczucia religijne, tylko o złą obsługę w jednym z hipermarketów. Widać z psychiką było u niego kiepsko i gdy się wkurzył, wskoczył za ladę, złapał za tasak i zaczął gonić personel. Gdy apel o spokój nie poskutkował, sierżantowi nie pozostało nic innego, jak unieszkodliwić napastnika. Nie chciał zabijać, więc postrzelił go w udo, tak jednak skutecznie, że facetowi w szpitalu podobno amputowano nogę.

Trzeci raz... Wtedy Byrskiemu poszło najgorzej. W trakcie zamieszek wygarnął do nastolatka, który chciał w nich rzucić koktajlem Mołotowa. Chłopak załegł na środku jezdni, a płonąca ciecz rozlała się po jego ubraniu. Skowytu, jaki się wówczas dobył z gardła rannego, nie dawało się porównać z niczym. Tak muszą wyc w piekle potępione dusze, dla których nie ma już nadziei.

Byrski nie potrafił się po tym pozbierać. Przez kilka dni myślał o dezercji i powrocie do kraju. Delikatny bynajmniej nie był, tacy nie służą w Legii, ale nawet dla niego było to przekroczenie pewnej granicy.

W końcu się przemógł. Dostał awans, a oficerowie i koledzy przekonali się, że jest niezawodny. I tak było od tej pory.

W barze panowała grobowa atmosfera. Nikt się nie wygłupiał i nie sypał sprośnymi żartami. Pili bez słowa, próbując zagłuszyć budzące się w nich dusze.

Wezwanie do powrotu przyszło za kwadrans dwudziesta druga. W koszarach pobrali broń i wsiedli do ciężarówek, które zawiozły ich na lotnisko, wprost pod rampę załadunkową transportowego Airbusa A-400 M. Lecieli do Paryża wspomóc kolegów.

Półtoragodzinny lot ciągnął się jak jasna cholera. Byrski sięgnął za siebie,

próbując rozmasować zeszywniały kark. Monotonne buczenie silnika niejednokrotnie pomagało zasnąć, lecz nie tym razem. Nikt w oddziale nie wiedział, czego się spodziewać, lub spodziewał się najgorszego. Wypity alkohol już dawno odparował, po ostatniej szklaneczce calvadosu został tylko kwaśny posmak na języku.

Sprawdził broń, karabin FAMAS, popularnie zwany trąbką. Powinni już dolatywać nad bazę lotniczą Taverny, ale trudno było się o tym upewnić. To nie samolot pasażerski, tu nie było żadnych okien.

Airbus zatoczył okrąg nad lotniskiem i w końcu pilot otrzymał zgodę na przyziemnie. Manewr wykonał bezbłędnie. Na płytę wyjechały podstawione przez dowództwo ciężarówki. Lotnisko znajdowało się jakieś dwadzieścia kilometrów od granic miasta.

Niewiele widzieli po drodze. Nieliczni przechodnie, których dostrzegł Byrski, szybko znikali w domach. Metro już nie kursowało, podobnie autobusy. Mijali wzmocnione policyjne patrole na placach.

Gdy w końcu wysiedli na Boulevard Ornano, pierwszym, co rzuciło się im w oczy, był trup czarnoskórego chłopaka dyndający na latarni. W pobliżu płonęło kilka samochodów, których nikt nie próbował gasić. Gdzieś w mroku majaczyły ludzkie sylwetki.

Łomot karabinu maszynowego sprawił, że rozbiegli się na wszystkie strony. To tyle, jeżeli chodzi o spokojny spacer.

Ktoś u góry pomyślał, bo przez całą drogę konwojowały ich cztery lekko opancerzone pojazdy Panhard VBL, a po chwili dołączył pluton ośmiokołowych transporterów VBCI. Siła ognia spadochroniarzy znacznie wzrosła. Zwłaszcza działka transporterów kalibru 25 milimetrów zmiotą każdego, kto stanie im na drodze.

Byrski sprawdził, czy wszyscy w plutonie są gotowi. Trochę się martwił. Rozkazy były nad wyraz enigmatyczne. Co to znaczy wprowadzić porządek konstytucyjny na obszarze ogarniętym zamieszkami?

Jak ktoś zacznie do nich strzelać, odpowiedzą ogniem. Niełatwo będzie rozpoznać, kto jest wrogiem, a kto przyjacielem. Przecież nie wszyscy paryżanie życzą im śmierci. Nawet nie byli stroną w tym konflikcie, a tylko czymś na kształt sił rozjemczych.

Transportery i pojazdy opancerzone, poza jednym, wysunęły się do przodu. Legioniści zajęli miejsca za nimi. Dostyc szybko doszli do strefy mroku, gdzie nie jaśniały żadne latarnie. Ciemności rozpraszały jedynie szperacze pancerek.

W jednej z bocznych uliczek zakotłowało się. Podporucznik dowodzący plutonem dał znak. Ruszyli biegiem, osłaniając się wzajemnie. Spodziewali się raczej białych, którzy masakrują muzułmanów, lecz tym razem natrafili na bandę śniadych wyrostków, którzy wywlekli z samochodu małżeństwo w średnim wieku.

Widok spadochroniarzy trochę ich spłoszył. W stronę ludzi sierżanta polecia-

ły pojedyncze kamienie – nic, co może zrobić krzywdę. Byrski widział, jak opierający się wyrostkom mężczyzna dostał kopniaka w twarz i stracił przytomność. Jego żonie wykręcono ręce, jednocześnie próbując zdjąć spodnie. Sierżantowi zrobiło się niewyraźnie. Co jak co, ale gwałt napawał go obrzydzeniem.

Podporucznik zareagował szybciej. FAMAS powędrował do ramienia. Jeden strzał, jeden zabity. Oficer eliminował członków ulicznego gangu, tak jakby strzelał do psów.

Pluton poszedł w jego ślady. Żadnej litości. Nieliczni bandyci próbowali się ukryć w bramach. Udało się jednemu czy dwóm. W całym tym zamieszaniu przypadkowy pocisk trafił kobietę w bok. Byrski ruszył biegiem w jej kierunku. Nie chciał, żeby umarła. To zdarzenie i tak nim wstrząsnęło.

Gdy się przy niej znalazł, była przytomna, lecz słabła z każdą sekundą. Jej długie, szczupłe palce wczepiły się w oporządzenie sierżanta.

– Medyk! Szybciej! – wrzasnęła za siebie, wyszarpując jednocześnie pakiet medyczny.

Spróbował zatamować krwawienie, łudząc się, że ma jakieś szanse.

– Będzie dobrze – powiedział, wiedząc, że kłamie.

– Ja...

– Proszę nie mówić. Zajmiemy się panią. Karetka już jedzie.

Koledzy z plutonu otoczyli ich zwartym pierścieniem. Dopiero podporucznik zmusił ich do rozproszenia.

Z głębi ulicy dobiegły strzały. Byrski je zignorował. Przez te parę chwil poradzą sobie bez niego.

Najdelikatniej, jak potrafił, wsunął dłoń pod głowę kobiety, nieco ją unosząc. Była cywilem. Nie zasłużyła na to, żeby umierać w ten sposób.

Gdy zgasła, poczuł się skalany. Nie znał jej. Nawet nie wiedział o jej istnieniu, lecz zobaczył, jak umiera. Nie ma niczego bardziej intymnego od momentu przechodzenia na drugą stronę.

Zawiódł.

Wyglądała przy tym tak pięknie, zupełnie jakby zstąpiła z nieba. Długie kasztanowe włosy rozsypały się na bruku.

– Co z tobą? – Podporucznik trącił sierżanta w ramię.

– Nic.

– Przecież widzę.

– Umarła.

– Nie rozklejaj się teraz. Jesteś mi potrzebny.

Byrski dźwignął się z kolan.

– Ruszać dupska, musimy oczyścić ten kwartał.

A więc to tak, zostali czyszcicielami kamienic. Z każdej rudery wygarną wszystkich, którzy stawiają opór. Ustawią na ulicy, zwiążą dłonie plastikowymi kaj-

dankami i w zależności od dalszych rozkazów albo odstawią zadymiarzy do obozu filtracyjnego, albo zabawią się w doraźny sąd.

Skoro inaczej się nie da.

Przeszli dosłownie parę metrów, gdy jeden ze spadochroniarzy zgiął się wpół i runął na ziemię.

– Snajper. Kryć się!

W tych okolicznościach zlokalizowanie skurwysyna nie będzie prostą sprawą. Ciemności, otwarta pozycja, a na dodatek wrogi teren, którego nie znali.

Byrski podczołgał się pod jakiś murek i spróbował rozejrzeć po okolicy. Strzelec musiał ich razić z poddasza kamienicy odległej o jakieś sto metrów. Jeżeli jest dobry, powystrzela ich jak kaczki.

– Co ze wsparciem?! – wrzasnął w kierunku oficera.

– W drodze.

VBCI zadudnił silnikiem tuż za plecami sierżanta. Tę bestię mógł rozwalić jedynie pocisk z przeciwpancernego granatnika. Zwykła karabinowa amunicja nie przebije stalowej płyty.

Grzechot działka kalibru 25 milimetrów zagłuszył pozostałe dźwięki. Operator dysponujący dużo lepszymi przyrządami optycznymi od sierżanta walił serią za serią w poddasze. Byrski wychylił się ponownie. Tym razem dużo śmieiej. Jednak się nie pomylił. Chodziło o trzypiętrową kamienicę na wprost nich.

– Dalej. – Podporucznik nie bawił się w ceregiele.

Drużyna Byrskiego pognąła przed siebie. Wyraźnie widział, jak kolejne serie wrywają dziury w elewacji i tłuką szyby. Jeżeli w środku przebywają mieszkańcy, to mieli przejebane.

– Étienne, co się gapisz? Pospiesz się – ponaglił młodego szeregowca pochodzącego z Quebecu. – A ty, Ołeh, zmęczyłeś się? Nie? To ruszaj dupsko, bo ci je odstrzelą.

Działko w końcu przestało ujadać, a oni zdyszani dopadli bramy. Teraz powoli. Jeżeli na schodach kryją się bandyci, to nie chciał im wejść pod lufy.

– Ołeh, ty pierwszy.

Wywołany Ukrainiec ostrożnie, na ugiętych nogach, z bronią przy ramieniu, zrobił pierwszy krok, łowiąc z ciemności wszelkie odgłosy.

Wejście na schody znajdowało się po prawej stronie korytarza.

Szeregowy omiół klatkę schodową światłem latarki taktycznej, a Byrski tuż za nim, z FAMASEM nastawionym na serie, czekał na reakcję wroga. Nic, cisza.

Ołeh przesunął się kolejne dwa kroki do przodu. Étienne ruszył za nim po drugiej stronie korytarza, mierząc w otwarte drzwi wychodzące na podwórze.

– Do góry – rozkazał Byrski.

Schody zatrzeszczały pod ich ciężarem. Masywne drzwi do mieszkań były zatrzaśnięte na głucho. Pod nogami wałała się cała masa śmieci. Cuchnęło grzybem

i szczykami. Ostatni remont przeprowadzono tutaj chyba za prezydentury de Gaulle'a.

- Sierżancie...
- Czego chcesz, Étienne?
- Tu ktoś leży.

Faktycznie, tuż za załomem muru Byrski dostrzegł skuloną sylwetkę, a właściwie same nogi, bo reszta postaci ginęła w mroku.

- Sprawdź.
- Ja?
- Nie wkurwiał mnie.

Szeregowy, przyświecając sobie latarką, zrobił parę kroków.

- I co?
- Trudno powiedzieć.
- Zobacz, czy oddycha.
- Ja to zrobię. – Ukraińiec wysunął się do przodu.
- Ty obstawiaj górę. Étienne da sobie radę bez twojej pomocy – warknął

Byrski.

- To trup.
- Jesteś pewny?
- Zaćpał się, sukinsyn. Ma jeszcze igłę w szyi.
- Pojeb.

Byrski stanął obok podwładnego. Szeregowiec się nie mylił. Ta rudera to schronienie dla ćpunów. Ten wykitował niedawno. Facet mógł mieć koło pięćdziesiątki lub też trzydziestki. Po zapadniętych policzkach, przestawionym zgryzie i strąkach brudnych włosów trudno się było zorientować.

Jakim to trzeba być desperatem, aby wstrzyknąć sobie działkę w szyję? W normalnych okolicznościach wezwaliby policję, żeby zajęła się zwłokami. Ciało trzeba było stąd zabrać. Nawet takiemu śmieciowi należał się szacunek po śmierci. Ktoś musi ustalić personalia, powiadomić rodzinę, a później pochować go na koszt państwa.

Dziś mieli inne priorytety. Wciąż nie dopadli snajpera, który otworzył do nich ogień.

– Ołeh, dajesz... – Na ostatnim podejściu należało zachować szczególną ostrożność.

Strych okazał się jedną wielką przestrzenią pełną zakamarków. Po kolei weszli do środka, wzajemnie się ubezpieczając.

Dawni lokatorzy naznosili tutaj swoje graty. Dookoła piętrzyły się pudła, połamane meble i wszelkie rupiecie.

- Tam jest.

I tym razem Étienne okazał się najbardziej spostrzegawczy w całej drużynie.

Strzelec leżał na boku zwinięty w kłębek, z kolanami pod brodą. Myśliwski sztucer z lunetą spoczywał obok.

Szeregowiec już z własnej woli podszedł sprawdzić, co z nim. Najważniejsze to się przełamać. Później zwłoki już nie robią takiego wrażenia. Tak przynajmniej mówili kumple, którzy wrócili z Afryki.

– To dziewczyna.

– Co?

– Laska. Przecież mówię.

Chyba wszyscy wyobrażali sobie, że snajperem okaże się brodaty mężczyzna, a tu taka niespodzianka. Jak to niczego nie można być w życiu pewnym.

– O kurwa, ale jatka.

Pocisk z działka urwał kobiecie ramię. Pewnie się wykrwawiła. Paskudna śmierć. Co dziwne, jej twarz pozostała nieskalana. Południowa uroda. Z taką bez problemu mógłby się umówić na spotkanie. Po coś, idiotko, łapała za broń? Tak ci było spieszno na tamten świat? Na mężczyzn czekają tam dziewice. A na ciebie?

Aż tak nie znał Koranu, żeby o to wiedzieć.

Kolejny już raz dzisiejszego wieczoru czuł, jak się w nim przewalają wnętrzności.

W końcu włączył radio i połączył się z podporucznikiem.

– Snajper zneutralizowany.

– Dobra. Możecie schodzić. Musimy się zbierać.

– Tak jest.

Ostatni raz spojrzął na sprawczynię całego zamieszania. Zastrzelona na ulicy kobieta wzbudzała w nim smutek. Dziewczyna z poddasza jedynie gniew. Była piękna, ale okazała się wredną suką. Nikt nie lubi, gdy się do niego strzela. Splunął na podłogę, żeby dać upust złości. Przecież zwłok nie będzie kopać. Ta mała kretynka dostała to, na co zasłużyła.

– Ołeh, zabierz sztucer. Tutejsi mają dosyć broni. Nie zostawimy im kolejnej sztuki.

Przebywali w stolicy od niespełna dwóch godzin, a większość żołnierzy z plutonu Byrskiego zobaczyła więcej zabitych niż wcześniej w całym swoim życiu.

Czy to nie ironia losu, że doszło do tego w Paryżu, w miejscu, które powinno być najbezpieczniejsze w całym kraju?

Zanim Byrski szedł na dół, wyrzwał przez poharatane pociskami okienko. To cud, że smugacze nie puściły wszystkiego z dymem. Choć nic straconego. W pobliżu już kopcila się kolejna rudera, a wymiana ognia z bandytami stawała się coraz intensywniejsza.

Jezu, co się tu wyprawia? Czy paryżanie kompletnie powariowali? W imię czego tak się traktują?

Podporucznik przywitał ich z kwaśnym uśmiechem. Właśnie rozmawiał przez osobistą radiostację. Zdaje się, że szykowały się kolejne kłopoty.

Następne godziny upłynęły spadochroniarzom na brudnej robocie. Przeczyszywali miasto tak jak ich poprzednicy w Oranie i Algierze. Stracili człowieka, gdy podczas wspinaczki po schodach załamały się pod nim drewniane schody. Trzeba go było odstawić do szpitala, lecz przeżył. Dwóch kolejnych nawdychało się dymu, też odpadli. Na szczęście nikt nie zginął.

Około trzeciej nad ranem Byrski miał dość. Ileż można? Za półtorej godziny wstanie słońce, a zmęczenie zrobi swoje i ludzie zaczną popełniać błędy. Kto ich zluzuje? I czy w ogóle się tak stanie? Mieli tylko zaprowadzić spokój, a nie wdać się w regularną wojnę.

Byrskiego martwiło coś jeszcze. Opanowanymi przez nich kwartałami nikt się nie interesował. Gdzie policja? Jak nie walczą, to niech chociaż pilnują im pleców. A tak oni robili swoje, a po paru godzinach wszystko wróci do stanu poprzedniego. Czysty obłąd.

Podszedł w końcu do podporucznika, żeby omówić z nim swoje wątpliwości. Zamiast jednego oficera dostrzegł całą ich grupę, łącznie z dowódcą kompanii i paroma innymi szuchami, nie tylko wojskowymi.

Przystanął obok, przysłuchując się rozmowie. Już po pierwszych zdaniach zorientował się, że nie jest dobrze.

– Moi podwładni odmawiają dalszego wykonywania rozkazów. – W słowach mężczyzny ubranego w połowy mundur CRS pobrzmiwała gorycz. – Powiedzieli, że nie będą zdychać w obronie czarnuchów.

– U mnie to samo – powiedział drugi policjant.

– I u mnie – dodał trzeci.

– W tych warunkach odmowa wykonania rozkazu kwalifikuje się pod sąd doraźny. – Kapitan Maurice Gamelin ledwo panował nad nerwami.

– Ja się z panem nawet zgadzam, ale co zrobimy? – Jeden z policjantów wzruszył ramionami.

– Prezydent może nakazać rozwiązanie niektórych jednostek.

– Ludzie mają to w dupie. Niedługo sami zaczną odstrzeliwać czarnuchów i resztę tej hołoty.

– Rozkazy...

– Rozkazy wydali ci, którzy siedzą w ministerstwach. Widział pan któregoś z nich na ulicy? To politycy, i to oni wpierdolili nas w to gówno. Możemy im teraz podziękować za wzorowo wykonaną robotę.

– Jeżeli to żart, to nie jest śmieszny.

– Ja nie żartuję, panie kapitanie, tylko mówię, jak jest. A jest źle i będzie jeszcze gorzej. Nie dostaliśmy podwyżki od paru lat, zabiera się nam przywileje, a jedynie wymaga. Oglądał pan ostatnie przemówienie prezydenta? Już dawno nie

słyszałem większych bzdur. Skoro jest tak dobrze, to dlaczego jest tak źle? Z nami nikt nie rozmawia, bo i po co. Oni przecież wiedzą lepiej. Ukryli się w swoich pałacach, a my robimy za ich gwardię osobistą. O nie, ja to pierdołę. Nie będzie mi rozkazywał ten chuj we fraku.

– Naród go wybrał – przypomniał zgromadzonym dowódca spadochroniarzy.

– Bo naród jest przesiąknięty propagandą i oglupiony telewizją.

– Bądźcie cicho – warknął nagle któryś z kaprali CRS stojący za pierwszym kręgiem rozmówców i słuchający radia.

– Pan się zapomina... – tu funkcjonariusze CRS i oficerowie spadochroniarzy zajęli wspólne stanowisko.

– Nic, kurwa, nie słyszę... Daj to na głośnik.

Szybko dobiegł ich głos zapowiadający przemówienie.

– Kto to?

– Jakiś szejk. Ahmed coś tam al-Din. Słyszał ktoś o nim?

– Dajcie posłuchać.

– To podobno jakiś autorytet. Tamtejszy...

– Niech się pan w końcu przymknie.

– Kurwa, to po arabsku. Kto to przetłumaczy?

Spadochroniarze zaczęli się naradzać pomiędzy sobą.

– U mnie jest Tunezyjczyk – oznajmił jeden z poruczników.

– A u mnie dwóch Marokańczyków – przelicytował go drugi.

– Wezwijcie ich, ale szybko – zdecydował kapitan.

Wszyscy trzej błyskawicznie znaleźli się przy kółku dyskusyjnym.

– Rozumiecie, co on mówi? – zapytał któryś z oficerów.

– Tak – odpowiedział jeden z zagadniętych.

Byrski go znał. Chłopak pochodził z Casablanki. Jak na dawnego pastucha był całkiem bystry. Nauczył się w końcu francuskiego.

– Tłumacz – polecił kapitan.

– W tym świętym dla nas dniu.... – rozpoczął legionista – ...objawiła się wola Najwyższego...

– Nie całość, tylko sens.

– Szejk wzywa do dżihadu.

– Co takiego?

– Mówi, że to święty obowiązek każdego muzułmanina.

– Kolejny debil.

– Ale szejk ma poważanie – zaproponował spadochroniarz niepytany. – U nas wszyscy go znają.

– U nas? W pułku?

– Nie w pułku, tylko w Afryce i na Wschodzie. Często występuje w telewizji. Ludzie go słuchają.

– Zaraz krew mnie zaleje. – Kapitan dyszał. – Do kogo on mówi?
– Do wszystkich muzułmanów na całym świecie. Mają chwycić za broń i walczyć z niewiernymi.
– I myślcie, że ludzie go posłuchają?
Oblicze Marokańczyka wyrażało zdziwienie.
– Odpowiedzcie – nacisnął Gamelin.
– Część na pewno tak.
– O jakiej części mówimy?
– Sporej.
Wykrętna odpowiedź podwładnego nie zadowoliła kapitana.
– A tak bardziej szczegółowo?
– On mówi o obaleniu tyranii, co odnosi się w zasadzie do każdej formy władzy.
– Trochę jaśniej.
– To jest tak, że wierni mogą się przeciwstawić rządowi, o ile te nie spełniają ich oczekiwań albo...
– Bunt? Tylko czarnuchy mogą coś takiego wymyślić. Kurwa. No dalej, człowieku – ponaglił go policjant.
– Powinni przyłączyć się do światowego dżihadu – dokończył Marokańczyk.
– Możecie odmaszerować.
Wśród zgromadzonych zapanowało lekkie poruszenie.
– Kapralu, dajcie głośniej wiadomości. Wkurwia mnie ten brak informacji. Jednak akurat te informacje nie uspokoiły nikogo.
Zamieszki i pogromy wybuchły w Tulonie, Lyonie, Nantes i setkach innych miejscowości. W większości przypadków policja nie robiła nic, cały ciężar opanowania rozruchów zrzucając na żandarmerię i armię. Płonęły meczety i kościoły, schroniska dla imigrantów i całe dzielnice.
Im dłużej Byrski wysłuchiwał się w głos spikera, tym słabiej mu się robiło. Barcelona, Madryt. Londyn, Liverpool, Berlin, Kopenhaga, Sztokholm, Wiedeń... nazwy kolejnych miast padały jak wystrzały z karabinu.
Po fatalnej nocy szykował się jeszcze gorszy dzień.

Burdel w Egipcie, burdel w Iraku, burdel w Syrii, burdel w... Wszędzie, gdzie nie spojrzeć, zamieszki bądź walki.

Gabrielowi Lipschitzowi przypomniał się początek tak zwanej Arabskiej Wiosny, kiedy to islamiści próbowali przejąć władzę w regionie. Oczywiście większość ekspertów widziała w tym oddolny ludowy ruch, który próbował obalić stary porządek. Szkoda, że ci jaśnie oświeceni myśliciele nie przewidzieli skutków, z którymi obecnie musiał zmagać się Izrael.

W głównej kwaterze Mossadu, przy bulwarze króla Saula w Tel Awiwie, huczało jak w ulu. Wszyscy od lat spodziewali się, że taka chwila w końcu nadejdzie. Izrael powoli przesuwał się nad skraj przepaści. W zasadzie mogli liczyć tylko na siebie. Europa i Stany pograżyły się we własnych problemach.

Od dwudziestu czterech godzin na ulicach izraelskich miast wrzało. Władze rozsądnie zaleciły mieszkańcom pozostanie w domach. Szkoły i uczelnie zamknięto. Pracowały jedynie te zakłady, które musiały – elektrownie, wodociągi i szpitale. Żydowskie osiedla otoczyło wojsko i policja.

Nadeszła godzina próby – po raz trzeci w najnowszej historii państwa. Po raz pierwszy w 1948 roku, gdy Izrael powstawał, i w 1973 roku, kiedy to o mały włos nie przegrali wojny Jom Kippur toczony równocześnie z Egiptem i Syrią.

Jeżeli pięknie stalowa zaporą i CaHaL zostanie rozgromiony, rozpocznie się następny Holokaust. Tym razem już ostateczny. Nie skończy się na utracie państwa i nigdzie nie uciekną, bo i dokąd? Na turecki Cypr? Do Włoch pograżonych w chaosie? Dołączą do milionów migrantów z Afryki i Azji zmierzających do zachodniej Europy?

Od Madrytu po Helsinki trwały rozruchy. Na Morzu Śródziemnym załoga jednej z algierskich korwet wypowiedziała posłuszeństwo władzom i wystrzeliła pocisk przeciwokrętowy w stronę francuskiej fregaty. Ta zatonała wraz ze stu dwudziestoma marynarzami. Buntowników szybko zlokalizowano i posłano przeciw nim myśliwce Rafale. Korweta poszła na dno, ale od tej pory żadna europejska marynarka wojenna nie zaufa swojemu północnoafrykańskiemu odpowiednikowi.

Flota Izraela była relatywnie słaba, a poza tym nie mogła liczyć na pomoc. Siły lądowe i lotnictwo, choć znacznie silniejsze, również dysponowały ograniczonymi zasobami ludzi i sprzętu. Zestrzelonego samolotu nie da się w obecnych warunkach zastąpić nowym. Zawsze byli dumni ze swojej przewagi technologicznej, ale wszystko miało własne ograniczenia.

Jeżeli mają zwyciężyć, to trzeba to było zrobić mądrze, celnie, no i szybko. Czas grał na ich niekorzyść.

Lipschitz kolejny raz przyjrzał się zdjęciu, na którym widniał szejk Ahmed Chalaf al-Din.

Ależ ten gość miał tupet. Niby taki spokojny, pozornie w centrum jego zainteresowania znajdowała się dotąd tylko pomoc najuboższym. Ale Gabriel wiedział, że tak nie jest. Przy pierwszej nadarzającej się okazji starzec wezwał do dżihadu. Za jego przykładem poszło kilku innych religijnych przywódców. A skoro tak, drogi Ahmedzie, to musisz się liczyć z konsekwencjami.

Gabriel odpiął górny guzik koszuli i poluzował krawat. Marynarkę już wcześniej powiesił na oparciu krzesła. Jedną sprawę spieprzył dokumentnie. Na kolejną wtopę nie mógł sobie pozwolić.

Szejk był świadom niebezpieczeństwa i zabezpieczył się. Z domu nie wycho-

dził bez ochrony kilku osiłków, a do meczetu udawał się jedną z trzech limuzyn, które stale czekały pod rezydencją. Dalej niż te kilkaset metrów nie podróżował.

Agent podrapał się po nosie.

Pierwsza z opcji to atak z powietrza. F-16 albo dron obróci rezydencję w gruzy jedną salwą.

Banalne i niebezpieczne. Od razu zostaną wskazani jako wykonawcy wyroku. Tylko oni posiadali takie środki i polityczną wolę. Zamiast rozwiązać problem, narobi dodatkowego bałaganu. Wkurwienie arabskiego motłochu sięgnie zenitu. Należało pomyśleć o czymś innym.

Może rozwalić drania, jak będzie jechał do meczetu? Komandosi dadzą sobie z tym radę. W sumie do odstrzelenia jest dwunastu facetów w trzech samochodach. Miny i przeciwpancerne granatniki dokonają jatki. Szejk zginie, nim się domyśli, co zaszło.

Gabriel przyjrzał się mapie. Mniej więcej w połowie trasy znajdował się posterunek jednej z islamskich bojówek. Co będzie, jak ruszą zaatakowanym z pomocą? A poza tym po dzielnicy będą się w tym czasie kręcić tysiące ludzi. Kto wie, jak zareagują?

Al-Din może się im wyślizgnąć. W grę wchodziły setki zmiennych. W innych okolicznościach można by spróbować, ale obecnie to fatalny pomysł.

Pozostawała ostatnia opcja – nocny szturm na rezydencję szejka. Wystarczy dziesięć minut i będzie po wszystkim. Mają plany budynku. Operatorzy sił specjalnych mogą wyruszyć choćby dzisiaj.

Lipschitz doskonale wiedział, że pośpiech jest złym doradcą, ale nie miał wyboru. Im szybciej załatwią wicherzyciela, tym lepiej. Trudno było powiedzieć, do czego jeszcze ten typ jest zdolny.

Gnoja należało zlikwidować, ale zrobić to tak, aby nic nie wskazywało, że to oni maczali w tym palce.

Hosni Maalouf patrzył w małe zakratowane okienko, starając się wyłowić uchem wszelkie odgłosy dobiegające z korytarza. Jego organizm domagał się jedzenia. Na tym więziennym, głodowym wikcie schudnie. Może nie był potężnym mężczyzną, ale zjeść potrafił.

Od jakiejś godziny myślał tylko o jednym – o kolacji. Obojętnie, co to będzie – ryba czy rozgotowana warzywna papka, zje wszystko.

Na Allaha, ależ był głodny.

Przynajmniej w tym jednym lubił sobie pofolgować. Na wolności pochłaniał ogromne ilości jedzenia. Prawdę powiedziawszy, to właśnie miłość do żarcia zgubiła go kilka tygodni wcześniej. Jako łącznik Hezbollahu pracował w terenie, gdzie wiele meldunków i raportów przekazywali kurierzy. Z elektroniką był ten kłopot,

że Żydzi potrafili złamać wszelkie zabezpieczenia.

Maalouf właśnie odebrał raport, kiedy chwycił go kolejny napad głodu. Lokalik z wysmienitą baraniną znajdował się niedaleko. Mała porcja żeberek nikomu jeszcze nie zaszkodziła. Skusił się na nią i to był błąd.

Dopadli go nad michą, jak przeżuwał kolejny kęs mięcha z palcami uwalanymi tłuszczem. Nawet się nie bronił. Został wyniesiony przez trzech rostrych facetów i zamknięty w bagażniku podstawionej osobówki. Nie całkiem wiedział, co się z nim dzieje, ani tym bardziej kim są porywacze. Dopiero po pierwszym przesłuchaniu domyślił się, gdzie wylądował.

Na razie nie było źle. Posiedzi do wyroku, który w jego przypadku nie może być długi. Broni przy sobie nie posiadał, nie planował zamachów ani w żaden inny sposób nie szkodził Izraelowi.

W więzieniu znajdzie się pod opieką innych szyickich skazańców odsiadujących wyroki. Jak już wyjdzie na wolność, to jako męczennik za sprawę.

Hosni w końcu usłyszał kroki. Świetnie – oznaczało to porę karmienia.

Klucz szczęknął w zamku i w drzwiach ukazał się strażnik. Facet kiwnął na Maaloufa.

– Gdzie jedzenie?

– Później.

– Chcę teraz.

– Przenosimy cię do innego bloku. Musisz poczekać.

Czy on zawsze musi mieć takie parszywe szczęście?

Nic nie powiedział, tylko zebrał swoje rzeczy i wyszedł na zewnątrz. Przez następne parę minut kluczyli wśród korytarzy, zatrzymując się przez kolejnymi kratami blokującymi przejścia. W końcu znaleźli się na małym dziedzińcu otoczonym wysokim murem.

Więzienny furgon właśnie podjeżdżał.

– Wskakuj – polecił strażnik.

– Wychodzę?

– Można tak powiedzieć.

Mocarne pchnięcie w plecy sprawiło, że Hosni poleciał do przodu.

– Ej, co ty robisz?

Strażnik tylko się zaśmiał i zatrzasnął za nim kratę.

Maaloufa ogarnęły ciemności. Poczul się nieswojo po tym, jak został potraktowany. Czyżby prawo przestało obowiązywać? Izrael przecież słynął z praworządności. Chyba nie zawieszono swobód obywatelskich? A może odwiozą go z powrotem do domu?

Tak, na pewno. Przecież nic nie zrobił i był czysty jak łąza.

Uspokojony usiadł na ławeczce. Niedługo wszystko się wyjaśni, a on wróci do swoich. Innego końca tej przygody sobie nie wyobrażał.

Niebo nad Bejrutem nabrało barwy atramentowej czerni, przetykanej jasnymi punkcikami milionów gwiazd. Centrum wciąż tętniło życiem, przedmieścia spały, a kapitan Chaim Levi po raz setny sprawdził godzinę. Czekanie było dlań najgorszą częścią każdej akcji, oficer tego wprost nienawdził, niemniej nie zdradzał go nawet najmniejszy gest bądź grymas na pięknej twarzy.

Bez dwóch zdań bowiem dwudziestosześcioletni Chaim z powodzeniem mógłby chodzić po wybiegach w Paryżu, Londynie czy Mediolanie, jako model łątwo zrobiłby karierę. Jego widok niejednej kobiecie w armii złamał serce.

Gdyby tylko wiedziały...

Oprócz urody Levi wyróżniał się bowiem całkowitym brakiem empatii względem drugiego człowieka. Choćby nie wiadomo jak się starał, za żadne skarby nie potrafił go zrozumieć, a nawet najbardziej namiętne wyznania nie robiły na nim wrażenia. Można było uznać, że Chaim Levi był psychopata, ale lepiej powiedzieć, że był żołnierzem doskonałym.

Nigdy się nie wahał. Swojej ojczyźnie służył najlepiej, jak potrafił. A potrafił wiele – do oddziałów bojowych Mossadu trafiali tylko najlepsi. Byli elitą elit i wykonawcami najtrudniejszych zadań. Likwidacja szejka Ahmeda Chalafa al-Dina do takich właśnie należała.

Levi nie wiedział, kto wymyślił operację, ale plan zaaprobowano w parę godzin. Osobiście nie lubił aż takiego pośpiechu. Ryzyko niepowodzenia w takim przypadku było wysokie. Rozumiał wszelako przyczyny tak błyskawicznych działań. Jeżeli szybko nie usuną szejka, sytuacja wymknie się spod kontroli.

Zresztą już się wymykała. Jedyne w miarę stabilnym krajem regionu pozostawała Turcja. Tam władze wiedziały, jak przypochlebić się obywatelom, i zbijały na tym polityczny kapitał. Turcja była, jest i będzie potęgą – głosiły hasła. To fatalna wiadomość dla sąsiadów. Egipt już chwiał się w posadach, o Syrii nie warto wspominać.

I pomyśleć, że jednym ze sprawców zamieszania okazał się złotousty mówca z Bejrutu. W ciągu doby wygłosił trzy przemówienia, a jedno ostrzejsze od drugiego. Władze Libanu nie zrobiły nic, aby przywołać karności do porządku. Należało je w tym wyręczyć. Szybko i skutecznie.

Grupa Leviego liczyła siedemnaście osób, w tym dwunastu komandosów. Reszta to... cóż, słyszał kiedyś takie określenie jak „konserwy”. W tym przypadku pasowało jak ulał: pozostali byli konserwami.

Krążący nad rezydencją szejka dron przekazywał bezpośredni obraz do laptopa na kolanach Leviego. Sylwetki strażników wyraźnie odcinały się od tła. Pięciu na zewnątrz budynku, trzech w środku.

Trudno powiedzieć, jak postąpi sam szejek, gdy już po niego przyjdą. Pewnie

spróbuj się bronić. Nieważne. I tak idzie do likwidacji. Problem może być z resztą domowników, rodziną, asystentem, służbą, choć właściwie to żaden problem. Właśnie dlatego do wykonania zadania wyznaczono Chaima i jego podkomendnych.

W głębi uliczki dostrzegł ruch. Co najmniej pięciu wyrostków zaczęło nocne harce. Nie wiedział, skąd się pojawili i czy dokądś zmierzali. Po prostu stali pod ścianą jednego z domów i kłócili się.

Zaulek był wąski, najwyżej trzymetrowej szerokości, akurat tyle wystarczyło, by zmieścić się samochód. Po obu stronach mur albo siatka. Chcąc dostać się do rezydencji szejka, musieli przejść właśnie tędy. Szlag by trafił tych gówniarzy.

Chaim kolejny raz sprawdził godzinę. Zostało dziesięć minut. Najwyżej pójdzie i zrobi z nimi porządek. Trupy paru obwiesi nic nie znaczący, gdy szło o przyszłość Izraela.

Levi dokręcił tłumik do pistoletu i odbezpieczył broń. Skoro inaczej się nie da...

Gniewny okrzyk dobiegający z posesji obok na chwilę zagłuszył wrzaski. Widać komuś puściły nerwy. Posypały się przekleństwa, groźby i złorzeczenia, a potem wybuchła pyskówka. Świetnie, szkoda tylko, że minuty upływały tak szybko.

W końcu młodociani chuligani odpuścili. Levi słyszał, jak się naradzają. Postanowili pójść gdzieś dalej i komuś innemu napsuć krwi. Znakomity pomysł. Zmykajcie. Byle jak najprędzej. I lepiej dla was, abyście tu nie wrócili.

Chaim dał im chwilę na oddalenie się, po czym rzucił do mikrofonu hasło rozpoczęcia akcji.

Ruszyli z trzech stron, przekradając się w stronę muru otaczającego dom szejka. Snajper zajął stanowisko wcześniej.

Mur z białych cegieł nie był szczególnie wysoki – najwyżej dwa i pół metra. U góry drut kolczasty.

To akurat najmniejszy problem. Do muru dostawi się drabinki, a operatorzy zrobią przejście.

Dwóch pierwszych komandosów już znalazło się na górze i wyeliminowało ochroniarzy na podwórzu.

Ciche kasznięcie wytłumionej broni nie powinny zwrócić niczyjej uwagi. Dobrze, że szejek nie trzymał psów. Ze zwierzakami zawsze są kłopoty; gotowe wszcząć alarm w najmniej odpowiedniej chwili.

Komandos z nożycami już znalazł się po drugiej stronie. Doskonale, teraz kolej na niego.

Wspiął się po aluminiowych szczeblach, przełożył nogę i zeskoczył na ziemię. Prędko do środka, żeby wykorzystać zaskoczenie.

Z wnętrza budynku wyszedł gruby jegomość w białej koszuli i z papierosem w ustach. Nim się zorientował, co widzi, umarł przeszyty kulą snajpera. Nie wie-

działeś, frajerze, że palenie szkodzi?

Levi przeskoczył nad jego ciałem i wpadł do środka domu, mając tuż za sobą resztę drużyny.

Kobieta w mroku korytarza wydawała się duchem. Strzelił jej w głowę bez zastanowienia. Upadła miękko na dywan.

Kapitan wskazał dłonią pomieszczenia po obu stronach przejścia. Senni domownicy nie byli zdolni do obrony.

Dotarcie do schodów zajęło Izraelczykom dosłownie sekundę. Levi zaczął się po nich wspinać, przeskakując po dwa stopnie.

Ochroniarz na górze zorientował się w sytuacji i natychmiast posłał w jego kierunku długą serię, lecz z powodu panujących ciemności chybił.

Chaim przez noktowizor widział mężczyznę doskonale. Sam strzelił raz – w klatkę piersiową. Facet opadł na kolana i zaczął się bezwładnie zsuwać po stopniach w dół.

Już nie musieli się kryć.

Ktoś w mroku zapłakał, a ktoś zaskowyczał. Nie trwało to długo. Komandosi likwidowali każdego, nie oglądając się ani na płęć, ani na wiek. Zginąć musieli wszyscy.

Pokój po prawej pusty. W tym po lewej ktoś się ukrywał i bynajmniej nie wyglądał na szejka. Chłopiec miał najwyżej pięć lat, wstał obudzony przez serie z automatów i kompletnie nie wiedział, co się dzieje.

I w tym przypadku Chaim nie wykazał współczucia. Strzelił prosto w serce. Nie czuł dumy z tego, co zrobił. Żalu też nie.

Zawrócił na korytarz i sprawdził dwa ostatnie pokoje. Szejka wraz z jedną z żon znalazł na samym końcu.

Ahmed Chalaf al-Din nie wydawał się zaskoczony. Nie krzyczał ani nie błagał o życie. Na ile potrafił, zasłonił kobietę, stając do nierównej konfrontacji, która sprowadzała się do egzekucji.

– Jesteś Żydem? – zapytał tylko.

– Nie. *Shaitanem* – odrzekł Levi. Tak, na swój sposób był demonem z arabskich legend. – Zabieram cię do piekła.

W magazynku wciąż pozostało parę pocisków. Wpakował dwie kulki w pierś karnodziei, a trzecią w głowę. Kobietę postrzelił w brzuch, a potem podszedł i dobił strzałem w głowę.

Na koniec pozostało najlepsze.

– Dawać ich tutaj – rzucił do mikrofonu.

Pod otwartą bramę zajechała obłuczona furgonetka Forda. Z jej środka wyciągnięto pięć „konserw” i popędzono do środka. Każdy z przyprawdzonych mężczyzn należał do szyickiej milicji.

Zatarg pomiędzy szyitami a sunnitami był prawie tak długi jak historia isla-

mu. Jedni drugich uważali za odstępców, gorszych nawet od chrześcijan i żydów.

Jeden z nich, korzystając z okazji, spróbował ucieczki. Szybko dostał kulkę w plecy i tyle wynikło z jego starań. Resztę rozwalono bez zbędnych ceregieli w różnych częściach posesji z broni należącej do ochroniarzy szejka.

Całość zajęła komandosom siedem minut. Nikt z atakujących nie zginął ani nie został ranny. Natomiast sunnicki szejka stał się ofiarą świętej wojny, którą ogłosił. Kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie.

Dla wszystkich było oczywiste, że operacja zbierze swoje krwawe żniwo. Właśnie o to chodziło Lipschitzowi. Zwłoki szyickich bojówkarzy były twardym dowodem w tej sprawie. Na nic zaprzeczenia.

Szyici w Libanie, tak samo jak krzyżowcy i żydzi, obawiali się sunnickiej większości. Maalouf, podobnie jak reszta Hezbollahu, to zajadli wrogowie szejka. Byli tak zdesperowani, że postanowili zgładzić Al-Dina za wszelką cenę. Dopięli swego za cenę męczeńskiej śmierci. Właśnie taki przekaz pójdzie w świat. Niech dwa największe odłamy islamu zaczną się wyrzynać pomiędzy sobą. Trudno, żeby Izrael przejmował się potencjalnymi kłopotami Iranu. Teheran nie raz i nie dwa groził Tel Awiwowi atomową pożogą. Zdaje się, że niektórych kroków ajatollahowie nie przemyśleli do końca. Arabsko-perski kocioł wrzał od dawna, a Izraelczycy tylko dolali benzyny do ognia.

Levi potraktował to rozwiązanie beznamiętnie, bo faktycznie jawiło się jako wręcz standardowe w najnowszej historii Libanu, gdzie zginęło już kilkudziesięciu polityków, w tym niejeden prezydent i premier.

Sam pomysł na operację fałszywej flagi też nie był nowy. Kapitan o tym nie wiedział, ale bezpośrednią inspiracją dla Lipschitza była niemiecka prowokacja dokonana w Gliwicach 31 sierpnia 1939 roku. Lipschitz doskonale orientował się w szczegółach tamtych wydarzeń. Jego rodzina pochodziła z Polski, niemal w całości zginęła albo podczas likwidacji warszawskiego getta, albo w Auschwitz. Można powiedzieć, że sprawy związane z Zagładą znał z pierwszej ręki.

Czego nie usłyszał od krewnych, to później doczytał. Niewiele też zastanawiał się nad kierunkiem studiów. Wybrał historię. To oczywiste. Z prowokacji w pewnym śląskim mieście zrobił dyplom, zwracając tym samym uwagę późniejszego pracodawcy. Przyczyny – przebieg – skutek.

Mówią, że nic dwa razy się nie zdarza.

Uczestnicy rajdu na Bejrut nie wiedzieli, że rozpoczęli właśnie nową erę konfliktów na Bliskim Wschodzie. Nieufność Arabów do Persów miała się jeszcze pogłębić. A jak wiadomo, gdzie drwa rąbią, tam i wióry lecą.

Oskar płakał. Nie zdarzyło mu się to od bardzo dawna, ale teraz naprawdę miał powód. Ariadna była zbyt niebezpieczna, aby istnieć dłużej.

Wiele mogła. Za wiele. Jej decyzje kosztowały życie setek niewinnych ludzi. Była tworem, który poniekąd powołał na świat. Jego dzieckiem, które zmieniło się w potwora. Jej dalsze istnienie zagrażało nie tylko postronnym, ale i jemu samemu. Kto wie, jakie pomysły mogą się zrodzić w jej świadomości?

Należało się jej pozbyć, i to raz na zawsze.

Niepotrzebnie wiązał z nią tyle nadziei. Naciski Banacha niczego nie ułatwiały. To w końcu on wymyślił tę nieszczęsną włoską operację. Wydawało się, że wszystko pójdzie dobrze. W końcu znali możliwości SI jak nikt inny.

Na pozór była idealna do wykonania zadań, które obejmował stworzony na szybko plan.

Idealna. Wielkie słowo. Mistrzynie destrukcji, może tak należało ją określić?

Jednym z powodów, dla którego należało ją zniszczyć, był strach Oskara przed kompromitacją. Nie daj Boże, zostanie powołana komisja do wyjaśnienia pewnych aspektów działania instytutu. Co wówczas zrobi, jak się wytłumaczy z istnienia Ariadny? Może i pomagała w rozwiązywaniu wielu problemów w badaniach naukowych, ale działalność „zewnątrzna” jej nie wychodziła.

Niepotrzebnie wiązał z nią tyle nadziei. Teraz ma za swoje.

Przemyśleniami nie podzielił się z nikim. Nie chciał, aby SI domyśliła się, co zamierza. Sprowokowana mogła zaatakować pierwsza, a on chciał pożyć jeszcze trochę.

Jak już ją unicestwi, mogą go wypieprzyć ze stanowiska. Na pewno tak się stanie, bo żeby dostać się do SI, musiał fizycznie rozwalić serwery, a to wiązało się z utratą cennych danych, dorobku i potencjału. Cofnie ich to w badaniach o dziesięć lat, albo i więcej.

Trudno. Dla dobra ludzkości musi to zrobić.

Westchnął i rozpoczął przygotowania. Odejdzie w niesławie. Tylko w ten sposób może zapobiec jeszcze większej katastrofie.

Korek pod Bolonią sięgnął gigantycznych rozmiarów. To już nie zator, a jakaś katastrofa. Stali trzecią godzinę i nie zanosilo się na zmianę.

Parker drzemał, co wychodziło im na dobre, bo nie darł kotów ze Sznajderem, który rozwalony na tylnym siedzeniu również przycinał komara. Czuwał jedynie Plazma, wkurwiony czekaniem. Koordynatorka się nie odzywała, więc pozostało mu tylko słuchać radia i popatrywać w tablet.

Około siódmej nad ranem dowiedział się, że znaleziono furgonetkę z bombą o mocy porównywalnej do tej, jaka eksplodowała opodal Watykanu.

Kontrolowany przeciek? Taka informacja w ogóle nie powinna wypłynąć. Mało to panowało zamieszania i paniki? Straszenie obywateli przyniesie fatalne konsekwencje. Ludzie stracą zaufanie do władzy. Jedno nieszczęście może się

przytrafić, ale kolejne przekraczało wytrzymałość przeciętnego człowieka.

Podobno... Słowo „podobno” powtarzało się często z tego prostego powodu, że nikt niczego nie wiedział na pewno. Podobno Serbia i Chorwacja przerzucały wojska nad granicę z Bośnią i Hercegowiną. Turcja podobno robiła to samo, podciągając siły nad granicę z Bułgarią.

Jeżeli to była prawda, to Bałkany właśnie szykowały się do nowej wojny.

Oczywiście jak trwoga, to do Boga, a konkretniej do Warszawy. Wcześniejsze nieporozumienia poszły w niepamięć, kiedy wróg stał u bram.

Warszawa jeszcze się wahała.

Skoro za przywódców miała niekompetentnych głupców, to i nie dziwota. Banach raz-dwa zrobiłby porządk.

Ernest przegonił sprzed nosa natrętną muchę.

Na Kaukazie uaktywnili się muzułmańscy partyzanci. Nic nowego. Kadyrow może się z nimi policzyć, a może to oni policzą się z Kadyrowem. Niewykluczone, że dojdzie tam do kolejnej wojny. Ale to nie zmartwienie Plazmy.

W Moskwie wyłapywano nielegalnych imigrantów i odsyłano ich z powrotem do krajów, z których pochodzili. W pierwszym rzucie przetransportowano dziesięć tysięcy ludzi. W Omsku rozruchy, ale oddziały rosgwardii poradziły sobie znakomicie.

Na Zachodzie bez zmian. Niebo płonęło nad Londynem i Paryżem, gdzie armia wybijała buntowników. Przykry incydent miał miejsce godzinę temu w Wenecji, gdzie dokonano sabotażu w tamtejszych zakładach petrochemicznych.

Senność powoli ogarniała Ernesta, dopiero klakson z tyłu sprawił, że się ocknął.

Jest dobrze. Można podjechać parę metrów do przodu.

Wkrótce zrobiło się jeszcze ciekawiej. Wolnym bocznym pasem w stronę miasta podążała kolumna krytych brezentem ciężarówek. Szum motorów zbudził Parkera.

– Cholera, ale hałasują. Pospać nie można.

Od kiedy wyjechali z farmy, mało między sobą rozmawiali. Wcześniej przetrząsnęli zabudowania, zabierając wszystko, co mogło mieć wartość dla analityków, na przykład twardy dysk z komputera Kabira. Broń wrzucili do studni. Zadanie wykonane, wróg unicestwiony, a z policją strzelać się nie będą. Jedyne, co im pozostało do zrobienia, to bezpieczny powrót do Polski. Nie przewidzieli tylko ograniczeń w ruchu, wszelkich blokad i kontroli, które od tej pory miały utrudniać życie Europejczykom.

– W Wenecji doszło do sabotażu.

– To ją omiń i jedź przez Trydent – poradził Cyrus.

– Pchać się przez Monachium?

– Nie. Wykręć na Salzburg i dalej przez Czechy.

Podjechali o kolejne kilkadziesiąt metrów. W polu widzenia pojawili się pierwsi mundurowi.

– Co mnie ominęło? – sennym głosem odezwał się Sznajder.

– Na razie nic, ale usiądź normalnie.

– Spałem...

– No, byłeś rozwalony jak dziwka.

– Znowu, kurwa, zaczynacie. – Ciągłe kłótnie irytowały Wolskiego. – Dajcie sobie po razie albo co. Rzygać mi się chce, jak tego słucham.

– To przez ten klimat. – Parker spróbował się usprawiedliwić. – Mamy jeszcze wodę?

– Skończyła się.

– *Fuck.*

– Sam wyżłopałeś ze trzy litry. Może nie mam racji?

– Dobra. Zajedziemy do centrum i uzupełnimy zapasy. Kto jest za?

– Kruczkowski mówił...

– Ależ się z ciebie zrobił służbista – jęknął Cyrus. – A ty, Sznajder?

– Wszystko mi jedno – odparł Artur.

– Postanowione.

Dalszą wymianę zdań przerwało pojawienie się kilku karabinierów z groźnymi minami. Już się okazało, dlaczego kontrole trwały tak długo. Przetrzęsano bez wyjątku każdy pojazd. Tylko wojskowa kolumna śmignęła niezatrzymywana.

Ernest położył ręce na kierownicy tak, aby były widoczne z daleka. Nie chciał niepotrzebnie denerwować funkcjonariuszy.

Młody, ponury oficer w hełmie na głowie i kamizelce kuloodpornej na grzbiecie stanął obok fiata i zajrzał do środka. Trzech mężczyzn w jednym wozie. Nie za dobrze to wygląda.

– Wysiadać.

Wygramolili się z samochodu i stanęli obok.

– Bagaż.

Każdy z nich otworzył torbę z rzeczami osobistymi.

– Polacy? – Porucznik w tym czasie przeglądał ich paszporty.

– Tak, panie oficerze. Wracamy do domu.

– Pielgrzymka?

– Nic z tych rzeczy. Pracowaliśmy na kontrakcie. – Wolski wyjął z kieszeni mocno pognieciony dokument. – Transeuropol. Proszę sprawdzić.

Włoch przejrzał dwujęzyczny tekst i zwrócił go Ernestowi.

– Możecie jechać. – Karabinier machnął ręką.

– Dzięki.

Wsiedli do wozu, starając się, aby w ich ruchach nie było nadmiernego pośpiechu.

– Jeszcze raz się udało – skwitował Cyrus.

– Obyś się nie mylił.

Ostatnie kilometry do Bolonii pokonali już bez problemu. Pewien niepokój mógł budzić nadmiar wojska, ale nie przywiązywali do tego nadmiernego znaczenia. Tak zapewne działo się w całym kraju, a Bolonia to jedno z większych miast. Ponad czterysta tysięcy mieszkańców. Tych legalnych i tych nielegalnych. Każdy gdzieś musi żyć i mieć dach nad głową.

– Jechać do śródmieścia?

– Zobaczymy, czy nie da się zorganizować czegoś szybciej. – Parker szukał informacji w tablecie.

Zjazd do jednego z wielkopowierzchniowych sklepów po kilku kilometrach.

Mimo że placówkę otwarto dopiero pół godziny wcześniej, wolnych miejsc na parkingu brakowało. Wszędzie, gdzie nie spojrzeć, samochody i tłumy kupujących. Po męczącym lawirowaniu pomiędzy innymi lawirującymi autami udało im się wcisnąć pomiędzy płot a jeepa wranglera. Miejsca tyle, że wyjść mogli tylko z jednej strony.

Takiego obłożenia market nie przeżywał od lat. Oczywiście produkty o długim terminie do spożycia cieszyły się największym wzięciem. Stosy konserw piętrzyły się aż po samą krawędź wózków, ale tylko tych już wyjeżdżających ze sklepu. Dla nadal stojących do kas towaru najwyraźniej nie starczyło. Wciąż jeszcze można było kupić olej, alkohol, baterie, latarki, zapalniczki, podpałkę do grilla, wodę w baniakach, więc kupowano.

Kolejki do kas gigantyczne. Sieci handlowe zarabiały krocie. Gdyby Wolski nie wiedział, kto stał za ostatnimi wydarzeniami, podejrzewałby, że to jakiś zmyślny handlowiec.

– Rozdzielmy się – rozsądnie poradził Sznajder. – Bierzemy tylko to, co niezbędne.

– Jasne.

Szybko okazało się, że dla nich zostały już tylko narzędzia ogrodnicze, środki ochrony roślin, materiały papiernicze i artykuły przemysłowe. Segment spożywczy był wyciszony do cna. Te nędzne resztki, jakie się gdzieś tam poniewierały, nie nadawały się do niczego. Rozciapciane winogrona i nadgniłe pomarańcze, jakaś sałata i trochę mandarynek. Tym się nie najedzą. Żeby zostało choć trochę ziemniaków i cebuli, ale nie – po nich nie było nawet śladu.

Grupka ludzi wyczekiwała przed magazynem w nadziei, że personel wyniesie z zaplecza coś jeszcze.

Płonne wasze nadzieje, pomyślał Artur. Personel nie w ciemną bitę, też szykuje się na najgorsze.

Tam gdzie znajdowały się artykuły farmaceutyczne, kupujący bili się o ostatnie opakowania środków przeciwbólowych. Pasta do zębów i artykuły higieny oso-

bistej nie miały już takiego wzięcia.

Gdy po paru minutach spotkali się ponownie, tylko Ernest trzymał w dłoni opakowanie herbaty, które komuś wyleciało z koszyka, oraz parę ogórków ze stłuczonego słoika.

Parker przyniósł sznurek i siekierę. Sznajder nie zgarnął nic.

– Wychodzimy.

Nie zawracając sobie głowy kasami, potruchtali na parking.

– Nie sądziłem, że dożyję takich czasów. – Ernest wciąż nie potrafił wyjść z szoku.

– Ty historyk jesteś, to sobie przypomnij systemy kartkowe czasów różnych wojen i kryzysów. Przyda ci się.

– Co robimy? Pewnie gdzie indziej jest tak samo.

– Musimy próbować. Może gdzieś nie dotarła ta fala. Zaraz poszukam w necie.

Jakiś mężczyzna widząc Parkera dzierżącego siekierę, zmienił kierunek biegu, omijając ich szerokim łukiem.

– Młody, wskakuj za kółko. Zmarnowaliśmy dosyć czasu.

Wyjazd z parkingu był jeszcze trudniejszy niż wjazd. Plazma ostro nakręcił się kierownicą, zanim ponownie znaleźli się na ulicy.

– Dokąd?

– Jedź przed siebie.

Nie wiedzieli, czego mogą się spodziewać. Nie znali miasta. Im bliżej byli historycznej dzielnicy Bolonii, tym uliczki robiły się węższe, a manewrowanie na nich okazywało się nie lada sztuką.

– Tu się zatrzymamy – zakomenderował Parker.

W normalnych okolicznościach Plazma wpadłby w zachwyt. Stara zabudowa robiła wrażenie. Miasto jak ze snów, pominawszy przemysłowe i mieszkalne przedmieścia, przez które przyszło im przejeżdżać.

Właśnie w takim miejscu Plazma widział swoją przyszłość. Organicznie nie znosił bloków z wielkiej płyty i współczuł każdemu, kto musiał się w nich męczyć.

Z każdym krokiem zapuszczali się wciąż dalej w ten zaczarowany świat.

Parkerowi, który nie czuł się bynajmniej turystą, uliczki nie spodobały się wcale. To labirynt pułapek. Nawet jeśli nikt nie będzie do nich strzelał z każdego okna i gonił po zaułkach, wystarczy stracić nawigację, by zagubić się w tej plątaniu. Wszystko wyglądało podobnie i było ciasno. Od lat już nie mieszkał w domku na przedmieściach Atlanty i wiele widział, ale takie zagęszczenie starych kamienic i chaotycznie prowadzonych uliczek, jakie spotkał tu czy u Arabów, wciąż uważał za koszarne. Dopiero gdy wyszli na jeden z placów, trochę się rozluźnił.

Na zwiedzanie nie mieli ochoty. Przyszli tu wyłącznie w jednym celu. Wujek Google ich nie oszukał. Z daleka dostrzegł otwartą kawiarnię, jedyną, której wła-

ściciel nie uległ społecznej presji i jak co dzień rozstawił krzeselka i stoliki na ulicy, gotów do zaparzenia świeżej kawy. Lokal świecił pustkami.

Usiedli w zacisznym wnętrzu, zasłuchani w szumiącą klimatyzację i włoskie przeboje sprzed ponad czterdziestu lat, a może półwiecza. To było pierwsze miejsce w tym kraju, gdzie nie wpychała się polityka i newsy. Tu królowali Adriano Celentano i Toto Cutugno.

– Co podać? – zapytał krępy sześćdziesięciolatek w bladuróżowej koszuli i czarnych garniturowych spodniach.

– A co pan proponuje? – Ernest spróbował go wybadać.

– Wszystko jest pyszne. Mamy doskonałe *cantucci*, *cantuccini* według rodzinnych przepisów, ale też inne ciastka, poza tym dzisiaj znakomity tort czekoladowy na lambrusco. – Włoch nie dał się zaskoczyć.

– Coś bardziej konkretnego. – Parkerowi z głodu burczało w brzuchu.

– Niestety, to nie jest restauracja, no i pora...

Wolski i Parker spojrzeli po sobie zrezygnowani i zaczęli się podnosić z krzeseł.

– *Spaghetti bolognese?* – zapytał Sznajder desperacko.

Cyrus nie był fanem makaronów, ale w tych okolicznościach nie należało wybrzydzać.

Właściciel zawahał się.

– Jedziemy z daleka, a przed nami jeszcze długa droga i widzi pan, co się wokół wyrabia. To pewnie nasza ostatnia szansa na dobre jedzenie. – Wolski kuł żelazo, póki gorące.

– No, właściwie nie serwujemy, ale dla panów...

– Bardzo prosimy.

– Trzy porcje?

– Sześć. I parę na wynos.

– Tyle nie mam, gotuję tylko trochę dla siebie i żony, która przychodzi tu po pracy. Panowie z daleka? – zainteresował się mężczyzna.

– Tak się złożyło.

– Z Rzymu?

– Nie. Z Neapolu.

– Proszę mi wybaczyć, że tak wypytyję, ale mam w Rzymie kuzynkę. Nie mogę się z nią skontaktować, a to, co pokazują w telewizji, przechodzi wszelkie pojęcie.

– Tak, rozumiem – bąknął Parker bez wdawania się w szczegóły. Obojętnie, co by powiedział, zabrzmiał banalnie.

– Nie będę panom zawracał głowy. Marny ze mnie gospodarz, jeszcze nie podałem kawy.

Właśnie tego nie mogli się doczekać najbardziej. Mała czarna postawi ich na

nogi. Włosi w parzeniu kawy byli przecież mistrzami. Jeden niewielki naparstek i będą chodzić do wieczora jak nakręcenii.

– Cyrus, dalej ty prowadzisz. – Ernest przejechał dłonią po czole. – Pamiętaj, żeby zatankować. Mamy jedną trzecią baku. Długo na tym nie pociągniemy.

– Mówisz o tym dopiero teraz?

– A widziałeś po drodze chociaż jedną czynną stację benzynową? Nie? Zobaczymy, jak się tobie poszczęści.

– Nie histeryzuj. Wachę skręcimy przy pierwszej nadarzającej się okazji.

– Karabinierzy nam ją odstąpią?

– Dlaczego nie? Jeszcze nie spotkałem nieprzekupnego szefa zaopatrzenia. – Parker mrugnął porozumiewawczo. – Każdy z nich ma sporo na sumieniu. Bylebyśmy dojechali do Austrii.

– A dalej to co? Pójdziemy piechotą? – prychnął Plazma.

– Nie, ale może będzie lepiej. – Parker odsunął się, bo właśnie właściciel lokalu postawił na stole tacę z maleńkimi filiżankami.

– Na resztę muszą panowie poczekać.

– Nie ma sprawy. Nigdzie się nam nie spieszy. – Cyrus siorbnął naparu i z uznaniem mlasnął językiem. – Wyborna.

– Chyba etiopska – orzekł Sznajder.

– Akurat. Już przedzej jakaś mieszanka południowoamerykańska.

– Znalazł się znawca. Ciężko z tym żyć?

– Daję radę.

– Na froncie pod... eee... nieważne... – Artur zorientował się po minach Parkera i Wolskiego, że nie powinien poruszać niektórych tematów. – Raz spotkałem faceta, który usługiwał samemu jordańskiemu królowi. Z fusów potrafił wycisnąć niebiański smak.

– I jak skończył? – złośliwie zapytał Parker.

– Spadła na niego ćwierćtonowa bomba.

– Nic miłego.

– O takiej śmierci marzył.

– No tak. Sorry, jakoś nie potrafię przekonać się do twojego systemu wartości. Szamilew pewnie pisał jak niemowlę, gdy go zarzynałeś?

– Był dzielny do samego końca. – Artur nie miał zamiaru wyjawiać, jak faktycznie wyglądały ostatnie minuty życia Ramzana. Inaczej on sam wyszedłby na głupka, że uwierzył komuś, kto pękł, a nie walczył do ostatniego tchu.

Jeśli jeszcze pożyje dostatecznie długo, napisze wspomnienia. Nawet nie będzie musiał zbyt wiele ściemniać, żeby dobrze się sprzedały. Zarobi miliony. Chyba że rękopis sprzeda służbom. Wtedy za jeden egzemplarz zażąda tyle, co za półmilionowy nakład. Wiedział... O kurwa, sam nie wiedział, ile wiedział. Przeżył tyle, że spokojnie dałoby się tym obdzielić ze dwadzieścia osób i żadna z nich nie

narzekałaby na nudne życie. Tak, służby zapłacą. Pytanie – złotem czy ołowiem?

Musi uważać. Wiedza jest niebezpieczna. Niezależnie od tego, czy Halicki coś jeszcze znaczy, czy nie, to jego przyszłość była wielce niepewna. O Kruczkowskim nigdy nie słyszał. Co to za gość i jakie ma zamiary?

Właśnie uniósł filiżankę do ust po raz ostatni, gdy poczuł swąd spalenizny.

– Czujecie? – Pierwszy na nogi poderwał się Plazma.

– Nie róbcie mi tego przed jedzeniem. – Jedyne Cyrus zachował spokój.

Z zaplecza zaniepokojony przybiegł właściciel.

– Podobno w pobliżu wybuchł pożar – oznajmił drżącym głosem.

– Ernest, bądź tak łaskaw i wyjrzyj na ulicę – zaproponował Parker.

Wolski bez sprzeciwu wyszedł na chodnik. Przed lokalem przystanąło kilka zaniepokojonych osób, a z oddali dobiegł jęk strażackiej syreny.

Z miejsca, gdzie stał, niewiele było widać. Wyszedł spod arkad za róg kamienicy i zobaczył czarny dym wzbijający się w niebo sponad czerwonych dachów. Hajcowało się gdzieś całkiem niedaleko.

Najpierw minął Ernesta jeden człowiek, potem drugi, a na koniec co najmniej dwadzieścia osób różnej płci i w różnym wieku na skraju paniki.

Gryzący obłok wypełniał ulicę. Lepiej, jak się stąd zwiną.

Parker i Sznajder stali przed kawiarnią, paląc papierosy. Wydawali się spokojni i opanowani.

– Ten facet – kciuk Cyrusa wskazał środek lokalu – twierdzi, że to podpalenie.

– Całkiem możliwe.

Poszli w kierunku placu przed bazyliką, oddalając się od źródła ognia. Większość bolończyków zaskoczonych wypadkami przedpołudnia stała na ulicach, głośno komentując zdarzenie.

Już nie tylko dym unosił się nad dachami. W górę strzelały pomarańczowe płomienie pochłaniające kolejne zabudowania.

Thum gęstniał, zewsząd rozbrzmiewały okrzyki gniewu i przerażenia. Nagle w oddali coś potężnie huknęło. Panika ogarnęła nawet tych, którzy do tej pory zachowywali rozsądek. Zakotłowało się.

Artur musiał się odsunąć na bok, żeby uniknąć stratowania. Nie dalej jak dziesięć metrów od niego w ciżbie nóg czołgał się pięcioletni chłopiec. Nikt z dorosłych nie zwracał na to uwagi. Sznajder odepchnął tęgiego mężczyznę, podbiegł do chłopca i postawił go na nogi. Nim zdążył zapytać, jak się czuje, obok przystanąła kobieta i porwawszy dziecko na ręce, zniknęła w okamgnieniu.

W tym całym rozgardiaszu stracił kontakt ze swoimi opiekunami. Został sam.

Wyrzucił z siebie dawno zapomniane przekleństwo.

Nawet się nie zdenerwował, lecz nie miał pojęcia, co ma zrobić. Czekać na

nich czy ruszać w stronę samochodu?

Na ile się dało, zlustrował otoczenie. W pobliżu sami obcy ludzie. Ernesta i Cyrusa wywiało.

Poza tym robiło się niebezpiecznie. Pożar nabierał mocy. Palił się nie jeden dom, ale cały kwartał. Jednak podpalenie. Jeśli straż nie uwinie się szybko z gaszeniem, lokal, w którym się zatrzymali na odpoczynek, pójdzie z dymem.

Postanowił iść na północ, a następnie na zachód, w stronę dwóch wysokich wież. Obie były imponujące, ale ta wyższa to prawdziwa perła architektury.

Nim zdążył przyjrzeć się im bliżej, od strony bocznej uliczki zaczęły dochodzić okrzyki rozpacz. Tam też buzowało jak w piecu. Stanął pod ścianą jednej z kamienic, obserwując teren. Nie czekał długo. Wysoki, kościsty nastolatek o śniadej karnacji pojawił się u wylotu zaułku, czujnie rozglądając się na boki.

Artur wiedział, że najlepiej zrobi, jak odpuści, a jednocześnie czuł, że nie może tego tak zostawić.

Ich spojrzenia skrzyżowały się na moment i chłopak sprintem pognął w stronę ogarniętego ogniem obszaru.

Gówniarz był dobry, ale Sznajder, który wystartował ułamek sekundy później, ani myślał zrezygnować. Pościg utrudniali ludzie szukający ratunku. Tłum zaczął biec przed siebie.

Artur zaciął się w sobie. Dorwie drania i wymierzy sprawiedliwość. Tamten zdawał się domyślać, co go czeka, bo gnał ile sił w nogach.

Z Szamilewem to była zabawa. Tym razem gonił prawdziwego wyczynowca. Spalenizna zatykała usta, a przy każdym oddechu bolały płuca. Już nie dla niego takie zabawy, pora przejść na emeryturę. Po kilkuset metrach biegu i niezliczonych zakrętach całkowicie stracił orientację. Jak już dorwie podpalacza, wyrwie mu serce z piersi, posypie parmezanem i zje ze smakiem.

O ile wcześniej nie porzyga się z wysiłku.

Na jego nieszczęście uciekinier nagle znikł w jednej z bram. Nim Artur dotarł w to samo miejsce, po chłystku nie było śladu.

Wściekłość zdławiła mu gardło. Oparł dłonie o kolana, ciężko dysząc. Może przebiec przez podwórze i wyjść na przyległej ulicy? Tylko co to da? Zgubił trop. Szczył okazał się od niego lepszy. Przynajmniej w nogach.

Wyprostował się i rozejrzał na boki. Okna kamienic wychodzących na studnię zatrzęsnięto na głucho, choć wejścia na klatki schodowe pozostawały otwarte. Pokusa, aby je sprawdzić, nęciła Artura, odkąd tylko je dojrzał.

To nie miało tak wyglądać. Nawet jeżeli dorwie jednego podpalacza, i tak doszło już do najgorszego.

Gryzący dym wypełniał całą przestrzeń dookoła. W gaszeniu na pewno nie pomagały gwałtowne podmuchy wiatru przenoszące płomienie wciąż w nowe miejsca. A na dodatek to suche jak pieprz powietrze, którym ledwo dawało się oddy-

chać.

Wycofał się na uliczkę, dalszy pościg uznając za bezsensowny. Najważniejsze to znaleźć Plazmę i Parkera. Obaj na pewno chcieli wiedzieć, gdzie się podzięwa. Zwłaszcza Cyrus, który uczepił się Artura jak rzep psiego ogona.

Uderzenie kamieniem w plecy sprawiło, że gwałtownie obejrzał się za siebie. Co jest? Kto z nim tak pogrywa?

Zrobił się czujny jak na froncie.

Wyszli we trzech. Wśród nich ten, którego gonił. Tutejszy gang, który nagle przeistoczył się w islamską bojówkę. Dwóch czarnych, jeden śniady. Drapieżnie wykrzywione twarze. Im się pewnie wydawało, że trafili na łatwą ofiarę.

Artur odczuł absurd tej sytuacji. Do niedawna stali po tej samej stronie, lecz on stracił wiarę. Nie było już powrotu do zasad Koranu.

Ruszył im śmiało na spotkanie. Z trzema poradzi sobie bez problemu. Gnoje nie byli tak groźni, jak się im wydawało.

Nie drgnęli, gdy stanął naprzeciw nich.

Podszedł parę kroków bliżej, starając się rozeznac, który zaatakuje pierwszy. Pewnie ten w środku. Był najstarszy i największy. Musiał pakować na siłce. Normalnemu człowiekowi mięśnie nie puchną jak balony.

Nim wykonał kolejny ruch, w jego kierunku ponownie poleciały kamienie. Przed pierwszym, drugim i trzecim zrobił unik. Później już się nie udało i oberwał w udo, a kolejnym w ramię. Następny pocisk odbił dłonią. Inaczej dostałby w cze-rep.

Jeśli nie skróci dystansu, zostanie ukamienowany. Liczył się z ostrą bijatyką, ale tamci zrejęterowali. Po prostu wzięli nogi za pas i czmychnęli do klatki schodowej. Wkurzony na maksa pobiegł za nimi. Dorwie jednego i stłucze na kwaśne jabłko.

Wpadł na schody, nie sprawdziwszy, co kryje się za drzwiami. To był błąd. Dostał w ramię i plecy, aż poszło echo. Czwarty z tych kutasów ukrył się w cieniu i teraz próbował pozbawić Artura przytomności.

Upadł na bok, ale natychmiast kopnął przeciwnika lewą nogą. Tamtego odrzuciło o metr. Wystarczyło, żeby wstać i mimo bólu ruszyć do ataku.

Widział pałkę zataczającą łuk. Była zbyt wolna, by zrobić mu krzywdę. Pięć Sznajdera trafiła chłopaka dokładnie w usta. Wybił draniowi zęby wraz z ochotą na dalszą konfrontację. Poprawił prawym sierpowym i kolanem. Na ciąg dalszy nie mógł już sobie pozwolić. Na schodach załomotały buty tych, którzy wcześniej symulowali ucieczkę.

Najcięższy z napastników omal nie zbił go z nóg. Sznajder odepchnął typa z największym trudem. Mając zajęte obie ręce, nie zablokował uderzenia nożem w brzuch.

Kurwa, ale bolało. Ustał na nogach z największym trudem. Nim tamten zadał

następny cios, złapał nadgarstek nożownika i wykręcił go, łamiąc kości. Ostrze poleciało na ziemię. Nie będzie go teraz szukał. Poprawił uderzeniem pięścią w nos. Przeciwnik zgasł jak zapalka. I to na dobre, bo dla pewności Sznajder zmiądzzył podpalaczowi krtań.

Byli kwita. Dwaj pozostali z bandy młodocianych dżihadystów widząc, co się święci, zwiali. Nie będzie ich gonił. Miał kłopoty.

Ledwo powłócząc nogami, wytoczył się na podwórko i dalej w stronę uliczki. Nawet nie krwawił za bardzo, tylko bolało jak jasna cholera. Przez głowę Artura przelatywały najróżniejsze myśli, a żal zaczął dławić gardło. Dlaczego tak się stało? Świat nie jest sprawiedliwy. Przeszedł przez setki bitew, a wyłożył się na ostatniej prostej.

Dym. Wszędzie dym. Pożar nabierał mocy. Palila się ulica przed nim i za nim. Sznajdera minęła dobrze ubrana kobieta z obłędem w oczach. Chciał ją zatrzymać i poprosić o pomoc, we dwoje mieli większe szanse na ratunek, lecz nie potrafił wydobyć z siebie głosu. Jakby tego było mało, stracił orientację. Iść w prawo czy w lewo? Oczy mu łzawiły i piekły. Próbował je wytrzeć wierzchem dłoni, ale pomogło tylko na chwilę.

Znienawidził to piękne miasto z całego serca.

Przywarł plecami do kamiennej ściany jednej z kamienic i zaczął się zastanawiać, co dalej. Tu w żadnym wypadku pozostać nie może.

Nie zwykł poddawać się nikomu ani niczemu. Zebrał się więc w sobie jeszcze raz i ruszył powoli w stronę, gdzie jak mu się wydawało, dym nie był tak gęsty.

Zatrzymał się po dwudziestu metrach na dźwięk dziecięcego pisku. Z trudem spojrzął na drugą stronę ulicy, gdzie rzeczywiście z okna na pierwszym piętrze wychylała się dwójka chłopców. Dym z dachu kamienicy walił w niebo niczym z parowozu. Jeśli nikt im nie pomoże, spłoną żywcem.

Odbił się od ściany i wpadł do bramy. Dusił się, próbując zdławić kaszel, który chyba rozerwałby mu brzuch. Nogi ledwie go niosły, a tu trzeba było wejść po schodach.

Raz i dwa. Raz... dwa... o kurwa, ale się zmachał. Cały lewy bok lepił się od krwi, która powoli zaczęła ściekać na biodro i nogę.

Może minutkę odpocznie?

Przewyciężył słabość z największym trudem i wczołgał się na piętro. Masa-kra. Szarpnął za pierwszą z brzegu kłamkę. Zamknięte. To nie tu. Przesuwał się dalej, coraz mniej świadom tego, co robi.

– Jest... – Zakaszłał, spazmatycznie łapiąc oddech. Ból promieniujący od rany prawie pozbawił go przytomności.

Wrzaski, który usłyszał ze środka, gdy szarpnął kłamkę, uświadomiły Arturowi, że dobrze trafił. Tylko jak sforsować te drzwi? Wyważyć? Nie miał sił nawet stać, a myśli poczęły mu się mącić.

Ostatni wysiłek i koniec.

Wiedział, że tym razem schrzanił dokumentnie. Radził sobie przez tyle lat i właśnie dotarł do końca podróży.

Paraliż z wolna ogarniał ciało. Nie czuł gorąca ani chłodu. Był tylko zmęczony jak nigdy wcześniej.

– Wiedziałem, że to się tak skończy. Wiedziałem.

Tak wkurzonego Cyrusa Plazma jeszcze nie widział. Facet się przejął, i to nie na żarty. Po wcześniejszym opanowaniu nie pozostał ślad. Podobnie jak po Sznajderze. Facet stał obok nich, a w następnej sekundzie znikł jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Fakt, że panowało zamieszanie i tłum przewalał się z lewa na prawo i z prawa na lewo. To, co widzieli, wcale nie odbiegało tak bardzo od scen, jakich byli świadkami w Rzymie. Wielu bolończyków ogarnął jakiś amok. Wcale się im nie dziwił. Zważywszy na panujące wcześniej napięcie, na efekty takiego zdarzenia nie trzeba było długo czekać.

– Może się jeszcze znajdzie?

– Nie sądzę.

– Myślisz, że zwiął?

– Jestem tego pewny. – Parker wciąż miotał się na wszystkie strony. – Wykorzystał nas. Nie widzisz tego? Planował to od samego początku, a my jak skończeni frajerzy daliśmy się podejść.

– Przesadzasz.

– Ja przesadzam? Cała siatka Szamilewa przestała istnieć, łącznie z Ramzaniem. Nie ma śladów, które wiązałyby tego drania bezpośrednio z nimi. Nic. Kompletnie nic.

– A dysk?

– Wcale bym się nie zdziwił, gdyby nic na nim nie było. Sam nie dałby rady, ale z naszą pomocą poradził sobie koncertowo. A teraz śmieje się z nas wolny jak ptak.

– Długo czekał, żeby się urwać.

– Wcale nie tak długo. Wywieźliśmy go z Rzymu. Ominęliśmy blokady...

Wolski starał się znaleźć lukę w rozumowaniu kolegi, ale nie potrafił.

– Kruczkowski...

– Dał się podejść, podobnie jak Halicki i my wszyscy. Dostaliśmy nauczkę. Szkoda gadać.

W słowach Parkera kryło się sporo racji. Sznajder zwiął. Ernestowi było z tego powodu wstyd. Może się nie zżyli, ale przynajmniej nawiązała się pomiędzy nimi nić porozumienia.

Rację na pewno miał Cyrus. On nie lubił nikogo. Może tak trzeba?

Dostali nauczkę, właśnie. Nie pierwszą i nie ostatnią. Moralny kac pozosta-
nie z nimi na długo. Oj, na długo.

Sierżant Tomasz Byrski stał na wzgórzu wznoszącym się ponad autostradą A6 łączącą Paryż z Lazurowym Wybrzeżem. Droga, którą podczas wakacji zazwy-
czaj jechały na południe tysiące Francuzów, dziś była pusta, o ile nie liczyć ciągną-
cej się na przestrzeni co najmniej kilkuset metrów kolumny wojskowych ciężaró-
wek i transporterów bojowych.

Oprócz spadochroniarzy z 2 REP (*Régiment étranger de parachutistes*) zna-
leźli się tu też strzelcy alpejscy i żandarmeria. Tej ostatniej do lasu nie puszczą.
Brudna robota przypadnie w udziale zawodowcom, takim jak podkomendni Byr-
skiego.

Sierżant uniósł lornetkę i omiół spojrzeniem najbliższą okolicę. Lekko po-
fałdowany, zalesiony teren wydawał się idealny dla bojówkarzy z Armii Oporu Al-
laha, jak nazwała się banda popaprańców, której działaczom wydawało się, że oba-
lą legalnie wybrane władze Francji.

Od pamiętnych wydarzeń w Paryżu upłynęło sześć tygodni. Od tamtej pory
Byrski wraz z kumplami zajmował się gaszeniem pożarów, a te wybuchały jeden
po drugim. Jak nie Paryż, to Calais albo Rouen. W całym kraju powstawały zbrojne
bandy próbujące wywołać chaos i wpłynąć na bieżącą politykę władz.

Niektóre z nich wydawały się bardziej niebezpieczne od pozostałych. Armia
Oporu Allaha właśnie do takich należała. Tworzyli ją zaprawieni w partyzanckich
bojach przybysze z Maghrebu, jak i tutejsi muzułmanie, którzy dopiero teraz wstą-
pili na ścieżkę dżihadu.

Wywiad oceniał ich siły na pięćdziesięciu bojówkarzy uzbrojonych w broń
myśliwską oraz maszynową. Ich najazd na jedno z okolicznych miasteczek skoń-
czył się powieszeniem na latarni mera. Szefa lokalnej gazety, policjanta, dyrektorkę
szkoły oraz właściciela nocnego klubu zastrzelono w ich własnych domach, nie ba-
wiąc się w ceregiele.

Władze uznały sprawę za na tyle poważną, że w okolice skierowały parę
kompanii spadochroniarzy i strzelców alpejskich z zadaniem wytropienia i rozbicia
grupy. Psy, drony, śmigłowce, transportery. Byrskiemu przypominało to działania,
jakie prowadzili w Afryce. Tylko mozolne przeczesanie rozległego terenu przyno-
siło rezultaty. W tym przypadku będzie podobnie. Zajmie im to dzień, dwa, może
trzy, ale dorwą sukinsynów i wybiją im z głowy wszelkie myśli o partyzantce.
W ogóle wszelkie myśli.

Byrskiego zastanowiła jedna rzecz – po co ukryli cały oddział w lesie? W te-
renie zabudowanym nie rzucaliby się w oczy. Tam istniały getta zamieszkałe przez
kolorowych i obejmujące całe dzielnice.

On w lesie nie widział ani jednego czarnego.

Współczesna generacja terrorystów wybierała nieco inne metody działania. Regularna partyzantka istniała w Algierii w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku i później. Wtedy to Zbrojna Grupa Islamska (GIA) wypowiedziała wojnę rządowi. Byrski nie wykluczał, że przynajmniej część z tych, którzy zdecydowali się na taki sposób walki, pochodzi właśnie z Algierii. Gdzieś się tego nauczyli, podpatrzyli, usłyszeli i przemyśleli, po czym uznali, że to najlepsze rozwiązanie.

Sierżant wolnym krokiem zszedł ze wzgórza, minął pluton opancerzonych transporterów VBCI i dołączył do swojej kompanii. Odczekał, aż porucznik uzgodni wszelkie szczegóły z lokalnym przewodnikiem.

– Co to za jeden? – Wskazał wzrokiem ubranego na zielono mężczyznę w średnim wieku z długą siwą brodą.

– Tutejszy. Poluje w tych lasach od dziecka.

– Przygotuj ludzi. Czeka nas mała przechadzka. Za pięć minut wyruszamy – zakomenderował.

Wchodząc w las, Byrski nie potrafił oprzeć się wrażeniu, że jest obserwowany. Nie miał najmniejszych podstaw, aby tak sądzić, ale nieznośne swędzenie pomiędzy łopatkami nie opuszczało sierżanta przez kolejne godziny.

Marsz jak marsz, generalnie nic się nie działo. Słońce przygrzewało, ptaki śpiewały, a legionistów zaczęła ogarniać nuda. Z oddali dobiegało ich ujadanie psa i krążącego gdzieś daleko helikoptera. W końcu zeszli z leśnej przecinki na ścieżkę biegnącą pomiędzy wysokimi krzewami.

– Nie odstawać – warknął Byrski pod adresem Étienne’a, który właśnie teraz zaczął poprawiać wyposażenie.

– To najprzyjemniejszy dzień, odkąd się zaciągnąłem. Może zrobimy sobie piknik?

– Nie chwał dnia przed zachodem słońca.

– Połazimy do wieczora i odeślą nas z powrotem. Zobacysz, że tak będzie.

– Obyś się nie mylił.

Weszli w gęsty las. Słoneczne promienie z trudem przebijały się przez liście drzew. Zrobiło się parno, a mundury zaczęły nasiąkać potem.

Sierżant nie liczył na zmianę pogody. Z tego, co słyszał, wysokie temperatury utrzymają się do końca miesiąca, a może i dłużej.

Aura idealna na wypoczynek. Na spokojny wypad nad morze czy w góry. Tylko że we Francji nikt już nie wypoczywał. Branża turystyczna upadła i nieprędko się odrodzi.

Ścieżka, którą maszerowali, chowała się pomiędzy dwoma pagórkami. Nie wyglądała to najlepiej. Idealne miejsce na zasadzkę.

Porucznik musiał pomyśleć tak samo, bo zatrzymał pluton i posłał do przodu zwiadowców. Byrski obserwował, jak spadochroniarze wzajemnie się ubezpiecza-

jąc, starają się rozeznaczyć, co kryje się dalej. Wkrótce obaj znikli wśród drzew.

Mijały minuty i nic się nie działo.

– Sprawdź, co z nimi. – Byrski był pełen złych przeczuć.

– Dobra. Tylko uważaj.

– Przecież mnie pan zna.

Sprawdzenie, co kryje kolejny fragment ścieżki, nie wymagało znajomości filozofii, tylko ostrożności.

Wraz z Étienne'em i Ołehem podkradł się bliżej. FAMAS-y wysunięte do przodu, oczy dookoła głowy. Jak zobaczy tych kretynów siedzących pod drzewem i odpoczywających, powyrywa im nogi z tyłków.

Byrski oblizwał suche usta, rozglądając się ostrożnie. Może niepotrzebnie się zamartwiał?

A swoją drogą, gdzie podziały się te wszystkie środki, z których armia była taka dumna? Dron im nie przysługiwał. Tropiciele z psami gdzieś wsiąkli. Ze śmiłowca w takiej gęstwinie mało co się dojrzy. Pozostał im tylko ten dziadyga, który wyglądał, jakby sam potrzebował pomocy. Z powrotem będą go taszczyć na plecach. Szkoda, że nie dostali kogoś młodszego.

Pora działać. Nie będą tu siedzieć do wieczora.

Miejsce idealne dla strzelców alpejskich, ale nie dla spadochroniarzy. Skałki i gąszcz jak w lesie tropikalnym.

Szlag by to...

Nogi jednego z podwładnych dostrzegł ułamek sekundy później. Właściwie były to same podeszwy butów, reszta nikła w jakimś dole.

– Panie sierżancie...

– Przymknij się, Ołeh.

– Czy...

– Skąd mam wiedzieć.

Byrski, nie zważając na niebezpieczeństwo, zbiegł z pagórka. To nie miało prawa się wydarzyć, nie tutaj, nie w tych okolicznościach. Śmierć, która spotkała legionistę, nie należała do lekkich. Chłopak wpadł w zamaskowany dół i nadział się na kilkanaście zaostrzonych palików. Pozycja ciała wskazywała, że nie umarł od razu, bo zwłoki były przekręcone na bok. Jeden z kołków wbił się w szyję. Może i nie był gruby, ale wystarczył, aby... nawet nie chciał o tym myśleć.

– O w... – Ukrainiec o mało się nie porzygał, widząc, co spotkało kolegę.

Étienne zbladł i cofnął się o parę kroków.

– Gdzie Juan?

Pytanie sierżanta nie znalazło odpowiedzi.

Brakowało drugiego ze zwiadowców, drobnego Latynosa, który dołączył do nich ostatnio. Szeregowiec na pewno nie rozpląnął się we mgle. Gdzieś tu był. Należało go tylko znaleźć.

Pięć minut później pluton ruszył dalej. Martwego legionistę na razie zostawili, po przeczesaniu terenu wezwą helikopter i podwieszają ciało na linie pod nim. To był jedyny sposób. Maszyna nie miała gdzie wylądować, a towarzysza na zawsze nie zostawiają. Chłopak zginął na służbie, zostanie pochowany z honorami. Przynajmniej jedno było pewne, znajdowali się na dobrym tropie. Oddział Armii Oporu Allaha operował w tej okolicy.

Swoją drogą pieprzeni islamiści wiedzieli, jak im napsuć krwi. Jeden zabity i jeden zaginiony – bez żadnego wystrzału. Zapowiadała się ciężka przeprawa.

Juana znaleźli pół kilometra dalej. Trudno powiedzieć, jak się tam znalazł. Prawdopodobnie został przywleczony przez bojówkarzy, po tym jak trafił do niewoli. I jemu nie oszczędzono cierpień. Trup miał wydłubane oczy i podcięte gardło. Nie musieli tego robić, a jednak poszli na całość. Powinni wiedzieć, jaki to przyniesie efekt. W legionistach zapłonął gniew. Tu nie będzie jeńców, sądów i tego bełkotu o prawach człowieka. Sprawę załatwią szybko i bez odwoływania się do instytucji nadrzędnych.

– Wezwać śmigłowiec? – zapytał Byrski, któremu słowa z trudem przechodziły przez gardło.

– Tak. – Porucznik wyglądał na tak samo sfrustrowanego wydarzeniami jak i reszta plutonu.

Chciał zapytać o coś jeszcze, lecz nie zdążył, obryzganym krwią z głowy oficera.

Gdzieś na prawo od niego załomotała seria z karabinu maszynowego. Pociśki zaczęły fruwać pomiędzy spadochroniarzami i pniami drzew niczym rozwścieczone szerszenie. Las wypełniły odgłosy walki.

Byrski drżał na całym ciele.

– Powiadom kompanię! – krzyknął jeszcze w kierunku łącznościowca, zanim skrył się w zagłębieniu terenu.

Huraganowy ogień przygwoździł legionistów do ziemi. Każdy, kto choć trochę wychylił się spoza osłony, osuwał się zabity bądź raniony. Starcie przypominało potyczki toczone w wietnamskiej dżungli. Dobrze ustawiony karabin maszynowy zrobi z nich miazgę. Nie docenili przeciwnika, biorąc członków Armii Oporu Allaha za nawiedzonych fanatyków. Może faktycznie tacy byli, ale okazali się cwani i walczyli jak lwy.

– Sierzancie!

– Czego się drzesz, Étienne?

– Obchodzą nas!

Tego nie mógł zignorować.

Faktycznie, niewyraźne postacie w maskujących strojach przesuwają się na skraju widoczności. Jeśli nic nie zrobi, jego oddział dostanie się pod ogień z boku.

Byrski może i nie był mistrzem taktyki, ale wiedział, czym się to dla nich

skończy. Mało która jednostka wytrzyma natarcie z dwóch stron.

– Do tyłu – zarządził. – Brać rannych.

FAMAS wypluwał krótkie serie. Nie wiedział, czy kogoś trafił. Przynajmniej zmuszał wroga do trzymania się nisko, a to pozwalało spadochroniarzom na odskok.

Ostatnie spojrzenie na porucznika, któremu nic już nie mogło pomóc, i Byrski zerwał się do biegu.

Umykał, klucząc. W końcu przeskoczył przez zwalony pień i przywarł do trawy tuż za kłodą. Przed sobą widział niewielki wycinek zagajnika. Na pewno przydałaby się im zasłona dymna czy wsparcie helikopterów albo ogień moździerzowy, a najlepiej wszystko naraz. Tymczasem tkwili w szambie, w dodatku zanurzeni w nim po same uszy.

– Gadałeś z kapitanem?! – wrzasnął do kaprala, który podążał za nim jak cień.

– Tak.

– I co?

– Mamy ich związać walką.

Ktoś tam na górze wykazał się niezłym poczuciem humoru. Zanim otrzymają pomoc, zginą co do jednego. To nie była jakaś tam potyczka, tylko regularna masakra. Spadochroniarze to nie mięczaki, ale i nie cyborgi. W końcu ulegną wrogowi.

Uznanie w oczach sierżanta zdobył za to facet, który ich tu przyprowadził. Tropiciel raził przeciwnika z myśliwskiego sztucera z lunetą. Tym razem zabijał ludzi, a nie zwierzęta, ale chyba nie sprawiało mu to różnicy.

– Powiedz, żeby się pospieszyli.

– Robię, co mogę.

Cholerni partyzanci. Może to już nie są partyzanci, a zaczątek regularnej armii napędzanej religijnym zaciętrzewieniem. Strasznie ciężko jest walczyć z takim wrogiem. Jeżeli ktoś nie boi się śmierci, to jak go pokonać?

W końcu strzelanina osłabła. Obie strony zaległy na swoich pozycjach. Dystrans pomiędzy nimi wynosił trzydzieści do czterdziestu metrów. Nikt nie myślał, aby ustąpić. W końcu nad ich głowami przeleciał Eurocopter EC 725 Super Cougar, nieomal dotykając podwoziem czubków wyższych drzew.

Byrski głowę by dał, że w poszyciu maszyny pojawiło się parę przestrzelin.

– Mamy się cofnąć.

– Co?

– Na sto metrów. Takie są rozkazy.

– A żeby ich. – Sierżant splunął i przetarł spocone czoło. – Jazda. Nie ociągać się.

Tym razem odwrót wyszedł im dużo składniej niż za pierwszym razem.

Po co ten pośpiech? Jakby dostali pomoc w postaci jeszcze jednego plutonu,

zaczęliby spychać przeciwnika, a może i zmusiliby go do ucieczki. Za godzinę byłoby po zawodach.

– Ołeh, na co czekasz? Potrzebujesz specjalnego zaproszenia?

Dopiero grymas na twarzy legionisty uświadomił Byrskiemu, że Ukrainiec jest w kiepskiej formie. Cały rękaw miał ciemnoczerwony od krwi, pocisk musiał trafić go w ramię. Może nie naruszył kości, ale ranny wyglądał na wycieńczonego.

Porządnie dziś oberwali. Starcie na długo zapisze się w pamięci jednostki.

Tego, co się później wydarzyło, w ogóle się nie spodziewał. Uderzony potężną falą gorąca poleciał do przodu. Świat za nim eksplodował serią grzmotów. Gdy w końcu obejrzał się za siebie, zdębiał. Las płonął żywym ogniem. Płomienie strzelały wysoko, pochłaniając w okamgnieniu całe drzewa. Ktokolwiek ukrywał się wśród nich, musiał zginąć. Już wiedział, dlaczego nakazano im odskok. To samoloty zrzuciły napalm, zamieniając islamistów w popiół.

Zamiast bawić się w podchody i narażać na straty, problem rozwiązano w sposób radykalny. Francja drugim Wietnamem, chciałoby się rzec. Dobry dżihadysta to martwy dżihadysta.

Widać takie hasło zaczęło przyświecać politykom z Pałacu Elizejskiego.

Kilka godzin później Byrski miał okazję znaleźć się w leśnej bazie partyzantów. Nawet to, co z niej pozostało, robiło wrażenie. Transzeje, zamaskowane stanowiska strzeleckie, punkty oporu, magazyny. Wszystko wykonane dużym nakładem sił. Bitwa o tę redutę mogła potrwać wiele godzin. Co za fart, że nie musieli tego zdobywać.

Ludzie z wywiadu przetrząsną każdy zakamarek bazy i spróbują dowiedzieć się, kto to wszystko finansował i jak to się stało, że banda biedaków z getta była w stanie stworzyć coś takiego.

Na szczęście to już nie jego problem. Jak słyszał, oddział ma dwadzieścia cztery godziny na odpoczynek, by następnie ruszyć do Tours, gdzie od paru dni dochodziło do pogromów.

Koniec tego szaleństwa może nigdy nie nadejść. Ta myśl dobijała nie tylko Byrskiego.

– Cześć.

Ernest nieznacznie uniósł głowę.

– Pierwszy raz widzę kogoś, kto zakuwa przed pierwszymi zajęciami.

– Tylko przeglądam. – Plazma uśmiechnął się niepewnie, odkładając podręcznik na parapet.

– Jak minęły wakacje?

Pytanie Joli Rajskiej wydawało się niewinne, ale w Erneście wywołało złe skojarzenia.

– Tak sobie – odparł obojętnie.
– Byłeś gdzieś?
– Siedziałem w domu. Zrobiłem remont, mały grill z kumplami na działkach, szalu nie było. Przynajmniej trochę forsy zaoszczędziłem.

Jak pokłamię jeszcze trochę, to sam w to uwierzy.

– No fakt.

– A u ciebie?

Teraz to on przystąpił do ataku.

– Miałam lecieć do ojca na placówkę do Malezji, ale wiesz, co się porobiło. W końcu wylądowałam u matki na Mazurach. Nie było najgorzej. Poznałam miłego faceta...

– Dlaczego mnie to nie dziwi...

– ...który na koniec okazał się draniem.

Na korytarzu zaroilo się od studentów. Niektórzy przystawali obok nich, zagadywali.

Wolski milczał, Rajska też. Co go mogły obchodzić czyjeś problemy z wynajęciem mieszkania, nowym tatuażem, kupnem fury za pieniądze tatusia czy imprezką w ostatni weekend? On ostatni weekend spędził na strzelnicy. A inni? W zasadzie miał ich gdzieś. Dziwne, że Rajska też jakoś nie wpasowała się w żaden temat. Uśmiechała się, potakiwała i na tym koniec.

Dopiero tuż przed zajęciami zrobiło się wokół nich luźniej.

– Wpadniesz do mnie?

Plazma zbaraniał. Zupełnie do siebie nie pasowali.

– Nie mogę. Wieczorem jadę na zmywaku. – Musiał się wykręcić za wszelką cenę.

– Jak chcesz, to ci pomogę.

– Zwariowałaś?

Po minie Joli widać było, że jest jej przykro. Trudno, jakoś to przeżyje. Miał wystarczająco wiele kłopotów. Kolejnych nie potrzebował.

Na temat akcji w Rzymie złożyli obszernie sprawozdanie. Ładnie to nawet nazwano – „wyjaśnienia”. Dobrze, że nie skończyli na haku. Dwa i pół tysiąca zabitych, sześć tysięcy rannych. Jatkanie jak się patrzy. Karabinierzy oraz Europol prowadzili dochodzenie. We Włoszech powstała komisja parlamentarna mająca sprawdzić, jak to tego doszło. Wątek polskiego informatora był dokładnie badany, ale obradować i dociekać pewnie będą latami. Ciało Szamilewa nie odnaleziono. Tylko oni wiedzieli, że watażka gryzie piach.

Bolonia to kolejny ból dupy. W pożarze zginęły osiemdziesiąt trzy osoby. Identyfikacja ciał wciąż trwała. Niektóre zwłoki przypominały skwarki na patelni. Nie o to jednak chodziło. Sznajdera wciągnęło, przepadł bez śladu. Nikt nie wiedział, co się z nim stało, a o pomoc w poszukiwaniach nikogo nie poproszą. Kruczkow-

skiego z tego powodu o mało szlag nie trafił.

Kolejny raz zadanie ich przerosło. Dobrze, że nie groziło im wydalenie ze służby, jak ostatnio. Seria niepowodzeń zdawała się nie mieć końca. A syf, jaki się narobił, przekraczał wszelkie granice.

Nie dalej jak parę dni wcześniej wkurwiony tłum podpalił redakcję „Süddeutsche Zeitung”. Paru dziennikarzy wyfrunęło przez okno, z różnym skutkiem. Podobno któryś nawet przeżył. Przeprowadzono zamach na prezesa koncernu Axel Springer. Niestety, nieudany. Przyznał się do niego Związek Teutoński, zupełnie nowa organizacja, mająca przywrócić Niemcom narodową tożsamość. Jak twierdzono, sam George Soros... chuj z nim – Wolskiemu finansista kojarzył się z imperatorem z *Gwiezdnych Wojen*, a plotkami nie będzie się zajmował.

Miał przed sobą jedną dziewczynę, ale myślami błędził przy innej. Nie wiedział kiedy, ale wzięło go.

Cholera, gdzie teraz podziewa się Lena?



Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Punkt zwrotny

